

kwartalnik
respublica
NOWA

spis rzeczy

śmierć historii

- 6 Obecność historii *Marcin Moskalewicz*
- 8 O edukacji historycznej i podręcznikach historii słów kilka... *Krystyna M. Budzianowska*
- 12 Przeciwno lekcjom z amnezji *Wojciech Przybylski*
- 16 Zrywając pęta narodowej mitologii. Szwecja i Szwajcaria wobec Zagłady *Arne Ruth*
- 24 „Wielka Wojna Ojczyzniana” w polityce pamięci Białorusi, Mołdawii i Ukrainy
Andrij Portnow
- 35 Rozliczenie z eneradowską przeszłością – rewizja procesu *Jan-Werner Müller*
- 44 Pamięć Niemców *Klaus Ziemer, Artur Celiński*
- 52 Antykomunizm w postkomunistycznym kraju. Jak tendencje progresywne stają się regresywnymi? *Marek Sečkař*
- 57 O nowy model opowiadania – koncepcje muzeum XXI wieku *Marcin Wilkowski*

kultura

- 62 Kto istnieje, a kto nie, w polskim dyskursie II wojny światowej? *Joanna Ostrowska*
- 69 O pożytkach i szkodliwości historii dla kina *Jakub Majmurek*
- 76 Spacer po Warszawie w budowie *Sebastian Cichocki*
- 88 Wyzwolić kreatywność – wokół brytyjskiego ruchu *community arts* *Anna Rogozińska*
- 94 O spacerze i przemianach chodzenia. Simmlowska impresja *Daniel Kontowski*
- 100 Zwierciadło: kulisy filmu *Seweryn Kuśmierczyk*

dna miasta – warszawa

- 109 Zmienny genotyp Warszawy *Aleksandra Wasilkowska*
- 115 Nie jest dobrze *Anda Rottenberg, Katarzyna Kazimierowska*
- 121 W poszukiwaniu straconego miasta *Mikołaj Madurowicz*
- 125 Dramat czy farsa? *Jan Buchwald, Agata Diduszko-Zyglewska, Piotr Gruszczyński, Krystyna Janda, Paweł Passini*
- 135 Obywatelka Polski narodowości ukraińskiej *Teresa Oleszczuk*

europa dyskusje

140 Holocaust: ignorowana rzeczywistość *Timothy Snyder*

150 Dyskusja z wileńskiej konferencji Eurozine

152 Centrum – peryferia – centrum *Jarosław Kuisz*

polityka/idee

158 Requiem dla etyki protestanckiej *Marta Bucholc*

163 Po kryzysie: powrót do etyki protestanckiej? *Ralf Dahrendorf*

szkoła eseju

174 Nie tylko *Trzech panów* *Magdalena Moltzan-Małkowska*

176 O pamięci *Jerome K. Jerome*

przegląd prasy

182 Filozoficzne próby sił *Magdalena M. Baran*

książki

186 Dojczland. Obraz Niemców w literaturze polskiej *Przemysław Czapliński*

196 Znaki, ślady i pojęcia ostateczne *Natalia Romik*

197 Wywiad *Adam Lipszyc, Natalia Romik*

202 Obrzędy widziane z ukosa. *O Innej obecności* Małgorzaty Dziewulskiej *Weronika Szczawińska*

206 Arystokratyczny liberalizm obcych *Marcin Bąba*

209 Podbój terytorium faszysty. *O Suchych i wilgotnych* Jonathana Littella *Agnieszka Jakimiak*

poezja

216 Blisko siebie *Piotr Śliwiński*

218 *Adam Wiedemann*

ekonomia

222 Sprywatyzować państwo *Tomasz Kasprowicz*

Wstęp

Na placu Litewskim w Lublinie stoi konny pomnik Piłsudskiego. Przez długi czas leżała pod nim folia, jak gdyby pomnik do placu nie pasował, póki nie uzyskano formalnej zgody na wmurowanie go na stałe. Orędownicy ustawienia monumentu, dodajmy, w poglądach byli bliżsi ideom Dmowskiego niż obozu sanacji. Jakby fakt ten nie był dostatecznie kuriozalny, władze Polski postanowiły 1 lipca tego roku właśnie na tym placu uczcić 440-lecie Unii Lubelskiej. Trudno zgadywać, co Valdas Adamkus, ustępujący w dwa tygodnie później prezydent Litwy, myślał – paradując pod buławą, która przez Litwinów utożsamiona jest z wyczynem Żeligowskiego. Bo że odpowiedzialni za protokół dyplomatyczny myśleli niewiele, zgadywać nie trudno. Zignorowali oni wszelkie rozsądne podpowiedzi, w tym głos Tomasza Merty, pełniącego funkcję generalnego konserwatora zabytków, wskazujące na niestosowne umiejscowienie tego pomnika. Życie codzienne ukazuje wszakże, iż symbole historii mogą mieć większą wartość niż ciągłość faktów i tradycji.

Plac Litewski stał się natomiast miejscem innego publicznego skandalu, gdy na jego środku, w tle pomnika, ustawiono plakat z dwiema gołymi babami reklamujący *Konfrontacje teatralne 2009*. Gdy w dniu pierwszej debaty *DNA miasta – PL 2009* przecinaliśmy plac, podążając ku siedzibie Radia Lublin, mijaliśmy zdewastowane plakaty *Konfrontacji* wyśmiewające poplątanie symboli i idei skłóconych w tak wielu wymiarach w jednym tylko miejscu. Z ironią i gorzką nadzieją przypominamy więc słowa Gertrudy Himelfarb. Publicystka po „śmierci Boga” i „śmierci historii”, które w gruncie rzeczy niczego złego ludzkości nie uczyniły, wyczekiwała niecierpliwie na „śmierć postmodernizmu”. Nawet jeśli on już nadszedł, to Polska w wymiarze lokalnym i ogólnonarodowym ten moment przegapiła. By uciec poza refleksję, stawiamy sprawę prosto: licealne lekcje historii trzeba

zacząć od końca i z mozołem przywracać ciągłość porwanej pamięci. Pamięci bez historii.

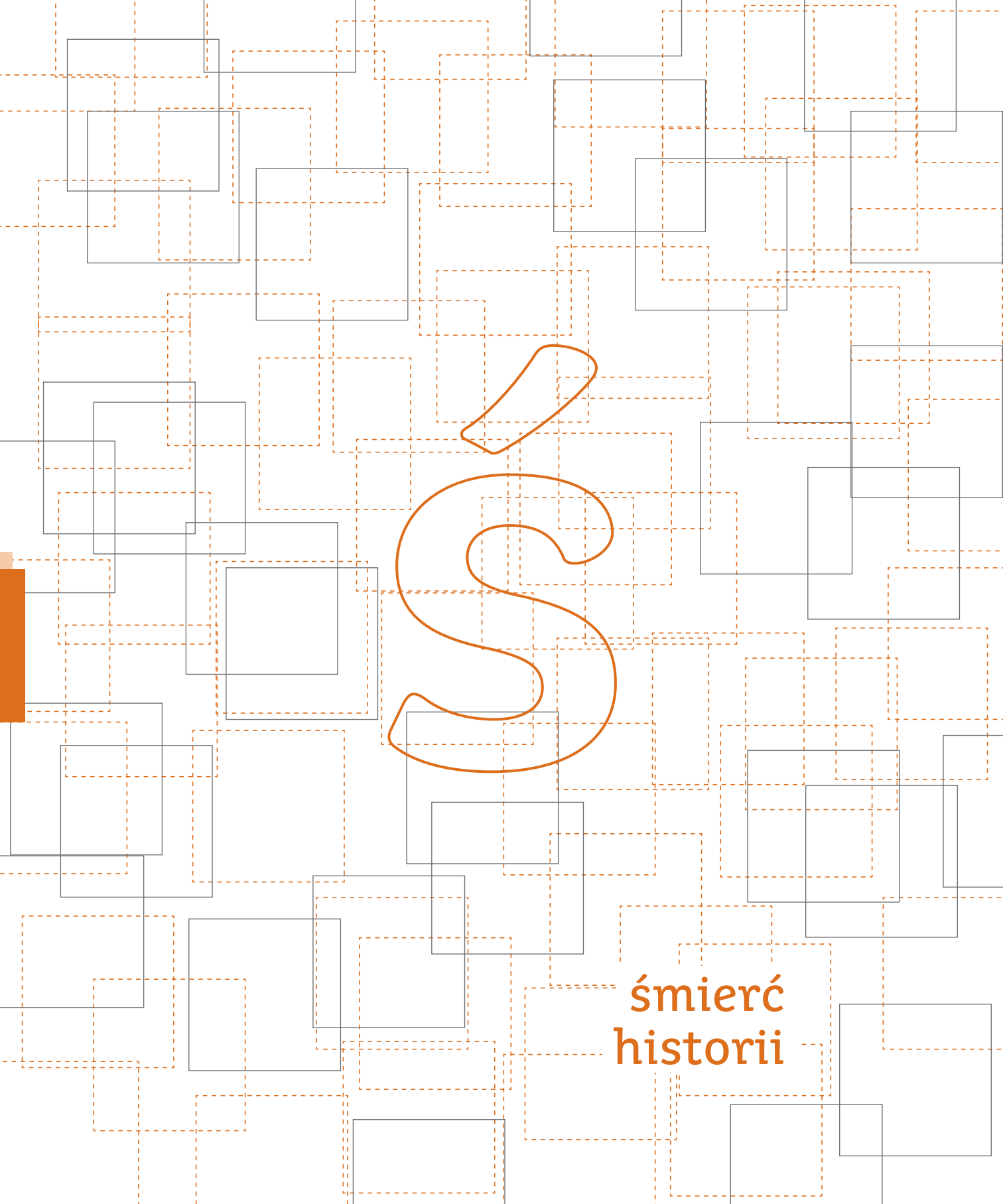
Chcemy również zwrócić uwagę na dwie wyjątkowe prace. Pierwsza to wprowadzenie do niezwykłej galerii autorstwa Sebastiana Cichockiego, kuratora Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Galerię stanowią zdjęcia prac z wystawy, która prezentowana będzie w ramach zwiastuna festiwalu *Warszawa w budowie* jesienią 2009 r. Druga pozycja to fragment nieopublikowanej jeszcze książki Seweryna Kuśmierczyka, poświęconej Andriejowi Tarkowskiemu, traktującej o kulisach powstawania filmu *Zwierciadło*. Obraz ten zostanie pokazany w ramach Festiwalu Filmów Rosyjskich Sputnik, który rusza w Warszawie 6 listopada br.

Nowy dział – *DNA miasta* – jaki prezentujemy Państwu w numerze jesiennym, wiąże się z aktualną działalnością zespołu „Res Publik”. Dział jest pokłosiem serii debat dotyczących kulturowej tożsamości Warszawy, które odbyły się w siedzibie redakcji latem 2009 roku. Polecamy zwłaszcza wywiad z Andą Rottenberg, debatę o kondycji teatru warszawskiego z udziałem Jana Buchwalda, Piotra Gruszczyńskiego, Krystyny Jandy i Pawła Passiniego, oraz bardzo osobistą wypowiedź Teresy Oleszczuk, która wpisuje się w dyskurs o multikulturalnym potencjale stolicy.

Drukujemy także dwa najważniejsze eseje ostatnich miesięcy. Timothy Snyder – wywołując lawinę dyskusji i polemik – na łamach „New York Review of Books” oraz EUROZINE pisze o ignorancji i Zagładzie, zaś Lord Dahrendorf zostawia ostatni ślad swojego intelektu w sześciu tezach o kapitalizmie.

Na koniec polecamy wyjątkowe wiersze Adama Wiedemanna.

Redakcja

The background is a complex geometric pattern. It consists of numerous squares of various sizes, some of which are solid light blue and others are dashed orange. These squares are arranged in a way that they overlap each other, creating a sense of depth and movement. The overall effect is a dense, layered composition that resembles a modern architectural or graphic design.

S

śmierć
historii

Obecność historii

MARCIN MOSKALEWICZ

Historia bywa często – i słusznie – porównywana do niszczycielskiej siły, która pojawia się wraz z inwazją obcych wojsk czy spektakularnym uderzeniem samolotów w drapacze chmur. Wobec tak pojętej historii pamięć stanowi ostoję spokoju i przestrzeń tego, co minione. Z drugiej strony historia to właśnie nieszkodliwa przeszłość, której już nie ma, pamięć zaś, w szczególności zaś pamięć tego, co wydarzyło się niedawno, nadaje sens chwili obecnej i jest bardzo aktualna. Historia to wreszcie zawsze niedoskonała opowieść o czasie minionym, dla której pamięć stanowi jeden ze środków dotarcia do prawdy. W tym ostatnim sensie historia, a w szczególności historia naukowa, ma tendencje do poddawania pamięci presji obiektywizacji, a więc do tłumienia jej autentycznego i partykularnego wymiaru. Niemniej wyższość niepokornej, indywidualnej bądź zbiorowej pamięci, która „wie”, jak było naprawdę, polega tutaj na tym, że bez pamięci nie byłoby historii. W tym sensie wartość pamięci nie jest zależna od tego, czy służy ona historii naukowej. Pamięć może z powodzeniem być celem samym w sobie, także pod postacią autonomicznego przedmiotu badań historyka. Rzecz jasna związek pamięci i historii w żadnym razie nie jest jednokierunkowy. Pamięć jest zazwyczaj zapośredniczona przez wykładnię historyczną, historia zaś przez różne formy pamiętania. W istocie pamięć i historia wzajemnie się warunkują, a granice pomiędzy nimi zawsze pozostają płynne. Nie ma historii bez pamięci, tak jak i nie ma pamięci bez historii.

Nie chodzi tutaj o wdawanie się w spory dotyczące definicji abstrakcyjnych pojęć. Realnym problemem jest – potocznie przyjęte za pewnik – rozszczepienie pomiędzy historią jako przeszłością czy narracją o przeszłości a owymi przebiegami historii dziejącej się na naszych oczach, którą z kolei trudno już oddzielić od pamięci. Uwagę statystycznego

odbiorcy, którego historyczną wrażliwość ukształtowała klasyczna edukacja szkolna, może ewentualnie przykuć tylko ta druga. Bo czy jest coś nudniejszego od „historii”? Po przyswojeniu setnej daty dziennej z nieskończonego arsenału faktografii pamięć zostaje obciążona „historią” w stopniu uniemożliwiającym jej zdrowe funkcjonowanie. Źle pojęta historia zwłaszcza wówczas wąsko pojętą pamięć i staje się szkodliwa dla życia. Zwrócenie uwagi na poziom procesów i szeroko rozumianych zależności przyczynowo-skutkowych niewiele tutaj zmienia, o ile w parze z nim nie idzie uwaga skierowana na znaczenie, jakie niosą one dla teraźniejszości i przyszłości. To trochę tak, jakby chcieć przybliżyć teorię ewolucji za pomocą pamiętnej drobiazgowej analizy budowy i pasjonującego trybu życia pantofelka lub też zakończyć ewolucyjną opowieść na małpie, cud pojawienia się człowieka przypisując boskiej interwencji.

To, co w historii na pewno nie jest nudne, stanowi różnica pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Sama przeszłość ma status niejako paradoksalny – jest tym, czego już nie ma, a co niewątpliwie się wydarzyło. Ujrzyć zarówno tę przeszłość, jak i różną od niej teraźniejszość jako tę samą, dziejącą się historię, to już dużo. Jednak aby to dostrzec, nie są potrzebne ani dywizje armii rosyjskiej, ani samoloty rozbijające się o szczyty wieżowców. Tak naprawdę wystarczyć do tego powinna świadomość wiążąca pojawienie się nowego modelu iPhone’a z pamiętanymi z niedawnej przeszłości obrazami funkcjonalnie obciążonych telefonów komórkowych. Myślenie takie uświadamia nam, iż historia się jeszcze nie skończyła, nawet jeśli rozgrywa się obecnie na innych niż kiedyś poziomach. Następny krok to uświadomienie sobie historyczności rzeczoności iPhone’a czy jakiegokolwiek innego bezprecedensowego zjawiska jako czegoś, co kiedyś samo będzie „historią”, uświadomienie sobie, że teraźniejszość jest już niejako przeszłością i że tak naprawdę ważne są tylko te dni i chwile, których jeszcze

nie znamy – różne zarówno od tego, co było, jak i od tego, co jest. Idea końca historii to w istocie najniebezpieczniejsza zmora nawiedzająca w równym stopniu uczniów, historyków, jak i zwykłych obywateli. Jej bezpośrednim skutkiem jest przekonanie o własnej wyjątkowości, czy gorzej – doskonałości, jak i przeświadczenie, że przeszłość zamknąć można w skrupce wiedzy i odstawić na półkę piwnicy archiwum. Długofalową konsekwencją tej zmory jest zaś swego rodzaju obojętność dotycząca kształtu przyszłości, która wydaje się nie przynosić niczego nowego.

Umiejętność myślenia historycznego to z jednej strony umiejętność ujrzenia przeszłości jako minionej teraźniejszości, która rzeczywiście się dokonała, a z drugiej – zdolność do uhistorycznienia swego własnego punktu widzenia, a więc do dostrzeżenia względności teraźniejszości i do spojrzenia na nią niejako z perspektywy przyszłości, która się jeszcze nie wydarzyła. Główną zaletą dyskursu pamięci i argumentem na jego rzecz jest to, że zarówno przybliża dalszą, jak i bliższą przeszłość jako coś rzeczywistego, a także zaburza obiektywistyczną i pozornie

stabilną strukturę oficjalnej wykładni przeszłości. Pozwala ponadto znieść wspomniane wyżej rozszczępienie pomiędzy faktami z przeszłości a dziejącą się historią. W nauczaniu historii – czy to na poziomie szkolnym, czy akademickim – najważniejsze wydaje się uwrażliwienie na ów wymiar teraźniejszości i uczynienie z niego punktu ogniskowego tak, by osobiste doświadczenie historii wydarzającej się właśnie teraz stać się mogło trwającą i niekończącą się płaszczyzną odniesienia – zarówno dla intelektualnych i emocjonalnych wycieczek w przeszłość, jak i dla projektów przyszłości różnej od tego, co obecne. Tylko tak pojęte myślenie historyczne może być warunkiem prowadzenia odpowiedzialnej polityki, także historycznej. ◀

Marcin **Moskalewicz**

(1980), doktor w Zakładzie Metodologii Historii Instytutu UAM w Poznaniu, Marie Curie Fellow w Groningen Research School for the Study of the Humanities, stypendysta m.in. University of California at Berkeley. Publikował m.in. w „Tekstach Drugich”, „Kulturze Współczesnej”, „Cadernos de Filosofia”, „Sztuce i Filozofii”.

O edukacji historycznej *i podręcznikach historii słów kilka...*

KRYSTYNA M. **BUDZIANOWSKA**

W obszarze przedmiotów humanistycznych, z natury słabiej uporządkowanych niż przedmioty ścisłe, panuje dziś niewiarygodny chaos. Zastąpienie tradycyjnych form i treści przez nowe, bardzo zróżnicowane, powoduje, że każda próba odwołania się do względnie spójnego systemu wartości kultury narodowej ponosi klęskę. Tymczasem edukacja jest jednym z elementów w znacznej mierze kształtujących społeczeństwo obywatelskie. Jej składową stanowi edukacja historyczna, której najczęstszą formą jest nauczanie historii w szkołach. Co więcej, tą edukacją – w pewnym stopniu – można sterować. Jak pisze Michał Głowiński w książce *Skrzydła i pięta. Nowe szkice na tematy niemitologiczne*, dyskurs patriotyczny stanowi teren, na którym nieustannie toczy się walka o symbole i walka na symbole, a szkolna humanistyka jest przekazem pewnych wybranych elementów, nie formułowanych już w postaci spójnego systemu.

Mimo inwazji nowoczesnych mediów na terytorium edukacji podręcznik szkolny wciąż stanowi podstawowe źródło wiedzy ucznia na lekcji i w domu. Jeszcze niedawno we wszystkich szkołach w Polsce obowiązywał jeden, wyznaczony ministerialnie, jed-

nak od reformy systemu edukacji w 1999 roku, to nauczyciel może wybrać program i co za tym idzie – także podręcznik. A wybór jest niezwykle bogaty.

W nauczaniu historii stosowane są narracje tworzone z myślą o uczniu, cechuje je więc prostota struktury, przystępność języka, odpowiednie nasycenie materiałami spostrzeniowymi, wyobrażeniowymi i pojęciowymi z uwzględnieniem poziomu rozwoju intelektualnego i emocjonalnego odbiorcy. W nowoczesnych podręcznikach autorzy mają do dyspozycji różne techniczne sposoby: kolorowe czcionki, tła, ramki, a wydawnictwa prześcigają się w oferowaniu książek barwnych, przyciągających spojrzenia.

Pozwolę sobie przypomnieć wytrawnym Czytelnikom tego pisma, że adresaci podręcznikowych tekstów (i nie tylko tekstów) to dzieci i młodzież – bez większego doświadczenia życiowego a tym bardziej literackiego. Często mający nawet techniczne problemy z płynnym czytaniem, o czytaniu ze zrozumieniem naukowych terminów nie wspominając (kto nie wierzy, niech zajrzy do badań PISA w Polsce lub wyników matur). Zaledwie wkraczają w życie. I historii uczą się, bo... muszą. Ponieważ to przedmiot szkolny – pisze się klasówki, otrzymuje się oceny, zdaje egzaminy. Autorzy traktują swego odbiorcę różnie – jako dojrzałego czytelnika, któremu można przedstawić wachlarz informacji do samodzielnej obróbki, kierując tylko jego uwagę poprzez różnorodność zastosowanych form; jako zainteresowanego jedynie faktami i to z dużym uszczegółowieniem czy dziejami społecznymi z pominięciem historii politycznej; lub też zbieracza ciekawostek podanych lekkim, potocznym językiem.

Jak wynika z mojej analizy kilkunastu (z ogromnej grupy) podręczników, historia dydaktyczna jest sporo zapóźniona względem historii jako nauki, która rozwija się w duchu postmodernistycznym. Z podręczników wyłania się taki obraz tej dyscypliny, który świetnie scharakteryzował Andrzej Radomski: historia to nauka, dążąca do prawdy dziejowej, chociaż te prawdy są różne według różnych autorów. Historyk to typowy uczony; uzbrojony w odpowiednie meto-

dy, poznaje i jest w stanie poznać dzieje, a swą wiedzę o przeszłości czerpie z tzw. źródeł historycznych, które dają dostęp do minionych zdarzeń. Zadaniem historyka jest obiektywnie przedstawiać najważniejsze wydarzenia, do jakich kiedyś doszło, oraz ich genezę i skutki, a następnie próbować je wyjaśniać – za pomocą przede wszystkim rozumowania przyczynowo-skutkowego. Swoje wyjaśnienie prezentuje w formie narracji, koncentrując się – niezależnie od deklaracji we wstępie – na opisach dziejów danych państw i narodów. Ale przecież wszystkie te przekonania na temat historiografii oraz sposobów jej opisywania, które przed momentem wyliczyłam, zostały w końcu XX wieku podważone, co jest szczególnie widoczne na gruncie refleksji teoretyczno-metodologicznej. Współcześni metodolodzy i filozofowie historii przekonują nas, że historia nie jest nauką – to rodzaj sztuki, a historyk bardziej jest artystą aniżeli chłodnym naukowcem. Ponadto historia nie jest w stanie dojść do prawdy o minionych wydarzeniach. Mówi się, że historyk nie odkrywa prawdy, tylko ją wytwarza, i niezależnie jakich metod użyje, to i tak nie będzie w stanie odtworzyć przeszłości w jej realiach. Źródła nie dają dostępu do przeszłości i nie zawierają faktów – są one tylko tekstem, który interpretuje się za pomocą współczesnych kategorii, i w ten sposób historycy stwarzają fakty! Co więcej, niektórzy uważają, że historycy nie piszą o przeszłości – tylko, tak jak pisarze, piszą przeszłość. Czasy minione nie podpowiadają nikomu, jakie fakty czy wydarzenia były najważniejsze, a jakie osiągnięcia czy wytwory najwartościowsze: wartościowania tego dokonują historycy, oceniając co godne jest ich zainteresowania, a co ma znaczenie drugorzędne. Nikt, kto pisze o przeszłości, nie może być obiektywny, gdyż nie jest w stanie uwolnić się z więzów własnej epoki i kultury, choćby nie wiem, jak przekonująco to deklarował. Zatem w miejsce wielkich kategorii historycznych postuluje się pisanie: mikrohistorii, dziejów tych grup ludzkich, które były wcześniej pomijane np. kultura ludowa, masowa, popularna, mniejszości etniczne, seksualne, a zwłaszcza świat kobiet. Moim zdaniem w treściach podręcznikowych

wyraźnie widać, że zagadnienia tego rodzaju to sprawy marginalne.

Autorom potrzebne jest zupełnie inne postępowanie w zakresie poglądów na wydarzenia historyczne, tj. informacji będących odpowiedziami na pytanie: dlaczego? Często przedstawiają przyczyny określonych wydarzeń z taką samą pewnością siebie, z jaką podają ich daty, zapominając, że te ostatnie mogą być informacjami stwierdzalnymi (wiadomościami), a przyczyny pozostają w sferze domniemań (poglądów). Z zakresu przyczyn nie należy ucznia egzaminować, lecz z nim o nich dyskutować, gdyż do domniemań ma on nie mniejsze prawo niż sam autor. Dopiero ten element może uczynić historię pasjonującą. Nie mam żadnych wątpliwości, co do tego, że występując w charakterze dyskutantów na temat mechanizmu wydarzeń historycznych, uczniowie przejawialiby zainteresowanie historią w stopniu przekraczającym najśmielsze wyobrażenia autorów programu nauczania tego przedmiotu. Mają własny świat, bogaty, arcyciekawy i zdecydowanie odmienny od świata znanego doświadczonym historykom. Zasadniczym jednak warunkiem jest, aby nauczyciel rzeczywiście dyskutował, a nie „uczył” poglądów, a autorzy podręczników nie tworzyli jednych, niepodważalnych teorii, wykluczających wszelkie inne. Warto wspomnieć, że system oceniania według z góry ustalonego klucza egzaminów maturalnych skutecznie hamuje wszelkie innowacyjne traktowanie własnych wizji historii.

Historia szkolna powinna otwierać się na inne wizje świata, zmierzające w kierunku historii życia codziennego, relacji i konfliktów międzykulturowych, pokazywania historii z punktu widzenia różnych grup społecznych. Zupełnie nie znajduje to odzwierciedlenia w analizowanych podręcznikach: niezmiennie rzadko cytuje się historyków innych narodowości, gdy pisze się o dziejach własnych narodów! W badanych przeze mnie podręcznikach dla uczniów szkół średnich nadal dominuje historiografia o charakterze państwowo-narodowym, europocentryczna, patriarchalna, prezentująca fakty z wielkiej polityki, gospodarki czy wysokiej kultury

oraz tzw. najważniejsze osiągnięcia cywilizacyjne. Interesujący jest w tym zakresie ogląd sposobu prezentowania dziejów kultury z czarno-białym podziałem na epoki historyczno-literackie. Autorzy w zasadzie wykorzystują linearną koncepcję czasu i związku przyczynowo-skutkowego. Odstępstwa od tej zasady są rzadkie i trudne w odbiorze, ze względu na nieprzygotowanie odbiorcy. Podręczniki posługują się kategoriami prawdy, obiektywności i przedstawiania, sugerując uczniom, że świat przeszłości wyglądał mniej więcej tak, jak przedstawia go podręcznik. Nawet wybór postaci, faktów i ich ustalonych ocen nie ulega zasadniczym zmianom (jeśli nie bierzemy pod uwagę podręczników z poprzedniej epoki).

Zdaję sobie sprawę, że treści i przesłania zawarte w podręcznikach w pewien sposób próbują godzić to, czego pogodzić się nie da: potrzebę prostoty i jasności wypowiedzi (ze względu na młodego czytelnika) ze skomplikowaną naturą narracji historycznej; obowiązek umieszczenia niezbędnych faktów pozwalających na własny ogląd przeszłości z ich wyborem i wielością; obiektywność sądów historycznych z własnym – autorskim – mniej czy bardziej uświadamianym światopoglądem; prezentowanie przeszłości w sposób tradycyjnie tekstowy z medialną, wizualną rzeczywistością; realizację odwiecznych dla nauki historycznej celów dydaktycznych – patriotyczno-obywatelskich z nomadycznym, ponadnarodowym charakterem współczesności.

Z pewnością współczesna praktyka edukacyjna sprzyja funkcjonowaniu wielu podręczników. Są one zróżnicowane formalnie, metodycznie, treściowo i ideowo. To wszystko sprawia, że dają odmienny obraz przeszłości. I tak realnie patrząc, nie wiemy, który z obrazów i dlaczego właśnie ten przypadnie w udziale konkretnemu uczniowi. Czy pod wpływem szkolnej edukacji historycznej też kształtuje się młody człowiek? Czy pojedyncze niewiele znaczące słowa typu: tylko, jednak, niestety, aż mają jakikolwiek wpływ na osobowość odbiorcy? I nie chodzi tu o terminy historyczne, przywołane symbole, postaci, oceny. Chodzi również o język, który niejako tworzy kontakt z opisami przeszłości na kartkach szkol-

nego podręcznika. Marcin Kula w *Krótkim raporcie o użytkowaniu historii* pisze, że z tkanki dziejów, na które składają się epizody, nazwy, symbole, postacie, powstaje swoisty alfabet historyczny, niezbędny do porozumiewania się we współczesnym świecie. Co ciekawsze, ów alfabet historyczny funkcjonujący w społeczeństwie nie musi odzwierciedlać adekwatnie minionej rzeczywistości, gdyż częściej symbole żyją własnym życiem niż „historyczną prawdą”. Niemniej jednak, aby z tego alfabetu w pełni korzystać, trzeba go po prostu znać a następnie rozumieć.

W prezentowaniu historii w przeważającej części podręczników przyjęto na pozór oczywistą, a w istocie nienajlepszą zasadę: chronologiczność. Skoro najpierw zaszedł pewien fakt, a potem inny, to i uczeń musi najpierw dowiedzieć się o pierwszym z nich, a dopiero później o drugim. Prowadzi to do dydaktycznego nonsensu, gdzie o sprawach najbardziej odległych, a wskutek tego najmniej podobnych do obecnych i najmniej zrozumiałych, dowiadują się uczniowie najmłodszy, a więc najsłabiej do tego przygotowani. Taki chronologicznie uporządkowany schemat powtarza się w większości podręczników do szkół podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych.

Taki system nauczania sprzyja również powstawaniu przeświadczenia, że poznawanie przeszłości jest celem samym dla siebie, zamiast uwydatniać fakt, iż historia to tylko klucz do teraźniejszości, zbiór informacji o doświadczeniach przeszłych, mający ułatwiać wybór aktualnego postępowania. Do tego zaś celu, podobnie jak przy przewidywaniu pogody, częstokroć ważniejsze jest to, co było wczoraj niż sto lub tysiąc lat temu.

Teraźniejszość nie powinna być końcem nauczania historii, lecz stanem, z którym powinno się konfrontować wydarzenia przeszłe. Tylko pod tym warunkiem nauczanie historii może mieć wartość praktyczną i dlatego należałoby je rozpocząć nie od spraw najdawniejszych, lecz od najważniejszych.

Wydaje mi się, że we współczesnych społecznościach istnieje zapotrzebowanie na inne wizje przeszłości. Młodzi ludzie raczej nie żyją już wielką

polityką, a co za tym idzie i wielką historią. Z reguły w codziennym bytowaniu nie są już mocno emocjonalnie związani z takimi kategoriami, jak: państwo, naród czy ojczyzna, choć zapewne dla niektórych, a już szczególnie nauczycieli – brzmi to jak bluźnierstwo. W znacznej części czują się wędrowcami. Cały świat jest ich światem i odnajdują swoje miejsce w różnych krajach, wśród różnych nacji, różnych religii, kultur i światopoglądów. Tę różnorodność spotykają w realnej rzeczywistości oraz w przestrzeni wirtualnej. Tym, co ich zajmuje, jest więc szeroko rozumiana codzienność. „Wielka historia” jest im mniej przydatna w codziennym bytowaniu i być może powinna iść w kierunku pragmatyzmu. Ale zmiany takie nie są ani proste, ani szybkie. Przekonać do nich trzeba i historyków, i autorów podręczników, a przede wszystkim nauczycieli. Uczniowie są na nie gotowi. ◀

Krystyna M. **Budzianowska**

(1963), doktor, wieloletni nauczyciel historii, dyrektor szkoły, edukator, wykładowca Wyższej Szkoły Umiejętności Pedagogicznych i Zarządzania w Rykach. Interesuje się szeroko rozumianą współczesną edukacją historyczną i dwudziestolecie międzywojennym.

Przeciwko lekcjom z **amnezji**

WOJCIECH PRZYBYLSKI

W tym roku ujawniliśmy swoją słabość i trzeba to głośno przyznać. My – Europejczycy, ale w szczególności Polacy. Daliśmy się uwieść dwóm liczbom, z których krwawy rok 1939 zdominował wspólną pamięć. Z obojętnością przyjęliśmy fakt, że zmiany rozpoczęte w 1989 roku – fundament zjednoczonej Europy – były ważniejszą, konstytuującą nowy porządek datą. Poddaliśmy się za to kolejnej odsłonie propagandy rodem z II wojny światowej. Przyznaję, że rok 1939 niesie ze sobą jeszcze parę zagadek, nadal rozgrzewa kinematografię i pozostaje przedmiotem badań historycznych, jednak nie widzę większego sensu w celebrowaniu tej daty – symbolu kolejnej porażki – jeśli nadal nie wszyscy przedstawiciele zamieszanych w tę tragedię państw skłonni są uznać odpowiedzialność własnych narodów.



Historii trzeba zacząć nauczać od końca.

Porażka, o której piszę ma wymiar szczególnie polski. Prezydent Kaczyński i premier Tusk doprowadzili wprawdzie do spotkania z liderami dwóch niegdysiejszych agresorów, trudno jednak powiedzieć, co dało ono Polsce. Gdyby zamiast ceremonii siedemdziesięciolecia pogrzebu II Rzeczypospolitej z udziałem tych samych uczestników odbyło się spotkanie poświęcone odrodzeniu III Rzeczypospolitej, można by mówić o tryumfie. Tymczasem znowu daliśmy się uwieść martyrologicznej tragedii i białoleniu na własny padół. To wydarzenie oczywiście można puścić w niepamięć. Jednak kto nie dostrzega symptomów uwężnienia społecznej pamięci wokół roku 1939 i podziału na Wschód i Zachód, powinien

zdać sobie sprawę, że rok ten pozostaje tamą dla strumienia publicznej pamięci. Tak być nie powinno, bo rozumienie związku przyczyn i skutków, które ufundowały porządek ustanowiony w roku 1989, już dawno powinno przeniknąć do publicznej pamięci za sprawą edukacji historycznej, a ta w tym zakresie u nas szwankuje.

Obraz kalekiej pamięci, ograbionej z najnowszej historii opisuje niniejszy obrazek. W tym roku ściana budynku polskiej ambasady w Berlinie została ozdobiona ogromnym bannerem, jaki wielokrotnie można zobaczyć na ścianach remontowanych budynków. Przechodnie mogli się z niego dowiedzieć, że zmiany prowadzące ostatecznie do zjednoczenia Berlina miały swój początek w Polsce. Plakat zestawiał czerwone tło z bieżącym w poprzek białym pasem, widniało na nim zdjęcie autorstwa sławnego polskiego fotografa dokumentalisty Erazma Ciołka przedstawiające pertraktacje przy Okrągłym Stole. Co ciekawe hasło zamieszczone obok zdjęcia brzmiało: „Zaczęło się przy Okrągłym Stole”. Banner nie podkreślał więc dziedzictwa Solidarności, protestów, ale moment zawarcia kompromisu przez dwie strony negocjujące przy stole. Czy ktokolwiek w Europie zwrócił uwagę na tę reklamę, a tym bardziej na hasło? Negocjacje i kompromisy są w końcu chlebem powszednim



współczesnej Europy. Niemniej Polska właśnie w ten sposób chciała zwrócić uwagę na historyczną rolę, jaką odegrała w 1989 roku. Na miejsce tej manifestacji wybrano Berlin, który w oczach Polaków zdominował europejską symbolikę rewolucji 1989 roku obrazem upadającego muru. Jednak sam przekaz był chybiony, a o wiele bardziej potrzebny był w Polsce niż za granicą.



Bez zadbania, by na lekcjach historii dyskutowano o faktach najnowszej historii, kolejne pokolenia będą zakładnikami wojennych symboli.

Obchody w Berlinie zdominowali bohaterowie wydarzeń sprzed dwudziestu lat. Te w Polsce domagały się udziału i dyskusji ludzi młodych. Zabrakło krytycznej refleksji o znaczeniu rewolucyjnych wydarzeń, w tym obrad Okrągłego Stołu, i dziedzictwa pokojowych zmian w pokoleniu, którego dzieciństwo zaczęło się po przeobrażeniach. Bowiemy w generacji, dziedziczącej wolność, poważna debata na temat 1989 roku nie miała dotąd miejsca. Polska pamięć o zmianie owego czasu uwięziona jest w kategoriach, które oscylują pomiędzy wschodem i zachodem Europy. Głównie dlatego, że jest to wyłącznie pamięć osób starszych. Dwudziestolatkowie, dzieci rewolucji, jeszcze intelektualnie nie skonsumowali tej zmiany. Niestety, nie zapowiada się, by mieli na to szansę. Dziedzictwo przeobrażeń sprzed dwudziestu lat do tej pory nie doczekało się jednoznacznej oceny, gdyż spory o nie zawłaszczyli ludzie, których owe zmiany postawiły na wygranej pozycji – strona Solidarności. Jedną z najistotniejszych konsekwencji owego nieporozumienia jest niemal pełna społeczna amnezja dotycząca tamtych wydarzeń wśród dzisiejszych studentów.

Jeśli do współtworzenia przyszłości konieczne jest zrozumienie związku teraźniejszości z przeszłością, to nadchodząca zmiana pokoleniowa może



rodzić obawę. Pamięć bowiem została uwięziona w starszych generacjach, a młodsze traktują historię jak zbiór niepołączonych ze sobą anegdot. Do przemiany tej sytuacji potrzeba czegoś więcej niż publicznej celebracji. Historii trzeba zacząć nauczać od końca.

Lekcja amnezji

Lech Wałęsa jest jednym z niewątpliwych winowajców obecnej sytuacji. To on wywołując w latach pięćdziesiątych tzw. wojnę na górze, intencjonalnie doprowadził do wewnętrznego podziału zwycięskiego obozu. Wyniszczający spór pogłębiła dodatkowo ciągnąca się latami lustracja, której ostatnią ofiarą padł sam Wałęsa. Niemniej, obydwie czynności można uznać za incydentalne, gdy wspomni się trzeciego winnego – lekcje historii w liceach.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat podręczniki i metody nauczania historii uległy znacznym zmianom. Przywrócono w nich przede wszystkim uczniową narrację o przeszłości Polski, doceniono mechanizmy demokracji szlacheckiej, oddano hołd również tym poległym w walce z rzekomo braterską Armią Czerwoną. Naprawa historii pochłonęła jednak aż tyle miejsca, że zabrakło go dla wydarzeń najważniejszych – dla współczesności. Przeładowani wszelkiego rodzaju materiałem uczniowie szkół średnich mają tylko trzy lata na poważne dyskusje o dziedzictwie przeszłości i jej konsekwencjach dla teraźniejszości. Poczucie odpowiedzialności za własną teraźniejszość



zostało odłożone *ad acta*, a Polska opinia publiczna pogrążona w politycznych sporach o władzę powoli odrabia lekcję amnezji o PRL i Solidarności.

Jeśli zgodzimy się z Hannah Arendt, która w odpowiedzi na przerwana nić przeszłości nakazywała ustanawianie narracji łączącej przeszłość z teraźniejszością, wypada zapytać, dlaczego tak bezmyślnie zerwaliśmy z najnowszym dziedzictwem. Co, jeśli nie ono, definiuje nasze wspólnotowe istnienie? Należy przy tym zaznaczyć, że w ciągu dwudziestu lat powstała niezliczona ilość materiału o PRL i Okrągłym Stole. Pojawiły się instytucje zajmujące się tą przeszłością, a jednocześnie padły one ofiarą podziałów i walk, o których wspominałem wcześniej. Co ważniejsze nie udało się nigdy ustanowić wspólnej narracji, opowiadającej o faktach, a jednocześnie budującej rozumienie miejsca w czasie, w którym znajdujemy się obecnie. Nie udało się to, ponieważ opowieść o wydarzeniach niedalekiej przeszłości jest przedmiotem dyskusji wśród dorastających licealistów.

Pamięć na nowo

Bez zadbania, by na lekcjach historii dyskutowano o faktach najnowszej historii, kolejne pokolenia będą zakładnikami wojennych symboli. W dodatku takie akcje, jak afisz na budynku ambasady w Berlinie, albo plakaty przypominające o wiodącej roli Polski w demokratycznych przemianach w Budapeszcie odbijają się od muru obojętności Europejczyków, a samych podróżujących do tych krajów Polaków przyprawiają tylko o zakłopotanie. Berlin i jednoczący motyw burzonej żelaznej kurtyny oczywiście silniej przemawia do kolektywnej wyobraźni. Stanowi ważniejszy symbol dla kontynentu niż Okrągły Stół – wydarzenie o znaczeniu lokalnym, polskim. Fakty o PRL i Solidarności zaczną się zacierać w polskiej przestrzeni publicznej – w szkole. A to oznacza, że

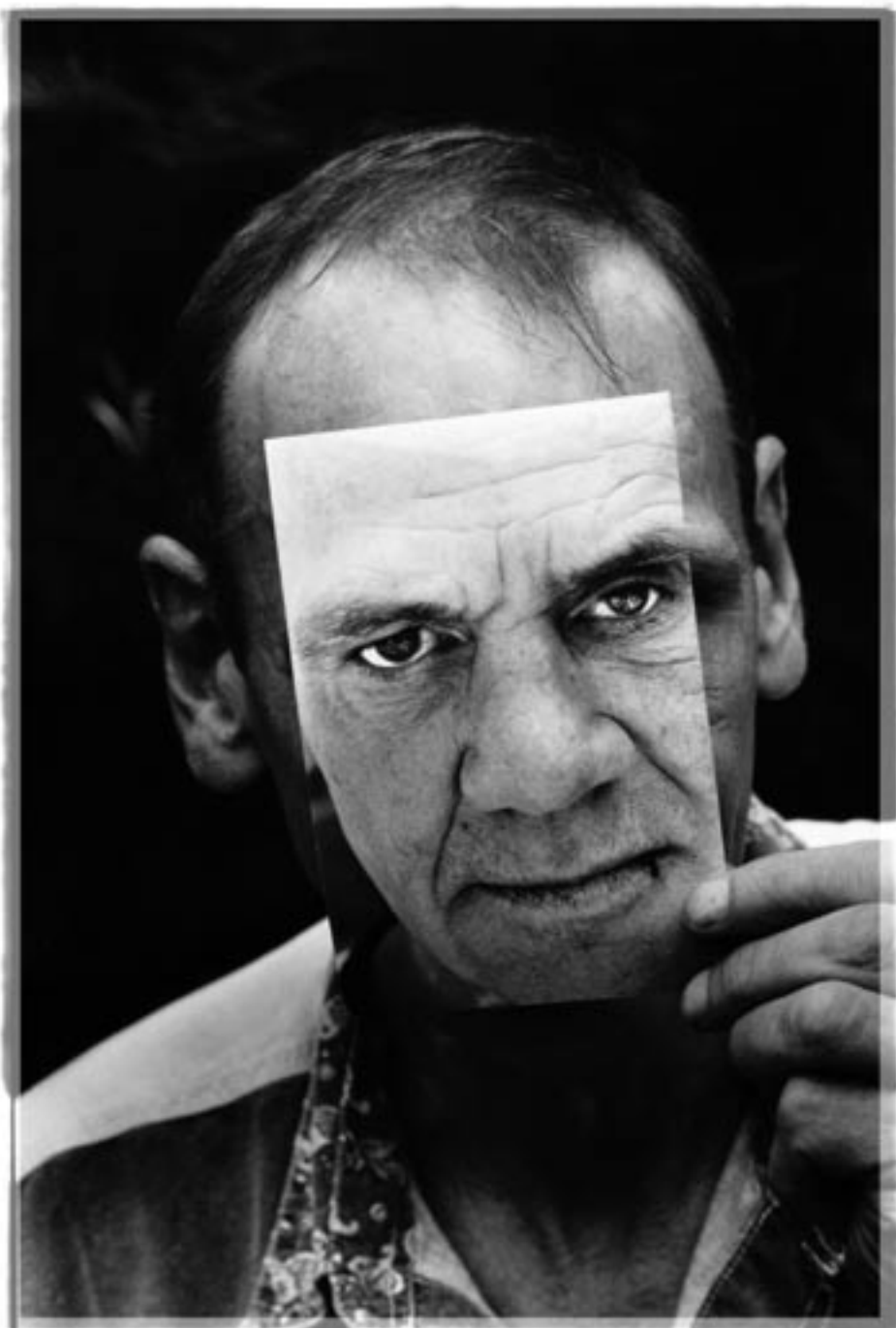
pozwalamy pokoleniu, które jako pierwsze miało niczym nieskażone wejść w dorosłość, uciec od własnej dojrzałości. Bez tego nie będzie możliwe zmierzenie się z kompleksem bycia wschodem Europy i nieustannej, bezmyślniej pogoni za wymyślanym Zachodem.

O przynależności do projektu europejskiego nie decyduje naśladownicza moda, ale odpowiedzialne budowanie sensu z własnej teraźniejszości i przeszłości tu i teraz – w miejscu, w którym żyjemy. Zasadnicze znaczenie dla naszej wspólnoty politycznej nie kryje się w ustalanych przez historyków faktach o II wojnie światowej. Ukrywa się ono w nici historii przerwanej zmianą, którą przypieczętowano podczas obrad Okrągłego Stołu.

Dlatego zmienimy kolejność nauczania o faktach naszej przeszłości. Mimo że nauczyciele z różnych powodów bywają zniechęceni do historii PRL, powinni być przymuszeni ustawowym obowiązkiem nauczania o ostatnich pięćdziesięciu latach od końca, czyli od 1989 roku. Pomówmy w liceum o przeszłości, idąc w głąb wydarzeń ku początkom XX wieku. Postawmy samych siebie przed koniecznością odpowiedzi na poważne pytania zadawane przez pokolenie, które wchodzi w życie publiczne z poczuciem, że narracja o Polsce urwała się nam nagle po wojnie. Nie dajmy im zapomnieć, że każde wydarzenie, w głąb którego poruszać się będą, studiując nasze dzieje, miało swój udział w tym, z czego ukuta została teraźniejszość. Zmienimy program nauki w szkołach tak, by lekcje historii w liceach zwiływała z teraźniejszością opowieść o przeszłości oraz by na znaczeniu stracił wojenny podział na zachodnią i wschodnią Europę! ◀

Wojciech Przybylski

(1980), wydawca Res Publica, asystent naukowy w Katedrze im. Erazma z Rotterdamu UW, przygotowuje rozprawę doktorską z historii idei.



RICK HAVING A BAD DAY

Zrywając pęta narodowej mitologii

Szwecja i Szwajcaria wobec Zagłady

ARNE RUTH

Doświadczenie Zagłady traktowane jako kwestia o znaczeniu uniwersalnym stało się częścią rozmaitych europejskich projektów narodowych dopiero w latach osiemdziesiątych. Szwecja i Szwajcaria, neutralne podczas wojny, to modelowe przykłady państw, które przez długi czas unikały zmierzenia się z problemem kolaboracji z Niemcami. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy wybuchła afera wokół nazistowskiego złota, mocne – zdawałoby się – narodowe fundamenty tych państw rozsypały się niczym domek z kart. Płynące stąd wnioski są dość budujące, okazuje się bowiem, że najważniejszym elementem warunkującym powstanie prawdziwie uniwersalnego projektu europejskiego jest ponadgraniczna, wolna i prowokująca do wymiany myśli debata.

Z końcem wojny zarówno Szwecję, jak i Szwajcarię oskarżono o wykorzystywanie własnej neutralności raczej jako okazji do bogacenia się niż do walki o przyszłość ludzkości¹. Szwajcarię obwiniano przy tym konkretnie o skwapliwe przyjmowanie zagrabionego przez Niemców złota.

Po wojnie, odpowiadając na tego rodzaju zarzuty, oba państwa przedstawiły swoje własne projekty narodowe jako jedyne w swoim rodzaju propozycje urzeczywistnienia uniwersalnych wartości. Izolacja tych krajów względem reszty Europy miała być środkiem ochrony zasad dobra wspólnego. Ale to rzekome przysposabianie liberalizmu na poziomie narodowym odbywało się na różne sposoby. Szwajcaria, która nadal pełniła rolę centrum finansowego,

mogła utrzymywać, że broni światowego wolnego rynku, tak jak, nie zważając na koszty, robiła to ponoć w czasie wojny. Szwajcarzy, roszcząc sobie szczególne pretensje do innej z uniwersalnych wartości – tj. zasady narodowej suwerenności – odmówili także przystąpienia do powstających struktur ponadnarodowych, takich jak Organizacja Narodów Zjednoczonych². Odrębność Szwajcarii, jak sądzono, zapewniała jej wyjątkowy status miejsca spotkań międzynarodowych gremiów. Szwecja poszła inną drogą – cele jej polityki zagranicznej były symbolicznie realizowane za pośrednictwem ONZ-u i innych nowo utworzonych struktur międzynarodowych.



W powojennej Szwecji urzędnicy byli znacznie bardziej skorzy do uznania współpracy z Trzecią Rzeszą za jakiś rodzaj winy.

Powojenne negocjacje między aliantami a rządem szwajcarskim dotyczące nazistowskiego złota przedstawiano w Szwajcarii jako walkę Dawida z Goliatem. W opinii znacznej części Szwajcarów była to daremna próba obrony świętości własności prywatnej naruszanej przez wielkie mocarstwa. W listopadzie 1946 roku główny szwajcarski negocjator, Walter Stucki, oskarżył aliantów o łamanie zasad Karty Atlantycznej. Jego zdaniem to, że w marcu 1945 roku Szwajcaria pod naciskiem Amerykanów ugięła się przed żądaniem

1. Pierwszym etapem owej „walki o przyszłość ludzkości” było zniszczenie faszyzmu, drugim miało być zwalczanie komunizmu. Zob. Arne Ruth, *Postwar Europe: The Capriciousness of Universal Values*, „Daedalus”, Summer 1997, 126, 3, s. 242 [przyp. tłum.].
2. Szwajcaria przystąpiła do Organizacji Narodów Zjednoczonych 10 września 2002 roku [przyp. tłum.].

zamrożenia wszystkich niemieckich aktywów, wprowadziła zakaz obrotu handlowego w obcych walutach i ograniczyła zakupy złota od Niemców, było wynikiem presji silniejszej niż jakiekolwiek naciski podejmowane niegdyś przez Göringa; złamaniem zasad w świecie „pozbawionym fundamentów moralnych i materialnych”, w którym Szwajcaria znalazła się w „niebezpiecznej izolacji politycznej”. Na ironię zakrawa fakt, że ta wyjątkowo sekciarska definicja szwajcarskiego interesu narodowego, uznającego się za wcielenie norm uniwersalnych, nie została zauważona przez pięć dekad do czasu, gdy World Jewish Congress (Światowy Kongres Żydowski) i raport Eizenstata³ nie zmusiły szwajcarskich władz do zmierzania się z problemem żydowskiej własności.

W powojennej Szwecji urzędnicy byli znacznie bardziej skorzy do uznania współpracy z Trzecią Rzeszą za jakiś rodzaj winy. Dean Acheson pisał o tym w swoich wspomnieniach: „Jeśli Szwedzi byli uparci, to Szwajcarzy byli uosobieniem upartości”⁴. Szwedzcy oficjele pytani o nazistowskie złoto chcieli przede wszystkim uniknąć konfrontacji. Dzięki decyzji premiera Görana Perssona z końca lat czterdziestych, by rozpocząć powszechny projekt edukacji na temat Zagłady, Szwecja – w oczach świata – zyskała

wizerunek kraju otwarcie i uczciwie rozwiązującego kwestie moralne.

To stanowisko, pozornie wolne od uprzedzeń, było już częścią szwedzkiej tradycji. Po wojnie Szwedzi, opierając się na dopiero co dokonanej redefinicji projektu narodowego, postawili na współczucie jako cechę ich wyróżniającą. Pewną formę zmiany społecznej⁵, do jakiej doszło w latach trzydziestych, można było teraz uznać za wcielenie nowoczesności.

Moralne podstawy tego porządku wzmocniło zwycięstwo aliantów nad faszyzmem. Kiedy powojenni socjaldemokraci, tacy jak Bruno Kreisky i Willy Brandt, powrócili do swoich krajów po szwedzkiej emigracji, przywieźli ze sobą gotowy plan dla europejskiego społeczeństwa przyszłości: państwo opiekuńcze oraz szeroką definicję obywatelstwa. Ideologia demokracji uczestniczącej jako realnego uprawnocnienia nowoczesnego państwa narodowego na dobre zakorzeniła się w większości zachodnich krajów europejskich. Szwecja wskazywała drogę wyjścia z niewygodnej historycznej tradycji.

Szwedzi mogli pozwolić sobie na określenie własnej postawy wobec Europy na płaszczyźnie moralnej. Współczucie, o którym była mowa wcześniej, skierowano przede wszystkim do krajów tzw. Trzeciego

3. Raport Eizenstata (US Department of State, *US and Allied Efforts to Recover and Restore Gold and Other Assets Stolen or Hidden by Germany during World War II* – dostępny w Internecie: <http://www.state.gov/www/regions/eur/ngrpt.pdf>, dostęp dnia: 28.09.2009) ujawnił m.in. szczegóły dotyczące wypełniania lub, poprawniej, niewypełniania zobowiązań Szwajcarów wobec ofiar Zagłady, po raz pierwszy uzgodnionych z aliantami tuż po wojnie w formie porozumienia podpisanego 26 maja 1946 roku w Waszyngtonie. Tak pisał o tym Arne Ruth: „(...) Szwajcarzy początkowo przystali na to, by aktywa osób nie posiadających spadkobierców [czyli ofiar Zagłady – przyp. tłum.] przekazać organizacjom uchodźczym. Niemniej ta obietnica nigdy nie została formalnie dopisana do Porozumienia, a Szwajcarzy nigdy jej nie dotrzymani. Aktywa należące do ocalałych z Zagłady sklasyfikowano w szczególnie bezczelny sposób. Odkąd aktywa niemieckie zostały zamrożone pod presją aliantów, Żydzi, którzy niegdyś posiadali obywatelstwo Niemiec, włącznie z tymi, którzy przeżyli nazistowskie obozy śmierci, zostali zaszeregowani jako „Niemcy w Niemczech”. W związku z tym ich pieniądze zostały zablokowane w ramach planu spłaty niemieckiego długu wobec Szwajcarii [Do porozumienia obu krajów w tej sprawie doszło dopiero 26 sierpnia 1952 roku; co ciekawe, w tym samym miesiącu Szwajcaria podpisała nowe porozumienie z aliantami, zastępujące nigdy niedopełnioną umowę sprzed sześciu lat, o której mowa wyżej – przyp. tłum.]. Mało tego, w 1949 roku Szwajcaria podpisała tajny układ z komunistyczną Polską pozwalający tej drugiej przejąć szwajcarskie aktywa nieżyjących polskich obywateli (w większości Żydów) określonych jako nieposiadający spadkobierców. Następnie te same aktywa – co też było częścią porozumienia – zostały użyte do spłaty polskiego długu wobec Szwajcarii”, Arne Ruth, *op.cit.*, s. 244-245. [przyp. tłum.].
4. US Department of State, *US and Allied Efforts to Recover and Restore Gold and Other Assets Stolen or Hidden by Germany during World War II*, Washington, D.C.: US Department of State, 1944, s. VII (dostępny w Internecie: <http://www.state.gov/www/regions/eur/ngrpt.pdf>, dostęp dnia 28.09.2009).
5. Autor odnosi się tu do tzw. szwedzkiego modelu państwa, włączającego do procesu rządzenia organizacje społeczne, wywodzące się z ruchu robotniczego i stowarzyszeń rolników, powstałe w reakcji na kapitalizm przemysłowy. Zob. Arne Ruth, *op.cit.*, s. 245-246 [przyp. tłum.].



Świata. Z początkiem lat sześćdziesiątych Lars Gustafsson, czołowy intelektualista młodego pokolenia, określił to mianem przekraczania nacjonalizmu: „To przebudzenie międzynarodowego sumienia jest, moim zdaniem, próbą wyjścia (z) i nieustannego pocieszania się z racji czegoś, co przez długi czas odczuwaliśmy jako izolację. Jeśli istnieje dziś coś takiego jak szwedzki patriotyzm, jego istotą jest pragnienie, by usłyszano o nas w kontekście tej nowej solidarności”⁶.

Przeświadczenie o byciu najbardziej wyemancypowanym krajem świata stanowiło nieodłączną część szwedzkiego modelu. Nowy porządek był przeciwieństwem nacjonalizmu, mimo że wywoływał taki sam efekt psychologiczny – członkowie szwedzkich elit mogli być niezmiernie dumni z tego, że nie są nacjonalistami. Uwolnieni od krępującej tradycji, oswoili się z uczuciem moralnej wyższości. Zerwanie z nacjonalizmem było sednem ich osiągnięć.

Z perspektywy czasu widać, że wykorzystanie tego rodzaju antynacjonalizmu jako podstawy ideologii narodowej prowadzi do jednego z najdziwniejszych paradoksów w historii polityki. Szwedzcy politycy i dyplomaci byli przekonani, że posiadają jakiś szczególnie wgląd w przyszłość ludzkości, a swoją politykę przedstawiali jako swoistą odmianę idealizmu. Czasem ta pewność siebie przynosiła rzeczywiste rezultaty, jak w przypadku poparcia walki z apartheidem w Afryce Południowej, włącznie z silnym wsparciem udzielonym Afrykańskiemu Kongresowi Narodowemu, gdy ten został uznany za organizację komunistyczną. W innych sytuacjach szwedzki model zupełnie nie zdawał jednak egzaminu. Wtedy też idealizm przemieniał się w arogancję i niedbalstwo. Bardzo dobrym tego przykładem była oficjalna polityka Szwedów względem państw bałtyckich – Szwecja po prostu nie uznawała ich istnienia i jako pierwszy kraj zachodni zaakceptowała sowiecką aneksję tych państw w roku 1940. Innym – była niechęć szwedz-

kiego rządu do wywierania jakiegokolwiek wpływu na ZSRR w sprawie aresztowania Raula Wallenberga. Uogólniając, można powiedzieć, że na własnym podwórku szwedzki idealizm zwykle ustępował miejsca *Realpolitik*. Dziś już wiadomo, że ten idealistyczny konsensus całkiem się załamał.



Liczba ważnych publikacji szwedzkich poruszających problem wyborów moralnych podczas wojny jest bardzo ograniczona.

Kwestia współpracy, która nie pojawiła się w szwedzkiej debacie aż do lat dziewięćdziesiątych, a i wtedy tylko przelotnie, w Szwajcarii została podniesiona zaraz po wojnie, a później znów w połowie lat pięćdziesiątych, kiedy wywołała dyskusję w prasie. Zmusiła wówczas szwajcarski Bundesrat do wszczęcia oficjalnego śledztwa, którego wyniki zostały opublikowane w roku 1957. Sporządzony raport nie pozostawiał wątpliwości co do wspólnej odpowiedzialności polityków i urzędników, którzy namówili Niemców do wstemplowywania litery J w paszportach niemieckich Żydów. Siedemdziesiąt lat później rola szwedzkiego rządu, również uczestniczącego w tym procederze, wciąż czeka na zbadanie. Nie wiemy, do jakiego stopnia Szwecja była zaangażowana w ustalanie tej kwestii z Berlinem, ale istnieją wyraźne przesłanki przemawiające za tym, że taka polityka była silnie wspierana przez Sztokholm.

Znam co najmniej pół tuzina książek opublikowanych w ciągu ostatnich dekad, mierzących się z żydowską kartą szwajcarskiej historii⁷. Wszystkie opisują antysemityzm i politykę wobec uchodźców

6. Lars Gustafsson, *Predominant Topics of Modern Swedish Debate*, Swedish Institute Pamphlet, Stockholm 1961, s. 4.

7. Należą do nich m.in.: Alice Meyer, *Anpassung oder Widerstand. Die Schweiz zur Zeit des deutschen Nationalsozialismus*, Huber, Frauenfeld 1965; Alfred A. Häslar, *Das Boot is Voll – Die Schweiz und die Flüchtlinge 1933-45*, Diogenes, Zürich 1989; Walter Wolf, *Faschismus in der Schweiz*, Flamberg, Zürich 1969; Edgar Bonjour, *Geschichte der schweizerischen Neutralität*, Helbing & Lichtenhahn, Basel 1965–1976.

w sposób szczery i otwarty. Żadna tego typu książka nie ukazała się w Szwecji aż do lat dziewięćdziesiątych. W Szwajcarii krytyczne stanowisko pisarzy i dziennikarzy zajmujących się tą kwestią wpłynęło na polityczny klimat tego kraju. Rehabilitacja Paula Grüningera jest tego dobrym przykładem.

Grüninger, szef policji przy granicy z Niemcami i Austrią⁸, w roku 1940 został zwolniony z pracy pod zarzutem oszustwa umożliwiającego wypuszczenie do kraju nielegalnych żydowskich emigrantów. Pojawili się też pogłoski, że zarabiał na tym procederze. Grüninger zmarł w biedzie w roku 1972.

Szwajcarski dziennikarz, Stefan Keller, który szczegółowo zbadał tę sprawę, wymusił na władzach ujawnienie protokołów z procesu Grüningera i raportów tajnej policji. Według ostrożnych kalkulacji Grüninger uratował przed Zagładą trzy tysiące Żydów. Nie ma żadnych dowodów, że robił to dla pieniędzy. Naruszenie przepisów, jakiego się dopuścił, obejmowało wbijanie do paszportów uchodźców pieczętek z datą poprzedzającą dzień, w którym Szwajcaria ostatecznie zamknęła swoje granice.

Nacisk opinii publicznej spowodował, że nieskory do działania rząd szwajcarski wznowił sprawę Grüningera, a sąd w swoim werdykcie odniósł się do starej szwajcarskiej zasady prawa do samoobrony. Grüninger został pośmiertnie uwolniony od wszystkich zarzutów. Wiele lat po swojej śmierci stał się szwajcarskim bohaterem, a dokumenty dotyczące jego losu pozwoliły nam poczuć stęchłą ówczesnej *Realpolitik* – walki o władzę zaprawionej kompromisem i dyskretnym antysemityzmem.

Podczas gdy w Szwecji już rok lub dwa lata po wojnie ustalili się trwający aż do lat osiemdziesiątych konsensus wyznaczający wyraźne granice dyskusji na tematy wojenne, w Szwajcarii, przeciwnie, dość

arogancka postawa tamtejszych elit politycznych i finansowych podzieliła społeczeństwo i rozpałała trwającą po dziś dzień dyskusję. Lata sześćdziesiąte dały impuls do podjęcia pierwszych niezależnych badań w tej materii, co zaowocowało prawdziwym wysypem prac w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, w tym książek o wielkim znaczeniu, takich jak *Geheimer Draht nach Berlin* Pierre'a Th. Braunschweiga. Dosłownie wszystko, co wywołało tę gorączkę złota, opisał dziennikarz Werner Rings w wydanej w 1985 roku książce pt. *Raubgold aus Deutschland*. Rings napisał także popularną historię czasów wojny, pisząc otwarcie o kontrowersyjnych kwestiach polityki uchodźczej, antysemityzmu i kolaboracji. Zaraz potem pojawiły się też kolejne książki, otwierające nowe horyzonty. Do czołowych pozycji tego nurtu należy praca innego dziennikarza, Giana Treppa, przedstawiająca podejrzane operacje bazyjskiego Banku Rozrachunów Międzynarodowych (BIS)⁹, w którym bankierzy Hitlera, wszyscy należący do NSDAP, zgodnie współpracowali z amerykańskim szefem banku, Thomasem H. McKittrickiem, oraz innymi najwyższej rangi przedstawicielami m.in. Wielkiej Brytanii, Szwecji, Szwajcarii i Japonii. Biorąc pod uwagę strukturę zatrudnienia w tym banku, trudno się dziwić, że brał on aktywny udział w transferach nazistowskiego złota. Paul Hechler, niemiecki zastępca dyrektora BIS, bez skrupowania podpisywał swoje listy na papierze firmowym banku słowami „Heil Hitler”¹⁰.

Liczba ważnych publikacji szwedzkich poruszających problem wyborów moralnych podczas wojny jest natomiast – w porównaniu do liczby publikacji szwajcarskich – bardzo ograniczona. Literatura poświęcona doświadczeniu Zagłady to niemal w całości dzieło Szwedów pochodzenia żydowskiego – Peter

8. Paul Grüninger (1891-1972) był komendantem policji w kantonie St. Gallen w Szwajcarii. W sierpniu i wrześniu 1938 roku, już po *anschlussie* Austrii, uratował ponad 3600 austriackich Żydów [przyp. tłum.].

9. Bank Rozrachunków Międzynarodowych (Bank for International Settlements, BIS), z siedzibą w Bazylei, to międzynarodowe zrzeszenie banków centralnych utworzone 20 stycznia 1930 roku na konferencji w Hadze. Pierwotnie jego głównym celem była obsługa rozliczeń związanych z reparacjami wojennymi Niemiec po I wojnie światowej, dziś bank zajmuje się międzynarodowymi rozliczeniami finansowymi, przyjmuje depozyty i udziela kredytów bankom oraz różnym organizacjom międzynarodowym [przyp. tłum.].

10. Zob. Arne Ruth, *op.cit.*, s. 251 [przyp. tłum.].





The same face has a million thoughts
as time is captured for expression. To capture
and express truth is a struggle to find that
we cannot escape it, only stop from ^{the to the to endless} it in writing.

Chris Long

Weiss jest najlepszym tego przykładem. Podobne milczenie zapanowało w badaniach historycznych. Trzeba było czekać aż do roku 1989, kiedy dziennikarka Maria-Pia Boëthius opublikowała swój krytyczny tekst na ten temat, by proces rewidowania ustalonych dotąd stanowisk w ogóle się rozpoczął. Boëthius ostro zaatakowała dominujący wśród szwedzkich historyków pogląd, natychmiast też uznano ją za nadgorliwca. Mimo to w latach dziewięćdziesiątych nowa wykładnia szwedzkiej neutralności zbliżona do tej zaproponowanej przez Boëthius zaczęła powoli zyskiwać poparcie historyków.

Bardzo wyraźnym znakiem tej przemiany była opinia Stiga Ekmana, emerytowanego profesora historii, kierującego w latach siedemdziesiątych szeroko zakrojonym projektem badań nad szwedzką historią wojenną (w rezultacie tego przedsięwzięcia powstało dziewiętnaście prac doktorskich), który wyraził szczerą żal z powodu zlekceważenia w tych badaniach moralnego punktu widzenia: „Koniec końców, oburzenie wywołane problemem przystosowania się Szwecji do warunków narzuconych przez Niemcy należy oceniać z punktu widzenia szwedzkiej współpracy z państwem odpowiedzialnym za Holocaust”.

Niektórzy z jego młodszych kolegów podjęli już badania zgodne z tym nowym stanowiskiem. Ponad pięćdziesiąt lat po Zagładzie młodzi historycy zaczęli mierzyć się z tymi elementami historii Holocaustu, które odnosiły się do Szwecji.

Fakt, że szwedzcy historycy przez całe dekady całkowicie zaniedbali badania nad Zagładą, sam stał się teraz przedmiotem analiz. To wyjątkowy przykład zacofania w epoce, gdy problematyka Zagłady przez blisko trzy dziesięciolecia była już uznawana na świecie za jeden z głównych obszarów badań współczesnej historii.

Pierwsza książka poświęcona związkom Szwecji z Zagładą, napisana przez amerykańskiego historyka, Stevena Koblika, została opublikowana w roku 1987. Student Koblika, Paul Levine, który w latach dziewięćdziesiątych przeniósł się do Szwecji, by skończyć tu swój doktorat, opisując moralny stosunek niektórych urzędników ministerstwa spraw zagranicznych Szwecji do Żydów, wniósł istotny wkład do naszej

oceny szwedzkiej polityki wobec uchodźców. Ponadto spojrzął on z dystansu na osobliwości szwedzkiej historiografii, zwracając uwagę na swoistą „mentalność neutralności” charakterystyczną dla szwedzkich historyków. Tym też tłumaczył wieloletnią nieobecność problematyki Holocaustu w badaniach historycznych. Zgodnie z panującą w Szwecji opinią każde ustępstwo, na jakie Szwedzi pozwolili sobie w czasie wojny, było moralnie usprawiedliwione, bo dzięki niemu państwo utrzymało pokój. Levine krytycznie odniósł się do tej interpretacji, podnosząc sprawę nazistowskiego złota. Jego zdaniem szwedzka wymiana handlowa z Niemcami, poczynwszy przynajmniej od roku 1943, przyczyniła się do przedłużenia wojny. Z tego punktu widzenia koalicyjny wojenny rząd Szwecji mógłby zostać oskarżony o pośredni udział w Zagładzie.

Długotrwałe pomijanie kwestii moralnych w odniesieniu do wojny odzwierciedla szczególnie aspekt szwedzkiej kultury politycznej w okresie funkcjonowania państwa opiekuńczego. Streszcza się on w przekonaniu, że najważniejsze jest utrzymanie konsensusu, bez względu na przynależność partyjną. Takie podejście było silnie związane z ideologią szwedzkiej wyjątkowości wobec wartości uniwersalnych.

Element sceptycyzmu naznaczył również stosunek Szwecji do Unii Europejskiej. Formalnie, mój kraj jest państwem członkowskim Unii. Niemniej fakt, że pierwotnym celem unijnego projektu było budowanie pokoju oraz że Unia może poszczycić się wieloma sukcesami na polu powstrzymywania konfliktów zbrojnych między głównymi europejskimi krajami, jest rzadko podnoszony w Szwecji. Brak pogłębionej dyskusji na temat doświadczenia wojny leżącego u podstaw projektu europejskiego – zwłaszcza biorąc pod uwagę rasowy wymiar tego konfliktu, tak bardzo odróżniający go od wcześniejszych wojen w Europie – pokazuje, jak partykularyzmy historii narodowych – niekonfrontowane z konkurencyjnymi wykładniami historii – mogą wpływać na politykę jeszcze w wiele lat po samych wydarzeniach. Niektóre zachowania, ukształtowane podczas wojny w neutralnych Szwecji i Szwajcarii, są wciąż częścią kolektywnej podświadomości tych narodów. Problem nazistowskiego złota



poważnie skomplikował stosunek do Zagłady w obu krajach. Sprawa stała się głośna, ponieważ postawiono nas przed zewnętrznym trybunałem międzynarodowych mediów. Politycy zarówno ze Szwecji, jak i ze Szwajcarii musieli zająć stanowisko.



Ci, którzy przeżyli Zagładę, wrócili do kraju tylko po to, by przekonać się, że w ich domach mieszka już ktoś inny.

Przedstawię jeszcze dwa przykłady debat na temat moralności, toczonych ponad granicami państw. Oba odnoszą się do kwestii praw obywatelskich i powiązane są z zagadnieniem zbiorowego milczenia wynikającego z przyczyn strukturalnych.

W roku 1997 redagowany przez mnie dziennik „Dagens Nyheter” przeprowadził dochodzenie w sprawie, która w tamtym czasie nie wzbudziła większego zainteresowania opinii publicznej. Chodziło o przymusową sterylizację około sześćdziesięciu tysięcy Szwedów – w większości dotkniętych biedą kobiet – w okresie od lat trzydziestych do połowy lat siedemdziesiątych XX wieku. Napisana nieco wcześniej praca naukowa na ten temat przeszła, oczywiście, bez echa.

Od publikacji naszego tekstu – przygotowanego i napisanego przez urodzonego w Polsce Macieja Zarembę – do czasu, gdy sprawa stała się głównym newsem w Szwecji, minął tydzień. W pierwszych dniach po publikacji inne media zachowały milczenie. W tym samym czasie Szwecja przeżyła prawdziwy najazd dziennikarzy z całego świata, włącznie ze znanymi reporterami amerykańskich telewizji. Późniejszy raport szwedzkiego ministerstwa spraw zagranicznych stwierdzał, że dwie trzecie spośród wszystkich doniesień w zagranicznych mediach na temat Szwecji w tym roku poświęcono omówieniu tego problemu.

Przed kamerami CNN szwedzki minister odpowiedzialny za wyjaśnienie sprawy przymusowej sterylizacji musiał odpowiadać na pytania o zadośćuczyn-

ienie ofiarom. Do tej pory szwedzcy dziennikarze, nie wyłączając reporterów mojej gazety, nie poruszali tej kwestii – minister musiał przepraszać przed międzynarodową publicznością.

Podobny przypadek ślepoty mediów względem współczesnej historii miał miejsce w Norwegii w połowie lat dziewięćdziesiątych.

Eksterminacja Żydów, oprócz innych wymiarów tej zbrodni, była największym w dziejach rozbojem i kradzieżą, z siecią paserów i spekulantów rozciągniętą na całym kontynencie. Moralne dylematy wywołane przez projekt eksterminacji dotyczyły również krajów okupowanych. Domy, przedsiębiorstwa i kosztowności należące do Żydów w czasie wojny przechodziły z rąk do rąk. Wiele rządów zniechęcało ocalonych Żydów do konfrontacji z nowymi właścicielami. W Europie Wschodniej ideologia komunistyczna pozwoliła nowym władzom uznać nazistowskie konfiskaty żydowskiego mienia za część procesu likwidacji własności prywatnej.

Przypadek norweski pokazuje, że wina wymyka się opisowi w kategoriach posłuszeństwa, neutralności i oporu. Nieco ponad jedna trzecia z 2100 norweskich Żydów została zamordowana w roku 1942, w trzy miesiące po tym, jak zajęto ich dobytek. Dzięki temu, że Norwegia posiada bardzo długą granicę ze Szwecją, a do tego przebiegającą przez terytoria niezamieszkane, większości z pozostałych przy życiu Żydów udało się uciec cało.

Ci, którzy przeżyli Zagładę, wrócili do kraju tylko po to, by przekonać się, że w ich domach mieszka już ktoś inny. Okazało się też, że ich konta bankowe zostały zlikwidowane, polisy ubezpieczeniowe anulowane, a ich majątek osobisty uległ rozproszению. Komisja likwidacyjna do spraw skonfiskowanej własności żydowskiej – specjalny urząd zajmujący się kwestiami żydowskiego mienia, powołany do życia w roku 1942 – nie przestała istnieć po wyzwoleniu. Zmieniono tylko jego nazwę na Urząd ds. Reparacji, a niektórzy z jego dawnych członków pracowali w nim w roli ekspertów ustalających warunki odszkodowań. Jedynymi urzędnikami skazanymi za zdradę byli członkowie partii Quislinga. Tak oto powracający Żydzi, którzy chcieli odzyskać swój

majątek, mogli spotkać na swej drodze tych samych urzędników, którzy trzy lata wcześniej, zajmowali się legalną kradzieżą ich własności.

Kim byli ludzie zarządzający majątkiem skonfiskowanym norweskim Żydom przez reżim Quislinga? To pytanie, zadane przez młodego historyka, Bjarte Brulanda, i dziennikarza, Björna Westliego, obnażyło tylko ranę, niezaleczoną od końca wojny. Okazało się, że własność żydowska miała duże wzięcie i została sprzedana na aukcjach i specjalnych rynkach nieruchomości, których klientami byli zwykli Norwegowie doskonale zdający sobie sprawę z pochodzenia oferowanych towarów. Ci zaś, którzy mieli dobre kontakty w agencji zarządzającej tym majątkiem, mogli liczyć na ubicie jeszcze lepszych interesów.

Uporządkowane listy skradzionej własności, skrupulatnie zarejestrowane i wycenione, były łatwo dostępne w Archiwum Narodowym w Oslo. Przed Westliem nikt nie zadał sobie trudu, żeby ich poszukać. Od chwili publikacji tych znalezisk, uświetniającej zresztą uroczystość pięćdziesięciolecia wyzwolenia kraju, do momentu wybuchu narodowego skandalu, zmuszającego rząd do powołania komisji badającej szczegóły tych wydarzeń, minęło aż osiem miesięcy. Wcześniej Światowy Kongres Żydowski poprosił Westliego o sporządzenie anglojęzycznego raportu opartego na opublikowanym przezeń materiale. Kiedy jego tekst ukazał się w Nowym Jorku, temat podjęły międzynarodowe agencje prasowe, a sprawa trafiła niespodziewanie na pierwsze strony norweskich gazet. Przez kolejne miesiące była najważniejszą kwestią polityczną w kraju, by zakończyć się popartym przez wszystkie partie porozumieniem o wypłacie odszkodowań dla norweskiej społeczności żydowskiej.

Afera, która wybuchła w Norwegii, odzwierciedla głębszy problem. Powojenny status narodowy większości państw okupowanych budowany był w oparciu o mitologię powszechnego oporu. Nieco ponad pół wieku później Norwegia musiała zmierzyć się

z faktem, że wojenny ruch oporu w znacznej mierze wykluczał udział Żydów, a sam mechanizm wykluczenia w subtelnych formach funkcjonował również po wojnie. We Francji, gdzie współpraca rządu Vichy z Niemcami miała znacznie poważniejsze konsekwencje, sprzeczność między heroiczną mitologią a rzeczywistością jest jeszcze bardziej widoczna. Trzeba było wysiłku Amerykanina, Roberta Paxtona, by zmusić francuskich historyków do rozpoczęcia badań w tym kierunku.

Moim zdaniem, obywatelstwo europejskie – by zachować sens – musi mieścić w sobie zarówno prawo, jak i obowiązek roztrząsania zagadnień praw człowieka na poziomie transnarodowym, niezależnie od kraju i pochodzenia. Ponadgraniczna, pobudzająca do myślenia, wolna debata publiczna jest koniecznym elementem budowy prawdziwego europejskiego uniwersalizmu. Lord Acton próbował kiedyś zdefiniować tę kwestię, przywołując następujący przykład: „nasze Waterloo musi być przekonujące jednocześnie dla Francuzów i dla Anglików, dla Niemców i dla Holendrów”¹¹. Uwaga wyrażona przez Adolfa Muschga w kwestii nazistowskiego złota dobrze oddaje istotę rzeczy: „To było dawno temu: teraz płacimy za nieprzespane noce, których nie doświadczyliśmy z powodu Auschwitz, ogarniają nas wszystkie niepokoje, jakich nigdy nie zazналиśmy, budując Europę, zapadamy w sen sprawiedliwego, w którym nie ma miejsca na łzy”¹². ◀

Przełożył Adam Puchejda

Arne **Ruth**

(1943), eseista, członek szwedzkiego Komitetu Helsińskiego, szwedzkiego oddziału Reportery Bez Granic. Członek zarządu Eurozine, autor książki *Staging Society: Aesthetics and Politics in the Third Reich*.

11. Joyce Appleby, Lynn Hunt, Margaret Jacob, *Telling the Truth About History*, W. W. Norton, New York 1994, s. 76.

12. Adolf Muschg, *Wenn Auschwitz in der Schweiz liegt*, Suhrkamp, Frankfurt am Main 1997, s. 18.

„Wielka Wojna Ojczyźniana”

w polityce pamięci Białorusi, Mołdawii i Ukrainy

ANDRIJ PORTNOW

„Wielka Wojna Ojczyźniana narodu radzieckiego z hitlerowskim najeźdźcą” w końcu lat 60. stała się głównym mitem państwowotwórczym ZSRR, zastępując w tej roli „Wielką Rewolucję Październikową”. W 1965 r. 9 maja ogłoszono oficjalnym świętem państwowym. Wtedy też wprowadzono kategorię „miast-bohaterów”, ustanowiono okolicznościowy medal, a na terenie całego ZSRR rozpoczęto budowę obiektów memorialno-muzealnych. Kształtujące wzorcowy obraz wojny utwory literackie i filmy fabularne (wśród których nie brakowało arcydzieł) kładły nacisk na momenty wygodne dla władzy, przemilczając kłopotliwe. Sakralizacja ofiar (niezwykle trafnie określona w wierszu Bułata Okudźawy jako „zwycięstwo jedno na wszystkich”), nierozzerwalnie związana z poczuciem dumy za państwo, służyła jednocześnie legitymizacji reżimu i partii komunistycznej, która – jak oficjalnie głoszono – poprowadziła swój naród do Zwycięstwa.

Oficjalna pamięć nie tylko spychała na margines, ale i faktycznie represjonowała pamięci lokalne. W jej ramach nie było miejsca dla Holokaustu Żydów ani Romów (których pryncypialnie nie wydzielano z ogółu „cywilnych ofiar nazizmu”), a tym bardziej dla deportacji wielu grup etnicznych, dokonanych przez władze radzieckie w 1944 r. W oficjalnym repertuarze nie ujęto przestępstw popełnionych przez Armię Czerwoną w latach 1944–1945 w Europie ani ceny, jaką przyszło zapłacić za zwycięstwo. Milczano o stosunku radzieckiego dowództwa do życia zwykłych żołnierzy, niejednoznacznych okolicznościach życia pod okupacją i represjach władzy radzieckiej na wyzwolonych terenach.

Tymczasem wpływ II wojny światowej na ukształtowanie postradzieckich państw nie ogranicza się do

siły ideologicznego schematu. Współczesna Europa – w tym jej wschodnia część – jest w dużej mierze geopolitycznym, ekonomicznym i kulturalnym produktem II wojny światowej. Białoruś, Mołdawia i Ukraina były w całości okupowane przez nazistów. Powojenne zmiany granic i „wymiana ludności” (pod tym eufemizmem skrywano praktyki, które trafniej jest nazwać czyszkami etnicznymi), powrót władzy radzieckiej i związane z tym represje do tej pory wywierają znaczący wpływ na rozwój wspomnianych krajów.

Rozpad Związku Radzieckiego, który spowodowały zarówno dezintegracyjne procesy zachodzące w centrum, jak i emancypacyjne ruchy w poszczególnych republikach, postawił przed każdym z postradzieckich państw serię niezwykle trudnych pytań. Jednym z nich była konieczność stworzenia ideologii państwowej, nowego schematu historii legitymizującego nowy ustrój. Sposób odpowiedzi na tę potrzebę zależał od wewnętrznej i geopolitycznej sytuacji, w jakiej znalazły się poszczególne kraje, obecności narodowych i religijnych mniejszości, woli i odpowiedzialności konkretnych politycznych sił i politycznych działaczy. Jedną z trudniejszych łamigłówek, w zakresie tego, co na przełomie XX i XXI w. przyjęto nazywać „polityką pamięci”, był oddziedziczony po ZSRR mit „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej”.

Białoruś

Na Białorusi nie było narodowego, antykomunistycznego podziemia. Przeciwnie – masowy, po bitwie pod Staliningradem, radziecki ruch partyzancki przedstawiano jako „ogólnonarodowy”, co znalazło odzwierciedlenie w metaforze „partyzanckiej Białorusi”. Brak grup społecznych z ukształtowaną, odmienną od radzieckiego paradygmatu pamięcią historyczną

wpłynął na słabość przesłanek do pluralizacji historycznego schematu w niepodległej Białorusi¹.

Mimo to w pierwszych białoruskich podręcznikach do historii, wydanych po 1991 r., podjęto znaczące kroki w celu dekonstrukcji radzieckiego obrazu wojny. Przede wszystkim napisano w nich o pakcie Ribbentrop-Mołotow i błędach popełnionych przez radzieckie dowództwo. Terminu „II wojna światowa” użyto częściej niż „Wielka Wojna Ojczyźniana”, a kategoria „naród radziecki” zniknęła zupełnie wraz z tezą o przewodniej roli partii komunistycznej w organizacji antyhitlerowskiego sprzeciwu. Określenie „ogólnonarodowy” zamieniono na „masowy udział w walce”. Po raz pierwszy wspomniano też o przypadkach grabieży i stosowania przemocy wobec ludności cywilnej przez radzieckich partyzantów².

Po objęciu władzy przez Aleksandra Łukaszenkę, wraz z niemal natychmiastowym powrotem do radzieckiej symboliki państwowej, podjęto decyzję o wymianie podręczników do historii na radzieckie. Jednak, z powodu niewystarczającej ilości zachowanych egzemplarzy, pełna wymiana nastąpiła dopiero w latach 1996–1997.

W podręczniku wydanym w 2000 r. odtworzono mit o „zjednoczeniu” Białorusi w 1939 r., szeroko wykorzystywano termin „Wielka Wojna Ojczyźniana”, a wszelkie formy współpracy z nazistami, okupującymi białoruskie terytoria, oceniono jednoznacznie negatywnie. Jednocześnie jednak, w odróżnieniu od tradycji radzieckich podręczników, „Wielką Wojnę Ojczyźnianą” przedstawiano jako część II wojny światowej, co samo przez się sygnalizowało adaptację dyskursu do postradzieckich realiów.

Na krótko przed 60. rocznicą Zwycięstwa, obok licznych uroczystości państwowych i okolicznościowych przedsięwzięć (od ogłoszenia amnestii do budowy nowych miejsc pamięci), podjęto decyzję

o wprowadzeniu do szkół średnich i wyższych fakultatywnego kursu „Wielka Wojna Ojczyźniana narodu radzieckiego (w kontekście II wojny światowej)”. Prezydent Łukaszenka wykorzystał jubileusz dla legitymizacji swojego reżimu, umieszczając „Wielką Wojnę Ojczyźnianą” w centrum państwowej ideologii.



Linie Stalina reklamuje się jako muzeum, „miejsce dla rodzinnego odpoczynku” i przestrzeń dla imprez korporacyjnych jednocześnie.

Łukaszenka określił wojnę jako „znaczący punkt w naszej historii”, który „w najwyższym stopniu ukształtował wzniosłego ducha białoruskiego narodu, jego umiłowanie wolności i historyczną mądrość”. Konsekwentnie podkreślając ogromną rolę Białorusinów w zwycięstwie nad nazizmem (w tym kontekście chętnie przypomina się o trzech milionach białoruskich ofiar), Łukaszenka nazwał ich „najbardziej międzynarodowym narodem” i zauważył, że u podstaw „naszych dzisiejszych sukcesów” leży „duch niepokornego narodu, który razem z innymi narodami Związku Radzieckiego odegrał decydującą rolę w wyzwoleniu człowieczeństwa od brunatnej dżumy” (zacytowana wypowiedź to fragment wystąpienia prezydenta z okazji Dnia Niepodległości, który jest równocześnie rocznicą wyzwolenia Mińska 3 lipca 1944 r.). Do najbardziej kontrowersyjnych przedsięwzięć przygotowanych z okazji 60-lecia „Zwycięstwa radzieckiego narodu w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej” należało otwarcie historyczno-memorialnego kompleksu Linia Stalina. Chodzi o łańcuch

1. Por.: A. Smalanczuk, *Druhaja susvietnaja wajna u pamiaci nasielnictwa zachodniaia i uschodniaia pamiezza Bielarusi; Pograniczja Białorusi w perspektywie interdyscyplinarnej*, redakcja E. Smułkowa, A. Engelking, DiG, Warszawa 2007, s. 121-156; W. Szataława, *Cieni wajny palicejskija i partyzany u pamiaci nasielnictwa bielaruskaj wioski*, „Homo historicus”, Wilno 2008, nr 1, s. 384-389 i in.
2. Por. 2008. A. Smalanczuk, *Szkolny padrucznik pa historyi Bielarusi jak „miesca pamiaci-miesca zabyccia” pra Druhuju suswetnuju wajnu*, nr 1, s. 370-377.; A. Tychomirow, *Ukraina ta ukraińcy na storinkach bilorus'kich pidrucnykiw z istorii dla serednich szkil: Zbirnyk Charkivs'koho istoryko-filolohicznoho towarystwa*, t. 10, 2004, s. 348-357.



budowli obronnych, powstałych w latach 1928–1939, które nie odegrały znaczącej roli podczas II wojny światowej. Fakt, że określenie „linia Stalina” nie było oficjalną nazwą i z łatwością można by ją pominąć, pozwala wysnuć wniosek, że to właśnie figura „ojca narodów” była kluczowa w całym zamyśle. Choć formalnie inicjatorem odnowienia kompleksu była fundacja „Pamięć Afgana”, wsparcia projektowi – o czym można przeczytać w oficjalnych materiałach reklamowych – udzielił prezydent Łukaszenka. Linie Stalina uroczystie otwarto 30 lipca 2005 r. W nielicznych tekstach zamieszczonych na stronie internetowej www.stalin-line.by można znaleźć prawdziwe perły młodzieżowo-patriotycznej leksyki rodem z lat 70., poddane jedynie powierzchownej aktualizacji.

Linie Stalina reklamuje się jako muzeum, „miejsce dla rodzinnego odpoczynku” i przestrzeń dla imprez korporacyjnych jednocześnie. W ofercie proponowanych rozrywek (każde inne określenie byłoby nieściste) znajduje się m.in.: rejs łódkami po jeziorze, pneumatyczna strzelnica, jazda opancerzonym samochodem. Można spróbować „prawdziwej żołnierskiej kaszy” w pobliskiej jadłodajni i postrzelać z broni palnej z czasów „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej”. Takie ludyczne podejście (nawet jeśli autorzy pomysłu nie zdają sobie z tego sprawy) radykalnie różni się z deklarowaną radziecką stylistyką sakralizacji miejsc pamięci, przypominając raczej przedsięwzięcia kultury masowej.

W 2006 r. do białoruskich szkół trafił napisany w języku rosyjskim podręcznik Władimira Sidorowa, który *notabene* był autorem skryptu opisanego wyżej³. Tym razem Sidorow, dostosowując się do oczekiwań nowych władz, przedstawił „zjednoczenie” białoruskich ziem w 1939 r. w jednoznacznie jasnych barwach, przywrócił w tekście „wiodącą rolę” partii komunistycznej i „ogólnonarodową walkę”. Jednocześnie w podręczniku z 2006 r. po raz pierwszy użyto słowa „Holokaust” i „przymusowi robotnicy Rzeszy”, a nawet dokonano „ostrożnego zwrotu w kierunku narodowego dyskursu, przy pełnej dominacji radziec-

kiego ujęcia tematu”⁴. Przyjmując za słuszną ocenę Alesia Smalanczuka, warto raz jeszcze zwrócić uwagę na fakt nieuniknionego (nawet jeśli jest ono jedynie fragmentaryczne) przekonstruowania radzieckiej narracji w warunkach postsowieckich.

Logikę Łukaszenki, wykorzystującego mit „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej” do własnych celów, można opisać jako świadome dążenie do oparcia się na zakorzenionym w świadomości społecznej symbolicznym źródle, zrozumiałe tym bardziej, że tego właśnie oczekuje większość jego wyborców. Zdecydowanie trudniejszym zadaniem dla jego reżimu jest konieczność wniesienia w ten mit ostrożnych, ale znaczących korekt. Głównym motorem wprowadzenia poprawek stał się nowy społeczny kontekst znaczeń radzieckich mitów. W tym kontekście niezwykle interesującym i mało zbadanym tematem okazuje się problem różnic w traktowaniu wojny przez współczesnych mieszkańców Białorusi i Rosji.

Przykładem takich korekt jest ostrożne przejście od koncepcji „Zwycięstwa radzieckiego narodu” (cytat z dekretu prezydenta z okazji 60. rocznicy zakończenia wojny) do zwycięstwa białoruskiego narodu, „który razem z innymi narodami Związku Radzieckiego wniósł decydujący wkład...”. Zmiana, choć subtelna, jest tym niemniej bardzo istotna w kontekście zmagania o uformowanie „białoruskiego narodu politycznego” (w pełni zdają sobie sprawę z umowności i złudności tego określenia).

Mołdawia

Cechą charakterystyczną polityki pamięci niepodległej Mołdawii pozostaje konflikt między „rumuńską” i „mołdawską” interpretacją tożsamości jej mieszkańców. Innymi słowy, pytanie zasadnicze dla publicznego dyskursu brzmi: czy Mołdawianie tworzą osobny naród (jak przekonywała radziecka propaganda), czy też są częścią narodu rumuńskiego? Po rozpadzie ZSRR problem ten zyskał poważne konotacje polityczne.

3. A. Smalanczuk, *Szkolny padrucznik...*, op.cit., s. 378-391.

4. *Ibidem*, s. 381.

REALIZATION THAT THE EXPANDING PAIN ON HIS LEFT SIDE INDICATED THE PRESENCE OF

THE SPY MOVED SWIFTY FROM THE SHADOWS INCREASING
MULTIPLE WOUNDS CONTINUEING TO BE INFLICTED BY A

HER FACE SO AS THAT THE SEEMINGLY ANONAMOUS PEDESTRIAN WAS FACED WITH NOTHING
FAST AND VICIOUSLY TWISTING HAND UPON THE FRAIL BODY OF AN AGEING



Anthony Robert Keegan

MORE RECOGNIZABLE THAN A DARK BLUR AND THE GITTER
SECURITY AGENT BETRAYED.

Podobnie jak w pozostałych byłych republikach radzieckich na początku lat 90. dominował tu emancypacyjny dyskurs, okraszony nacjonalistycznymi akcentami. Za kadencji prezydenta Mircea Snegura (1991–1996) zaczęto stopniowo odchodzić od radzieckiej symbolicznej narracji na korzyść rumuńskiej. Najważniejszym symbolem tej transformacji była odbudowa pomnika Stefana Wielkiego i masowy demontaż monumentów Lenina, a także propagowana formuła „dwa państwa – jeden naród”⁵.



Radziecką narrację „słonecznej Mołdawii” dostosowano do bieżących warunków przez dodanie nowych wątków i przeakcentowanie starych.

Jednakże, podobnie jak politykę Szuszkiewiczza na Białorusi czy Krawczuka na Ukrainie, linię Snegura należy rozpatrywać w kontekście doraźnego reagowania na zmiany zachodzące zarówno wewnątrz kraju, jak i w przestrzeni międzynarodowej, a nie jako długoterminową, zaplanowaną politykę „nacjonalizującego się państwa” (w terminach Rogersa Brubakera). Już 5 lutego 1994 r. prezydent Snegur, występując na zjeździe *Nasz dom – Mołdawska Republika*, wrócił do koncepcji „mołdawskiego narodu”, a w nowej konstytucji zapisano zasadę „dwa państwa – dwa narody”.

Prezydent Petru Lucinschi (1996–2001) zaproponował kurs w kierunku „mołdowizacji” i podjął kroki w celu eliminacji genealogii postradzieckiej Mołdawii z kraju Stefana Wielkiego. Po zwycięstwie partii komunistycznej w wyborach parlamentarnych w 2001 r. w Mołdawii zaczęła się masowa restauracja po-

mników „radzieckich żołnierzy-wyzwolicieli”. Dzień Niepodległości przemianowano na Dzień Republiki, propagowano też o „wielonarodowym mołdawskim społeczeństwie” przy jednoczesnym marginalizowaniu symboliki związanej z tożsamością rumuńską. W grudniu 2001 r. rząd podjął decyzję o zamianie szkolnego przedmiotu „historia Rumunów” na „historię Mołdawii” (reakcją na to był trzymiesięczny protest zorganizowany w Kiszyniowie).

W 2001 r. w Mołdawii, po raz pierwszy oficjalnie, świętowano Dzień Zwycięstwa. Symptomatyczne, że dla podkreślenia „historycznego dziedzictwa” mołdawskiej państwowości w rytuał zasadniczo radziecki włączono statuę Stefana Wielkiego. Innymi słowy, w tym wypadku radziecką narrację „słonecznej Mołdawii” dostosowano do bieżących warunków przez dodanie nowych wątków i przeakcentowanie starych. Na poziomie społeczności lokalnych i lokalnej pamięci „udomowienie” radzieckich pomników nierzadko dokonywało się przez ich ideologiczną transformację – w szczególności mieszkańcy wsi zwykli zamieniać czerwone gwiazdy na symbole chrześcijańskie⁶, tworząc tym samym im bliski obraz wojny.

Uzasadnione wydają się wnioski Władimira Solonari, że w socjalno-kulturalnych warunkach postradzieckiej Mołdawii ani komunistyczna, ani narodowa narracja nie zdołały zaproponować trwałej i pojednawczej wizji rodzimej historii, która sprzyjałaby formułowaniu współczesnej tożsamości⁷. Komunistyczna narracja aktywnie wykorzystuje tradycyjne i narodowe kategorie dla autolegitymizacji (najbardziej jaskrawym tego przykładem jest propagowanie idei dziedzictwa średniowiecznego państwa mołdawskiego, Besarabii w granicach Imperium Rosyjskiego, Mołdawskiej Autonomicznej SRR w składzie przedwojennej radzieckiej Ukrainy i Mołdawskiej SSR, utworzonej w 1940 r.), jednocześnie jej głównym rywalem pozostaje rumuński projekt narodowy.

5. L. Cojocari, *Political Liturgies and Concurrent Memories in the Context of Nation-Building Process in Post-Soviet Moldova: The Case of „Victory Day”*, „Interstitio. East European Review of Historical Anthropology” 2007, t. 1, nr 2, s. 91.

6. *Ibidem*, s. 109-110.

7. V. Solonari, *Narrative, Identity, State: History Teaching in Moldova*, „East European Politics and Societies” 2002, t. 16, nr 2, s. 415-446.

Ukraina

W ukraińskiej narracji narodowej, którą, poczynawszy od lat 90., najbardziej konsekwentnie wprowadzano do szkolnych podręczników, komunizm, a także Imperium Rosyjskie przedstawiano w głównej mierze jako o b c e siły, które przemocą włączyły Ukrainę w swoją strefę wpływów. W takim ujęciu Ukraina, która rzeczywiście ucierpiała z powodu totalitarnego systemu, zaprzecza swojemu udziałowi w jego tworzeniu, chcąc widzieć siebie jako ofiarę zewnętrznej agresji⁸.

Jednakże całkowite zepchnięcie radzieckiej wizji przeszłości na margines nowego kanonu okazało się niemożliwe ze względu na opinię znacznej części ludności (w świadomości której „radzieckie” było synonimem dobrobytu, gwarancji socjalnych i stabilności) i polityczne naciski Rosji.

Zasadniczą strategią integracji II wojny światowej z oficjalnym schematem było uwypuklenie bohaterstwa i cierpienia „zwykłych ludzi”, przy jednoczesnym akcentowaniu pomyłek i brutalności komunistycznych władz oraz radzieckiego dowództwa. Symptomatyczne, że nawet na Zachodniej Ukrainie, gdzie masowo stawiano pomniki poświęcone narodowemu podziemiu, nie demontowano monumentów radzieckich żołnierzy. Co więcej, nie stały się one obiektem wandalizmu. Ich „desowietyzacja” i adaptacja do nowych warunków często dokonywała się przez „dobudowanie” obok figurki Matki Boskiej opłakującej poległych (tak na przykład zrobiono w podkarpackiej miejscowości Sławsko).

W odróżnieniu od Białorusi, w Galicji i na Wołyniu do początku lat 50. istniało bardzo silne podziemie narodowe. Problem włączenia Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) w oficjalną narrację pró-

bowano rozwiązać poprzez podkreślanie ich walki z Niemcami i „demokratycznej” ewolucji ukraińskiego ruchu narodowego po 1943 r., z przemilczeniem akcji na Wołyniu i uczestnictwa w zagładzie Żydów. Jednak próby uznania bojowników podziemia narodowego za weteranów wojennych i rehabilitacja UPA na szczeblu państwowym kończyły się fiaskiem – wobec powyższego problem zasilił zbiór „wiecznych” tematów postradzieckiej Ukrainy.

Na początku lat 90. Galicję i Wołyn (błędnie utożsamiane z całą Zachodnią Ukrainą⁹) ogarnęła moda na stawianie pomników. Ulubionym bohaterem został Stepan Bandera – lider radykalnego skrzydła Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Zabity w 1959 r. w Monachium przez radzieckiego agenta dał imię ruchowi ukraińskich narodowców (banderowcy). Postradziecka kanonizacja Bandery jest najbardziej jaskrawym przykładem ideologicznego rozdzwiewku z radzieckim kanonem (w którym Bandera uważany był za wroga nr 1).

Pojęcie „Wielka Wojna Ojczyźniana” zniknęło ze szkolnych podręczników niepodległej Ukrainy (ponownie pojawiło się w 1995 r. po ingerencji parlamentu). Jednak nowy sposób prezentowania wojny nie spowodował żadnych zmian w społecznej percepcji. Dość jednoznaczny podręcznik trafił bowiem w pluralistyczną przestrzeń, gdzie zasadniczą konkurencją dla narodowego schematu były wybrane fragmenty radzieckiej mitologii, populizm i nostalgia, które umownie, w ślad za Johnem Paulem Himką, można nazwać „postradziecką” tożsamością – niewyraźnie artykułowanym zestawem pojęć, dominantą których jest nikłe zainteresowanie narodową problematyką przy jednoczesnym ostrym sprzeciwie wobec ekskluzywnego etnicznego nacjonalizmu¹⁰.

8. Por. A. Portnow, *Upraznienija s istorijej po-ukrainski (Zamietki ob istoriczeskich siużetach obszczestwienno-politicheskich diebatow w postsowieckoj Ukrainie, „Ab Imperio” 2007, nr 3, s. 94-110.*

9. O umowności i uproszczeniach stosowania pojęć: „Zachodnia Ukraina”, „Wschodnia Ukraina” zob.: P. Rodgers, *Division, Difference and Diversity: Regionalism in Ukraine*, „Ukraina Moderna 2007. Specjalnyj wypusk. Lwiw-Doneck: Socjalni identyczności w suchasnij Ukraini”, Kijów-Lwów 2007, s. 210-236; T. Żurżenko, *Mif o dwuch Ukrainach*, „Perekriostki” 2005, nr 3-4, s. 108-117; O. Michejewa, *Ne vse tak prosto z tymy ukrainciamiy... „Oteczestwennyje zapiski” 2007, nr 1, s. 97-106.*

10. J.P. Himka, *The Basic Historical Identity Formations in Ukraine: A Typology*, „Harvard Ukrainian Studies” (przygotowywane do druku) – cytatów użyto za wiedzą i zgodą autora.



Harmony.



Bardara

Mówiąc o pierwszych latach niepodległości Ukrainy, nie należy przeceniać świadomego stawiania oporu oficjalnej linii i świadomości samej oficjalnej linii. Kluczem do zrozumienia państwowej polityki tego czasu jest zdanie sobie sprawy z jej niejednoznaczności i głębokiego uwarunkowania sytuacją. Poszukiwanie strategii pozwalającej na legitymizację państwa i elit rządzących, ale tak, by nie zaogniać narodowego, religijnego i językowego konfliktu, przy nieustannym oglądaniu się na Rosję, dokonywało się dosłownie po omacku.

Manewr ten został opanowany do perfekcji przez prezydenta Leonida Kuczmę, który uwielbiał rozprawiać o „wielowektowości”. Nie tylko składał życzenia swoim obywatelom z okazji wszystkich radzieckich świąt, ale w 2000 r. przywrócił 23 lutego (Dzień Armii Radzieckiej) jako oficjalny Dzień Obróńcy Ojczyzny. Prawdziwym *know-how* Kuczmy była regionalizacja symbolicznych uroczystości. Jubileusze Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej i Daniły Halickiego odbywały się we Lwowie; jubileusz pierwszego sekretarza Ukraińskiej Partii Komunistycznej Władimira Szczerbickiego świętowano w Dniepropietrowsku, a stację metra Komsomolska przemianowano na Marszałka Żukowa w Charkowie. Należy podkreślić, że centralizacja władzy za Kuczmy była o wiele silniejsza, niż za Krawczuka, dlatego w każdym z wymienionych przypadków inicjatywa i idea świętowania pochodziła z centrum, a w regionach była jedynie realizowana. Zdarzało się, że będące ze sobą w ideologicznym konflikcie jubileusze obchodzono paralelnie, ale w różnych miejscach, adresując je do różnych odbiorców. Na przykład: jednocześnie z 85-leciem ostatniego I sekretarza KPU Szczerbickiego, za rządów którego stosowano represje wobec dysydentów, zgodnie z dekretem Kuczmy świętowano jubileusz Władysława Czornowola – więźnia politycznego, a później przewodniczącego Ludowego Ruchu Ukrainy i głównego oponenta Krawczuka w wyborach prezydenckich.

W przypadkach, gdy trudno było rozgraniczyć adresatów przedsięwzięcia, wybierano milczenie. W swo-

ich jubileuszowych przemówieniach z okazji 9 maja Kuczma starał się unikać tematu UPA, a tym bardziej o wiele szerszego problemu konfliktu wewnątrz społeczeństwa ukraińskiego. Jednocześnie władze starały się wykorzystać temat rehabilitacji UPA do bieżących celów politycznych. Jeszcze 28 maja 1997 r. powołano komisję rządową ds. badań historii OUN i UPA. Roboczej grupie historyków szefował specjalista od najnowszej historii Ukrainy i ZSRR Stanisław Kulczyckij. Pierwsze wnioski opublikowano w 2000 r., ostateczne zaś już na Ukrainie bez Kuczmy¹¹ w 2005 r. Ich autorzy uznali ideologię OUN za radykalnie nacjonalistyczną, ale kategorycznie zaprzeczyli współpracy UPA z Rzeszą Niemiecką po 1943 r. Apelując o „przywrócenie historycznej sprawiedliwości”, grupa robocza historyków wystąpiła o oficjalne uznanie żołnierzy UPA za weteranów II wojny światowej. W lipcu 2004 r. premier ukraińskiego rządu, Anatolij Kinach postulował w parlamencie przyznanie im kombatanckich praw. Fakt odrzucenia tej propozycji świadczy dobitnie, że Kuczma nie był w istocie zainteresowany rehabilitacją ukraińskiego podziemia.



Deklarując jedność narodu podczas wojny, prezydent przyznaje jednocześnie, że takiej jedności nie było.

W miarę zbliżania się wyborów 2004 r. w polityce symbolicznej doszło do ostrej zmiany kursu w kierunku Rosji. Dowodziła tego, zorganizowana w iście breżniewowskim stylu, parada z okazji 60-lecia wyzwolenia Ukrainy (28 października 2004 r.), na której gościł prezydent Władimir Putin. Późniejsze wydarzenia, które przeszły do historii pod nazwą Pomarańczowej Rewolucji, świadczą jednak, że przedsięwzięcie to przyniosło skutek odwrotny do zamierzonego.

11. Fachowyj wysnowok roboczoji hrupy istorykiw pry uradowij komisii z wywczennia dijalnosti OUN i UPA, Kijów 2005.



Prezydent Wiktor Juszczenko, przynajmniej w warstwie werbalnej, prowadzi politykę symboliczną bardziej konsekwentną od swego poprzednika. Retoryczną strategię jego wystąpień dotyczących „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej” charakteryzuje dominanta pojednania i jedności narodu. Zwycięstwo nad faszyzmem Juszczenko wiąże z państwowością („Nasze Zwycięstwo, to święto ukraińskiej państwowości”, „Cały ukraiński naród walczył za swoje państwo”). Jedność narodu podczas wojny miałyby przejawiać się, jeżeli nie na polu bitwy, to we wspólnych celach: „Oleś Gonczar, Ołena Teliha, Oleksa Berest¹² i wielu innych – każdy z nich wraz z milionami rodaków kochał swoje państwo, swoją Ukrainę... Cały ukraiński naród we wspólnym porywie walczył o swoje państwo”. W tym cytacie istotne są dwa momenty. Po pierwsze, Juszczenko nie konkretyzuje, co rozumie pod pojęciem „Ukraińcy”, ale wymienia jedynie etnicznych Ukraińców. Po drugie, w jednym rządzie stawia żołnierza Armii Czerwonej, a później radzieckiego pisarza, Ołesia Gonczara i poetkę, członkinię OUN, rozstrzelaną przez Niemców w Babim Jarze, Ołenę Telihe.

Deklarując jedność narodu podczas wojny, prezydent przyznaje jednocześnie, że takiej jedności nie było: w przemówieniu z okazji 63. rocznicy UPA Juszczenko podkreśla: „Przeszedł czas pojednania naszego społeczeństwa i wzajemnego wybaczenia krzywd. Nasi weterani wnieśli swój wkład w unikalne Zwycięstwo w II wojnie światowej, w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej”. Praktyka połączenia, uchodzących za sprzeczne, symboli jest charakterystyczna dla przemówień Juszczenki. Zwracając się do członków UPA, użył radzieckiej ideologicznej konstrukcji „Wielka Wojna Ojczyźniana”, a w przemówieniu adresowanym do radzieckich weteranów 9 maja 2005 r. wraz z Bogdanem Chmielnickim, Włodzimierzem Wielkim i Jarosławem Mądrym, pośród tych, którym marzyła się ukraińska państwowość, wymienił również Iwana

Mazepe – archetypicznego antybohatera imperialnej i radzieckiej wersji ukraińskiej historii. Szczytem integracji było postawienie w jednym rządzie, zgodnie z tezą o jedności ukraińskiego narodu, generała Nikołaja Batunina, zabitego przez partyzantów UPA, i głównodowodzącego UPA – Romana Szuchewycza.



W ukraińskich realiach kwestie historyczne wydają się być idealnym polem do zaakcentowania odmienności.

Novum w przemówieniach Juszczenki, w porównaniu z wystąpieniami Kuczmy, jest przypomnienie o Holokauście i represjach radzieckich władz wobec Tatarów krymskich: „Jestem przekonany, że tego dnia słów solidarności potrzebują nasi rodacy – Tatarzy krymscy, których ze szczególnym cynizmem dotknęła wojna i związane z nią represje”.

Odpowiedzią na prezydenckie wezwania do zgody między weteranami z różnych frontów II wojny światowej była przyjęta w październiku 2006 r. decyzja, zdominowanej przez Partię Regionów, Charkowskiej Rady Obwodowej o demontażu wszystkich symboli związanych z OUN i UPA. Nieznani sprawcy zmaterializowali postanowienie Rady 20 grudnia tego samego roku, usuwając niewielki znak upamiętniający UPA, ustanowiony w 1992 r. w charkowskim Parku Młodzieży. Następnego dnia redakcje lokalnych gazet otrzymały anonimowy e-mail, dzięki któremu znak odnaleziono i przywrócono na miejsce.

Ostrzejszą odpowiedź na prezydenckie inicjatywy przygotowała Rada Miejska Sewastopola, popierając inicjatywę partii komunistycznej i prorosyjskiej organizacji „Ojczyzna” budowy na centralnym placu

12. Lejtan Oleksa Berest był trzecim (oprócz Rosjanina Michaiła Jegorowa i Gruzina Melitona Kantarija) uczestnikiem akcji zakładania czerwonej flagi na dachu Reichstagu, jednak nie trafił do radzieckiego kanonu. Kiedy zbyt głośno upominał się o uznanie swej roli, został skazany na 5 lat pozbawienia wolności za chuligaństwo. 6 lipca 2005 r. prezydent Juszczenko przyznał mu tytuł Bohatera Ukrainy (pośmiertnie).

miasta (który, *notabene*, nazywa się „Radziecki”) pomnika „radzieckim ofiarom mordu z rąk faszystowskich pomocników” OUN i UPA. 14 września 2007 r. monument uroczystie odsłonięto przy udziale lidera ukraińskich komunistów – Piotra Simonienko.

W ukraińskich realiach, gdzie socjalno-gospodarcze programy głównych partii politycznych faktycznie nie różnią się od siebie, wykazując skłonności do szerokiego populizmu, kwestie historyczne wydają się być idealnym polem do zaakcentowania odmienności. Dlatego problem pomników aktualizuje się w miarę zbliżania się kampanii wyborczej, by stracić na znaczeniu zaraz po jej zakończeniu. Stopień cynizmu demonstrowany w politycznej walce na gruncie historycznym świadczy o tym, że na Ukrainie historia jest – paradoksalnie – tematem stosunkowo bezpiecznym. Trudno sobie wyobrazić, aby werbalne i symboliczne spory doprowadziły do eskalacji fizycznej przemocy.

Przyjęte przez Juszczenkę próby restrukturyzacji symbolicznego kanonu, choć bardziej konsekwentne niż inicjatywy Krawczuka czy Kuczmy, nie są pozbawione charakterystycznej dla ukraińskiej polityki ambiwalencji. Za przykład mogą służyć dekrety o ustanowieniu nowego państwowego odznaczenia Krzyża Iwana Mazepy i nagrodzeniu wszystkich weteranów jubileuszowym medalem 65 lat Zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej 1941–1945, zatwierdzone przez prezydenta tego samego dnia – 26 marca 2009 r.

Innymi słowy, cechą charakterystyczną ukraińskiej transformacji jest jej heterogeniczność (tak jak dawniej pozbawiona koncepcji i nie do końca przedyskutowana). W większości symbolicznych uroczystości, inicjowanych przez władzę różnego szczebla, dostatecznie łatwo dostrzec można doraźną moty-

wację polityczną. Kompromisowa wieloznaczność, a także symbioza narracji narodowej i radzieckiej nie pozwalają konsekwentnie i trwale realizować, na poziomie państwowym, ani „ukraińskiej idei narodowej”, ani zasady „politycznego narodu”.

Różne oblicza wojny

We wszystkich trzech, opisanych tu dość schematycznie, państwach kwestia II wojny światowej jest jednym z głównych tematów polityki pamięci i zapomnienia. Cechą odróżniającą Ukrainę od Białorusi i Mołdawii jest większa w obrębie jej terytorium różnorodność regionalnych modeli pamięci, a także mniejsza ingerencja schematyzmu radzieckiego w treść jej podręczników (począwszy od 1991 r.) do historii. Jednocześnie główną cechą wspólną, łączącą te trzy państwa, jest proces nacjonalizacji (jeśli nawet realizuje go komunistyczna lub „antynarodowa” władza) dawniej jedyne go radzieckiego mitu „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej”, który adaptuje się odpowiednio do lokalnych oczekiwań i dążeń. Właśnie te wariacje i modyfikacje, jak się wydaje, niosą ze sobą niezwykle interesującą informację o społeczeństwach i władzach tych trzech krajów. Bardzo przekrojowo można opisać trajektorie rozwoju tych trzech państw (oczywiście mając w pamięci zasadnicze różnice) jako ruch od jednoznacznie narodowych schematów poprzez resowietyzację do różnorodnych modeli narodu politycznego i obywatelskiej tożsamości. ◀

Przełożyła Katarzyna Janina Kwiatkowska

Andrij **Portnow**

historyk, redaktor czasopisma „Ukraina Moderna”.

Your eyes are the windows to your soul
When I look into my eyes, I can see a
longing for something that I have yet to



learn. Also, a transition from being a girl into a woman.

Process

We'll just have to wait and see.

Rozliczenie z enerdowską przeszłością – rewizja procesu

JAN-WERNER MÜLLER¹

W połowie i pod koniec lat dziewięćdziesiątych sposób, w jaki Niemcy Zachodnie rozliczyły się z nazistowską przeszłością – znany w Niemczech pod nazwą przezwycięzania przeszłości (niem. *Vergangenheitsbewältigung*), uważano za model dla innych krajów. Przedstawiciele organizacji praw człowieka oraz państw, które były świadkami rządów totalitarnych lub wojen domowych, bacznie przyglądali się tworowi nazywanemu *Modell Deutschland* – w szczególności osądzaniu sprawców, debacie dotyczącej pomników czy podręczników szkolnych. Można powiedzieć, że w Niemczech spoglądano na te działania z pewnego rodzaju nową dumą – w szczególności, lecz nie tylko, na lewicy². Jednocześnie obserwatorzy z zewnątrz nieco się z nich podśmiewali (często przeciwstawiając się kontekstowi, w którym były one chwalone jako nowe próby uniknięcia przez Niemcy powrotu do nacjonalizmu i autorytaryzmu). Dla przykładu Timothy Garton Ash mówił o „niemieckich normach technicznych dla procesu rozliczeń z przeszłością”, a Niemcy zdobyli według niego tytuł „mistrzów świata w pamiętaniu”.

W tamtym okresie uważano zazwyczaj, że rozliczenie się z przeszłością Niemiec Wschodnich – co oczywiście nie było rutynową operacją w ramach przezwycięzania przeszłości – dobrze wpisze się w tę optymistyczną opowieść. Istotnie – ci, którzy chcieli z zapałem uczyć się na przykładzie *Modell Deutschland* coraz tłumnie udawali się do tzw. urzędu Gaucka, wówczas położonego jeszcze koło hotelu Adlon, zajmującego się aktami Stasi.

Oczywiście słysząc też było głosy krytyki sięgające po argument wielokrotnie przytaczany od początku lat dziewięćdziesiątych. Według niektórych Niemcy Zachodni prawdopodobnie rekompensują sobie wcześniejsze niepowodzenia w rozliczeniu nazistowskiej przeszłości i teraz wyjątkowo surowo obchodzą się ze współpracownikami wschodniego reżimu. Z drugiej strony mówiło się, że środki zastosowane w rozliczeniu ze spuścizną po NRD były zbyt łagodne, gdyż rządzący i intelektualiści obawiali się, iż będą postrzegani jako ci, którzy zrównują Niemietką Socjalistyczną Partię Jedności (NSP, niem. SED) z NSDAP. Tym niemniej, ogólnie panującym nastrojem była pewność siebie, a nawet optymizm.



Termin „państwo nieprawości” niesie za sobą duży ładunek polityczny, stał się wręcz przedmiotem walki słownej.

W dwadzieścia lat po rewolucji 1989 roku sprawy przedstawiają się nieco inaczej: niewielu określa drugie przezwycięzanie przeszłości mianem pełnego sukcesu. Przykładem tej zmiany mogą być debaty prowadzone na wiosnę 2009 roku, w których, jak to zwykle bywa w okresie wyborczym, pojawiło się wiele czysto politycznych (i sztucznie stworzonych) kontrowersji.

Trwające od dwudziestu lat zajadłe dyskusje dotyczące tego, czy istnieją podstawy prawne do

1. Jestem wdzięczny Helge Heidemeyer za rozmowę w Birthler-Behörde w lutym 2009 roku oraz słuchaczom Special Taylorian Lecture w Oksfordzie w maju 2009 roku, po którym powstał ten esej. Nastąpiło zrzeczenie się praw.
2. Na przykład w: Helmut Dubiel, *Niemand ist frei von der Geschichte: Die nationalsozialistische Herrschaft in den Debatten des Deutschen Bundestages*, Hanser, Munich 1999.



nazwania NRD państwem nieprawości nie przyniosły zauważalnych efektów. Termin „państwo nieprawości” (niem. *Unrechtsstaat*) niesie za sobą duży ładunek polityczny, stał się wręcz przedmiotem walki słownej. Tak jak wszystkie podobne pojęcia, jest nieco dwuznaczny i w dalszym ciągu kontrowersyjny; sugeruje bowiem, że mowa nie tylko o państwie, w którym nie ma rządów prawa, lecz także o takim, w którym panuje systemowa niesprawiedliwość, lub nawet, że jest ono zbudowane w oparciu o niesprawiedliwość³.

W czasie gdy powstawał ten esej, trwała właśnie kolejna runda debaty, tym razem zapoczątkowana, co zaskakujące, przez zachodnioniemieckiego polityka SPD Erwina Selleringa, nie wpisującego się w stereotyp obrońców rzekomego państwa nieprawości, którymi zazwyczaj są członkowie faktycznej spadkobierczyni komunizmu – partii Die Linke. Na początku lat dziewięćdziesiątych Sellering przybył do Niemiec Wschodnich jako sędzia, gdzie zaangażował się w reformę systemu sprawiedliwości. Jako premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego i szef koalicji SPD-CDU argumentował, że NRD nie powinno się potępiać jako „całkowitego państwa nieprawości”. Według niego: „Nie możemy zachowywać się tak, jakby pewne idealne państwo napotkało na swojej drodze inne – całkowicie godne potępienia. RFN miała swoje słabości, a NRD miała swoje mocne strony”. Utrzymywał także, że Niemcy Wschodni i Zachodni powinni ze sobą rozmawiać „oko w oko” oraz że potrzeba więcej „szacunku dla Niemców ze Wschodu”.

Jak na rok wyborów przystało każdy z kandydatów na kanclerza z obu głównych partii politycznych próbował rozwiązać ten problem w duchu najpopularniejszej (a prawdopodobnie także normatywnie słusznej) opcji. Angela Merkel i Franz-Walter Steinmeier prześcigali się w zapewnieniach, że NRD była

oczywiście państwem nieprawości. Wymagało to jednak wielokrotnego i żarliwego przypominania, co dobitnie świadczy o tym, że nie jest to wcale takie oczywiste.

Jak się okazało, szczególnie młodsze pokolenia nie mają pewności w tej sprawie. Zeszłoroczna kontrowersyjna ankieta pokazała szokujący stan niewiedzy wielu uczniów ze Wschodnich Niemiec i innych regionów na temat eneradowskiej przeszłości. Większość była zdania, że Stasi to służba bezpieczeństwa jak wszystkie inne, dla wielu mur wzniósł Zachód, byli też przekonani, iż Willy Brandt i Konrad Adenauer to wschodni politycy, a nawet, że w socjalizmie środowisko było mniej zanieczyszczone⁴.

Oburzeniu wynikami ankiety towarzyszyło coś, co można określić mianem rozczulania się nad sobą – i tu dla odmiany – ze strony Niemców Zachodnich. W marcu 2009 roku pisarz Maxim Biller głośno ubolewał nad rzekomym triumfem Niemiec Wschodnich nad Zachodnimi, formułując tezę o „uwschodnieniu Zachodu” (niem. *Ossifizierung des Westens*), co w konsekwencji doprowadziło do stworzenia: „Deutsche Deprimierende Republik” – czyli nowej NRD – „Niemieckiej Republiki Przygnębiającej”⁵.

Taki rodzaj tęsknoty za Zachodem (niem. *Westalgie*), nostalgii za przypuszczalnie „wolnym, otwartym i nienacjonalistycznym społeczeństwem”, która znikła po roku 1990, został natychmiast zakwestionowany przez wschodnioniemieckich pisarzy, takich jak Ingo Schulze oraz Thomas Brussig, i być może stałby się szybko zapomnianą polemiką, która nie osiągnęła poziomu prawdziwego sporu pisarskiego. Jednak w najbliższym czasie ani nie zniknie, ani nie zostanie zapomniany fakt, że zwolennicy NRD – tej faktycznie istniejącej, a nie socjalistycznych ideałów, do których aspirowała – stali się w ciągu ostatniego dziesięciolecia bardziej asertywni. Dawny dysydent

3. W materiałach traktatu zjednoczeniowego pojawiła się fraza „reżim bezprawia NSPJ” (niem. *Unrechtsregime der SED*).

4. Monika Deutz-Schroeder i Klaus Schroeder, *Soziales Paradies oder Stasi-Staat? Das DDR-Bild von Schülern – ein Ost-West-Vergleich*, Ernst Vögel, Stamsried 2008. Uczniowie w Berlinie Wschodnim i Brandenburgii wiedzieli najmniej o NRD; raport stwierdzał, że im więcej młodzi ludzie wiedzą na temat NRD, tym bardziej stają się krytyczni. Metodologia raportu była ostro krytykowana.

5. Maxim Biller, *Deutsche Deprimierende Republik*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” 22 marca 2009.

Freya Klier ujął to następująco: „Ich siatka kontaktów nie zmalała, lecz uległa strategicznej poprawie. (...) Zwolennicy dawnej dyktatury (...) zasiadają w Bundestagu, są w mediach, szkołach i wielu komisjach naszej demokracji. (...) Oni mierzą w przyszłość”⁶.



Po dziś dzień nie istnieją żadne ogólnie przyjęte statystyki dotyczące oskarżeń, nie przesądzono też o ich sukcesie.

Spółeczeństwo obywatelskie kwitnie, co jak twierdzą politolodzy promujący demokrację, jest niezbędne dla prawidłowej konsolidacji reżimów liberalno-demokratycznych. Z tym wyjątkiem, że na kwitnące społeczeństwo obywatelskie składają się stowarzyszenia o idealistycznie brzmiących nazwach (takich jak Gesellschaft für Bürgerrecht und Menschenwürde e. V. – Stowarzyszenie [promocji] praw obywatelskich i godności ludzkiej), które zajmują się rehabilitowaniem Stasi, walką o przywileje dla popleczników reżimu i dość agresywnymi kampaniami przeciw upamiętnianiu ofiar NSPJ – a wszystko to w imię praw człowieka (czyli tych ludzi, którzy uważają, że znaleźli się po przegranej stronie po roku 1990). Krytycy dostrzegają wiele oznak cichego, choć czasem także nieco głośniejszego, poparcia dla tych grup, wśród zwolenników zyskującej na popularności partii Die Linke. Jest to bezpośrednie wyzwanie stojące przed jakimkolwiek historycznym porozumieniem dotyczącym niesprawiedliwości popełnionych przez NRD. Bardzo symbolicznym zbiegiem okoliczności jest fakt, że urząd zajmujący się aktami Stasi przeniósł się jeszcze dalej na wschód Berlina, obecnie znajduje się w sąsiedztwie potężnego gmachu Fundacji Róży Luxemburg, partyjnej fundacji Die Linke.

W rzeczywistości wydaje się, że w tej dyskusji podziały nie są tak jasne, jak można by przypuszczać. W ostatnich latach wizerunek urzędu Birthler (wschodnioniemiecka dysydentka Marianne Birthler objęła stanowisko po Gaucku) ucierpiał nie tylko po tym, gdy okazało się, że nadal zatrudniał on wielu dawnych członków Stasi. Ponadto ta niegdyś modelowa instytucja do spraw rozliczeń ze służbą bezpieczeństwa despotycznego reżimu została oskarżona o rzekome ociąganie się w kwestii zachodnich informatorów Stasi (ze szczególnym uwzględnieniem zachodnioniemieckich parlamentarzystów) oraz o arbitralność w kwestii przekazywania informacji historykom i dziennikarzom⁷.

Czy jednak – jak twierdzi część krytyków – przezwyciężenie „faktycznie istniejącego socjalizmu” było w dużej mierze porażką? Według mnie takie oceny są przykładem na popadanie ze skrajności w skrajność, z nowo zaistniałego pesymizmu w optymistyczną nadzieję na to, że przezwyciężenie przeszłości będzie się charakteryzowało moralną jasnością oraz administracyjną wydajnością, po części z uwagi na rzekomą naukę płynącą z doświadczeń w rozliczaniu nazistowskiej przeszłości, po części – inaczej niż to miało miejsce w wielu postkomunistycznych krajach – z uwagi na to, że nie trzeba było iść na kompromis z dawnymi elitami, a po części dlatego, że Niemcy Zachodnie były na tyle bogate, iż mogły sobie pozwolić na szeroko zakrojone działania w tym zakresie.

Obecny esej ma na celu zaprezentowanie bardzo schematycznej, jednak mam nadzieję, także trzeźwiejszej oceny samego procesu oraz towarzyszących mu debat. Z uwagi na niewielki rozmiar pracy próba taka będzie musiała stanowić jedynie ich zarys; skupi się na odpowiedzi na pytanie o zdroworozsądkowe kryteria, wedle których powinno się oceniać proces przezwyciężania przeszłości, a także na porównaniu doświadczeń Niemiec z innymi krajami postkomunistycznymi. Skoncentruję się przede wszystkim na kwestii sprawiedliwości, umacnianiu demokracji oraz integracji społecznej.

6. Freya Klier, *Sondervotum*, dostępny w Internecie:

http://www.zeitgeschichte-online.de/portals/_rainbow/documents/pdf/sondervot_klier.pdf [dostęp dnia 19 maja 2009].

7. Ciągłej krytyce poddawany był także przywilej dostępu do akt tylko dla pewnej liczby wewnętrznych badaczy.





Гарри Кэ-Тасман 2000 год.

God fuck AUSTRALIA.

Proces przezwyciężania przeszłości: bardzo krótka ocena

Wystawiając ocenę rozliczeniu się z przeszłością, postawiłem sobie trzy cele (kryteria), które uważam za szczególnie ważne. Są nimi: sprawiedliwość, umacnianie demokracji oraz spójność społeczna (lub, jak ktoś woli, pewien stopień „wewnętrznej jedności”). Często twierdzi się (nie bez powodu), że cele te pozostają ze sobą w konflikcie – jestem tego świadomy. Konflikt ten jest w przeważającej mierze kwestią empiryczną, a nie normatywną. W dogodnych warunkach szczególnej stabilności gospodarczej oraz niewielkiego ryzyka całkowitego powrotu do autorytaryzmu wcale nie musi dojść pomiędzy nimi do znacznych kompromisów. Trudno zaprzeczyć temu, że Niemcy mieli dużo szczęścia, mogąc wykorzystać tak sprzyjające okoliczności.

Sprawiedliwość: Nie można powiedzieć, że w porównaniu z doświadczeniami innych państw Europy Środkowo-Wschodniej zjednoczonym Niemcom nie udało się zaprowadzić sprawiedliwości. Lustracja i czystki były dość intensywne oraz zakrojone na szeroką skalę, jednak nie przeobraziły się w swoiste polowanie na czarownice, do jakiego doszło parę lat temu na przykład w Polsce; restytucja, mimo że spowodowała wiele uraz i frustracji, zakończyła się, ogólnie rzecz ujmując, powodzeniem. Jednak w zestawieniu z tym, co teoretycznie zjednoczone Niemcy mogły osiągnąć – biorąc pod uwagę zasoby finansowe oraz fakt, że nie istniała potrzeba czynienia ustępstw wobec socjalistycznych elit politycznych – sytuacja nie wygląda już tak pozytywnie. Wiele działań zostało opóźnionych, wymiar sprawiedliwości był często niedofinansowany, a liczba wyroków skazujących nie może imponować: wstępne postępowanie sądowe (*Ermittlungsverfahren*) prowadzono przeciwko 100 tys. osób. Jednak najbardziej wiarygodne szacunki mówią o 1021 oskarżeniach, w które było zaangażowanych 1737 obrońców (liczba ta nie dotyczy oskarżeń o szpiegostwo), a tak naprawdę tylko 40

osób zostało osadzonych w więzieniu za to, czego dopuścili się w czasach NRD⁸.

Co najważniejsze, wydaje się, że dochodziło do nieregularności w wymierzaniu sprawiedliwości. W niektórych landach przeprowadzono szeroko zakrojone dochodzenia przeciwko pracownikom sektora publicznego, co zakończyło się niemałą ilością zwolnień. W innych natomiast nie przeprowadzono ich prawie wcale. Rejestry, klasyfikacje, a nawet kryteria, według których przesądzano o wyrządzonej niesprawiedliwości, wydawały się być zupełnie arbitralne w zależności od regionu. Po dziś dzień nie istnieją żadne ogólnie przyjęte statystyki dotyczące oskarżeń, nie przesądzono też o ich sukcesie. *Prima facie*, ideał ogólności i równości towarzyszący rządowi prawa sprawia, iż z normatywnego punktu widzenia jest to bardzo problematyczne. Trzeba jednak pamiętać, że największym „problemem” jest tu niemiecki federalizm oraz uzależnienie sądownictwa od partyjnych zachcianek: w landach, takich jak Meklemburgia-Pomorze Przednie i Brandenburgia, od dawna pozostających pod kontrolą SPD i obecnej partii Die Linke, rozumienie hasła „sprawiedliwość” jest inne niż na przykład w Saksonii, ugruntowanym bastionie chadecji. Problemy natury normatywnej pozostają. Sygnalizują one jednak dużo większy konflikt pomiędzy różnorodnością, która idzie w parze z federalizmem, a równością, której wymagają rządy prawa.

Słynna uwaga Bärbel Bohley: „Chcieliśmy sprawiedliwości, a dostaliśmy rządy prawa” jest być może nawet bardziej adekwatna teraz niż za czasów, gdy padła z ust wiodącej dysydemtiki systemu. Ostatecznie, członkowie byłego reżimu (lub ich otoczenie) poprzez postawienie się w roli ofiar zjednoczenia w bardzo zręczny sposób zrobili użytek z pojęcia państwa prawa. Zastosowali na przykład wiele środków towarzyszących ustanawianiu sprawiedliwości – chodzi w szczególności o zmniejszenie emerytur, przez samych zainteresowanych szyderczo nazywane emerytalnym prawem karnym (niem. *Rentenstrafrecht*). Na podstawie prawa własności i zasady

8. Klaus Marxen, Gerhard Werle i Petra Schäfer, *Die Strafverfolgung von DDR-Unrecht: Fakten und Zahlen*, Stiftung zur Aufarbeitung der SED – Diktatur and Humboldt-Universität zu Berlin, Berlin 2007.



równości (*Gleichheitsgrundsatz*) zapisanych w ustawie zasadniczej wiele z tych apelacji zostało rozpatrzonych pozytywnie.



Nie ulega wątpliwości, że otwarcie archiwów jest pod wieloma względami historią sukcesu ostatnich dwudziestu lat.

Nie dziwi więc powszechnie panujące wrażenie, że wielu sprawcom wiedzie się dziś stosunkowo lepiej niż ich ofiarom. Stało się tak, gdyż próby zapewnienia ofiarom rekompensaty za ich cierpienie oraz okazania uznania dysydemtom za ich odwagę przyszły o wiele za późno i były raczej marne. Każda partia opozycyjna wzywała do przyznania emerytury jako znaku owego uznania, jednak natychmiast po dojściu do władzy tłumaczyła brak działań w tej sprawie rzekomymi pustkami w kasie państwowej. Pewne środki zostały przyjęte dopiero w 2007 roku, jednak nie spełniały one większości żądań przedstawicieli ofiar. Co więcej, uzależniły przyznanie tzw. emerytury dla ofiar (niem. *Opferrente*) od ich statusu społecznego – co tylko z finansowego punktu widzenia nie wydaje się nielogiczne czy nawet bezprawne.

Wzmacnianie demokracji. Czy proces przewycięzania przeszłości przyczynił się do umocnienia demokracji? W świecie idealnym do tego celu służą wszystkie przejawy „przejściowej sprawiedliwości”, jednak w rzeczywistości związek ten wcale nie jest oczywisty. Wielu komentatorów wskazywało, że w przypadku enerdowskiej przeszłości nie udało się wyznaczyć symbolicznego momentu lub stworzyć instytucji, która by wyjaśniała, jak z normatywnego punktu widzenia doszło do

zmian demokratycznych, zabrakło czegoś na kształt procesów norymberskich (porównanie to nie stawia znaku równości między nazizmem a „faktycznie istniejącym socjalizmem”...). Potencjał ten posiadał proces Honeckera, bądź co bądź wtedy to po raz pierwszy od czasów Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego głowa niemieckiego państwa została postawiona przed sądem za naruszenie praw własnych obywateli⁹. Jednak, jak wiadomo, proces zakończył się niepowodzeniem. Z drugiej strony skazanie kierownika Stasi Ericha Mielke za zabicie dwóch policjantów w 1931 roku, w oczach wielu osób, które były jego ofiarami po 1953 roku, wydawało się arbitralne i nieco absurdalne.

Dosyć wcześnie nastąpiło przesunięcie punktu ciężkości z liderów politycznych i członków biura politycznego na Stasi, jako głównego symbolu opresji, oraz na kwestię muru – w tak zwanych procesach strzelców z muru berlińskiego (niem. *Mauerschützenprozesse*). Nie ulega wątpliwości, że – pomimo przytoczonej wcześniej krytyki – otwarcie archiwów jest pod wieloma względami historią sukcesu ostatnich dwudziestu lat. Poważniejszy problem polega na tym, że skupienie się na Stasi oraz na murze w pewnym sensie zawęziło rozumienie NRD jako szczególnego rodzaju dyktatury i szczególnego rodzaju społeczeństwa. Jak słusznie zauważyli krytycy, nawet po oficjalnej likwidacji Stasi po raz kolejny zadziałała zgodnie ze swoją niechlubną dewizą i była „tarczą i mieczem partii”. Innymi słowy skupienie się na Stasi odwróciło uwagę od ludzi u steru władzy, wysokich funkcjonariuszy NSPJ, a także do pewnego stopnia liderów tak zwanych partii Bloku. Gdyby nacisk został położony na NSPJ, ukazałby się całkiem inny model współczesności – jakby nie patrzeć, sama partia chlubiła się 2,5 mln członków; był z nią związany co piąty dorosły. Jednak „destasifikacja” miała pierwszeństwo przed dekomunizacją, a tak naprawdę stała się z nią tożsama¹⁰.

9. Uwe Müller i Grit Hartmann, *Vorwärts und Vergessen! Kader, Spitzel und Komplizen – Das gefährliche Erbe der SED-Diktatur*, Rowohlt, Berlin 2009, s. 19.

10. Prawdopodobnie były ku temu normatywne powody: bądź co bądź Stasi była wyłącznie instrumentem represji (oraz moralnego skorumpowania), w przeciwieństwie do NSPJ, której rola była bardziej złożona. Zob. Gary Bruce, *Access to Secret Police Files, Justice, and Vetting in East Germany since 1989*, „German Politics and Society”, t. 26, 2008, s. 82-111; tutaj s. 95-96.



You know that it is true
Love if it brings the
best in you. Eternally

Znamienna jest propozycja Marianne Birthler postulującej oficjalną delegalizację NSPJ¹¹. Byłby to oczywiście akt głównie symboliczny. Choć mógłby stanowić również przykład „negatywnego republikanizmu” (który politolog Peter Niesen definiuje w opozycji do zachodnioniemieckiej doktryny „antyekstremizmu”): przykład symbolicznego odrzucenia konkretnego eksperymentu politycznego lub epizodu w przeszłości. Tak było w przypadku włoskiej konstytucji z 1948 roku zabraniającej ponownego powstania partii faszystowskiej (lecz nie partii ekstremistycznych w ogóle)¹². Za dominującą w Niemczech koncepcją antyekstremizmu i antytotalitaryzmu – którego częścią jest potępienie różnych wydarzeń historycznych, a także otwartość na nowe, obecne zagrożenia polityczne – stoją prawdopodobnie dobre, normatywne argumenty. Może być ona jednak mniej przydatna do zachowania określonego pojmowania opresji i innych form cierpień na tle politycznym.

Spójność społeczna. Można oczywiście zauważyć wiele oznak ciągłego podziału na Niemcy Wschodnie i Zachodnie, a także wiele podziałów w samych Niemczech Wschodnich. Teraz chciałbym rozwinąć myśl zapoczątkowaną wcześniej, dotyczącą „spójności społecznej”, która jest nie tylko nieosiągalnym, lecz także z natury wątpliwym ideałem. Wszystkie kultury polityczne są w taki czy inny sposób podzielone; społeczna alienacja i konflikt nie muszą koniecznie być żadnego rodzaju „patologią”, szczególnie w Niemczech, gdzie istnieje stara tradycja ideologii wspólnotowych (niem. *Gemeinschaft*), dążenie do społecznej jedności powinno być traktowane z pewną dozą zdrowego sceptycyzmu. Znane są oczywiście alarmujące statystyki na temat pewnej liczby osób przeważnie, choć nie tylko, na Wschodzie, które żywią poważne wątpliwości co do demokracji i rządów prawa. Jednak udowodnienie, że jest to bezpośredni efekt nieudanego procesu

przezwycięzania przeszłości, byłoby rzeczą niesłychanie trudną. Co więcej, wspomniane liczby oraz ogólne podziały polityczne nie są tak alarmujące, jak w innych państwach Europy Środkowo-Wschodniej. Zimna wojna domowa w kraju, takim jak Węgry, lub powstanie partii prawicowych, np. Jobbik czy LPR, nie mają swoich odpowiedników w Niemczech. Nie należy oczywiście popadać w samozadowolenie. Jednak nawet najbardziej pobieżne porównanie sugeruje, że podnoszenie politycznego larum i składanie winy na sprawy związane z procesem jest zdecydowanie nie na miejscu.



Istniejący obraz Zachodu, który na Wschodzie rzekomo rozpoczął polowanie na czarownice w imię przezwyciężenia przeszłości, jest z gruntu wypaczony.

Całkiem na miejscu jest natomiast przypomnienie, nie tylko w Niemczech, że przezwycięzanie przeszłości jest przecież zawsze związane zarówno z przezwycięzaniem teraźniejszości, jak i nieodległych wydarzeń. Gdy wewnętrzna spójność pozostaje nieosiągalnym celem, ważne jest, aby zwalczać próby stworzenia sztucznych podziałów politycznych bazujących na fałszywej historii niedawnych czasów. Trzeba wyraźnie podkreślić, że istniejący obraz Zachodu, który na Wschodzie rzekomo rozpoczął polowanie na czarownice w imię przezwyciężenia przeszłości, jest z gruntu wypaczony. To właśnie ostatni wybrany w wolnych wyborach parlament (oraz dysydenci) chciał zapewnić rządy sprawiedliwości, zagwaran-

11. Marianne Birthler, *Man hätte die SED verbieten sollen*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” 16 maja 2009. Warto przypomnieć, że w ostatnim Volkskammer Zieloni próbowali ogłosić Stasi „stowarzyszeniem przestępczym”. Inne partie nie zgodziły się na taką deklarację.

12. Peter Niesen, *Anti-Extremism, Negative Republicanism, Civic Society: Three Paradigms for Banning Political Parties*, [w:] Shlomo Avineri and Zeev Sternhell (redakcja), *Europe's Century of Discontent: The Legacies of Fascism, Nazism and Communism*, Magnes Press, Jerusalem 2003, s. 249-268.

tować zachowanie teczek oraz dostęp do nich ofiarom. Natomiast wschodnioniemieccy prokuratorzy i sędziowie już w 1990 roku zaczęli oskarżać dawne elity o korupcję, oszustwa wyborcze oraz w szczególności o nadużycia władzy¹³. Także wschodnioniemieckie „komitety społeczne” przeciwstawiały się włączeniu archiwów Stasi do Archiwów Federalnych w Koblencji, za czym wówczas opowiadali się zachodnioniemieccy politycy i urzędnicy. Osobą, która w najistotniejszy sposób nie dopuściła do otwartego przewyżczenia przeszłości, był Helmut Kohl¹⁴. Proces ten był oddaniem sprawiedliwości ofiarom – zwycięskim dysydem. Wolfgang Thierse, wiceprzewodniczący Bundestagu, ujął to w następujący sposób: archiwa Stasi były „owocem jesiennej rewolucji 1989 roku” i pozostają jej symbolem¹⁵.

Zakończenie

Nie ulega wątpliwości, że rozliczenie z enerdowną przeszłością nie było w żadnej mierze działaniem rutynowym. Był to złożony i niełatwy proces, który napotkał na niespodziewane trudności, był lekcją bolesną, i biorąc pod uwagę nadzieje z przełomu lat 1989 i 1990 oraz ogólnie przychylny klimat wokół przewyżczenia przeszłości, przysporzył także niespodziewanych rozczarowań. Nazistowska przeszłość oraz jej dziedzictwo różniły się bardzo od siebie, a sytuację w zjednoczonych Niemczech można

tylko do pewnego stopnia porównać z innymi krajami postkomunistycznymi – dlatego też nie jest możliwe ustalenie jasnych i ogólnie przyjętych kryteriów, pozwalających przesądzić o sukcesie lub porażce tego procesu. Mimo to starałem się pokazać, iż obecna fala jego krytyki, choć słusznie przypomina o problemach i niedociągnięciach, nie powinna przesłonić faktu, że proces ten spełnił swoją rolę na polu sprawiedliwości, tworzenia demokracji oraz wzmacniania społecznej jedności. Zasugerowałem także, że niektóre ze sposobów debaty o przewyżczeniu przeszłości zarówno nazistowskiej, jak i enerdownskiej były wręcz szkodliwe: doprowadziły do jałowych konceptualnych i normatywnych podziałów, a w pewnym sensie utrudniły nie tylko rozumienie historii (oraz dalsze przekazywanie tego rozumienia), lecz także ocenę samych kategorii stosowanych do przeprowadzenia tego procesu. Pewien dziennikarz, komentując zestawienie: państwo prawa contra państwo nieprawości, określił swoistym przekleństwem fakt, że „z nieładną regularnością mówimy w głupszy sposób o tym, co się działo w ostatnich latach niż podczas rewolucyjnego przełomu 1989/1990”¹⁶. ◀

Jan-Werner Müller

(1970), politolog, wykładowca na Princetown University. Jest autorem *A Dangerous Mind: Carl Schmitt in Post-War European Thought*.

13. Ustawa *Stasi-Unterlagen-Gesetz* przegłosowana przez Bundestag w grudniu 1991 roku szła dalej niż propozycja Volkskammer, zezwalając ofiarom na bezpośredni dostęp do akt. Bliżej o enerdownskim *Strafverfolgung* w ostatnich miesiącach funkcjonowania państwa zob. Marxen, Werle i Schäfer, *Die Strafverfolgung*.

14. Zaś osobą, która była najbliższa zablokowania zjednoczenia i odizolowania Niemiec Wschodnich lub nadania im statusu drugiej kategorii, był oczywiście ówczesny działacz SPD Oskar Lafontaine, dziś jeden z liderów Die Linke.

15. Cyt. za: Gary Bruce, op.cit., s. 83. W chwili obecnej jest już pewne, że akta Stasi będą włączone do Archiwum Federalnego.

16. Jens Bisky, *Die Diktatur, die eine sein wollte: Der „Unrechtsstaat“ verdeckt die Paradoxie der DDR*, „Süddeutsche Zeitung” 4 marca 2009. Pełna wersja: „Es scheint ein Fluch zu sein, dass wir in unschöner Regelmäßigkeit dümmen über das Jüngstvergangene sprechen als im Revolutionsjahr 1989/90. Dümmer, das heißt vor allem: ungenauer”.

Pamięć Niemców

Z Klausem Ziemerem rozmawia Artur Celiński

Artur Celiński

(1985) zastępca wydawcy Res Publici
Nowej, przygotowuje rozprawę
doktorską na Uniwersytecie Kardynała
Stefana Wyszyńskiego.

Klaus Ziemer

urodzony w 1946 r. w Heidelbergu,
prof. nauki o polityce w Trewirze
i na Uniwersytecie Kardynała
Stefana Wyszyńskiego w
Warszawie. W latach 1998–2008
dyrektor Niemieckiego Instytutu
Historycznego w Warszawie.
Zajmuje się historią współczesną
Polski, stosunkami polsko-
niemieckimi od II wojny światowej
oraz problemami transformacji
systemów politycznych i społeczno-
ekonomicznych w krajach Europy
Środkowej i Wschodniej.

Mijająca właśnie siedemdziesiąta rocznica wybuchu II wojny światowej pokazuje, że obok faktów historycznych równie ważna stała się ich interpretacja. To zaskakujące, że pomimo tak długiego czasu, jaki minął od 1939 r., ten temat powraca i wciąż budzi tak silne reakcje. Dlaczego tak się dzieje?

Interpretacja historii może być wykorzystana do aktualnych celów politycznych, czego byliśmy świadkami na przykład w krajach zdominowanych przez dziesięciolecia przez Związek Radziecki. W tych państwach dyskurs oficjalny o wojnie jest dzisiaj zupełnie inny niż jeszcze 20 lat temu. Interpretacja paktu Ribbentrop-Mołotow w Rosji już trochę uległa zmianie, ale ciągle jeszcze odbiega od tej w innych krajach. Budzi to zrozumiałe oburzenie w społeczeństwach, które padły ofiarą tego paktu. Także w Niemczech mieliśmy w ciągu ostatnich dziesięcioleci czasem zacięte dyskusje o II wojnie światowej i narodowym socjalizmie. Powracają one co 10 – 15 lat. Wystarczy, że ktoś publicznie powie, że już czas na odkreślenie przeszłości grubą kreską i rozpoczęcie normalnego życia bez mówienia o wiecznej winie. Tymczasem dla historyków nie ma zamkniętych spraw, i to nie tylko w tym przypadku. Zawsze pojawiają się nowe pytania. Dzisiaj dotyczą one np. kwestii polityki okupacyjnej – jest tu dużo spraw niewyjaśnionych. Ciekawą kwestię stanowi np. socjalizacja ludzi, którzy byli urzędnikami w Polsce podczas wojny i w tym czasie popełniali niewyobrażalne zbrodnie. Jak zwykli ludzie mogli robić takie rzeczy? Skąd to się bierze? Niedawno pojawiło się zbiorowe opracowanie poświęcone wyższej kadrze oficerskiej w wojsku, teraz wyszła praca o personelu kierownictwa regionalnego niemieckiej administracji cywilnej w Polsce. Przygotowywane są następne badania. Odkrywa się pocztę polową jako źródło, które pokazuje oblicza wojny ze strony oprawców, i to „oddolnie”. I tak pewnie będzie przez najbliższe dziesięciolecia. Każde pokolenie odkryje na nowo historię. Stąd wezmą się kolejne pytania i nowe interpretacje.

Jak więc zmieniał się spojrzenie na II wojnę światową w Niemczech? Co powodowało te zmiany?

Takie zmiany dokonują się z reguły w sposób bardzo powolny, prawie że niezauważalny. Jeżeli chcemy wyznaczyć jakąś datę, to z pewnością jest to rok 1965 r. Z jednej strony zakończył się proces przeciwko oprawcom Auschwitz we Frankfurcie nad Menem. Z drugiej – w październiku tego roku opublikowano tzw. *Memorandum Wschodnie* Kościoła ewangelickiego w Niemczech. Było ono niezwykle ważne, gdyż po raz pierwszy poruszało kwestię stosunku Niemców do sąsiadów ze wschodu. Dokument zatytułowany *Memorandum o sytuacji wypędzonych i stosunku narodu niemieckiego do jego wschodnich sąsiadów* złamało ówczesne tabu i stało się po-

czątkiem przemian. Obok kwestii wypędzonych Niemców, poruszono w nim temat prawa Polaków urodzonych na dawnych terenach niemieckich do ich własnej, małej ojczyzny. Wybuchły wówczas bardzo burzliwe dyskusje. Pytano, czy w ogóle można tak myśleć – tym bardziej, że chodziło tu przecież o rezygnację z ziem utraconych po 1945 r. Memorandum otworzyło szeroką debatę w społeczeństwie – nie tylko o aktualnych stosunkach z sąsiadami, ale też o tym, co stało się podczas wojny. Parę tygodni później pojawił się pamiętny list polskich biskupów, który z kolei wywołał szok w Polsce. Myślę, że właśnie od tego czasu zaczęła się poważna zmiana w świadomości społeczeństwa niemieckiego. Zaraz po tym był również rok 1968.

Memorandum opublikowano dopiero dwadzieścia lat po zakończeniu wojny. Co działo się wcześniej? Czy temat Polski był wówczas obecny w dyskusji publicznej?

Nie, o Polsce w ogóle nie mówiono. Obecna była tylko kwestia wypędzonych oraz tych, którzy wyjechali z Polski w latach 50. w ramach akcji łączenia rodzin. Najważniejsze jest jednak to, że wówczas nie mówiono nic o polityce okupacyjnej. Temat ten pojawił się dopiero pod koniec lat 50. Warto wspomnieć przypadek byłego szefa policji w Kłajpedzie, który miał wówczas tupet złożyć podanie o ponowne zatrudnienie w służbie państwowej. Po zbadaniu jego przeszłości okazało się, że był dowódcą jednego z oddziałów Einsatzgruppen na pograniczu niemiecko-litewskim. Otrzymał wówczas 10 lat więzienia, a razem z nim ukarano dziesięć osób, które z nim pracowały, w tym dwie skazano na 15 lat. Pytano się wówczas, czy to był odosobniony przypadek, czy też było ich więcej? Dopiero po 1958 r. utworzono prokuraturę w Ludwigsburgu, która do dzisiaj zajmuje się zbrodniami popełnionymi w czasie okupacji.

Jaka była postawa społeczeństwa niemieckiego wobec odpowiedzialności za wojnę?

Dzisiaj już wiadomo, że Hitlera popierały szerokie środowiska – lekarze, prawnicy i kadra uniwersytecka, z której bardzo szybko wykluczono wówczas profesorów żydowskiego pochodzenia. Jest to sprzeczne z długo utrzymującym się przekonaniem, które pojawiło się w niemieckim społeczeństwie po procesach norymberskich. Wtedy wszyscy czuli się ofiarami i sądzili, że poza ukaranymi zbrodniarzami reszta Niemców została uwiedziona i oszukana – taka była ogólna teza. Każdy wówczas chciał się uważać za zwykłego obywatela, który wbrew swojej woli został wciągnięty w wojnę rozpętaną przez Hitlera. Taka teza, ku mojemu przerażeniu, pojawiła się niedawno podczas przemówienia Benedykta XVI w Auschwitz. Mówił on wówczas o grupie zbrodniarzy, która doprowadziła do tej tragedii, pomijając zupełnie odpowiedzialność zwykłych Niemców. Zastanawiałem się długo, skąd wzięło się u niego to przekonanie i doszedłem do wniosku, że po prostu powtórzył to, co usłyszał jako student. Tymczasem od lat 60. w społeczeństwie wizja historii powoli ulegała zmianie i dzisiaj jest zupełnie inna.

Jak społeczeństwo niemieckie przyjęło tę zmianę? Czy nie było zjawiska wyparcia nowych, niekorzystnych faktów?





Looking back through time. I thought of
all my previous lives. And then questioned
whether they are real. It occurred to me
that even in this life there was a time
when I used to not even shave. I know
that to be true even though there
is now only the memory.

Nick Papas

Pojawiały się różne reakcje. W ostatnich latach również publicyści zaczęli się interesować historią własnych rodzin. Bardzo uczciwie relacjonują, że np. ojciec był zwolennikiem Hitlera – przytaczają listy, w których otwarcie go chwali. Takie książki stają się bestsellerami i potwierdzają ogólne wrażenie, że społeczeństwo niemieckie popierało ten reżim. Ale są i tacy, którzy przyznają, że generalnie to prawda, lecz zaznaczają, że to nie dotyczy ich rodziny. Tytuł książki, naukowo zajmującej się tym zjawiskiem, brzmi: *Mój dziadek nie był nazistą*.

Kwestie winy i odpowiedzialności dotyczą jednak całej Europy. Opublikowany niedawno w „Der Spiegel” artykuł *Europejscy wspólnicy Hitlera* wywołał bardzo ostre reakcje. Zarzucano w nich, że Niemcy próbują przerzucić część odpowiedzialności za swoje zbrodnie na innych.

W czasie moich studiów mieszkalem na początku lat 70. przez rok w Paryżu. W moim akademiku pracowała wówczas sprzątaczką, która była Żydówką. Kiedyś w czasie rozmowy spytałem ją, czy jej rodzina ucierpiała w czasie wojny. Okazało się, że straciła brata. Było mi bardzo przykro, również z tego powodu, że jestem Niemcem. Ona wtedy mi odpowiedziała, że jej brat na pewno został zamordowany przez Niemców, ale zdradzili go Francuzi. W jej słowach był żal, o którym nie mówiło się wówczas publicznie. To zaczęło się zmieniać dopiero w latach 90. W pobliżu Niemieckiego Instytutu Historycznego w Paryżu jest szkoła, w której piętnaście lat temu odsłonięto tablicę upamiętniającą żydowskich uczniów deportowanych w czasie wojny. Szkoda, że tak późno, ale to jednak lepsze, niż gdyby jej wcale tam nie było. Ta teza dotyczy bardzo skomplikowanej kwestii. Jak mamy np. interpretować postawę Litwinów i Łotyszy w czasie wojny? Byli oni jednocześnie ofiarami i oprawcami – uczestniczyli w Holokauście. Często przymusowo, ale również dobrowolnie byli członkami SS i walczyli przeciwko Armii Czerwonej. A inni walczyli razem z Armią Czerwoną.

Czemu rozliczenia z historią trwają tak długo? W Niemczech na rozpoczęcie dyskusji o winie i odpowiedzialności trzeba było czekać do połowy lat 60. We Francji nastąpiło to dopiero na początku lat 90. Z czego to wynika?

We Francji wynikało to nie tylko z niechęci dużej części społeczeństwa do zajęcia się mniej chlubnymi kartami własnej historii, ale i z polityki państwa. Mitterrand był kiedyś współpracownikiem reżimu Vichy. On i jemu podobni nie byli zainteresowani tym, aby ujawniać kulisy z okresu wojennego. Podobnie de Gaulle. On znał najlepiej prawdę, ale po wojnie prawie wszyscy Francuzi uznali siebie za ofiary. Dla de Gaulle’a Francja musiała być wielka – nie było wówczas miejsca na to, aby publicznie rozliczać winy francuskiego społeczeństwa.

Czasami jednak trwająca kilkanaście a nawet kilkadziesiąt lat amnezja może być potrzebna. Np. w Hiszpanii po śmierci Franco – i lewica, i prawica nie chciała rozliczać się z przeszłości. Teraz ten temat powraca. Podejmuje go nowe pokolenie – wszyscy mają większy dystans do przeszłości. Wcześniej rany były za świeże i nienawiść zbyt duża. Trzeba też pamiętać, że po okresie dyktatury wszystkich amnestionowano. Również lewicę, która była odpowiedzialna za krwawe zamachy. Nikt nie był więc za-



interesowany tym, aby mówić otwarcie całą prawdę i publicznie wskazywać winnych. Norbert Frei napisał książkę poświęconą polityce wobec przeszłości. Nie chodzi tu o pamięć, ale o reintegrację oprawców w społeczeństwie niemieckim. Przebiegała ona bardzo ciekawie. Zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie proces włączania członków NSDAP wyglądał podobnie. Powstało pytanie – jak reintegrować tych ludzi? Adenauer wiedział o tym bardzo dobrze. Tym bardziej że sam potrzebował ich głosów. To może wydawać się paradoksalne, ale trzeba to odbierać jako rodzaj dylematu – ci ludzie musieli zostać włączeni do reszty społeczeństwa. W NRD administracja radziecka założyła Narodowo-Demokratyczną Partię Niemiec, która istniała do upadku muru. Miała ona za zadanie pomaganie byłym członkom NSDAP w powrocie do nowego społeczeństwa. Ci, którzy byli skłonni budować socjalizm, otrzymali amnestię.

Jestem przekonany, że prędzej czy później wszystko będzie badane i o wszystkim będzie się dyskutować. Tylko nie można oczekiwać, że takie dyskusje pojawią się od razu po wydarzeniach będących przedmiotem dociekań. W 2000 roku zorganizowaliśmy w Warszawie konferencję o autorytaryzmie i totalitaryzmie w Europie. Mieliśmy wówczas ogromne trudności ze znalezieniem Hiszpana, który mógłby opowiedzieć o stosunku społeczeństwa do epoki gen. Franco. Teraz jest już jednak inaczej. Ten okres bada znacznie większa liczba historyków. I to jest naturalne.

Badania historyków wydają się zupełnie odrębnym tematem w przypadku wyjaśniania i interpretowania historii. Jeśli chodzi o wzajemne relacje Polski i Niemiec, wielokrotnie już słyszałem o tym, że historycy nie mają tu żadnych problemów. Tymczasem one wciąż się pojawiają. Gdzie tkwi źródło nieporozumień?

Dziesięć lat temu byłem jednym z inicjatorów powstania książki pt. *Stosunki polsko-niemieckie 1939–1945–1949*, pisanej wspólnie przez polskich i niemieckich historyków. Wydawało mi się wówczas, że ta dekada coraz mniej będzie przeszkadzać stosunkom polsko-niemieckim. Okazało się, że niestety się myliłem. Tym czego wówczas nie wiedziałem był po pierwsze fakt, że grupa Związku Wypędzonych przygotowuje centrum przeciwko wypędzeniom. Po drugie zaś nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak w Polsce nerwowo reaguje się na pamięć Niemców o własnych ofiarach z końca II wojny światowej. Pojawienie się tej tematyki zbiegło się ze sprawą Jedwabnego, tak że Polacy byli szczególnie wrażliwi. Wtedy to powstało przekonanie, że Niemcy piszą historię na nowo. To była całkowicie asymetryczna dyskusja. W Polsce przez pół roku dosłownie codziennie na pierwszych stronach gazet pisało o centrum przeciwko wypędzeniom, natomiast w Niemczech wspomniano o tym co sześć tygodni. I to na piątej stronie w formie krótkiej notatki o tym, że w Warszawie toczy się jakaś dziwna dyskusja. A sama Erika Steinbach była zupełnie nieznaną osobą.

Niemieccy historycy na pewno jednak znali jej poglądy i argumenty. Jak zostały one przez nich ocenione?

Fakt, że także niewinni Niemcy stali się ofiarami, jest czymś oczywistym. Tego nie wolno negować. Byłem wielokrotnie w Pforzheim, gdzie bardzo aktywnie działa



I spent my life hiding -
I guess it didn't work. 

stowarzyszenie polsko-niemieckie. To miasteczko w lutym 1945 r. zostało zbombardowane – zginęło prawie 18 tys. ludzi. Rozumiem, że mieszkańcy tego miasta o tym pamiętają, zadając sobie jednocześnie sprawę z tego, dlaczego do tego doszło. Tego nikt nie neguje! Bardzo dobrze o niemieckiej pamięci pisał redaktor „Tygodnika Powszechnego” Wojciech Pięciak. Obecną dyskusję nazywa trzecią falą. Pierwsza to zajmowanie się oprawcami, druga – ofiarami. Niemcy teraz widzą, że mieli także własne ofiary. Jest to zrozumiałe, o ile pamięta się, kto jest winny rozpętania II wojny światowej, o ofiarach Holokaustu i o niemieckiej polityce okupacyjnej.

Warto też spojrzeć na stosunki polsko-niemieckie od zewnątrz. My zauważyliśmy przede wszystkim problemy, które jeszcze mamy, ale dla innych państw i narodów sposób, w jaki uporaliśmy się z własną historią jest postrzegany jako wzór do naśladowania. Ukraińscy i rosyjscy historycy wielokrotnie pytali mnie o to, co robić, aby ich kontakty z Polską były równie dobre, jak np. stosunki między polskimi i niemieckimi historykami. Okazało się, że z naszych doświadczeń chcą korzystać również w Azji Wschodniej. Tam, np. w Seulu patrzy się na stosunki polsko-niemieckie przez pryzmat własnych bolesnych doświadczeń z okupacją japońską. Odmienne przedstawienie tej tragicznej historii w japońskich podręcznikach do dzisiaj jest tam źródłem bardzo poważnych konfliktów. Polacy i Niemcy są zapraszani do Korei i Japonii, aby pokazać, jak oni potrafią wspólnie przedstawić własną trudną historię.

Dochodzimy w tym miejscu do pytania o to, czy Niemcy rzeczywiście wszystko to pamiętają. Być może nieporozumienia rodzą się po prostu z niewiedzy. W rozmowach z młodymi Niemcami często z zaskoczeniem zauważałem, że myślą oni o powstanie warszawskie z powstaniem w getcie warszawskim. Jaka jest świadomość Niemców na temat ich własnej historii?

W zeszłym semestrze prowadziłem na uniwersytecie w Trewirze zajęcia na temat polityki historycznej w Polsce, Niemczech i Francji. Zajęcia cieszyły się olbrzymim zainteresowaniem studentów, ale praktycznie nikt nic na ten temat nie wiedział. W Niemczech nie uczy się w szkołach o powstaniu warszawskim. Niewiele jest też informacji o prowadzonej w Polsce polityce okupacyjnej. O ile można powiedzieć, że tragedia francuskiego miasteczka Oradour-sur-Glane, gdzie oddział SS wymordował 642 osoby, jest względnie znana, to w przypadku podobnych zbrodni w Europie Środkowo-Wschodniej i Południowej wiedza ta jest znikoma. Tak jest np. z Serbią czy Grecją. Niemcy nie mają żadnego pojęcia o tym, co się tam stało. Problem niewiedzy dotyczy jednak całej historii najnowszej. Podczas zajęć czytałem ze studentami stenogram z pierwszego posiedzenia Bundestagu z 1949 r. Było dla nich niezwykle zaskakujące, że prawie nic nie mówiło się wtedy o wojnie, a całe posiedzenie poświęcone zostało bieżącym problemom. Zauważyłem, że studenci w ogóle nie znają kontekstu. Dla nich nowością była także obserwacja tego, co mówiono o wojnie w przemówieniach z okazji rocznicy zakończenia wojny. Dla Adenauera w 1955 8 maja był najczarniejszym dniem w historii Niemiec, gdyż oznaczał on początek podziału kraju. Trzydzieści lat później – w 1985 – ta sama data była dla prezydenta von Weizsäckera dniem wyzwolenia.

Czy opracowywany właśnie wspólny polsko-niemiecki podręcznik do historii może pomóc w przełamaniu tej niewiedzy? Od kilku lat istnieje już podobny podręcznik niemiecko-francuski. Co on zmienił?

Widziałem pierwszy tom podręcznika niemiecko-francuskiego. Jego treść to okres po II wojnie światowej. Widać tam, jak różne podejście do prezentowania historii mają historycy tych dwóch krajów. Francuzi drukują dużo wykresów i tablic. Stawiają na suche fakty. Niemcy więcej problematyzują – jest dużo objaśnień, argumentów. Same daty i wydarzenia z nimi związane nie są wystarczające. W takiej formie książka ta nie może pełnić funkcji podstawowego podręcznika, ale może być dobrym suplementem. Tak pewnie będzie również z podręcznikiem polsko-niemieckim. Mam nadzieję, że przynajmniej dzięki niemu Niemcy poznają historię powstania warszawskiego. To byłoby już wiele.

Największy problem polega jednak na czymś zupełnie innym i związany jest ze strukturą systemu edukacji. W Niemczech każdy z landów przygotowuje go samodzielnie. Wprowadzenie jakiegokolwiek poprawki czy nowości jest więc bardzo skomplikowanym i długotrwałym procesem. Poza tym, podobnie jak w Polsce, w niemieckich szkołach zwykle brakuje czasu na nauczanie historii najnowszej. Stąd wynika m.in. problem z coraz częściej pojawiającymi się pozytywnymi opiniami o NRD. Jest to tym bardziej zaskakujące, gdy weźmie się pod uwagę liczbę opracowań i materiałów poświęconych powojennej historii Niemiec, a w szczególności NRD. Wydaje się, że prawie nikt ich nie czyta. Pojawienie się nowego podręcznika do historii będzie miało sens tylko wtedy, gdy będzie on używany. Być może historycy powinni częściej zabierać głos w mediach. Nawet jeśli pomiędzy naukowcami z Polski i Niemiec panuje zgoda co do faktów i na tej podstawie będziemy pisać piękne książki, to nic się nie zmieni, jeżeli będą one leżeć na półkach. ◀

Antykomunizm w postkomunistycznym kraju.

Jak tendencje progresywne stają się regresywnymi?

MAREK SEČKAŘ

W Republice Czeskiej nieustannie toczy się debata, czy wciąż jesteśmy krajem postkomunistycznym. Przedstawiciele różnych środowisk, zazwyczaj starający się zebrać argumenty udowadniające dlaczego nie jesteśmy już krajem postkomunistycznym, często opierają swoje opinie na fakcie, że niemal dwadzieścia lat po aksamitnej rewolucji nie ma już wielu problemów społecznych, które byłyby bezpośrednio połączone z komunistycznym okresem naszej historii. Ten argument wydaje się dość silny: podstawowe bolączki czeskiego życia politycznego i społecznego rzeczywiście można uznać raczej za owoce ostatnich dwóch dekad niż za rezultaty poprzedniego systemu. Z tego punktu widzenia rzeczywiście nie jesteśmy krajem postkomunistycznym. Jakkolwiek to podejście może być mylące. W końcu niewiele kłopotów, z którymi musieliśmy sobie radzić przez ostatnich dwadzieścia lat, może być uznane za bezpośrednie skutki wcześniejszych rządów; były one raczej efektem towarzyszącą politycznej i ekonomicznej transformacji oraz błędów czy przypadków rozmyślnego nadużycia władzy, które zdarzały się w czasie jej trwania. Zdaje się zatem, że opisanie tych zjawisk epitetem „postkomunistyczne” jest cokolwiek nieprecyzyjne. W każdym razie, jeśli chcemy określić, czy nasze społeczeństwo jest, czy nie jest postkomunistyczne, powinniśmy zdefiniować postkomunizm. Do tego zadania można podejść wielorako, ale niedługo zrozumiemy, że jedyna mniej lub bardziej rozumiała definicja wydaje się subiektywna: społeczeństwem postkomunistycznym jest to, które się za takie uważa.

Jeśli nawet pobieżnie spojrzymy na tematy aktualnego dyskursu politycznego i społecznego w Czechach, zauważymy, że o komunizmie dyskutuje się często i na bardzo różnych poziomach – począwszy od wnikliwych debat historycznych, skończywszy

na histerycznych wrzaskach i inwektywach. Mamy aż dwa instytuty badające zbrodnie komunizmu, mamy prawo lustracyjne i skandale dotyczące współpracy ze służbą bezpieczeństwa, mamy archiwa StB i gorącą debatę o sposobie ich upublicznienia, mamy nawet procesy przeciwko podejrzanym, ale także odznaczenia i słowa pochwały dla ofiar. W telewizji transmitowane są nostalgiczne programy, w których zapewnia się nas, że wcale nie było tak źle, że komunizm miał pewien urok. I w końcu, co nie jest pozbawione znaczenia, odczuwamy dumę i satysfakcję tych, którzy przeszli przez coś bardzo szczególnego, wiedzą lepiej, a ich doświadczenia nie daje się łatwo podważyć. Jedynym problemem jest to, że nie byliśmy w stanie dobrze wykorzystać tych doświadczeń i przekazać ich dalej. Występuje u nas także bardzo dziwne zjawisko. Jest nim rozmyślnie nadużywany antykomunizm.



Czescy komuniści mają stać się kimś innym i z tą nową tożsamością bronić swego istnienia w walce politycznej.

Nie dajcie się zmylić: uznając antykomunizm za zjawisko negatywne, nie mam na myśli wiarygodnych badań nad przeszłością czy jakichkolwiek prób znalezienia odpowiedzi na pytanie, dlaczego nasze społeczeństwo tak łatwo poddało się niebezpiecznej ideologii i dlaczego zaakceptowaliśmy ją bez żadnych zahamowań; nie mam też na myśli prób znalezienia, zidentyfikowania i – jeśli to możliwe – ukarania zarówno jednostkowych przestępców, jak i inicjatorów szerszych szkodliwych kontekstów. Nie jest moim zamiarem kiwać z aprobatą w stronę prezydenta

Vaclava Klauza, który jakiś czas temu skrytykował „ślepy antykomunizm” czeskich dysydentów lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, mówiąc, że to raczej „prości Czeši” z ich zewnętrzną zgodą, wewnętrznym szwejkowskim oporem i faktycznym pasożytnictwem byli kluczowi dla obalenia totalitaryzmu i stworzenia demokracji. Przez antykomunizm rozumiem pewne tendencje dostrzegalne wśród czeskich polityków i, często bez żadnych ograniczeń, przejmowane przez kręgi intelektualne. Tutaj wielokrotne, a bywa, że i niczym niepoparte, nawiązania do komunistycznej przeszłości weszły w modę, stały się tanim, łatwo dostępnym i chętnie używanym środkiem walki politycznej, irracjonalnym argumentem, peleryną odwracającą uwagę od rzeczywistych problemów i w następstwie hamującą i opóźniającą ich rozwiązanie. Tym właśnie zjawiskiem zajmę się w moim tekście.

Rewolucjoniści na emeryturze

Aby dokładniej przeanalizować to zjawisko, musimy przypomnieć szczególną pozycję partii komunistycznej w Czechach. W większości krajów byłego bloku wschodniego po przemianach roku 1989 partie komunistyczne były zmuszone zmierzyć się z dylematem przyszłego istnienia. Czy powinny wyciągnąć naukę z przeszłości i starać się naprawić swój wizerunek? Czy powinny trzymać się marksizmu-leninizmu jako jedynej prawidłowej ideologii? Czy powinny wyznać zbrodnie i błędy popełnione w imię tej ideologii? Czy powinny pozbyć się swoich niepopularnych liderów i zaoferować opinii publicznej nowe, bardziej obiecujące twarze? Większość partii rzeczywiście próbowała dokonać przemiany. Zmieniły one swoje nazwy i odtąd starały się zostać zwykłymi partiami w ustroju demokratycznym. Niektóre odniosły nawet sukces i mogą być uznane za zwyczajne ugrupowania o orientacji socjaldemokratycznej. Inne nie były w stanie dokonać przekonującej metamorfozy i w przeciągu kilku lat zniknęły z życia publicznego. Czescy komuniści – być może ze względu na brak reformatorskiego skrzydła wewnątrz partii – poszli do problemu na swój sposób: aby zachować

twarz i zabezpieczyć polityczne istnienie nie zrobili właściwie nic. Zachowali nazwę zawierającą słowo „komunistyczna”, odmówili wyrzeczenia się marksizmu-leninizmu jako swojej ideologii i walki klasowej jako środka do jej osiągnięcia. To prawda, że usunęli niektórych z najwyższych postawionych członków, ale zmianie tej nie towarzyszyła wewnętrzna refleksja. Wciąż uważają czterdzieści lat rządów komunistycznych za okres, któremu, oprócz kilku „błędów”, nie można nic zarzucić. Znając przeszłość, możemy stwierdzić, że czescy komuniści wybrali najlepszą metodę, by przetrwać na scenie politycznej. Nie tylko wciąż działają jako w pełni sprawna partia parlamentarna, ale cieszą się także stabilnym poparciem oscylującym między dwunastoma a piętnastoma procentami, a czasami sięgającym nawet dwudziestu procent głosów.

Teoretycznie, według statutu i programu wyborczego, czescy komuniści są, tak jak ich prekursorzy, rewolucyjną partią dążącą do radykalnych zmian społecznych i ekonomicznych, przejścia nieograniczonej władzy i wprowadzenia dyktatury proletariatu. Praktyka jest jednak inna: w rzeczywistości partia komunistyczna nie oferuje w tym zakresie żadnego pozytywnego programu, a w walce politycznej zadowala się okazjonalnym utrudnianiem wysiłków innych partii (członkostwo w NATO, negocjacje z Unią Europejską, problemy dotyczące amerykańskiego radaru *etc.*). W kwestiach, które z jej punktu widzenia nie są jednoznacznie kontrowersyjne, ugrupowanie zdaje się dość rozsądną siłą polityczną. Jawi się jako partia zdolna zasiąść do konstruktywnych negocjacji. Jednak trudno sobie wyobrazić, że w obecnym stanie i z tymi ludźmi na czele mogłaby ona stać się awangardą rewolucji proletariackiej, przejąć władzę siłą, utrzymać ją przez dłuższy czas i dokonać istotnych zmian w całym społeczeństwie. Dużo bardziej prawdopodobne jest to, że jej główne zmartwienie stanowi stabilna egzystencja w obecnym systemie, rozsądny udział we władzy i wygodne życie dla jej reprezentantów.

Jak to możliwe, że partia wykazująca tak dużą rozbieżność między deklarowanymi celami i rzeczywistą linią może nie tylko przetrwać, ale utrzymać stabilne

poparcie wyborców? W końcu nie ma ona żadnych rozpoznawalnych postaci publicznych, nie jest w stanie przyczynić się w istotny sposób do debaty o problemach czeskiego społeczeństwa, nawet na promocję wydaje dużo mniej pieniędzy niż jej polityczni rywale – krótko mówiąc, w wielu kwestiach korzysta z darmowej przejażdżki. Możliwe, że odpowiedzi na to pytanie należy szukać nie w samej partii komunistycznej, ale w postawach przybieranych wobec komunistów zarówno przez reprezentantów innych ugrupowań, jak i sporą część czeskiego społeczeństwa.



Czy nie byłoby lepiej dopuścić komunistów do demokratycznej dyskusji i pozwolić im bronić swoich poglądów?

Partia komunistyczna oficjalnie jest poddawana ostracyzmowi. Większość tak zwanych partii demokratycznych w wewnętrznych regulacjach zabroniła sobie współpracy z komunistami na poziomie parlamentarnym. Zapobieżenie ponownemu przejściu przez nich władzy jest zazwyczaj deklarowane jako jeden z naczelných celów politycznych, co więcej, stanowi ono główny warunek jakichkolwiek negocjacji, do którego dostosowuje się pozostałe punkty. Komuniści nie są uważani za równorzędnego partnera i wielokrotnie bywają określani jako jedno z największych zagrożeń, z którymi czeska demokracja jest zmuszona się zmierzyć. Każdą możliwą zmianę tego radykalnego stanowiska obarczono kilkoma wymogami: partia komunistyczna musi najpierw zdystansować się od przeszłości, zacząć szanować zasady demokratycznej konkurencji politycznej i jednoznacznie wytłumaczyć się ze zbrodni (nie „błędów”), które popełniła w przeszłości. Innymi słowy, czescy komuniści mają zrobić to, co zrobiły partie komunistyczne w innych krajach: stać się kimś innym i z tą nową tożsamością bronić swego istnienia w walce politycznej.

Oczywiście komuniści nie chcą niczego podobnego, wówczas bowiem zamieniliby się w swoich najgorszych wrogów. Istniejąca konstelacja zapewnia im, przynajmniej na razie, wygodne egzystowanie bez konieczności wymyślania i wprowadzania w życie jakiegokolwiek programu politycznego. Co więcej, zdają sobie sprawę, że niekończące się ataki z zewnątrz nadają ich partii konieczną siłę, etos, którego nie są w stanie stworzyć za pomocą twórczej pracy wewnątrz ugrupowania. Z tego powodu czeska partia komunistyczna jest negatywistyczna w więcej niż jednym znaczeniu.

Ten odwieczny ostracyzm daje komunistom jeszcze jedną przewagę. W atmosferze sceptycyzmu i zawiedzenia życiem politycznym – które Vaclav Havel trafnie kiedyś nazwał „ponurym nastrojem” będącym od tego czasu prawdopodobnie chroniczną chorobą czeskiego społeczeństwa – partia komunistyczna, dzięki swojej izolacji, jest jedyną siłą polityczną nie idącą na kompromis i nie mającą udziału we wszechobecnym brudzie. Jest to ugrupowanie, które, wbrew swojemu silnemu elektoratowi, w ciągu ostatnich dwudziestu lat nigdy nie uczestniczyło w sprawowaniu władzy; dzięki temu nigdy nie miało okazji „zdradzić” wyborców czy złamać obietnic wyborczych i jako takie pozostaje w oczach niektórych ludzi wzorem czystości i uczciwości. Dodajmy, że ideologia komunistyczna zawsze cieszyła się relatywnie silnym poparciem czeskiego społeczeństwa (odmiennie niż w innych krajach, tutaj nigdy nie uznawano jej za produkt sowiecki), i nagle nie ma już potrzeby pytać, dlaczego czescy komuniści ciągle mogą polegać na przyzwoitej liczbie wiernych wyborców.

Kryzys brneński

Te fakty są oczywiste. Dlaczego w takim wypadku „demokratyczni” reprezentanci polityczni trzymają się swoich bezlitosnych ataków werbalnych i teatralnie deklarowanych poglądów antykomunistycznych, jeśli ich głównym celem jest, jak to ujmują, położenie definitywnego kresu dziedzictwu komunizmu? Czy nie byłoby lepiej przyjąć bardziej ugodowe podejście, dopuścić komunistów do demokratycznej

dyskusji i pozwolić im bronić swoich poglądów? Czy nie opłacałoby się bardziej tym partiom zostawić komunistom miejsce w procesie decyzyjnym i rozwiązać w ten sposób aurę jedynych nieubrudzonych? Jeśli przyjrzymy się sytuacji bliżej, widzimy, że ostre antykomunistyczne ataki czeskich polityków, oprócz małych wyjątków, są raczej słowne niż faktyczne, mierzą raczej w symbole niż w rdzeń i jako takie same w sobie są symboliczne i przede wszystkim kompletnie bezżębne.



Dzisiejsza partia komunistyczna nie wydaje się szczególnie niebezpieczna dla czeskiego społeczeństwa.

Naprawdę bezżębne? Mogą być tak nazwane tylko o tyle, o ile mowa jest o problemie komunizmu w społeczeństwie czeskim i o sposobach, dzięki którym radzi sobie ono z przeszłością. W rzeczywistości można je też uznać za dobrze przemyślaną aktywność, której celem jest odciążenie uwagi od rzeczywistych problemów społecznych lub zdobycie kilku więcej punktów w codziennej walce politycznej.

Czasami wysiłki te przybierają naprawdę groteskowe kształty. Pozwolę sobie wspomnieć przykład, o którym czeska prasa dyskutowała przez kilka miesięcy. Rzut kamieniem od miejsca, gdzie mieszkam, w brneńskiej dzielnicy Královo Pole znajduje się mały, ukryty park, a w nim skromny pomnik żołnierzy Armii Czerwonej, którzy zginęli, uwalniając tę część miasta w kwietniu 1945. Po 1989 okolica ta przez lata była zaniedbana, a zdobiący pomnik symbol Armii Czerwonej, to znaczy pięcioramienna gwiazda z sierpem i młotem, zdawał się nikomu nie przeszkadzać. Ale niedawno rada gminy zrozumiała, że to zapomniane miejsce przynosi okolicy wstyd, i postanowiła odnowić monument. Poproszono o opinię biuro odpowiedzialne za zachowanie historycznych pomników, które poradziło odrestaurować go w obecnym stanie, to jest wraz z symbolami Czer-

wonej Armii. Tak też zdecydowała się postąpić gmina i prywatna firma została wyłoniona, aby wykonać to zadanie. Na razie wszystko w porządku. Jednak jeden z radnych, członek tej samej partii, która podjęła decyzję, nie zgadzał się z tym i zaczął działać na własną rękę. Uzbrojony w szlifierkę natarł na monument i ostentacyjnie usunął z niego znienawidzone symbole; kiedy na miejsce dotarła policja ostentacyjnie pozwolił się aresztować i ostentacyjnie zapłacił nałożoną grzywnę (raczej symboliczną, wzięwszy pod uwagę jego realne dochody).

Pragmatyzm tego zachowania rzuca się w oczy. Praktycznie nieznanego lokalnego polityka dokonuje pozornie bohaterskiego czynu, który jednak nie wiąże się dla niego z żadnym ryzykiem, i zdobywa natychmiast zainteresowanie mediów, jakiego nie byłby w stanie uzyskać w ciągu lat ciężkiej politycznej pracy. Zaskakujące jest zatem, jaką reakcję wzbudziło to celowe działanie nie tylko wśród polityków, ale także w kręgach intelektualnych. Rada gminy obstawała przy poprzedniej decyzji i z powrotem umieściła gwiazdę z sierpem i młotem na monumencie (tym razem nie wycięte w kamieniu, ale brązowe). Wokół samozwańczego komunisty utworzyła się jednak grupa, która nie zamierzała zaakceptować niczego podobnego. Jako argument podali, że symbolem Armii Czerwonej była prosta gwiazda bez sierpa i młota (co nie jest prawdą). Stwierdzili, że w kraju, który przez czterdzieści lat niszczyli komuniści, takie symbole na pomnikach są niedopuszczalne (jak gdyby w kraju nie było dziesiątek podobnych monumentów), i porównali tę sytuację do takiej, w jakiej monument upamiętniający niemieckich żołnierzy zabitych podczas drugiej wojny światowej byłby udekorowany Hakenkreuzem. Incydent został potępiony przez ambasadę rosyjską, odkąd pewne głosy zaczęły porównywać „kryzys brneński” z sytuacją powstałą w rezultacie przenosin sowieckiego pomnika w estońskim Tallinie jakiś czas wcześniej. Jeśli owo porównanie cokolwiek pokazuje, to tylko irracjonalność i nieodpowiedniość tej antykomunistycznej hysterii. Po pierwsze, inaczej niż w Estonii, w Czechach nie istnieje znacząca mniejszość rosyjska. Po drugie, podczas gdy w Estonii rzeczywiście można dyskutować, czy sowieccy

żołnierze, którzy wypchnęli Niemców z kraju, byli wyzwolicielami czy najeźdźcami, ewidentne jest, że w Czechach sowieccy żołnierze przybywający w 1945 stanowili niewątpliwie wyzwolicieli – społeczeństwo czeskie tak ich postrzegało i jako takich powitało ich z należytą radością.

Dyskusja o komunistycznych symbolach na sowieckim monumencie nie miała się jednak skończyć tak łatwo. Więcej ludzi wyruszyło na memoriał, między nimi kilka osób, które wysoko sobie cenię, tyle że tym razem uzbrojonych nie w szlifierki, ale w pędzle i klej, aby zakleić nienawistne symbole portretami Milady Horákové, jednej z pierwszych i najsłynniejszych ofiar komunistycznej dyktatury. Policja – zdezorientowana i pełna wahania – znów przybyła, aby aresztować i nakładać grzywny. Wszystko to działo się nad głowami dziesiątek zabitych żołnierzy, którym nikt nie poświęcał uwagi, żołnierzy, którzy kiedyś przybyli z daleka po to, aby zginąć, uwalniając kompletnie nieznane sobie miasto z rąk nazistów.

Jeśli przyjrzymy się dzisiejszej czeskiej scenie politycznej, możemy łatwo zidentyfikować problemy, które najbardziej na niej ciążyą. Są wśród nich: populistyczne linie liderów politycznych, ich absolutna nieumiejętność negocjacji ze sobą na wzajem i szukania kompromisu, agresywność i zerowa kultura polityczna, pozbawiona skrupułów korupcja i oddalenie od reprezentacji elektoratu; w szerszym kontekście społecznym – wciąż rosnące w siłę manifestacje rasizmu i ekstremizmu, przeciwko którym ani rząd, ani policja, nie są w stanie działać, i inne negatywne zjawiska. Ta lista daleka jest od bycia wyczerpującą, ale co do jednego nie istnieją wątpliwości: żadna z zawartych na niej rzeczy nie ma nic wspólnego z czeskim dziedzictwem komunizmu. Niemniej jednak antykomunistyczne postawy czeskich parlamentarzystów

i intelektualistów opierają się na założeniu, że to komunistyczne dziedzictwo samo w sobie jest najważniejszym problemem dzisiejszego społeczeństwa Czech, odciągając jedynie uwagę od prawdziwych problemów i utrudniając ich rozwiązanie. Amunicją, której używają, jest głównie werbalna, a ich teoretyczny cel stanowi partia komunistyczna; ona jednak, w swoim zamknięciu i politycznej izolacji, pozostaje odporna na działanie tej broni czy nawet na niej zyskuje. Niewątpliwie dzisiejsza partia komunistyczna nie wydaje się szczególnie niebezpieczna dla czeskiego społeczeństwa; możemy nawet powiedzieć, że jej istnienie jest cokolwiek zyskowne: wiąże ona ze sobą chronicznie zawiedzionych i ekstremistycznie zorientowanych członków elektoratu, których czyni nieefektywnymi dzięki swojej totalnej niezdolności do działania.

Nie bez przesady możemy powiedzieć, że bezcelowe (czy przeciwnie: celowo opacznie wykorzystywane) postawy antykomunistyczne mogą być uznawane za jeden z symptomów społeczeństwa postkomunistycznego, które nie jest w stanie określić swoich najbardziej palących problemów i zamiast patrzeć na teraźniejszość i przyszłość, pozostaje związane z przeszłością i jej od dawna już nieistotnymi sprawami. Mimo to nie możemy przypuszczać, że sytuacja ta zostanie naprawiona, kiedy przyjdzie czas. W końcu ktoś kto chce uporać się ze swoją przeszłością musi najpierw zrobić krok naprzód. ◀

Marek Sečkař

(1973), od 2001 redaktor miesięcznika „Host”, autor artykułów poświęconych polityce, kulturze, literaturze i sztuce, w takich pismach jak „Host”, „Tvar”, „Literární noviny”, „Lidové noviny”, „Právo”, „Mladá Fronta Dnes”, „Poslední generace”, etc.

O nowy model opowiadania

– koncepcje muzeum XXI wieku

MARCIN WILKOWSKI

Tradycyjny model muzeum jako świeckiej świątyni narzucającej społeczeństwu jedynie słuszny jednolity obraz rzeczywistości i uniwersalną interpretację historii odszedł w przeszłość. W dyskusjach o muzeum XXI wieku pojawia się koncepcja muzeum jako platformy, które dla wielokulturowego społeczeństwa staje się jednym z wielu alternatywnych źródeł tożsamości. Nowoczesne muzeum, redukując dystans między odwiedzającym a instytucją, ma zapraszać go do współpracy, a publikując swoje zasoby *online*, zwiększa zasięg oddziaływania i inspirować nowe formy edukacji.

7 lipca tego roku w Londynie z okazji 60. rocznicy powstania wydawnictwa Thames & Hudson odbyło się spotkanie, którego gośćmi byli Neil MacGregor, dyrektor British Museum, oraz Nicholas Serota, dyrektor brytyjskiego muzeum sztuki nowoczesnej Tate. Zorganizowana przez London School of Economics and Political Science debata między dwiema czołowymi figurami brytyjskiego muzealnictwa (co podkreślił już na wstępie prowadzący spotkanie John Wilson) dotyczyć miała koncepcji funkcjonowania instytucji muzeum w XXI wieku. Chyba trochę wbrew oczekiwaniom wypowiedzi obu gości sprowadzały się w znacznej mierze do analizy bieżącej kondycji organizacyjnej i finansowej prowadzonych przez nich instytucji – także z perspektywy zmian, jakie nastąpiły w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Niestety nieco mniej miejsca poświęcono wizjom przyszłości projektów muzealnych w kolejnych dekadach XXI wieku. Uwagi MacGregora i Seroty dotyczące funkcjonowania współczesnego systemu muzealnego i wyzwań, jakie stawia przed nim nowoczesne, wielokulturowe, zglobalizowane społeczeństwo, są jednak bardzo cenne. Mogą one stanowić doskonały

punkt wyjścia do dyskusji o polityce muzealnej także z polskiej perspektywy.

Kulturowa dyplomacja

Obaj występujący w londyńskim Sheikh Zayed Theatre goście od początku podkreślali swój emocjonalny stosunek do misji prowadzonych przez siebie instytucji. Neil MacGregor przyznał wprost, jak ogromną przyjemność daje mu osobisty kontakt z unikalnymi historycznymi artefaktami przechowywanymi w British Museum i jak lubi oglądać tłumy każdego dnia odwiedzające to muzeum. Nicholas Serota podkreślał wyjątkowość Londynu – miasta, w którym wielokulturowa publiczność dzięki muzeom i galeriom ma dostęp do niezwyklej zasobów historii i sztuki wielu narodów i cywilizacji. Podczas tego spotkania wątek wielokulturowego społeczeństwa jeszcze wiele razy pojawiać się będzie w wypowiedziach obu dyskutantów. Społeczeństwo funkcjonujące w rzeczywistości nieustannej, dynamicznej wymiany kulturowej (tak wyraźnie widocznej z perspektywy Londynu), korzystające z narzędzi internetowych do komunikacji o niemal nieograniczonym zasięgu, redefiniuje model funkcjonowania muzeum.

Tradycyjny XIX-wieczny schemat muzeum jako świątyni sztuki i historii, umacniającej jednorodną tożsamość narodową przestał być aktualny. Współcześnie muzeum – jak podkreśla Neil MacGregor – ma być formą inspiracji, źródłem wzorców i wielokulturowych perspektyw. Z drugiej strony ma ono obowiązek transmitowania dziedzictwa historycznego i kulturowego poza granice macierzystego narodu – stąd postulaty udostępniania kolekcji online z odpowiednio przygotowanymi opisami pozwalającymi zrozumieć je osobom spoza europejskiego kręgu językowego i kulturowego. To także kwestia polityki



wypożyczeń kolekcji, która – mimo nowych możliwości logistycznych – wciąż napotyka różnorodne ograniczenia.

Przykładem tego jest zasygnalizowana w toku dyskusji sprawa aktualnego sporu między British Museum a rządem Grecji, działającym w imieniu otwartego w czerwcu nowego muzeum na Akropolu. Problem dotyczy marmurów partenońskich (Marmury Elgina), które 270 lat temu zostały w brutalny sposób usunięte z Akropolu i wywiezione do Anglii przez brytyjskiego arystokratę, Tomasza Bruce'a lorda Elgin. British Museum zgodziło się na możliwość regularnego wypożyczania tego zabytku ateńskiemu muzeum, jednak taką ofertę zablokowało greckie ministerstwo kultury. Grecy ewentualną akceptację oferty Brytyjczyków uznali za „legitymizowanie porwania” tego wyjątkowego zabytku. Dążenie do przejęcia własności nad marmurami partenońskimi argumentuje się także faktem, że zgoda na wywóz zabytku została wydana, kiedy Grecja znajdowała się pod okupacją turecką.

Neil MacGregor podał jednak i pozytywne przykłady międzynarodowej współpracy między muzeami. Kierowana przez niego instytucja od początku konfliktu irackiego (kwiecień 2003) angażuje się w ratowanie zabytków i współdziałanie z muzeum w Bagdadzie. Ważnym elementem nowoczesnej strategii „kulturowej dyplomacji” jest Internet. Przygotowana przez British Museum wirtualna wystawa prezentująca zabytki arabskiej kaligrafii została sporządzona na prośbę jednego z uniwersytetów na Bliskim Wschodzie, którego studenci mogą teraz przeglądać zasoby tej kolekcji bez konieczności fizycznego przebywania w londyńskim muzeum.

Muzeum jako nadawca i platforma komunikacji

Temat Internetu pojawiał się okazjonalnie w wypowiedziach obu zaproszonych do Sheikh Zayed Theatre ekspertów. Nie oznacza to jednak, że nie doceniają oni potencjału tego medium. Wydaje się, iż w ich ocenie zaangażowanie muzeum w działania w Internecie to jedna z wielu potencjalnych strategii

funkcjonowania instytucji tego typu we współczesnym społeczeństwie. Nie jedyna i z pewnością nie najistotniejsza.



Muzea publikujące w Internecie duże kolekcje zdigitalizowanych zasobów wzbogacają globalną sieć.

Ewolucja modelu muzeum – z tradycyjnej świątyni sztuki do platformy prezentacji i dyskusji nad wielokulturowym dziedzictwem – dokonuje się dzięki nowym możliwościom komunikacyjnym: od szybszego i bezpieczniejszego transportu kolekcji aż po globalną sieć. Internet to nie tylko nowa forma prezentacji zasobów muzealnych w wersji cyfrowej. To potrzeba stworzenia nowych metod edukacji historycznej i kulturowej, angażujących społeczność aktywną online. Szkoda, że obaj dyskutanci szerzej nie podjęli tego wątku – jest przecież o czym mówić. Postępy w procesie digitalizacji zasobów dziedzictwa kulturowego są coraz większe (mimo oczywistych barier, takich jak represyjne prawa autorskie), zmienia się też schemat dystrybucji wiedzy. Telewizja i Internet – szczególnie dla młodego pokolenia – stają się głównymi źródłami informacji o historii, wpływają też na charakter tego przekazu (spłaszczając go, estetyzując czy nadając mu wymiar sensacyjny, tak oczekiwany przez masowego odbiorcę). Ta nowa sytuacja stawia przed muzeum nowe wyzwania. Nick Sarota, wypowiadając się na temat modelu edukacyjnej działalności, prognozuje, że w ciągu kolejnych 10-15 lat instytucja muzeum stanie się platformą międzykulturowej konwersacji, narzędziem wymiany idei. Platforma ta nie będzie w stanie funkcjonować bez odpowiednio intensywnego wykorzystania Internetu, nie tylko do publikowania zdigitalizowanych zasobów, ale także do dynamicznej bezpośredniej komunikacji między odwiedzającymi a pracownikami muzeum, edukatorami, kuratorami (blogi, serwisy społecznościowe itp.).

Dobrym przykładem funkcjonowania takiej platformy jest jeden z projektów Powerhouse Museum w Sydney. Podczas spotkania w Sheikh Zayed Theatre nie wspomniano o tej inicjatywie, jest ona jednak interesującym dowodem pokazującym potencjał Internetu nie tylko jako platformy publikowania cyfrowych wersji muzealnych kolekcji. Pracownicy australijskiego muzeum intensywnie działają w cyfrowej rzeczywistości: muzeum obecne jest na Facebooku, publikowane są blogi i podcasty, udostępniane nagrania video. Muzeum otwiera się też na aktywne społeczności internautów: w ramach wikipedystycznego projektu *Backstage pass* lokalni wikipedyści zaproszeni zostali do odwiedzenia muzeum: oprowadzono ich po ekspozycji oraz pokazano miejsca związane z funkcjonowaniem Powerhouse Museum, do których na co dzień mają dostęp jedynie osoby w nim pracujące. Finałem spotkania była dyskusja, podczas której omawiano możliwości wykorzystania zasobów muzeum w hasłach budowanych w ramach Wikipedii, spierano się na temat poszczególnych zasad redakcyjnych i zastanawiano, jak intensywnie muzeum może promować się w ramach tego serwisu. Ważnym elementem debaty były też problemy prawne związane z licencjonowaniem fotografii wykonywanych przez wikipedystów w instytucjach muzealnych i publikowanych następnie w Wikipedii.

Muzeum jako dysponent praw do dziedzictwa?

Jedno z najważniejszych wyzwań stojących przed muzeum w XXI wieku stanowi przestarzały, nienadający się za zmieniającymi się realiami dystrybucji dóbr kultury system praw autorskich. Szkoda, że podczas londyńskiej dyskusji nie podjęto tego tematu.

Muzea publikujące w Internecie duże kolekcje zdigitalizowanych zasobów wzbogacają globalną sieć. Materiały dostępne dotąd jedynie dla osób fizycznie odwiedzających muzeum oglądać teraz mogą internauci na całym świecie. Bezpośredni kontakt z kolekcją, możliwy w przestrzeni galerii, oznacza zazwyczaj mniej lub bardziej pasywne oglądanie określonego przedmiotu, ewentualnie dyskusowanie nad nim

w gronie kilku osób lub wsłuchiwanie się w opowieść przewodnika. Tymczasem ten sam przedmiot, udostępniony w Internecie w wersji cyfrowej nie dość, że może być właściwie bez ograniczeń kopiowany i umieszczany na dowolnej ilości stron internetowych, to jeszcze potencjalnie stać się może podstawą wielu edycji, remiksów, kolaży, tworzonych przez internautów posiadających przynajmniej podstawowe kompetencje związane z edycją grafiki. Czy muzeum prowadzące program digitalizacji zbiorów przygotowuje się na takie sytuacje?



Czy Muzeum angażujące się w ahistoryczne popkulturowe produkcje nadal wypełnia swoją rolę?

Amerykański wikipedysta Derrick Coetzee ze strony londyńskiej National Portrait Gallery skopiował trzy tysiące zdigitalizowanych reprodukcji obrazów należących do domeny publicznej. Materiały te zostały udostępnione w repozytorium Wikipedii, gdzie wykorzystuje się je do ilustrowania artykułów biograficznych. Tymczasem prawnicy National Portrait Gallery wystosowali do niego oficjalne pismo, w którym zażądali wykasowania z serwerów Wikipedii przygotowanego zestawu grafik. Powołali się na brytyjskie przepisy, pozwalające objąć prawem autorskim reprodukcje utworów z domeny publicznej. Amerykańskie prawo z kolei nie przewiduje takiej możliwości. W obronę Coetzee'ego zaangażowała się Electronic Frontier Foundation, działania prawników wynajętych przez National Portrait Gallery wspiera British Association of Picture Libraries and Agencies.

Spór ten stał się inspiracją nie tylko do pytań o granice domeny publicznej (która na przykład w Polsce nie jest nawet prawnie definiowana), ale także o model funkcjonowania publicznych instytucji realizujących projekty digitalizacyjne. National Portrait Gallery wydał na ucyfrowienie kolekcji milion funtów. Czy w zupełności rozwiewa to wszelkie



etyczne wątpliwości co do obejmowania dziedzictwa kulturowego (stanowiącego własność publiczną) prawem autorskim? Podobne kontrowersje związane z blokowaniem przygotowywania przez wikipedyistów dokumentacji fotograficznej zabytków Wawelu pokazują, że problem dotyczy też polskiego systemu muzealnego.

Multimedia i przemoc obrazu

Zastanawiając się nad nowoczesnym modelem muzeum, trudno nie zwrócić uwagi na potencjał multimediów jako formy prezentacji zbiorów. Rozwiązania wykorzystujące dźwięk, hologram, animację czy algorytmy, wchodzące w interakcję z odwiedzającym to nowe formy wizualizacji, która – jak przekonuje w swojej książce *Computers, Visualization and History* David J. Staley – może być alternatywą tradycyjnej „pisanej” narracji historycznej. Polskim przykładem najbardziej zaawansowanej pod tym względem instytucji jest Muzeum Powstania Warszawskiego, tak często obecne w popularnych dyskusjach o nowoczesnym muzealnictwie.

Warto jednak krytycznie spojrzeć na ten nowy trend. Z jednej strony mamy bowiem atrakcyjne formy angażowania odbiorców w korzystanie z zasobów muzeum, z drugiej – potencjalną możliwość zagłuszenia przez nowoczesne rozwiązania oryginalnej muzealnej opowieści.

Dziennikarki Marta Budkowska i Karolina Wigura w jednej z opublikowanych w Internecie relacji piszą: „Muzeum Żydowskie w Berlinie to gra obrazków. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Zwiedzający jest przecież dzieckiem (przynajmniej swoich czasów), a te najlepiej czują się w wirtualnej rzeczywistości Internetu i gier komputerowych. Odbiorcy tak spreparowanego przyjaznego przekazu, komfort może zapewnić tylko kultura obrazkowa. To nie musiałoby być złe – w końcu muzea powinny dostosowywać się do zwiedzających, by umożliwić im jak najpełniejszy odbiór ekspozycji. Obrazkowe i multimedialne jest

również muzeum w Yad Vashem, ale nie wpływa to negatywnie na jakość wystawy. W berlińskim muzeum jednak obrazkowość idzie w parze z zapobiegliwą infantyлизacją odbiorcy. Muzeum przypominając grę komputerową, niepostrzeżenie przekształca w nią samą Zagładę. Przez kolejne zadania rozłożone z umiarem na piętrach-poziomach przechodzi się, nie będąc zmuszonym do wzięcia za cokolwiek odpowiedzialności. I zupełnie jak w rozkodowanej grze nie traci się życia”¹.

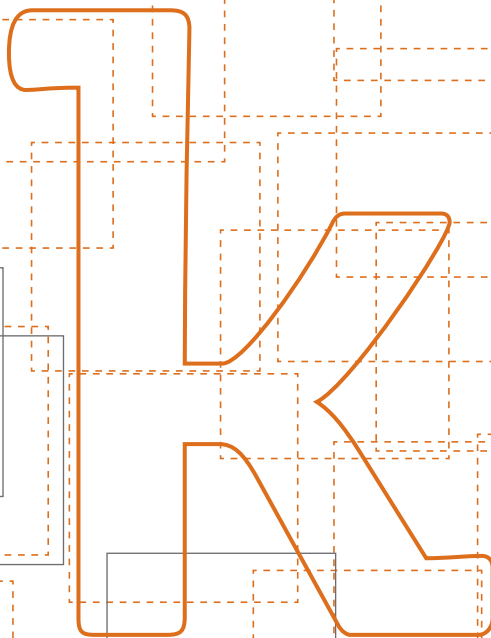
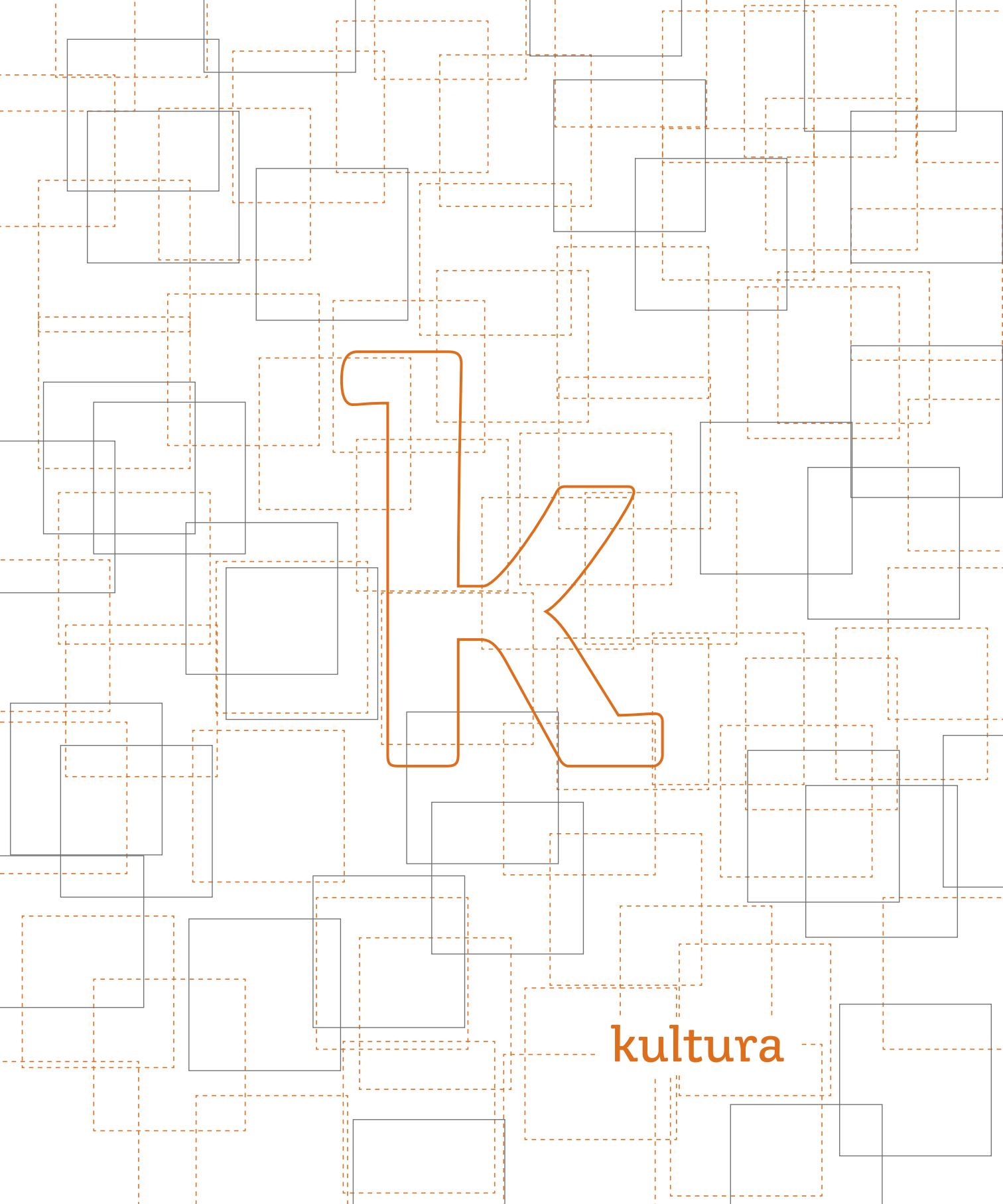
Jakie są granice infantyлизacji muzealnego przekazu? Czy zajęcia rysunkowe dla dzieci odwiedzających Muzeum Powstania Warszawskiego to jeszcze popularyzacja i próba zainteresowania historią, czy też może forma nieetycznego spłaszczania pamięci tragicznych wydarzeń z 1944 roku? Czy Muzeum angażujące się w ahistoryczne popkulturowe produkcje (*Hardkor 44* Tomasza Bagińskiego) nadal wypełnia swoją rolę?

W tle tych kontrowersji zauważyć warto jeszcze głos Janiny Struk. W swojej wspaniałej książce *Holocaust w fotografiach* analizuje ona podstawowe formy wykorzystywania fotografii w dokumentowaniu i upamiętnianiu Zagłady. Przekonuje, że obraz utrwalony na kliszy mógł być też – na poziomie symbolicznym – elementem eksterminacji. Swoją książkę kończy gorzką uwagę dotyczącą reprodukcji zdjęć ofiar Holocaustu. Czy mamy prawo swobodnie powielać wizerunki czyjegoś cierpienia? Czy w ten sposób symbolicznie nie stajemy po stronie oprawców? ◀

Marcin Wilkowski

(1981), autor projektu Historia i Media (historiaimedia.org), absolwent Instytutu Historii na Uniwersytecie Gdańskim, koordynator projektów internetowych Ośrodka KARTA, uczestnik Interdyscyplinarnego Programu Doktorskiego Collegium Civitas. Zainteresowania: Internet w badaniach, edukacji i upamiętnianiu historii, oddolne historyczne inicjatywy edukacyjne (*citizen historians*), perspektywę *Digital humanities*. Strona domowa: wilkowski.org.

1. Marta Budkowska, Karolina Wigura, *Gra w Holocaust. Uwagi o Muzeum Żydowskim w Berlinie* [online]. Dostępny w Internecie: <http://kulturaliberalna.pl/2009/03/01/183/> [dostęp: 8.09.2009].



kultura

Kto istnieje, a kto nie, w polskim dyskursie II wojny światowej?

JOANNA OSTROWSKA

*Są hamulce świadomości narodowej,
które utrudniają przyjęcie prawd bolesnych.*

Paweł Machcewicz¹

*Zdziecinnienie kombatanatów i zmilitaryzowanie
dzieci to powszechne zjawisko, zdecydowanie
nieprzynoszące nam chluby. Zwłaszcza w XXI wieku.*

Maria Janion²

W połowie sierpnia 2009 roku nowo powstające Muzeum II Wojny Światowej zleciło Pentorowi zrobienie badań dotyczących pamięci i wiedzy Polaków o wojnie. Ich wyniki prawdopodobnie dla nikogo nie były zaskakujące. Badacze, głównie socjologowie, przeprowadzili na terenie Polski liczne sondaże, dodatkowo uzupełniając je rozmowami i dyskusjami, które odbyły się w różnych częściach kraju (Warszawa, Katowice, Przemyśl, Gdańsk), zaznaczając przy tym różnicę doświadczeń. Obraz polskiej pamięci wojny, jaki wyłonił się z tych badań, wywołał oczywiście liczne polemiki na łamach m.in. „Gazety Wyborczej” czy „Rzeczpospolitej”, których ton potwierdził jedynie istnienie głównych punktów sporu o polską historię sprzed siedemdziesięciu lat.

Omijając zatem część znanych argumentów dotyczących polskiego „pamiętania” tamtego okresu,

które pojawiają się zawsze przy okazji ważnych rocznic historycznych czy publikacji „niebezpiecznych książek” (np. Jana Tomasza Grossa *Sąsiedzi, Strach*), skoncentruję się na głównych тезach tych badań. Myślę, że będzie to bardzo uczciwy punkt wyjścia do dalszych rozważań na temat tego, kto istnieje, a kto nie, w polskim dyskursie powojennym, czy też, co wolno mówić o Polakach z okresu II wojny światowej, a co pozostaje w sferze tabu.

Polska pamięć o II wojnie światowej

Narody są tym bardziej wiarygodne, im dokładniej pamiętają o wyrządzonej w ich imieniu krzywdzie [zaznaczenie – J.O.]. Dlatego narodowa świadomość nie może znaczyć wyizolowanej świadomości, lecz racjonalną samoidentyfikację w procesie wzajemnego uznania i interakcji z innymi narodami³.

W 2009 roku nie mamy już do czynienia z lansowanym w okresie PRL-u obrazem wojny Polski (członka przyszłego „bloku wschodniego”) z hitlerowskimi Niemcami. Takie ujęcie najważniejszego konfliktu XX wieku zostało całkowicie wyrugowane z pamięci Polaków. Jego miejsce zajęła wizja podtrzymywana również w okresie komunizmu, choć istniejąca niejako „w ukryciu”, związana z bohaterstwem, heroizmem i mitem II wojny światowej. Maria Janion, w cytowanym przeze mnie na samym wstępie wywiadzie, niezwykle odważnie,

1. Cyt za: Wojciech Szacki, *Popłataną pamięć o II wojnie* [online]. Dostępny w Internecie: http://wyborcza.pl/1,75478,6936373,Poplata_na_pamiec_o_II_wojnie.html [dostęp: 21.08.2009].
2. Maria Janion o początku wojny. *Kłęska jest kłęską*, wywiad Kazimiery Szczuki z Marią Janion, „Gazeta Wyborcza” 29-30 VIII 2009, s. 18.
3. Cytat z Aleidy Assman (kulturoznawczyni, autorka m.in. *Erinnerungsräume. Formen und Wandlungen des kulturellen Gedächtnisses*, C. H. Beck, München 1999) za: Anna Wolff-Powęska, *Niemiecki kłopot z niepamięcią*, „Gazeta Wyborcza” 2009, 22-23 VIII, s. 20.

a zarazem słusznie wskazuje, że w XXI wieku tożsamość narodowa jest nadal pojmowana jako tożsamość kombatancka. Jednocześnie, według Profesor Janion, „naszą” dominantą kulturową jest mit bohaterski wywiedziony jeszcze z romantyzmu, który nie przewiduje akceptacji klęski. W takiej sytuacji polska pamięć najważniejszego konfliktu XX wieku to pamięć heroizmu, walki i mitologicznej śmierci za Ojczyznę (przez wielkie „o”), w której życie ludzkie przestaje mieć znaczenie. Można zatem zaryzykować stwierdzenie, iż nadal hołdujemy pamięci/historii politycznej i zbrojnej, historii wielkich konfliktów i ogromnych poświęceń grup ludzkich⁴, a nie jednostek. Z drugiej strony badania Pentora pokazują, że chyba nadszedł już czas, aby przypomnieć także cywili i pojedyncze osoby, które również (wbrew opinii wielu) biorą udział w zbrojnych konfliktach.

Zanim przejdę do kwestii „przeżyć cywili”, chciałabym zwrócić uwagę na jeszcze jeden wątek, który był już poniekąd obecny w 2009 roku w sferze polskich polemik medialnych⁵. To problem cierpienia i cierpiętnictwa, które mimo zsekularyzowanego bohaterstwa również naznaczone jest mitem honorowej walki. Przy takim założeniu łatwo jest stwierdzić, kto był, a kto nie, sprawcą wojny. Podobnie jak to, kto był jej ofiarą, a kto nie ma prawa się za ofiarę uważać. W tym dyskursie cierpiętniczym, związanym z II wojną światową, dominującymi zjawiskami będą zatem: hierarchizacja, tabuizacja, stygmatyzacja i wreszcie heroizacja. Całemu procesowi pamięci towarzyszą oczywiście kryteria: kulturowe, narodowościowe i społeczne (bynajmniej nie klasowe, które były zna-

czące w okresie PRL-u). Zgodnie z wynikami badań Pentora Polacy twierdzą, że wojna była chaosem, ale wina leży po stronie Niemców, Rosjan i Ukraińców. Ofiarami, które najbardziej cierpiały w okresie od 1939 do 1945 roku, byli Polacy (bardziej niż Żydzi czy Sinti Roma). Według prawie trzech czwartych badanych ludność polska rzadko wydawała Żydów okupantowi, rzadko była obojętna na ich los i rzadko kolaborowała.

Podsumowując: jedynie 17 procent badanych przyznaje się do tzw. „wydarzeń wstydlivych”⁶, do których należy m.in. Jedwabne. Mimo sporej debaty na ten temat, która rozpoczęła się w 2001 roku, nadal dominuje przekonanie, że masakra wojenna była dziełem Niemców.

Ekskluzywna i inkluzywna polityka historyczna według Klausa Bachmanna

Bohaterowie polskich czytelników i telewizorów to – w odniesieniu do historii – waleczni mężczyźni, męczennicy lub zwycięscy (choćby moralnie) generałowie, powstańcy, którzy poświęcili się dla swojego kraju. W Niemczech są to przeważnie cywile, często kobiety, wykazujący się odwagą cywilną, naruszający zasady, co do których nie mieli przekonania. Innymi słowy: nonkonformiści, dla których paradygmat narodowy jest czymś zupełnie obcym (...).

Bardzo popularne ostatnio w Polsce wyrażenie „polityka historyczna”, zostało doskonale ujęte w koncepcji inkluzywności i ekskluzywności autor-

- Moim zdaniem polityka Muzeum Powstania Warszawskiego opiera się właśnie na podejściu grupowym, w którym owszem pojawiają się jednostki, ale symbolika i mity tworzone są na podstawie anonimów spełniających określony bohaterski etos. Przykładem jest podtrzymywany, wręcz hołubiony, symbol/figura „małego powstańca”.
- Wystarczy przywołać debatę, jaka „wybuchła” w Polsce z okazji publikacji tekstu *Niemieccy zbrodniarze i ich pomocnicy. Ciemny kontynent* w niemieckim „Spieglu” (18 maja 2009). Na temat polskiej pamięci sprawy i traumy „bycia winnym”: Joanna Ostrowska, *Lustereczko powiedz przecie...* [online]. Dostępny w Internecie: <http://www.krytykapolityczna.pl/Opinie/Ostrowska-Lustereczko-powiedz-precie/menu-id-197.html> [dostęp: 01.07.2009].
- Dość ciekawe i delikatne wydaje się zakwalifikowanie kategorii „przestępstw wojennych, kolaboracji czy współpracy” do wydarzeń wstydlivych:
*Z oporami przyznajemy się do wydarzeń, które przynoszą nam wstyd. O tym, że takie były, przekonanych jest ledwie 17 proc. Polaków. I to mimo powszechnej wiedzy o Jedwabnem, gdzie Polacy w 1941 r. zabili kilkuset Żydów. Okazuje się, że popularniejszy jest pogląd, że masakra była dziełem Niemców. Zob. Wojciech Szacki, *Popłątana pamięć...*, op.cit.*



stwa Klausa Bachmanna (*Długi cień Trzeciej Rzeszy*)⁷. Bachmann odnosi się w swoich badaniach przede wszystkim do powojennego społeczeństwa niemieckiego (aż do czasów współczesnych). Co więcej, „zahacza” w nich również o problemy związane z pamięcią innych państw, przede wszystkim Polski.



Symbol walczącej Solidarności był do końca lat 80. wzbogacany o wszystkie cechy charakterystyczne dla bohaterów wojennych/herosów.

Charakter inkluzywny polityki historycznej danego państwa można określić jako „integrujący” naród, a zarazem czarno-biały. Przy takich założeniach pamięć historyczna danego społeczeństwa zostaje oczyszczona z jakiegokolwiek winy, a kara obejmuje tylko jednostki. Całość społeczeństwa zostaje „podpięta” pod jedną wizję przeszłości, w której dominują bardzo jednolite i radykalne kategorie, np. podział na sprawców i ofiary. W takim przypadku nie ma miejsca na żadne „moralne odcienie szarości”.

Ekskluzywna polityka historyczna jest z założenia wykluczająca w stosunku do pewnych grup społecznych ze względu na ich winę. W pewnym stopniu możemy tutaj mówić o polityce rozliczenia, w której nie obowiązują tabu narodowościowe czy mechanizm heroizacji „swoich”. Z drugiej strony, takie postawienie sprawy bardzo często eliminuje z życia publicznego pewne grupy społeczne i stanowi

doskonały punkt wyjścia do sprawowania władzy. Pierwszy scenariusz sprzyja zatem zapomnianiu win, drugi zaś grozi zjawiskiem używania historii w celach *stricte* politycznych.

Bachmann twierdzi, że po wojnie zarówno we Francji, Niemczech, jak i Holandii hołdowano pierwszemu modelowi polityki historycznej. Podobnie rzecz miała się w Izraelu⁸. Celem takich działań było przede wszystkim zintegrowanie społeczeństwa wokół jednej idei, wprowadzenie ładu i obrona przed wymyślanym (bądź w przypadku Izraela rzeczywistym) wrogiem. W Polsce i Belgii dominował paradygmat wykluczenia, co było związane w pierwszej kolejności z nowym ustrojem komunistycznym, a w konsekwencji – z nowym układem sił w Europie. Zofia Wóycicka w swojej książce *Przerwana żałoba. Polskie spory wokół pamięci nazistowskich obozów koncentracyjnych i zagłady w latach 1944–1949*⁹ bardzo słusznie zwraca uwagę, że w kwestii kolaboracji w Polsce paradygmat inkluzywny był obecny także w drugiej połowie lat czterdziestych. Moim zdaniem dzisiaj również inkluzywność jest charakterystyczna dla pamięci dotyczącej polskiej winy, kolaboracji i tzw. czarnych kart historii.

Bachmann zwraca uwagę na jeszcze jedną ważną kwestię: w Niemczech, Holandii i Francji inkluzywna polityka historyczna zmieniła się na rzecz indywidualizacji doświadczenia wojennego. Bezpośrednią przyczyną tego stanu rzeczy był rok 1968 oraz rewolucja kulturowa i tożsamościowa, której podstawę stanowił bunt przeciwko wartościom pokolenia wojennego. W Polsce nigdy do takiej zmiany nie doszło, gdyż wartości reprezentowane przez tę generację są także dziś najbardziej poważane i do-

7. Klaus Bachmann, *Długi cień Trzeciej Rzeszy*, Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2005.

8. W Izraelu po utworzeniu państwa, od 1948 roku starano się wyrugować z pamięci doświadczenia ofiar i koncepcję „owieczek idących na rzeź”. W takiej sytuacji o Holocauście mówiono jedynie na przykładzie powstań w getcie warszawskim i białostockim, w Sobiborze, w Auschwitz-Birkenau czy *a propos* tzw. izraelskich spadochroniarzy. Na temat specyficznego kształtu izraelskiej pamięci Holocaustu do roku 1961/62 i wpływu pornografii na tę pamięć zob.: *Stalag. Holocaust i pornografia w Izraelu* [film], reżyser Ari Libsker, 2007.

9. Warto zwrócić uwagę jeszcze na jedną kwestię związaną ze stalinizacją pamięci w Polsce, o której wspomina Zofia Wóycicka: *Monopolizacja pamięci przez władze stalinowskie nie odbywała się przez narzucenie całkowitej nowej interpretacji przeszłości, lecz przez przejmowanie i wykorzystanie niektórych z zastanych już wątków narracyjnych oraz nałożenie na nie własnych schematów interpretacyjnych*. Zob.: Zofia Wóycicka, *Przerwana żałoba. Polskie spory wokół pamięci nazistowskich obozów koncentracyjnych i zagłady w latach 1944–1949*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2009, s. 380.

ceniane. Oczywiście wpływ na ten stan rzeczy miał ustrój panujący wówczas w Polsce, a także specyficzny mit solidarnościowy, utworzony na podstawie legendy walczącej Polski (czyli grup wykluczonych w okresie stalinizmu – przede wszystkim AK). Symbol walczącej Solidarności był zatem do końca lat 80. wzbogacany o wszystkie cechy charakterystyczne dla bohaterów wojennych/herosów. W takiej sytuacji, zarówno politycznej, jak i kulturowej, nie było mowy o buncie przeciwko pokoleniu lat wojny. Podczas gdy w innych państwach odchodzono od inkluzywności, w Polsce dopiero ją odkrywano. Kiedy na przełomie lat 80. i 90. pojawiła się demokracja, zaczęto szukać sposobu na stworzenie polityki historycznej, której podstawę stanowiłby mit Polski walczącej bez winy, bez skazy. Takiej konstrukcji historycznej, jako elementu władzy, używa dzisiaj Prawo i Sprawiedliwość. Jak pokazują badania Pentora, przedstawione na początku tekstu, ta postawa jest bliska większości polskiego społeczeństwa.

Oczywiście bardzo trudno odnieść koncepcję Bachmanna do całości doświadczenia polskiej pamięci historycznej. Zdecydowałam się z niej skorzystać, ponieważ zarówno polscy żołnierze Wehrmachtu, jak i zapomniane ofiary nazizmu w Polsce, zostali wykluczeni z polskiej pamięci historycznej właśnie zgodnie z тезami przedstawionymi przez Bachmanna. Obie grupy będą bohaterami dalszej części tekstu.

Dzieci Wehrmachtu

Po wojnie krążył dowcip. Warszawiak mówił, że służył w AK, walczył w powstaniu warszawskim, krył się między domami. Lublinianin – że służył w AK i wojnę spędził w lesie. A Ślązak – że też służył w AK, tylko było strasznie gorąco i wszędzie był piasek [Afrika Korps – J.O.]¹⁰.

Badania Pentora zwracają uwagę na wyparcie z pamięci zjawiska polskich obywateli wcielonych do Wehrmachtu. Aż pięć procent badanych przyznało się do tego, iż ktoś z ich bliskich służył w wojsku niemieckim w okresie wojny. Ten fakt był i nadal jest pomijany także w oficjalnym obrazie II wojny światowej, co łączy się z niewygodną dla wielu kwestią kolaboracji. Bachmann twierdzi, że w Polsce problem kolaboracji przemilczano, gdyż zniknął on wraz z wypędzonymi Volksdeutscheami. Figura „obcego” Volksdeutscha zastąpiła w świadomości obywateli problem kolaborantów. W tej sytuacji, w dyskursie powojennym, wraz ze zniknięciem „obcych” zniknęło także i to zjawisko¹¹.



Dwa najważniejsze czynniki decydujące o przynależności do grona ofiar to narodowość i kwestie postawy moralnej.

Podobnie wygląda sytuacja związana z byłymi żołnierzami Wehrmachtu pochodzenia polskiego, zazwyczaj mieszkańców Śląska¹². Ich doświadczenia zostały wyłączone z pamięci II wojny światowej, ponieważ składane przez nich relacje potraktowano by jako zdradę.

W 2009 roku swoją premierę miał film dokumentalny pt.: *Dzieci Wehrmachtu*, w reżyserii Mariusza Malinowskiego¹³. Głównym bohaterem jest Alojzy Lysko, potomek jednego z żołnierzy niemieckich sił zbrojnych, który stara się odnaleźć prochy swojego ojca. Dokument opiera się przede wszystkim na wywiadach z byłymi żołnierzami, co zgodnie z koncepcją

10. Dowcip przywołany przez socjologa z Pentora Piotra Kwiatkowskiego, który był współautorem cytowanych przeze mnie badań. Zob.: Wojciech Szacki, *Na frontach. W armiach. I w cywilu* [online]. Dostępny w Internecie: http://wyborcza.pl/1,75478,6948804,Na_frontach__W_armiach__I_w_cywilu.html [dostęp: 21.08.2009].

11. Klaus Bachmann, *Długi...*, op.cit., s. 152.

12. W tej perspektywie warto byłoby również zwrócić uwagę, że Ślązacy po wojnie byli traktowani przez władze jako obywateli drugiej kategorii.

13. *Dzieci Wehrmachtu* [film], reżyser Mariusz Malinowski, 2009.



FESTIWAL MULTIMEDIALNY
**sztuka
DOKUMENTU**

WSTĘP WOLNY

1989 W EUROPIE

obraz — pamięć — zapis

filmy dokumentalne, konferencja naukowa, wystawa fotograficzna, spotkania z twórcami i dyskusje, klub festiwalowy

17 – 30.11.2009

Kultura, Rejs, Dom Spotkań z Historią, Kamieniołomy, BUW
ul. Krakowskie Przedmieście, Warszawa

ROK 1989 W EUROPIE
obraz — pamięć — zapis
19–20.11.2009 BUW
KONFERENCJA

www.sztukadokumentu.pl

międzynarodowe stowarzyszenie
**PRZYSZŁOŚĆ
MEDIÓW**

**arkana
STUDIO**

PIK
POLSKI INSTYTUT SZTUKI PLAKOWEJ

**Miasto
Stołeczne
Warszawa**

Stowarzyszenie
Kinezympol
Publika

MEDIA
Miśka Ośrodek Kultury

**muzeum
historii**

1989

1989

• Visegrad Fund

CEI

1989

1989

1989

STOPKŁATKA
DOBRA STRONA FILMU

A!

1989

EXKLUZYV

1989

1989

1989

1989

1989

1989

oral history stanowi bardzo nowatorskie podejście do historii mówionej i pamięci narodu. Z drugiej jednak strony pojawiają się tu charakterystyczne mechanizmy mitologizujące przeszłość. Celem twórców było przede wszystkim przywrócenie tej części zapomnianej polskiej historii, jednak efektem jest martyrologiczna „laurka” dla wielkich bohaterów spod znaku hagiograficznej legendy. Podobnie jak w całym opisywanym przeze mnie dyskursie dotyczącym II wojny światowej, tak i bohaterowie filmu Malinowskiego są wręcz na siłę wtłaczani w paradygmat dobro/zło, ofiara/sprawca. Nie ma mowy zatem o innym niż sakralne spojrzeniu na temat dotychczas tabuizowany, a wręcz wyparty. Recepta Malinowskiego i Lyska jest bardzo prosta – wszystkiemu winni są „niemieccy dowódcy/panowie zza biurka”. Pytanie tylko, po co w przypadku odbrażowywania zapomnianych kart polskiej historii mówić wciąż o kategorii winy.

Zapomniane ofiary nazizmu w Polsce

Kwestia zapomnianych ofiar nazizmu w polskim dyskursie pamięci II wojny światowej jest tak obszerna, że powinno się poświęcić tej tematyce osobny tekst. Postaram się jedynie wskazać konteksty i problemy związane z istnieniem i akceptacją tych grup ofiar.

Od roku 1945 poczynając, główne założenie dotyczące już *stricte* polskiej pamięci obozów koncentracyjnych w Polsce opiera się na stwierdzeniu, że rządził nią więźniowie polityczni, tzw. czerwone

trójkąty¹⁴. Polscy więźniowie polityczni byli i są traktowani jak „strażnicy pamięci” tamtego okresu. Taki stan rzeczy sprawia, iż w polskim dyskursie o ofiarach wojny pewne grupy byłych więźniów wykluczono z obowiązującej powszechnie narracji historycznej dotyczącej obozów koncentracyjnych. Tego typu mechanizm jest automatycznie kojarzony ze wspomnianym wcześniej zjawiskiem ekskluzywności, zarazem łączy się z koncepcją „najbardziej cierpiących”, którą przedstawiłam na podstawie badań Pentora.

Dwa najważniejsze czynniki decydujące o przynależności do grona ofiar to narodowość i kwestie postawy moralnej¹⁶. W pierwszym przypadku mamy do czynienia m.in. ze zjawiskiem hierarchizacji cierpienia Polaków i Żydów oraz wyrugowaniem ofiar Sinti Roma z tego dyskursu w Polsce¹⁷.

Z kolei kwestia polskiej postawy moralnej jest poniekąd związana ze wspomnianą przeze mnie wcześniej kolaboracją, która rzekomo w Polsce nie istniała. Dodatkowo łączy się ona także z dwoma grupami ofiar: kobietami – przymusowymi prostytutkami z okresu wojny – i tzw. różowymi trójkątami. W obu przypadkach nie ma mowy o nazywaniu tych grup więźniów mianem „ofiary”, ponieważ nie wpisują się one w moralny paradygmat, akceptowalny zarówno przez „strażników obozowej pamięci”, jak i większość społeczeństwa. Co ciekawe, w kwestii więźniów homoseksualnych (różowych trójkątów) sytuacja wygląda dokładnie tak samo, mimo iż nie byli oni narodowości polskiej. Przez ponad pół wieku wykształcił się zatem mit, w którym osoby homoseks-

14. Więcej na ten temat zob.: Joanna Ostrowska, *Obca ofiara – figura prostytutki obozowej i jej wyparcie w dyskursie postholocaustowym*, [w:] *Auschwitz i Holocaust. Dylematy i wyzwania polskiej edukacji*, redakcja Piotr Trojański, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, Oświęcim 2008, s. 285-293; Zofia Wóycicka, *Przerwana żałoba... op.cit.*

15. Kwestia postawy moralnej w czasie II wojny światowej łączy się również z innymi, wyrugowanymi z polskiej pamięci zjawiskami, takimi jak: golenie głów kobiet w czasie wojny i bezpośrednio po, tzw. kolaboracja „poprzez ciało” – kontakty seksualne Polek z „okupantami”, czy gwałty wojenne. Na ten temat zob.: Joanna Ostrowska, Marcin Zaremba, *Kobieta gehenna* [online]. Dostępny w Internecie: http://cms.polityka.pl/polityka/print2.jsp?place=Text03&news_cat_id=&news_id=284023&layout=18&page=text [dostęp: 02.03.2009].

16. Jako przykład „hierarchizacji cierpienia” może służyć spór o krzyże na żyrowisku oświęcimskim z lat 90.

17. Sytuacja związana z tą grupą ofiar zmieniła się na początku lat 90., kiedy w tożsamości Romów pojawiło się słowo *porrajmos*, czyli zapomniany Holocaust Romów. Od tego momentu ta pamięć jest pielęgnowana i odnawiana. Wcześniej nie istniała w polskiej pamięci II wojny światowej nie tylko poprzez specyfikę tej pamięci (o której traktuje ten tekst), ale także przez zamknięcie tej mniejszości i negatywne stereotypy jej dotyczące, które są bardzo „żywe” w polskim społeczeństwie.

sualne będące w obozach koncentracyjnych są zaliczane w poczet „sprawców” (najczęściej wykorzystujących innych więźniów, często chłopców). Różowy trójkąt przestaje być ważny jako znak więziarski, mimo iż czerwony ma nadal tak silne znaczenie symboliczne.

Kompletnie niezrozumiałe wydaje się także „zapomnienie” o tzw. fioletowych trójkątach – Badaczach Pisma Świętego¹⁸ czy Świadkach Jehowy, których postawę należy uznać za honorową i bohaterką. W tym przypadku, choć jest to jedynie moje przypuszczenie, najsilniej zaznacza swoje działanie paradygmat katolicki, który nie akceptuje innych wyznań lub nawet je wyklucza.

Polska pamięć II wojny światowej to skomplikowany konglomerat mitów, symbolicznych postaw i legend, który służy także jako spoiwo scalające społeczeństwo. Ta jednostronna heroiczna pamięć o wojnie nie zaskakuje nawet współczesnych. Jest tak silnie zakorzeniona, że proces jej odmiany będzie naprawdę długotrwały. Nie pozostaje nic innego, jak

tylko czekać. Może już niedługo możliwe będzie mówienie o czarnych i białych kartach działalności AK w stosunku do Żydów¹⁹. Może już niedługo kobiety gwałcone w czasie II wojny światowej odważą się zabrać głos i zostanie on wysłuchany. Może zjawiska tabuizacji, stygmatyzacji i hierarchizacji ofiar przestaną wpływać aż tak mocno na obraz wojny w oczach młodego pokolenia.

Czas pokaże. ◀

Joanna **Ostrowska**

(1983), doktorantka Katedry Judaistyki UJ oraz Instytutu Europeistyki UJ, studentka filmoznawstwa UJ, produkcji filmowej i telewizyjnej PWSFTv i T w Łodzi i Gender Studies UW, stypendystka Sokrates-Erasmus na Humboldt Universität zu Berlin, współtworzyła Sekcję Sztuki Współczesnej UJ, współpracowała z MDSM, Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück, Ośrodkiem KARTA, publikowała w czasopismach „Zadra”, „Słowo Żydowskie”, „Parnasik”, www.artpapier.com, www.feminoteka.pl, „Artmixie”, „Ha!art”, „Krytyka Polityczna”, „Teksty Drugie”, „Polityka”. Członkini Krytyki Politycznej, mieszka w Warszawie.

18. Jedna z niewielu publikacji w Polsce na ten temat: Teresa Wontor-Cichy, *Więzieni za wiarę. Świadkowie Jehowy w KL Auschwitz*, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, Oświęcim 2003.

19. Godna polecenia ostatnia publikacja Centrum Badań nad Zagładą PAN: Barbara Engelking, Dariusz Libionka, *Żydzi w powstańczej Warszawie*, Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą, Warszawa 2009.

O pożytkach i szkodliwości historii dla kina

JAKUB MAJMUREK

I

„Uważa się, że historia pojawiła się w starożytnej Grecji wraz z demokracją. Przekonaliśmy się, że wraz z demokracją znika z powierzchni Ziemi”¹ – pisał Guy Debord w *Rozważaniach o społeczeństwie spektaklu*. Związek między historią a demokracją wydaje się podwójny, demokracja, by móc właściwie funkcjonować, potrzebuje rozumienia historii, historia zaś (jako określona aktywność poznawcza, sposób postrzegania rzeczywistości i przeżywania świata) może tak naprawdę rozwijać się tylko w ramach demokratycznego porządku. Trudno jest nam myśleć o zawartych w demokratycznym projekcie (czy, ściślej rzecz ujmując, w jego oświeceniowej, nowożytnej wersji) obietnicach emancypacji i równości w innej perspektywie niż w tej wyznaczanej przez czas historyczny; czas, który można sobie wyobrazić jako linię biegnącą od oddzielonej od teraźniejszości przeszłości, przez chwilę obecną, aż do przyszłości, która ma być czymś zupełnie innym niż po prostu przedłużeniem teraźniejszości. Trudno także wyobrazić sobie lepsze środowisko do uprawiania historii niż demokratyczna wspólnota ciągle debatująca nad własnymi założeniami, własną przeszłością i przyszłością, w której władza wciąż na nowo konstytuuje się w starciu różnych sił politycznych i stojących za nimi interesów i tożsamości (szkoda tylko, że żadna

ze współczesnych demokracji liberalnych nie zbliża się nawet do tego ideału).

Związek demokracji z historią odsyła nas do kolejnej nadzwyczaj istotnej właściwości tej drugiej: jej polityczności. Nie da się oddzielić uprawiania historii od uprawiania polityki historycznej, każda narracja historyczna jest jednocześnie – niezależnie od świadomości snujących ją podmiotów – narracją polityczną. Historia Polski potwierdza tę intuicję. Nieprzypadkowo w okresie PRL-u zarówno władza, jak i demokratyczna opozycja przywiązywały tak wielką wagę do historii. Partia rządząca szukała legitymacji dla swojego panowania (a przede wszystkim geopolitycznej orientacji, na jakiej się wspierała), tworząc własną narrację historyczną, posklejaną z fragmentów dyskursów należących zarówno do historii tradycji międzynarodowego ruchu robotniczego, jak i polskiej tradycji narodowej². Z kolei demokratyczna opozycja przeciwstawiała tej narracji historycznej własną. Przypatrzmy się, jaką rolę w działalności opozycyjnej odgrywały tajne wykłady na temat historii czy drukowane w drugim obiegu prace historyczne, jak wielu prominentnych opozycjonistów (Michnik, Kuroń, Moczulski, Macierewicz) to historycy. Albowiem, w przeciwieństwie do innych nauk, historię rzadko uprawiamy po prostu „z ciekawości” co do tego, „jak było kiedyś”.

Fryderyk Nietzsche w swoim słynnym esej o historii, z którego zapożyczyłem tytuł niniejszego tekstu, narracje historyczne podzielił na trzy grupy: historię

1. Guy Debord, *Spoczeństwo spektaklu. Rozważania o społeczeństwie spektaklu*, przełożył Mateusz Kwaterko, PIW, Warszawa 2006, s. 161.
2. Na ten temat patrz: Rafał Chwedoruk, *Trzy ojczyzny, trzy patriotyzmy. Polityka historyczna, a doświadczenie lewicy*, [w:] *Ile ojczyzn? Ile patriotyzmów?*, redakcja Rafał Syska, Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”, Warszawa 2007; Bartosz Machalica, *Polityka historyczna PRL. Tezy o zmienności i niezmienności*, [w:] *PRL bez uprzedzeń*, redakcja Jakub Majmurek, Piotr Szumlewicz, Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”, Warszawa 2009.

monumentalną, antykwaryczną i krytyczną³. Pierwsza jest narracją bohaterską, podmiotami są wielcy wodzowie i mężowie stanu czy całe narody, przedmiotami natomiast wielkie bitwy, pokojowe traktaty lub udane polityczne przewroty; służy ona człowiekowi jako działaczowi i mocarzowi. Druga stanowi narrację prywatną, jej przedmiotem może być „mała ojczyzna”, stary dom, miasto czy odziedziczona po babci srebrna cukiernica. To intymna historia przedmiotów i miejsc pisana przez „czcicieli i zachowawców”. Trzeci typ historycznej narracji to historia krytyczna, opowiadana przez „cierpiących i pragnących wyzwolenia”; to historia tych, co przegrali bitwy i rewolucje opiewane w historii monumentalnej. O ile historia monumentalna tworzy mity spajające polityczną wspólnotę, o tyle historia krytyczna kwestionuje je i pokazuje stojące za nimi klęski i cierpienie.

II

Zdrowa wspólnota potrzebuje wszystkich trzech opisanych przez Nietzschego historycznych narracji i to nie tylko w ramach ściśle rozumianego „dziejopisarstwa” (naukowych czy popularnonaukowych „książek historycznych”), ale wszelkich tekstów kultury, także tych literackich i filmowych. Wydawało się, że po przełomie roku ’89 wraz z nastaniem demokratycznego porządku i zniesieniem państwowej cenzury stworzone zostaną warunki do swobodnej gry wszystkich trzech typów narracji historycznej – także w kinie. Niestety właśnie tam stało się zupełnie na odwrót, kino polskie utraciło swój zmysł historyczny, jaki wypracowało w okresie PRL-u, zwłaszcza w filmach tzw. Szkoły Polskiej. Polskie kino po 1989 roku najpierw (tak jak cała polska kultura) wycofało się w szereg prywatnych narracji antykwarycznych, po czym – mniej więcej od 2005 roku – zajęło się produkowaniem monumentalnych mitów narodowych. Choć czasami – jak w przypadku *Katynia* (filmu za-

łożycielskiego dla całego współczesnego, polskiego kina historycznego) czy obrazu *Popiełuszko. Wolność jest w nas* – te monumentalne narracje starają się naśladować narrację krytyczną (przemawiając w imieniu tych, którzy kiedyś byli „prześadowani i pragnący wyzwolenia”), to wizja historii Polski, jaka się z nich wyłania jest głęboko konformistyczna, zgodna z dominującą w ostatnich latach *dokąd* na temat naszych współczesnych dziejów, z tą ich wizją, która w wyniku ofensywnej polityki historycznej środowisk prawicowych zdobyła sobie hegemoniczną pozycję. Historia Polski, jaką opowiada to kino, jest historią widzianą wyłącznie z perspektywy tych, którzy wygrali na przemianach, jakie zaszły w Polsce po 1989 roku. Tym, co na nich przegrali, kino to nie proponuje nic poza resentymentem. W tym sensie okazuje się ono głęboko antydemokratyczne.

Demokracja, jak wskazuje sama nazwa, jest, a przynajmniej powinna być, rządami ludu. Tymczasem, jak w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”⁴ niezwykle celnie zauważył Bronisław Łagowski, polski lud nie ma własnej tożsamości, wstydy się tego, że jest ludem, nie czuje się podmiotem historii. Lud przejął w Polsce pamięć, tożsamość i mitologię klas, które uciskały go w przeszłości. Nasze najnowsze kino historyczne bez wątpienia umacnia ten stan rzeczy, punkt widzenia klas ludowych jest prawie zupełnie nieobecny, jedyną klasą, która w kinie tym ma możliwość opowiadania własnej historii, jest polska inteligencja, najlepiej z przedwojennym rodowodem. Spójrzmy, jaki wyidealizowany obraz przedwojennej Polski budują takie filmy, jak *Katyni* czy *Jutro idziemy do kina*. Konsekwentny punkt widzenia przedwojennych elit przyjmują także filmy o Sikorskim i Nilu. Jak słusznie zauważył Jarosław Pietrzak: „Według tej wizji, przedwojenna Polska składała się właściwie tylko z elit żyjących w pięknych domach i ogromnych mieszkaniach, pełnych antyków. Tylko skąd służące, które ścierają z tych antyków kurz?”⁵. Sprzątaczk

3. Fryderyk Nietzsche, *Pożyteczność i szkodliwość historii dla życia*, [w:] idem, *Niewczesne rozważania*, przełożył Leopold Staff, Nakład Jakóba Mortkowicza, Warszawa-Kraków 1913, s. 111.

4. *Niemcy lud polski. Z Bronisławem Łagowskim rozmawia Adam Leszczyński*, „Gazeta Wyborcza” 11 III 2007.

5. Jarosław Pietrzak, *Złota rybka zwana Wajdą*, „Le Monde Diplomatique. Edycja Polska” 2007, nr 11 (21).



Jesienny numer „Czasu Kultury” zatytułowany **BERLIN MIĘDZYNARODOWY** jest poświęcony przemianom, jakie nastąpiły po zburzeniu muru w 1989 roku. Berlin z miasta podzielonego przez zimną wojnę, ze stolicy NRD przemienił się w wiodącą europejską metropolię, która fascynuje tętniącym życiem i rozwijającą się kulturą. Chcemy pokazać dzisiejszy Berlin jako miasto międzynarodowe, jako przykład interesującego eksperymentu multikulturowego. Autorzy piszą o ofercie kulturalnej Berlina, przedstawiają społeczne aspekty życia miasta. W numerze zamieszczamy także obszerny wybór fragmentów literackich dotyczących życia berlińczyków autorstwa niemieckich pisarzy: **Tanji Dückers, Jana Faktora i Norberta Müllera**.

W zeszycie „Czasu Kultury” ponadto: rozmowa, jaką **Michał Larek i Jerzy Borowczyk** przeprowadzili z **Jerzym Pilchem**, omówienie tegorocznego Biennale w Wenecji oraz wystaw sztuki polskiej w Belfaście, obszerny dział recenzji, a także nowe teksty naszych felietonistów: **Agaty Araszkiewicz i Edwarda Pasewicza**.

REWOLUCJĘ, jakiej dokonał **Karol Darwin** swoim dziełem „O powstawaniu gatunków” (1859) porównuje się czasem z przewrotem kopernikańskim. Po geocentryzmie pada antropocentryzm. Oto gatunek ludzki przypadkiem pojawił się w wyniku ewolucji i – być może – kiedyś zniknie ze świata zamieszkiwanego przez jego rodzicznych roślinnych, zwierzęcych, bakteryjnych i innych krewnych, którzy bynajmniej nie są mu „z natury” poddani. Wiele cech, które uważano wcześniej za wyłącznie ludzkie, zaczęto odnajdywać również w królestwach zwierząt, a nawet roślin. Organizacja jednostek w społeczność, zachowania altruistyczne, finezja ornamentu – przestały być postrzegane jako zdolności i cechy dla nas tylko charakterystyczne. Świat niehumanistycznych organizmów otworzył się jako nieprzebrana inspiracja nie tylko w badaniach przyrodniczych, ale też w architekturze, literaturze, filozofii, psychologii i sztuce.

Ponadto w numerze: rozmowa z **Pawłem Duninem-Wąsowiczem**, którą przeprowadziły **Emilia Roszak i Joanna Turowicz**, omówienie tegorocznych edycji Festiwalu Dialogu Czterech Kultur oraz Warszawskiego Festiwalu Filmowego, recenzje oraz felietony.

Dostępny w dobrych księgarniach i EMPIK-ach
Księgarnia wysyłkowa: www.sklep.czasokultury.pl
e-mail: redakcja@czasokultury.pl / www.czasokultury.pl

ścierają kurz z rodowych sreber, podczas gdy ich synowie i mężowie pozostają w tym kinie niewidoczni i niemi. Jeśli polskie kino historyczne dopuszcza na ekrany „lud”, tak jak w filmie o Popiełuszcze, to tylko jako „lud boży”, który sam nie potrzebuje mówić i podmiotowo działać, gdyż posiada do tego swego „organicznego reprezentanta” w postaci Kościoła katolickiego.

Mimo wszystko to nie klasowy punkt widzenia jest główną bolączką kina rodzimej kinematografii. Rzeczywisty problem stanowi fakt, iż zupełnie utraciła ona zmysł historyczny, zrozumienie tego, na czym tak naprawdę polega historyczny proces realizujący się przez konflikt, który dynamicznie kształtuje każdą wspólnotę polityczną.

III

We wszystkich filmach historycznych z ostatnich lat od *Katynia* po *Popiełuszkę* (trzeba przyznać, że z tej kliszy próbuje wyłamać się *Generał Nil*, w czym niestety ponosi klęskę) mamy wizję jednorodnej wspólnoty narodowej zjednoczonej w walce z kolejnymi zewnętrznymi wrogami: Niemcami, Sowieci czy wyalienowaną ze społeczeństwa komunistyczną władzą. Ciało wspólnoty jest niepodzielne i niezróżnicowane, każdy kto próbuje się od niego oddzielić, winny jest co najmniej tchórzostwa (jak dyrektorka gimnazjum w *Katyniu*) czy wręcz zdrady (porucznik Jerzy w tymże filmie).

Taka wizja wspólnoty jest tak naprawdę nawet nie tyle historyczna, ile mityczna, ideologiczna. Przynależy ona oczywiście do tego sposobu myślenia o przeszłości, który Nietzsche nazywa historią monumentalną. Ale cały problem w tym, że prawdziwie historyczna świadomość wyłania się dopiero ze zderzenia narracji monumentalnej z dwoma pozostałymi, przeciwstawiającymi jej prywatną, intymną pamięć oraz punkt widzenie tych, których narracja heroiczna obsadziła w roli tchórzów i zdrajców. Pozostawiona samej sobie historia monumentalna, jak barthes'ow-

ski mit zmienia to, co historyczne, w to, co naturalne, działa niczym ideologia, której celem jest zawsze maskowanie historii. Ta zaś pozwala bowiem ujrzyć to, co zastane, jako efekt dynamicznej gry sił, pozwala dostrzec możliwość zmiany tam, gdzie wszystko wydawało się już być ustalone. Co łączy historię z kinem? Kino bowiem, jak zauważył Agamben⁶, potrafi zmieniać fakty w możliwości, w ten sposób wydobywając widza z resentymetu i upolityczniając go.

Najnowsze polskie kino historyczne robi coś dokładnie przeciwnego, zamiast odsłaniać grę sił, które tworzą historyczny proces, ukrywa je. Zamiast upolityczniać widza, wyzwalając go od resentymetu, pogrąża go w nim, budując wizję jednorodnej wspólnoty skupionej wokół obrazów utraconej, sielankowej przeszłości (przedwojenna Polska) lub martyrologii. Polskie kino historyczne jest tak naprawdę antyhistoryczne, zapomniało, w jaki sposób mówić o historii. Do głosu dochodzi w nim jedynie narracja monumentalna, artykulacja dwóch pozostałych została zablokowana.

IV

Celowo używam tu czasownika „zapomniało”. Dawniej, w okresie Szkoły Polskiej, rodzime kino doskonale potrafiło przedstawić proces historyczny, umiało konstruować narracje krytyczne, a przy tym wolne od resentymetu. Ma rację Piotr Graczyk, umieszczając Szkołę Polską w ramach szerszego ruchu, jaki pojawił się w polskiej kulturze na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych⁷. Polskie kino tamtego okresu potrafiło spojrzeć na traumatyczne wydarzenie ciągle bliskiej historii bez resentymetu (i wyzwalając tym samym z niego widza), było w stanie opisać dialektyczną grę historycznych i społecznych sił kształtujących rzeczywistość, z głębi której przemawiało. Najlepsze filmy Wajdy, Munka czy Kutza przedstawiały dramat jednostki pochwyconej w historię bez naiwnego moralizowania i martyrologii, pokazywały (mimo państwowej cenzury), w jaki sposób trauma-

6. Giorgio Agamben, *Le cinema du Guy Debord*, [w:] idem, *Image et memoire*, Paris 1998.

7. Piotr Graczyk, *Rok 1964*, „Kronos” 2008, nr 4, s. 235-250.

tyczne wydarzenia wojny, wkroczenia wojsk radzieckich i stalinowskiej modernizacji stanowiły zarazem wyzwolenie i zniewolenie, w jaki sposób zniszczyły nieodwracalnie tradycyjny model polskości, wyzwalając (przy pomocy terroru i represji) nas jednocześnie od niego i od organicznie z nim związanej etyki kojeviańskiego pana, który nie potrafi pracować na rzecz swojej sprawy, a jedynie za nią ginąć⁸.

Gdy spojrzymy na Szkołę Polską w filmie z tej perspektywy, wydaje się ona właśnie próbą przepracowania etyki pana, opowieścią pana, który próbuje wyzwolić się z własnego przymusu bycia panem, z nakazu umierania za sprawę. Jest to próba, która nigdy do końca się nie udaje, co pokazują losy dowódcy oddziału w *Kanale*, Rafała Olbromskiego w *Popiołach*, porzucającego pracę przy odbudowie dworu i ruszającego z Napoleonem na Rosję, czy – najbardziej oczywisty przykład – Maćka Chełmickiego w *Popiele i diamentcie*. Niemniej jednak Szkoła Polska była w stanie podać tę figurę w wątpliwość, strącić ją z centralnego miejsca naszego kulturowego panteonu, gdzie postawiła ją tradycja romantyczna.

Szkoła Polska dopuściła też do głosu – w kulturze polskiej na ogół milczącego – kojeviańskiego niewolnika, który wobec traumy spotkania ze śmiercią (miała ona w Polsce bardzo realny wymiar wojny, okupacji i stalinowskiego terroru) wybiera życie, który zamiast umierać za swoją sprawę, włącza doświadczenie traumy w proces sublimacji, odwleka śmierć w swojej pracy. To doświadczenie postaci, takich jak Munkowski Dzidziusz Górkiewicz czy bohater Kutzowskiego *Nikt nie woła*.

Po premierze *Krzyżaków* Aleksandra Forda w 1960 roku Andrzej Wajda miał stwierdzić: „On tym jednym filmem zniszczył wszystko to, co myśmy zrobili”. To samo można powiedzieć o współczesnym polskim kinie historycznym. Szkoda, jaką wyrządza polskiej kulturze polega na tym, iż wypiera ten sposób widzenia historii, jaki wypracowała w naszym kinie Szkoła Polska, zastępując go wizją niedojrzałą, martyrologiczną i głęboko resentymentalną. Prawie

wszyscy bohaterowie tego kina giną za swoją sprawę (Popiełuszko, Sikorski, żołnierze katyńscy), co zostaje przedstawione jako najwyższy etyczny gest, dla którego tak naprawdę nie ma żadnej alternatywy. Pewnym wyjątkiem jest tu film Bugajskiego o Nilu. Reżyser stara się wyrwać ze wspomnianego schematu, ale ostatecznie (także ze względu na – wyznaczony przez pozostałe obrazy tego gatunku – kontekst, w jakim odbieramy ten film) do końca mu się to nie udaje. Prawdziwą stawką tego kina wydaje się przywrócenie kojeviańskiego pana i jego etyki śmierci na centralne miejsce w polskiej kulturze, które utracił w powojennej rzeczywistości. To kino nie działa przy tym w próżni, doskonale łącząc się np. z polityką historyczną prawicy.

Najlepszym przykładem takiej rehabilitacji postaci pana jest *Katyń* Wajdy. Wydaje się, że film ten stanowi rodzaj autopolemiki reżysera ze wszystkim tym, co powiedział o historii od *Kanału* do *Dantona*. Wajda już wcześniej (1992) nakręcił podobny w wymowie film – *Pierścionek z orłem w koronie*, otwartą polemikę z własnym *Popiołem i diamentem*. Ale tamten obraz powstał zbyt wcześniej i był po prostu słaby, przedstawiona w nim wizja historii była zupełnie nieprzekonywująca. Jednak *Katyń*, przy wszystkich swoich intelektualnych słabościach, jest filmem niezwykłej siły, tanatologiczna ekonomia pragnienia, którą oferuje, naprawdę uwodzi. Rzeczywistość Polski Ludowej jest w tym obrazie na tyle zdeprawowana, że jedyny godny wybór etyczny wobec niej stanowi śmierć – każdy kto przeżył i w oferowanej przez nią rzeczywistości próbuje ułożyć sobie życie, każdy kto próbuje ośwoić w niej traumę przez pracę – tak naprawdę wybiera hańbę.

Cały problem z postawą kojeviańskiego pana polega jednak na tym, że jest to postawa tyleż piękna i estetycznie fascynująca, wręcz hipnotyzująca (gdyż bliskość śmierci przydaje wzniosłości), ile bezmyślna. I to bezmyślna w sposób aktywny – zasadzająca się na odmowie myślenia, odmowie uznania tego, co jest mi obce i czego nie potrafię zrozumieć⁹. Czy *Katyń*

8. *Ibidem*.

9. Piotr Graczyk, *Historia przemocy po polsku. Odpowiedź Mateuszowi Wernerowi*, „Kronos” 2009, nr 1-2, s. 392-400.



Wajdy (a także – w mniejszym lub większym stopniu – wszystkie pozostałe omawiane tu filmy) nie zasadzają się właśnie na takiej odmowie myślenia, odmowie zrozumienia tego, czym tak naprawdę dla polskiej wspólnoty była trauma II wojny światowej, stalinizmu czy w ogóle doświadczenie PRL-u?

W *Katyniu* jest jedna, jedyna scena, w której wydaje się prześwitywać dawny genialny zmysł historyczny charakteryzujący kino Wajdy w jego najlepszym okresie. Po wojnie służąca przynosi generałowej pamiątki po mężu, szablę i inne symbole jego pozycji społecznej, które miała za zadanie przechować. Mówi generałowej, że jej mąż – partyzant GL – został teraz starostą, że przenosi się z nim na prowincję. Przez okno mieszkania generałowej widzimy, jak służąca wsiada do dygnitarskiego samochodu męża, który upomina ją, że teraz to ona „jest panią”.

Niestety tu kończy się jej historia, na czym traci film Wajdy i wizja powojennej Polski, jaka się z niego wyłania. Dla żon oficerów pomordowanych w Katyniu, dla przedwojennego ziemiaństwa czy inteligencji stalinowski PRL był katastrofą, oznaczał więzienie, tortury, procesy polityczne. Ale czy w tej narracji rzeczywiście może odnaleźć się większość Polaków? Nie do końca, wszak historia znacznej części polskich rodzin zaczęła się, gdy forsowna PRL-owska modernizacja wyrwała je z drewnianych chat, gdzie żyły przez ścianę z nierogacizną, by przenieść do Nowej Huty czy na inną „wielką budowę socjalizmu”. Stalinizm to nie tylko terror, ale także prawdziwa rewolucja społeczna uruchamiająca wielkie społeczne siły, gwałtownie zmieniająca hierarchie społeczne. Powinien być to fascynujący temat dla kina, zwłaszcza już wolnego od cenzury władz, które swoją pozycję zawdzięczały tej rewolucji. Niestety polskie kino (i cała kultura) uparcie odmawia uznania wagi tego wydarzenia. Czy cały tragizm Katynia nie polegał właśnie na tym, że władza, która ukrywając tę zbrodnię, współuczestniczyła w niej, rzeczywiście zapewniła niezwykle w historii (a przy tym okupiony niezwykle ofiarą) cywilizacyjny awans milionów ludzi? Rimbaud

pisał, że wywodzi się z tych rodzin, które wszystko zawdzięczają Deklaracji Praw Człowieka. Brakuje mi – nie tylko w polskim kinie – głosu kogoś, kto miałby odwagę powiedzieć, że wywodzi się z rodziny, która wszystko zawdzięcza Manifestowi Lipcowemu. Dopiero zestawienie tych dwóch doświadczeń, terroru i gwałtownych społecznych przemian, jakie mu towarzyszyły, będzie w stanie zbliżyć nas do prawdy o powojennej Polsce. Ekran filmowy wydawałby się idealnym miejscem, na którym te dwie narracje, dwa doświadczenia mogłyby się ze sobą zderzyć. Ale polskie kino historyczne uparcie ignoruje tę szansę, odmawiając myślenia o tym, co naprawdę stało się tu w ciągu ostatniego półwiecza.

V

Przypomnijmy sobie stwierdzenie Deborda, które przywołałem na początku. Czy nie można by postawić tezy, że kondycja polskiego kina historycznego wypływa z kiepskiej kondycji polskiej demokracji, niezdolnej do mierzenia się z własnymi mitami założycielskimi (dlatego film o strajku w Stoczni Gdańskiej musiał kręcić „za nas” Schlöndorff), nisko intensywnej, markującej rzeczywistą debatę publiczną, w której zderzać mogłyby się ze sobą różne wartości, tożsamości, interesy i historyczne narracje? Polska demokracja zamiast debaty, zamiast rzeczywistego agonu, zawsze, od samych swoich początków pragnęła raczej spajających wspólnotę mitów i spektakli (zresztą dziś mit właśnie jest spektaklem i nie może przybrać żadnej innej formy). I polskie kino historyczne, wbrew własnym tradycjom sprzeciwu wobec żądań władzy, ochoczo ich dostarcza.

Nietzsche pisze, że „niehistoryczność i historyczność są w jednakiej mierze dla zdrowia jednostki, kultury i narodu potrzebne”¹⁰, gdyż „istnieje stopień zmysłu historycznego (...), na którym to, co żyje, ponosi szkodę, czy to człowiek, czy naród, czy kultura”¹¹. Wydaje się, że nasze współczesne kino historyczne doskonale to ilustruje. Dziś jest nam w stanie

10. Fryderyk Nietzsche, *O pożyteczności...*, op.cit., s. 104.

11. *Ibidem*, s. 103.

ofiarować jedynie obrazy głęboko resentymentalne, obsadzające pragnienie na zideologizowanych wizjach utraconej przez Historię Arkadii (utożsamionej ze światem przedwojennych elit), czy wypełnione tanatyczną ekonomią libido martyrologiczne wizji. Te dwa wzajemnie uzupełniające się spojrzenia zamykają polskie kino w klinczu przeżutych wielokrotnie intelektualnych klisz i artystycznych schematów. Skoro polskie kino – choć powołuje się na pamięć i historię – nie jest, na razie, w stanie wypracować prawdziwie historycznej (a nie mitologicznej) wizji przeszłości, skoro nie jest w stanie zderzyć narracji monumentalnej z krytyczną, to może najlepiej będzie – dla niego

samego – jeśli, choćby chwilowo, odetnie się od historii, jeśli pozwoli sobie zapomnieć i zanurzyć się w aktualności? Bo historia może dusić nie tylko życie, ale – jak pokazują filmy o Popiełuszcze, Sikorskim i Papie – także kino, i również ono potrzebuje czasem oddechu od historii i zapomnienia. ◀

Jakub Majmurek

(1982), filozof po Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie ukończył również studia w Instytucie Nauk Politycznych. Obecnie doktorant w Szkole Nauk Społecznych przy IFiS PAN. Członek zespołu Krytyki Politycznej, redaktor portalu Lewica.pl, współpracownik kwartalnika „Bez Dogmatu”.

PLANETE
DOC
REVIEW
KOLEKCJA PLANETE DOC REVIEW
DVD

TYLKO NA DVD - PREMIERA 6 LISTOPADA 2009

OBLICZA ROSJI

DURAKOWO, WIOSKA GŁUPCÓW
RUBLÓWKA
W CZTERECH ŚCIANACH

JUŻ W SPRZEDAŻY: OBLICZA CHINY I OBLICZA INDII

PLANETE
DOC
REVIEW

gazeta.pl
Trojka
Filmweb
respublica

empi.com
onet.pl
KINO
Karta

Spacer po Warszawie w budowie

SEBASTIAN CICHOCKI

Co zostało nam jeszcze do zaprojektowania w Warszawie – mieście, które pierwszy raz od II wojny światowej buduje nowe muzea? Zauważamy, że każdy element miejskiej rzeczywistości zdaje się dziś domagać nowego opakowania, funkcji czy własnej identyfikacji wizualnej. Bruno Latour pisał, że obszar designu, ograniczony wcześniej do projektowania detali obiektów codziennego użytku, poszerzony został w ostatnich dekadach o takie zadania, jak modelowanie całych dzielnic, krajobrazu, narodów, kultur, ciał, emocji, a nawet przyrody, która zdaje się również znajdować w dramatycznej potrzebie przeprojektowania. Jednocześnie zmiany zachodzące w myśleniu o projektowaniu, zwłaszcza miejskim, i jego ewolucja, wynikają często z refleksji pochodzącej z innych dyscyplin: socjologii, antropologii czy psychologii. To dyscyplinarne przesunięcie widoczne jest wyraźnie w refleksji na temat rozwoju urbanistycznego, podejmowanej na polu sztuk wizualnych, gdzie jak konkludował Nicolas Bourriard w swojej książce *Radicant* z 2009 roku, nie istnieją już w zasadzie inne znaczące tematy dla artystów poza tymi związanymi z samym miastem. Świadczyć o tym mają chociażby kolejne

edycje znaczących międzynarodowych biennale sztuki, które dedykowane są specyfice takich wielopoziomowo rozwijających się metropolii, jak Stambuł czy Berlin.

Zastanawiamy się, jaki obraz Warszawy wyłoniłby się, gdyby skonstruować go na podstawie artystycznych fantazji, dalekich referencji czy utopijnych propozycji, konstruowanych przez outsiderów. Jednym z najbardziej użytecznych terminów, za pomocą których możemy zdefiniować przestrzeń miejską Warszawy, jest tymczasowość. Stan ten może być zinterpretowany jako forma oporu, strategia na ominięcie ogólnie przyjętych procedur, zaznaczenie swojej obecności czy też anektowanie nowego terytorium. Tradycję „polskiej architektury tymczasowej” można ironicznie zakreślić od wozu Drzymały, przez stoiska targowe, kioski, ogródki działkowe, po likwidowane Kupieckie Domy Towarowe na placu Defilad. Poczucie tymczasowości i zawieszenia związane jest też z sytuacją samego Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, które to, podobnie jak całe miasto, wciąż znajduje się w stanie budowy. Dlatego też tematem wystawy, jaką na jesieni 2009 proponuje Muzeum Sztuki Nowoczesnej jest *Warszawa w budowie*. To jednocześnie wstęp do dyskusji o mieście i jego możliwościach rozwoju¹.

Istotny wątek, przewijający się w ramach wystawy, to również poczucie straty, które wpisane

1. *Warszawa w budowie* to tytuł programu o mieście i dla miasta, realizowanego na jesieni 2009 roku przez Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Instytucja ta, odpowiadając na zamówienie Wydziału Kultury Urzędu Miasta, w którym podkreślono potrzebę powołania cyklicznego festiwalu projektowania dla stolicy, zaproponowała formułę „zwiastuna festiwalu”, będącego krytycznym modelem wystawienniczo-edukacyjnym. Jako że mamy do czynienia ze zwiastunem, czyli zaledwie próbą zarysowania wątków, które będą rozwijane w przyszłości, ostateczny kształt festiwalu pozostaje nadal niewiadomą. Punktem wyjścia do innych modułów programu (seminaria, warsztaty, wycieczki z przewodnikiem po mieście, czy też tzw. Departament Propozycji) jest wystawa, składająca się z prac artystów wizualnych oraz designerów, stosujących konceptualne strategie. Zaprezentowana została w tymczasowej siedzibie Muzeum przy ulicy Pańskiej (w budynku zaprojektowanym według reguł funkcjonalizmu architektonicznego lat 60.) oraz jego okolicach. Stanowi ona pulę ilustracji odnoszących się do zagadnień podejmowanych w programie *Warszawy w budowie*, którymi są m.in.: planowanie miejskie, kształtowanie przestrzeni publicznej, funkcjonalność i wartość przedmiotów oraz projektowanie społeczne. Na kolejnych stronach znajdują się wybrane prace z tej wystawy. Można je także potraktować jako rodzaj spaceru po pewnym wyobrażonym mieście.

jest w procesy towarzyszące rozwojowi miasta, które mają najczęściej niekontrolowany, hektyczny charakter. Napięcie między tym, co nowe (ekspansywne, aktywne, ale pozbawione właściwości), a tym, co stare (pasywne, ustępujące, z reguły nacechowane ideologią lub obciążone historycznie), manifestuje się m.in. w bezwzględnej likwidacji cennych, modernistycznych budynków w Warszawie, czego znamienym przykładem było wyburzenie domu handlowego „Supersam” czy kina „Skarpa”. W stratę i destrukcję wpisany jest również potencjał zmiany, erupcja nowych zjawisk, których wymiar urbanistyczny ma swoje przełożenie na aspekty polityczne czy ekonomiczne.

Wbrew pojawiającym się na wystawie odniesieniom do opisanego konkretnymi geograficzno-ekonomicznymi parametrami miejsca, jakim jest Warszawa, ekspozycja nie składa się z zestawu funkcjonalnych, możliwych do wdrożenia propozycji dotyczących modelowania przestrzeni miejskiej. Nie jest też przeglądem problemów, z jakimi borykać się muszą mieszkańcy miasta, ani analizą zastanych tutaj procesów. Zaproszeni artyści, pochodzący z różnych kontynentów, odnoszą się za to w bardziej abstrakcyjny, metaforyczny sposób do „cech szczególnych” środkowoeuropejskiej stolicy: nie tylko tymczasowości, ale także anarchii, „spadochronowych” rozwiązań, palimpsestowej natury miasta, jego nigdy nie-dokończonych elementów, wernakularnych struktur, materiałów budowlanych, rozpadających się z upływem czasu czy też obecności „zmęczonych miejsc”. **Można powiedzieć, że artyści ci tworzą portret pamięciowy Warszawy, nie używając konkretnych nazw, statystyk i dat, w zamian posługując się wyabstrahowanymi elementami składowymi jej miejskiego krajobrazu, które zaobserwować można również np. w metropoliach Ameryki Łacińskiej, krajów bałkańskich czy na Bliskim Wschodzie.**

Wiele z prezentowanych na wystawie prac odwołuje się do postulatu (tymczasowej) funkcjonalności, która jest zaburzana bądź nieoczywista. Wystawa rozgrywa się w konceptualnym cudzysłowie wytyczonym przez prace Cypriena Gaillarda i Tobiasa

Putriha. Ze strony Gaillarda są to dwie fotografie *View over Sighthill* i *Chateau d'Oiron* (2008) – obrazujące dramatyczny rozpad architektury seryjnie produkowanych bloków mieszkalnych oraz potencjał wykorzystania „okruchów” po modernizmie do celów dekoracyjnych, tym samym przywołują kontemplacyjny charakter współczesnych ruin. Gaillard odwołuje się do materiału dowodowego (gruzu z wielkiej płyty), symbolizującego klęskę utopii wpisanych w myśl modernistyczną, a jednocześnie podkreśla naszą fascynację destrukcją i „wymazywaniem” części miast, nad które nadpisywane są nowe warstwy, potencjalnie lepiej odpowiadające wyzwaniom przyszłości. Na drugim biegunie tej narracji znajduje się, złożona z kilkuset drewnianych modułów, struktura Tobiasa Putriha, za pomocą której słoweński artysta przypomina sen o funkcjonalności, wpisany w postulowaną niejednokrotnie w XX wieku fuzję sztuki, designu i architektury. „Gruz”, złożony z piramidalnych modułów, który może być przearanżowany przez publiczność (abstrakcyjnej rzeźbie nadana jest funkcja), jest odwrotnością gruzu, który fotografował Gaillard (gdzie funkcja została zredukowana do kiczowatej dekoracji). Wystawa jest w pewnym sensie archiwum wyobrażeń na temat materiału, z którego budowane jest miasto, funkcjonalności przedmiotów (którymi są również budynki) oraz ich wpływu na nasze emocje i zachowania. Z pozornie abstrakcyjnych elementów wyłania się obraz środkowoeuropejskiej stolicy, gdzie w zmianę wpisana jest zarówno destrukcja, jak i witalny, niekontrolowany wielopoziomowy wzrost. To, co miało być tymczasowe, zostaje na dłużej lub na zawsze. Chaos pogłębia się, a ruiny współczesnego miasta stają się pożywką dla nowych budynków. Z obrazu tego wyłania się też optymistyczna konkluzja: w świecie, gdzie niemal wszystko zostało już zaprojektowane („od dzinsów po geny”, jak pisał Hal Foster w swym esej *Design and Crime* z 2002 roku), wciąż istnieją miejsca, które uparcie nie poddają się systematycznemu planowaniu, enklawy architektonicznej anarchii, gdzie wszystko może jeszcze zostać zaprojektowane. Takim miejscem pozostaje na razie miasto Warszawa.

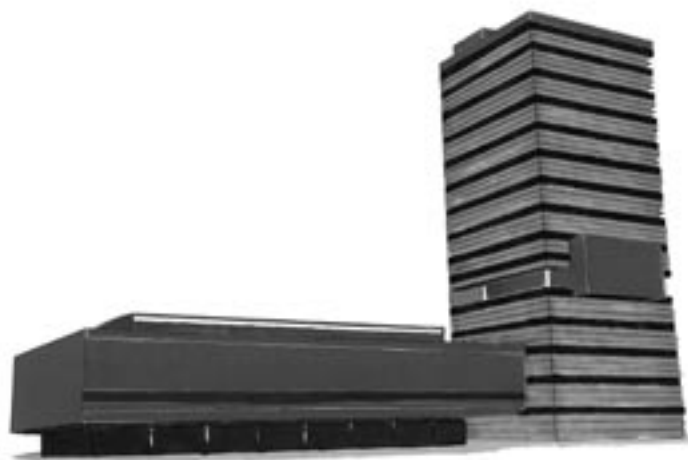
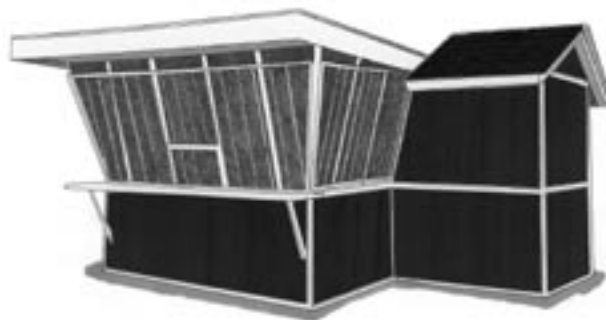


Grudzień 1952, mieszkańcy Warszawy obserwują budowę Pałacu Kultury i Nauki ze specjalnie zbudowanego w tym celu tarasu. Fot. ADM/PAP



Cyprien Gaillard „View over Sighthill”, fotografia, 2008

Zdjęcie bloku mieszkalnego na przedmieściach Glasgow, wykonane tuż przed jego wyburzeniem. Kolorowe ściany i tapety widoczne są przez dziury po usuniętych oknach. Gruz zebrany po wyburzeniu budynku został przetransportowany na statek do Francji, gdzie Gaillard usypał ścieżkę prowadzącą do XVIII-wiecznego château.



Daniela Brahm, rysunki z serii „Ideal Privacy”, 1999–2009

Twórczość Danieli Brahm rozpięta jest pomiędzy refleksją na temat potencjalnego współuczestnictwa, czego egzemplifikacją są serie portretów i sceny grupowe, a katalogowaniem modernistycznej architektury – naturalnej miejskiej scenografii, na tle której rozgrywa się spektakl społecznych interakcji. W kontynuowanej od 1999 roku serii „Ideal Privacy” artystka dokumentuje budynki, przykłady architektury wernakularnej, improwizowanej, „spadochronowej” – od Warszawy po Mexico City.



Jan Smaga, Puławska! 2009

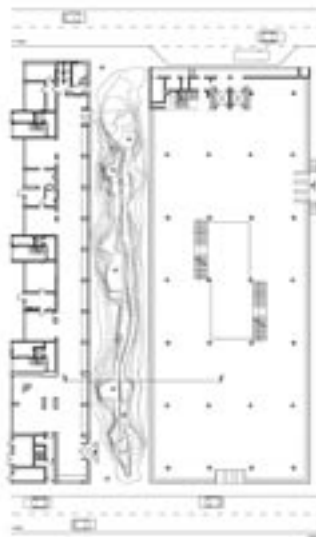
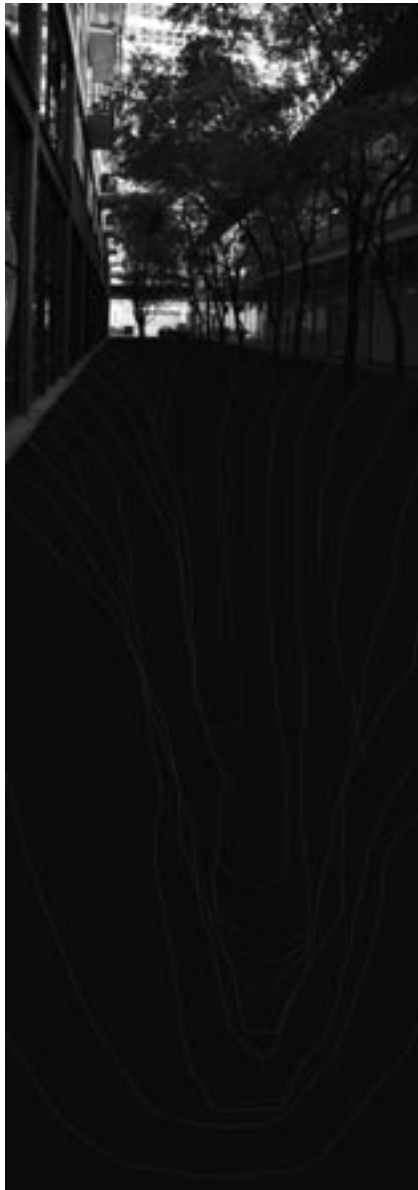
Latem 2009 roku Jan Smaga fotografował ulicę Puławską, by zilustrować esej architektki Magdaleny Staniszkis o specyfice tego „bękarta transformacji ustrojowej po 1989 roku”, ulicy trwającej w stanie dzikiej transformacji, będącej równocześnie bazarem, wsią, autostradą i wielkomiejską aleją. Staniszkis pisała: „Popelniliśmy wiele błędów, niestety tak trwałych jak konstrukcje nowych budowli. (...) Można te błędy potraktować jako pouczającą lekcję, jeżeli potrafimy wyciągnąć z niej wnioski, ucząc się na błędach, chociaż to najbardziej bolesny sposób edukacji”.





Ariel Schlesinger; z serii „Minor Urban Disasters” 2007–2009

Izraelski artysta Ariel Schlesinger dokumentuje (pod pseudonimem Ariel Chico) „pomniejsze katastrofy miejskie” – absurdalne zdarzenia, dziwne obiekty, nieintencjonalne dzieła sztuki i innego rodzaju deformacje codzienności, uykające uwadze przechodniów. Stale rosnąca baza umieszczana jest na ogólnodostępnym serwisie fotograficznym Flickr.



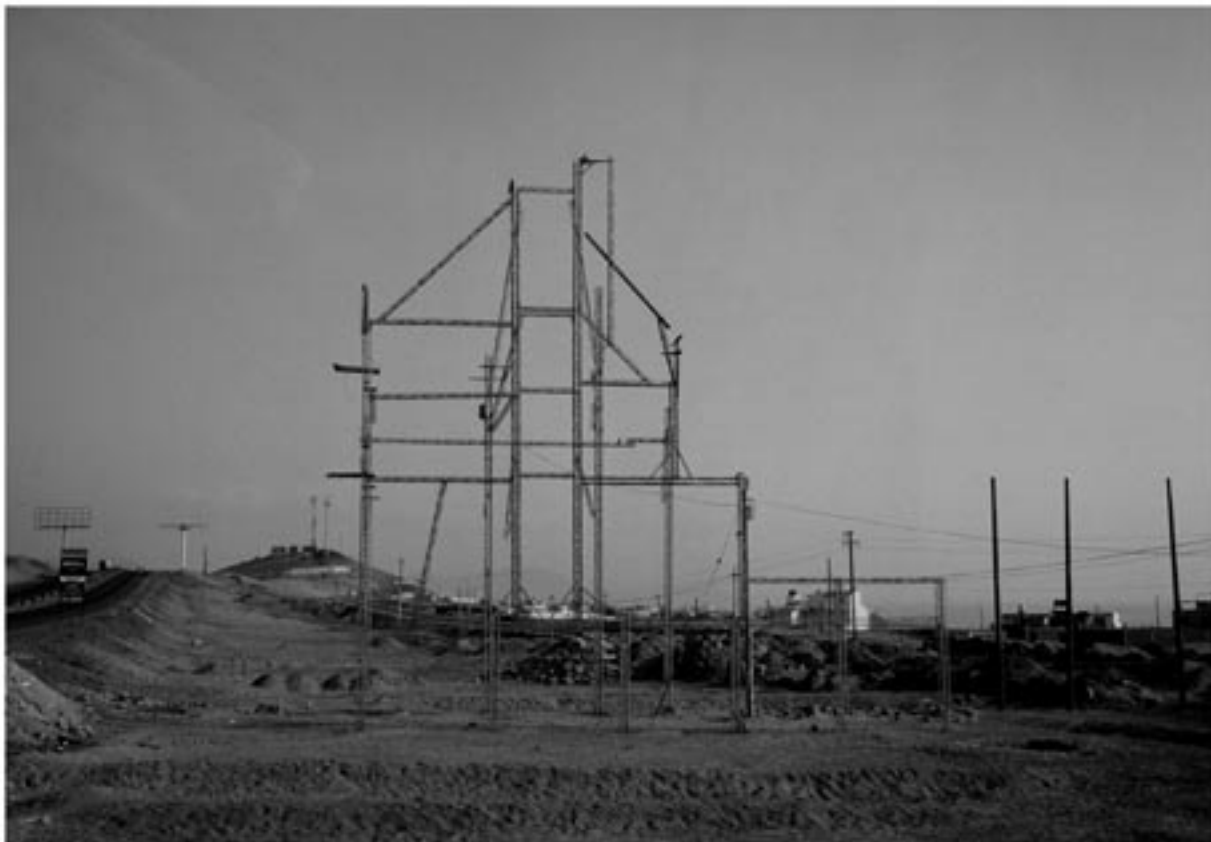
Joanna Rajkowska „Wąwóz”, symulacja komputerowa, 2009

Miejskie monumenty i akcje Rajkowskiej interpretować można jako współczesne wariacje na temat tradycji sztuki środowiskowej (community-based art), land artu i tzw. estetyki relacji, wzbogacone jednak o wymiar ironiczny i emocjonalny. „Wąwóz” to propozycja absurdałnej interwencji w pasażu pomiędzy tymczasową siedzibą Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie a sąsiadującym z nim budynkiem pawilonu handlowego Emilia. Gigantyczny wąwóz zmusiłby pracowników instytucji do poruszania się po rozpiętych nad przepaścią kładkach.

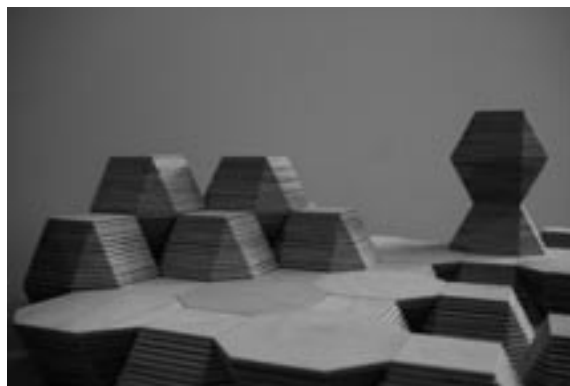


Armando Andrade Tudela, Billboard 3', 2003

Peruwiański artysta Armando Andrade Tudela odnosi się w swych pracach do szerokiego spektrum tematów, które zdefiniować można mianem „tropikalnego modernizmu” – od architektury, mody i muzyki popularnej po produkcję kokainy. Seria „Billboard Photographs” składa się ze zdjęć opuszczonych tablic reklamowych w Peru. Poprzez przemieszanie paneli i „zremiksowanie” znajdujących się na nich informacji, billboardy stają się abstrakcyjnymi obrazami w przestrzeni (pod)miejskiej.



Armando Andrade Tudela, Billboard 6', 2003



Tobias Putrih „4th Gift (Warsaw)”, instalacja, 2009

Złożona z kilkuset drewnianych modułów konstrukcja, za pomocą której słoweński artysta przypomina sen o funkcjonalności, wpisuje się w refleksję na temat postulowanej niejednokrotnie w XX wieku fuzji sztuki, designu i architektury. Odnosi się on m.in. do badań prowadzonych w pracowni studia Aleksandra Rodcenki i Warwary Stiepanowej, którzy zajmowali się problematyką modularności, interaktywności i użytkowego potencjału sztuki. „Gruz” złożony z piramidalnych modułów może być przearanżowany przez publiczność, przez co abstrakcyjnej rzeźbie nadana jest funkcja.

Wyzwolić kreatywność – wokół brytyjskiego ruchu *community arts*¹

ANNA ROGOZIŃSKA

Walsall to jedno z miast położonych na obrzeżach Birmingham, w wielokulturowym i silnie dotkniętym upadkiem wielkiego przemysłu rejonie West Midlands. Jednym z największych problemów nękających mieszkańców dzielnic Caldmore, Pleck i Palfrey była prostytutka i towarzyszące jej: handel narkotykami, przemoc oraz ogólny brak poczucia bezpieczeństwa. W niektórych okolicach obawiano się wyjść wieczorem na ulice, nie bez znaczenia był także lęk przed wpływem tej sytuacji na zachowanie młodzieży. W 2001 roku lokalna grupa zrzeszająca przedstawicieli mieszkańców tego obszaru, organizacji pozarządowych oraz służb zdrowotnych o nazwie Health Action Zone postanowiła przeznaczyć część budżetu na zbadanie postaw członków społeczności wobec zaistniałej sytuacji oraz zidentyfikowanie realnych i postrzeganych czynników ryzyka. Po



badaniach przeprowadzonych przez dwóch uniwersyteckich naukowców okazało się, że kwestią łączącą przedstawicieli tak różnych grup interesów, jak lokalni aktywiści, mieszkańcy, młodzież szkolna i prostytutki, jest kwestia bezpieczeństwa. Aby dogłębniej zbadać ten problem, poszukać rozwiązań i rozwinąć dialog między wszystkimi grupami społecznymi zaproszono do współpracy Kate Green, artystkę wykorzystującą w swojej pracy media, takie jak fotografia czy grafika komputerowa. Tak rozpoczął się projekt *Safety Soapbox*².

Kate Green przeprowadziła cykl warsztatów artystycznych adresowanych do trzech grup: mieszkańców, prostitutek oraz młodzieży. W ich wyniku powstała seria wygenerowanych komputerowo obrazów łączących elementy fotografii oraz tekstu wyrażającego indywidualne odczucia dotyczące kwestii bezpieczeństwa, ciała oraz życia codziennego w Walsall. Obrazy stworzone przez uczestników zostały wystawione w New Art Gallery Walsall – prestiżowej instytucji kulturalnej charakteryzującej się dużą otwartością na inicjatywy mieszkańców. Projekt stał się przestrzenią dialogu dla wszystkich grup społecznych i umożliwił dotarcie do nich z informacjami dotyczącymi zdrowia seksualnego, uzależnienia od narkotyków oraz usług zdrowotnych. Otworzył możliwość dalszej pracy nad rozwiązywaniem lokalnych problemów, które dzięki wystawie w galerii oraz kampanii informacyjnej zostały przedstawione miejscowym władzom, policji i mieszkańcom innych dzielnic.

1. Artykuł opiera się na doświadczeniach związanych z udziałem w projekcie *Animacja kultury – uczenie się przez działanie* realizowanym w ramach programu *Leonardo da Vinci* Komisji Europejskiej. Celem projektu było między innymi eksplorowanie relacji między teorią i praktyką *community arts* a rodzimą animacją kultury.
2. *Safety Soapbox* [online]. Dostępny w Internecie: <http://www.safetysoapbox.co.uk> [dostęp: 14.08.2009].

Safety Soapbox zalicza się do nurtu *community arts*: brytyjskiej tradycji współpracy artysty ze społecznością w celu rozwiązania problemów uważanych przez nią za istotne, zwiększenia dostępu ludności do czynnego udziału w kulturze oraz odkrywania najważniejszych elementów składających się na tożsamość danej wspólnoty.

Historia

Nurt *community arts* ma swoje korzenie w kontrkulturowych działaniach aktywistów z ruchów antynuklearnych, proobywatelskich, feministycznych oraz innych inicjatyw oddolnych końca lat sześćdziesiątych. Jego początki to festiwale, działania teatralne i parateatralne obalające podział na widza i aktora³, artystyczne komuny występujące przeciw istniejącym instytucjom kultury, lokalne gazetki, a później – wraz z pogarszającą się sytuacją ekonomiczną, rosnącym bezrobociem oraz strajkami górników sprzeciwiającymi się polityce Margaret Thatcher – dokumentacja sytuacji robotników i ich rodzin, współudział w pikietach oraz oddawanie w ręce robotników dostępu do mediów artystycznego wyrazu w chwili, gdy niemożliwa była prezentacja ich racji w mediach publicznych uznawanych za jednoznacznie prorządowe⁴. Owen Kelly⁵ i Nick Clements⁶, przedstawiciele nurtu, opisują pierwsze kilka(-naście) lat *community arts* jako działalność zarazem radykalną i entuzjastyczną, która była finansowana bądź z własnej kieszeni, bądź z państwowych środków zarządzanych przez Arts Council i National Lottery. Jednak, jak zauważa Owen Kelly, na dłuższą metę niemożliwe jest prowadzenie radykalnej działalności sprzeciwiającej się polityce kulturalnej i społecznej państwa przy jednoczesnym



wykorzystywaniu funduszy grantowych i realizacji kolejnych priorytetów określanych przez grantodawców. Składanie wniosków grantowych na projekty dotyczące na przykład tolerancji tylko dlatego, że dany rok został przez grantodawcę określony mianem „Roku tolerancji”, brak jasno określonej tożsamości i priorytetów wyróżniających *community arts* wśród innych dziedzin aktywności artystycznej i społecznej, a co za tym idzie brak odpowiednio silnej grupy wywierającej wpływ na aktualną politykę kulturalną – doprowadziły zdaniem Kelly’ego do postępującej profesjonalizacji ruchu. I choć za sukces nurtu można uznać uczynienie z lokalnej społeczności podmiotu decyzyjnego na wszystkich etapach realizacji projek-

3. Z kolei w polskich ruchach kontrkulturowych, a w szczególności w działalności Jerzego Grotowskiego, początki animacji kultury widzi Leszek Kolankiewicz. Zob. Leszek Kolankiewicz, *Kultura czynna: prahistoria animacji kultury*, [w:] *Animacja kultury. Doświadczenie i przyszłość*, redakcja Grzegorz Godlewski, Instytut Kultury Polskiej UW, Warszawa 2002. Dostępny w Internecie: www.animusproject.com
4. Więcej o historii *community arts* w kontekście historii organizacji Jubilee Arts oraz thePublic w: *Lokalnie: animacja kultury / community arts*, redakcja Iwona Kurz, Instytut Kultury Polskiej UW, Warszawa 2008. Dostępny w Internecie: www.cultureanimation.com
5. Owen Kelly, *Community, Art and the State: Storming the Citadels*, Comedia, London 1984.
6. Nick Clements, *Creative Collaboration*, Sound of the Heart Publishers, Swansea 2004.



tów społecznych, a z *community arts* grupy, do której adresowana jest duża ilość przedsięwzięć o znacznym budżecie, to zdaniem przywoływanych praktyków stało się to kosztem zaprzędania duszy diabłu i utraty własnej radykalnej tożsamości⁷. Wydaje się jednak, że można wyróżnić kilka pojęć i zakresów działania kluczowych dla *community arts*.

Kreatywność

Sprzeciwiając się wizji artysty jako wybitnej jednostki odizolowanej od społeczeństwa, w którym żyje, *community arts* dąży do zapewnienia wszystkim członkom społeczeństwa jednakowego dostępu do środków produkcji i dystrybucji dóbr kulturowych. Dlatego praktycy, tacy jak Nick Clements, pomijają w swoich działaniach pojęcie sztuki, zamiast niej odnosząc się do pojęcia kreatywności, którą określają mianem jednej z najważniejszych sił przenikających



wszystkie domeny ludzkiej aktywności: „kreatywność musi być dostępna dla wszystkich oraz ekspansywna. Kreatywność to siła, którą każdy z nas dysponuje, potrafi zrozumieć i do której potrafi dotrzeć”⁸. Największym wyzwaniem dla artysty pracującego ze społecznościami lokalnymi staje się wyzwolenie ich kreatywności poprzez przezwyciężenie blokad psychologicznych, a w efekcie doprowadzenie do gruntownej i radykalnej zmiany społecznej oraz kulturowej przemiany społeczeństwa blokującego wszelką kreatywność występującą poza instytucjami sztuki w społeczeństwo rządzące się zasadami demokracji kulturowej. Przykładem takiego działania był projekt zrealizowany przez kolektyw artystyczny The Pioneers, do którego należał Nick Clements. Polegał on na stworzeniu gigantycznych mozaik przez uczniów walijskich szkół podstawowych i gimnazjów, którzy nigdy wcześniej nie zetknęli się z takim medium. Akcja miała więc walor edukacyjny (nauka tworzenia mozaiki), psychologiczny (zakończony sukcesem udział w projekcie artystycznym prowadzącym do wysokiej jakości produktu artystycznego) i wreszcie wymiar społeczny – mozaika została zaprojektowana i wykonana przez członków społeczności, pozostanie w przestrzeni publicznej wybranej przez grupę i to mieszkańcy będą za nią odpowiedzialni po wyjeździe artystów.

Spółeczność

Community arts to z jednej strony współpraca ze społecznościami już istniejącymi, eksplorowanie elementów leżących u podstaw ich tożsamości; z drugiej – to tworzenie nowych grup zorientowanych na realizację konkretnego projektu i składających się zarówno z członków społeczności lokalnej, jak i przedstawicieli władz, aktywistów czy innych

7. W kontekście animacji kultury podobną obawą przed utratą własnej tożsamości, postępującą profesjonalizacją i zastąpieniem własnego języka odwołującego się do wartości kulturowych językiem grantodawców dzieliła się w trakcie dyskusji zorganizowanej przez redakcję „Kultury Współczesnej” i Fundację Kultury Małgorzata Litwinowicz, opowiadaczka ze Stowarzyszenia „Grupa Studnia O.” oraz wieloletnia kierowniczką specjalizacji Animacja kultury w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Tekst Małgorzaty Litwinowicz dotyczący tego zagadnienia ukaże się w grudniowym numerze „Kultury Współczesnej” poświęconym animacji kultury.
8. Nick Clements, *op.cit.*, s. 39.



artystów. Jego podstawową metodą jest praca grupowa. Społeczność angażuje się w przedsięwzięcie na wszystkich etapach jego realizacji i to właśnie ona, w sytuacji idealnej, jest inicjatorem projektu i zaprasza artystę do współudziału (jak w opisywanym na początku *Safety Soapbox*) lub też projekt wynika z rozpoznanych uprzednio potrzeb społeczności. Jednym z podstawowych elementów dalszej pracy są warsztaty, czyli wspólna nauka metod artystycznego wyrazu, prowadząca do realizacji efektu końcowego: wystawy, utworzenia nowego elementu przestrzeni, występu, festiwalu, publikacji *etc.* Następnie społeczność bierze udział w wydarzeniu prezentującym wyniki projektu i tym samym uznaje go za swój, a nie jedynie narzucony przez artystę: pojawienie się członków wspólnoty na podsumowaniu projektu jest często najważniejszym wyznacznikiem tego, czy projekt faktycznie osiągnął swój wymiar społeczny, czy wywołał jakąś zmianę indywidualną, społeczną, czy chociażby dostarczył okazji do dobrej zabawy. Artysta pełni tu przede wszystkim rolę animatora

i nauczyciela przybliżającego metody artystycznego wyrazu oraz motywującego do dalszej pracy. To społeczność znajduje się na pierwszym planie.

Community arts jest zatem odejściem zarówno od sztuki rozumianej jako przestrzeń indywidualnej ekspresji artysty, jak i od sztuki publicznej. Dotleniacz Joanny Rajkowskiej nie mógłby więc zostać uznany za instalację z pogranicza *community arts*, bo choć wywołał ogromny odzew społeczny, został zaakceptowany przez mieszkańców osiedla i zmobilizował społeczność do kampanii na rzecz pożądanego przez nią projektu przestrzeni publicznej, to na żadnym etapie jego realizacji nie był wynikiem wspólnej pracy artystki z mieszkańcami. Wydaje się, że dopiero po zaktywizowaniu mieszkańców wokół sprawy Dotleniacza możliwa byłaby kontynuacja projektu w duchu współuczestnictwa społeczności lokalnej nie tylko w procesie decyzyjnym (etap konsultacji), ale i w wykonaniu instalacji (etap realizacji).

Przestrzeń

Community arts skupia się przede wszystkim na pracy ze społecznościami lokalnymi, zamieszkującymi konkretne miejsce i wokół niego organizującymi swoją tożsamość. Dlatego pojęcie przestrzeni nabiera tu szczególnego znaczenia. W centrum wielu projektów znajduje się lokalna historia opowiedziana przez mieszkańców danej dzielnicy, a także subiektywne mapy miasta lub wsi z nakreślonymi na nowo punktami, najistotniejszymi z perspektywy jednostek i społeczności⁹. W kontekście brytyjskim *community arts* posługuje się pojęciem „regeneracji”, czyli ponownym zagospodarowaniem przestrzeni pozostałej po dawnych wielkich fabrykach, kopalniach, magazynach i składach odpadów. Może to oznaczać nie tylko zburzenie niszczących kompleksów przemysłowych, ale i całych osiedli robotniczych. Praktycy *community arts* często podejmują się prze-

9. Przykładem takich projektów w Warszawie mogą być chociażby *Śniadania Warszawskie* realizowane przez Grupę „Studnia O.” oraz Stowarzyszenie „Katedra Kultury” w latach 2007–2008 w siedmiu dzielnicach Warszawy oraz *Cuda Warszawy* realizowane przez Brendana Jacksona z brytyjskiego stowarzyszenia Laundry wraz ze studentami specjalizacji Animacja kultury w Instytucie Kultury Polskiej UW. Zob. *The Wonders of Warsaw [Cuda Warszawy]*, redakcja Brendan Jackson, Instytut Kultury Polskiej UW, Warszawa 2008.





prowadzenia konsultacji społecznych lub realizacji projektów mających na celu zmniejszenie napięć między społecznością a władzami miasta lub symboliczne pożegnanie dotychczasowej przestrzeni mieszkalnej.

Przykładem takiego projektu może być *Living Gallery*¹⁰ realizowane przez założoną w 2002 roku grupę Glassball

w przeznaczoną do wyburzenia dzielnicę Waterside w Stoke-on-Trent. Artyści poprowadzili serię warsztatów filmowych i fotograficznych dla młodzieży, która następnie podjęła się dokumentacji aktualnego kształtu przestrzeni. Dotarli także do mieszkańców dzielnicy, przeprowadzając z nimi serię wywiadów na temat życia w Waterside i prosząc o udostępnienie zdjęć związanych z zamieszkiwaną przez nich dzielnicą. Fotografie te, wraz z innymi wykonanymi przez uczestników warsztatów, zostały następnie nadrukowane na panelach używanych do blokowania drzwi i okien budynków przeznaczonych do rozbioru. Straszące wybitymi szybami opuszczone domy zostały zamienione w uliczną galerię sztuki – przynajmniej do chwili, kiedy pojawią się buldożery.

Zdrowie

Jednym z głównych źródeł finansowania projektów artystycznych i społecznych w Wielkiej Brytanii jest przestrzeń zdrowia publicznego. Na definicję zdrowia składa się między innymi propagowanie kreatywności jako dziedziny niezbędnej do prawidłowego rozwoju psychicznego i osiągnięcia pełni potencjału jednostki, dążenie do poprawienia jakości życia we wszystkich jego aspektach, rozszerzanie dostępu do

usług medycznych, kampanie informacyjne, a także terapia poprzez sztukę w szpitalach i ośrodkach opieki społecznej. *Truck Stop Rock* czy *Private Parts* to projekty odnoszące się właśnie do przestrzeni zdrowia publicznego. Ich celem było dotarcie do grup mężczyzn w średnim wieku z informacjami i badaniami medycznymi poza przestrzenią szpitala czy przychodni, dzięki czemu niwelowano lęk przed udaniem się do lekarza. Przedsięwzięcia zakończyły się sukcesem: spośród kilkuset uczestników projektu większość poddała się badaniom bądź zapisała na wizytę u lekarza rodzinnego.

To właśnie ta przestrzeń działalności publicznej *community arts* wydaje się najbardziej oddalona od polskich realiów. W rodzimych szpitalach stosuje się jedynie terapię poprzez sztukę na oddziałach dziecięcych. Pojawiają się nieliczne przedsięwzięcia artystyczne, jak projekt Piotra Wysockiego w Szpitalu Wolskim w trakcie festiwalu Wola Art, w których jednak szpital funkcjonuje przede wszystkim jako przestrzeń wystawiennicza. Podstawowym problemem jest tu oczywiście brak środków, ale chyba także zupełnie inne podejście do zdrowia, które traktowane jest głównie objawowo, a nie profilaktycznie. Szpitale jawią się jako przestrzeń zamknięta i niechętna współpracy – czy mogą stać się przestrzenią działań artystów i animatorów kultury?

Z perspektywy *community arts* sztuka ma nie tylko, jak sugeruje Artur Żmijewski, pisząc o możliwych relacjach sztuki i społeczności, „władzę nazywania, definiowania, ingerowania w porządku kulturowe, wytwarzania nacisku na elementy struktury społecznej poprzez włączanie ich do artefaktów”¹¹. Artysta poddaje społeczeństwo krytyce, zapraszając je do interpretacyjnego dialogu, ale także współpracuje ze społecznością na wszystkich etapach refleksji i działania. To nie on decyduje o tym, jakie są problemy społeczności – to ona mówi mu, co jest dla niej ważne i co wymaga wyrazu, a następnie współuczestniczy w procesie twórczym prowadzącym do stworzenia

10. *Living Gallery* [online]. Dostępne w Internecie: <http://www.living-gallery.org> [dostęp: 14.08.2009].

11. Artur Żmijewski, *Stosowane sztuki społeczne*, [w:] idem, *Drżące ciała. Rozmowy z artystami*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2008, s. 18.

wspólnego dzieła sztuki. Jak piszą brytyjscy badacze, „tradycyjne ujęcie roli artysty jako twórczego geniusza musi zostać poddane krytyce, a sam artysta musi określić swoją pozycję między samodzielnym twórcą a animatorem używającym twórczych metod”¹².

Jeśli spojrzeć od tej strony na Park Rzeźby na warszawskim Bródnie, to projekt *Raj* przestaje być wyłącznie dziełem znanego artysty – Pawła Althamera – a staje się wspólnym działaniem społecznym, przeprowadzonym przez mieszkańców dzielnicy, lokalne władze, instytucje kultury oraz artystę zaangażowanego w sprawy ważne dla całej społeczności. Artysta przyjmuje propozycję urzędników dzielnicy Targówek i zaprasza do współpracy dzieci z lokalnej szkoły podstawowej, by wraz z mieszkańcami zrealizować swój projekt. Takie użycie artystycznych metod we wspólnej pracy nad przemianą fragmentu przestrzeni publicznej i polepszeniem jakości życia społeczności to działanie bliskie ideałom *community arts* i społeczeństwa obywatelskiego, którego członkowie aktywnie angażują się we wszystkie jego sprawy. Do partycypacji zachęca także nowy projekt Muzeum Sztuki Nowoczesnej – *Departament propozycji* – oferujący mieszkańcom Warszawy możliwość prezentacji ich pomysłów na zmianę przestrzeni miejskiej, rozumianej zarówno jako przestrzeń trwała (budownictwo) i półtrwała (tereny zielone), jak i prze-



strzeń społeczna (wspólnoty sąsiedzkie, problemy mieszkańców konkretnej dzielnicy). Jednak najważniejszą częścią projektu wydaje się przede wszystkim rozpoczęcie szerokiej debaty na temat kształtu przestrzeni stolicy. Elementem, którego zazwyczaj brakuje w projektach artystycznych prowadzonych we współpracy ze społecznościami lokalnymi – i to zarów-

no na gruncie brytyjskim, jak i polskim – jest możliwość prowadzenia długoterminowych projektów osadzonych w konkretnym miejscu i konkretnej wspólnocie. Tak długo, jak będą one całkowicie uzależnione od corocznego ubiegania się o dotację na zasadach konkursu, wiele cennych propozycji przepadnie ze względu na konieczność dostosowywania się do konkretnych priorytetów i języka wymaganych przez instytucje finansowania.



Autorka jest doktorantką w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego zaangażowaną w działania specjalizacji Animacja kultury w tymże Instytucie, w roku akademickim 2008/2009 uczestniczyła w szeregu zajęć dotyczących *community arts* w Creative Communities Unit w Staffordshire University. ◀

Anna Rogozińska

(1981), doktorantka w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, zaangażowaną w działania specjalizacji animacja kultury w IKP. W roku akademickim 2008/2009 uczestniczyła w szeregu zajęć dotyczących *community arts* w Creative Communities Unit w Staffordshire University.



www.dnamiasta.pl

12. Joanne Sharp, Vanda Pollock, Ronan Paddison, *Just Art for a Just City: Public Art and Social Inclusion in Urban Regeneration*, „Urban Studies”, t. 42, nr 5/6, s. 1014.

O spacerze i przemianach chodzenia. Simmlowska impresja¹

DANIEL KONTOWSKI

„Nowoczesność” – gdy wyróżnić ją ze względu na zmienność (miejsca, wagi, budowy), wtedy i w człowieku nowoczesności dostrzec trzeba przede wszystkim kogoś, kto się porusza. Ten ktoś zaś jest ruchomym i immanentnym, z wyboru nieco egoistycznym, autotelicznym punktem, w którym zbiegają się główne dychotomie nowoczesnej reinterpretacji świata. Połączeniem stałości i dynamiki jest człowiek idący – już nie stoi, ale jeszcze nie biegnie. To właśnie to napięcie ma fundamentalne znaczenie dla zrozumienia kulturalnego sensu oczekiwań i możliwości wyrażających się w czynności chodzenia.

Fenomen chodzenia nie zaczyna się wraz z nowoczesnością. Jednak rozwój kultury miejskiej, wraz z ciasnymi uliczkami, niewielkimi odległościami i rosnącą liczbą obserwatorów, nie pozostał bez wpływu na czynność, której ludzie oddawali się od niepamiętnych czasów. Będąc tym, co wszystkim wspólne, chodzenie nie straciło bynajmniej swego potencjału indywidualizującego; ujawnił się on wprost proporcjonalnie do postępów procesu ujednolicania wszystkich ludzi, zarówno w sferze zajmowanej pozycji i towarzyszących jej atrybutów, jak i w sferze wyglądu. Portretowa stabilność straciła swą atrakcyjność dla wszystkich tych, którzy pragną się wyróżniać; stało się to z chwilą, gdy centrum życia przeniosło się na powrót poza drzwi domów; kiedy ulica wraz z jej peryferiami, jak kawiarnie i sklepy, stała się desygnatem miejsca, w którym toczy się prawdziwe życie. W tej sytuacji nie sposób było już dłużej ignorować wielkiego znaczenia samej czynności chodzenia. Wcześniej

dezawuowana jako to, co pomiędzy dwoma stanami, wraz z nowoczesnością, a zwłaszcza wiekiem XIX, stała się stanem *sui generis*. Ów nowy status chodzenia najlepiej widać w instytucji spaceru.

Spacer jest formą chodzenia, która wyklucza wymiar celowego przemieszczenia, czyniąc samo przechadzanie się ośrodkiem zainteresowania zarówno spacerowiczów, jak i tych wszystkich, którzy poddają ich zachowanie refleksji. Wynik rozrostu miejskiego proletariatu, zmuszonego na pieszo dostawać się do pracy – chodnik (w przeciwieństwie do jezdni, którą stworzono dla automobili prowadzonych przez reprezentantów klas wyższych) – nie jest czymś wystarczająco wyodrębnionym, by odbywać na nim spacer. Tym, co łączy parki, deptaki, bulwary, ulice pełniące reprezentacyjne funkcje „salonów” nowoczesnych miast, a także mola, rekreacyjne tereny na obrzeżach metropolii, oraz wielkie ogólnodostępne ogrody jest fakt, że wszystkie je wybudowano, by stworzyć najdogodniejszą przestrzeń oddawania się czynności spacerowania. Udawanie się na spacer jest czymś, w dosłownym sensie, niecelowym; prowadzącym najczęściej z powrotem do punktu wyjścia, zwłaszcza zaś gdy odbywa się ono po alejkach w kształcie koła lub owalu, w największym stopniu ucieleśniających ideę spaceru: wycieczki donikąd. Niezbywalnym atrybutem spacerowania jest jego powtarzalność, najczęściej w regularnych odstępach: weźmy taki spacer niedzielny. Nie daje on satysfakcji tym wszystkim, którzy w spacerowaniu chcieliby widzieć środek poznawania nowych miejsc czy przyrody, wszak miejsce spacerów z zasady jest już dobrze znane. Nic bowiem bardziej mylnego

1. Podziękowania należą się Marcie Bucholc za rozbudzenie we mnie wyobraźni socjologicznej. Alinie Gorlewskiej dziękuję za pomoc, której nie umiem adekwatnie oddać słowami, przy powstawaniu mojej pracy.

niż doszukiwanie się znaczenia spaceru poza samą czynnością przemieszczania się – w towarzystwie osób bliskich duchowo lub własnych myśli. Nie jest jednak tak, by jego jedyną funkcją było dotlenianie konwersującego umysłu; przeciwnie, spacer, na czele ze słynnymi spacerami filozofa z Królewca, pełni szereg funkcji o charakterze społecznym, by nie rzec wręcz: towarzyskim.

Spacer sugeruje przede wszystkim stosunek idącego do czasu. Ktoś, kto uważa swój czas za na tyle cenny, by nie marnować go na powolne kroczenie, z perspektywy spacerujących wygląda karykaturalnie; stąd jego miejsce jest na ulicach, w tym krwioobiegu nowoczesnego miasta, a nie na bulwarach. Przestrzenie spacerów wymagają od swych stałych bywalców, zrozumiałe samo przez się, ograniczenia prędkości. Spacerujący to ten, kto ma dużo czasu, a nawet jeśli go nie miał, to tym pełnym godności gestem, jakim jest opuszczenie domowego *oikos*, daje do zrozumienia, że on sam jest jego dysponentem i może go spożytkowywać także na to, co nie służy niczemu konkretnemu. W ten sposób niedzielny drepacz po deptaku spacerowicz ustawia się w opozycji do ludzi wymijających się w przejściach podziemnych, do tych wbiegających po ruchomych schodach; zaś ten, kto z poczuciem niewątpliwej wyższości spogląda kątem oka na zamykające się przed nim drzwi autobusu mogącego go zawieźć do celu – do wszystkich tych, co wskakują doń na wyścigi, by zająć ostatnie wolne miejsca – spacer ma w sobie coś arystokratycznego. Podobnie zachowuje się kuracjusz, odbywający zalecane przez lekarza spacer, często o precyzyjnie wyznaczonym czasie i przestrzeni. Spaceruje ten, kogo w danym momencie nie potrzebuje współczesny kapitalizm, bo nie jest on dla niego wartościowy, albo ten, kto potrafi nad nim zapanować, przenosząc swój czas z domeny konieczności do sfery wolności.

Podział pracy opiera się na rosnącej współzależności poszczególnych ludzi. Nie jest to wyłącznie stosunek obiektywny, taki jak w procesie nowoczesnej produkcji czy konsumpcji; ma on bowiem również wymiar subiektywny, który można dostrzec także w przemieszczaniu się. Starożytna idea, widząca w samym ruchu coś niedoskonałego, bo dążącego ku

czemuś innemu, a więc niewystarczalnemu (przecież dąży tylko ten, komu czegoś brak), pozostaje aktualna przy opisywaniu stosunków współczesnego kapitalizmu. Przychodzi do nas ten, komu czegoś brakuje, a robi tak, bo my akurat mamy tego w nadmiarze: oczywiście, jutro role mogą się odwrócić. Jednak przemieszczanie się ludzi – w przeciwieństwie do przewozu towarów – ma dla nas konsekwencje moralne. Nasza intuicja podpowiada nam, że handel obnośny i akwizycja są przykładami najbardziej niegodnej formy działalności handlowej: łączą one towary, których ruch nakręca handel, z osobami, które im towarzyszą – w najmniejszym stopniu nie wykorzystując swoich najcenniejszych umiejętności. Po przeciwnej stronie skali znajdują się wielcy przemysłowcy, którzy swoje towary posyłają jedynie w towarzystwie kilku słabo opłacanych pracowników do kontrahenta pod postacią *cargo* – zaoszczędzony czas (wytworzoną nadwyżkę *loisir*) spędzając w sposób bardziej odpowiadający ich zdolnościom – na przykład na spacerowaniu.

Spacer odegrał niebagatelną rolę także w stereotypizacji ról płciowych. Ogromny rozwój mody kobiecej od czasów Baroku aż do Dwudziestolecia Międzywojennego wykazuje zadziwiającą spójność jeśli chodzi o funkcje strojów używanych na przechadzki. Bufiaste suknie, krynoliny, długie spódnice czy wreszcie buty na obcasach – wszystko to służyło zmniejszeniu mobilności kobiet, tak że dla dystygowanej damy spacer długo pozostawał jedyną formą aktywnego spędzania wolnego czasu na świeżym powietrzu. Strojom towarzyszyła samo potwierdzająca się ideologia, że szybkie chodzenie – o ile w ogóle możliwe – ośmiesza kobietę, zarówno z powodu niepewnego ułożenia ciała, jak i ryzyka odsłonięcia przyzwoitym spacerowiczom zbyt dużej ilości nagiej skóry. W konsekwencji za właściwe dla kobiety uznano kroki drobne – potęgę normatywnego charakteru tego ograniczenia najlepiej oddaje chiński zwyczaj krępowania stóp małym dziewczynkom, dający pewność, że nigdy nie będą one w stanie zaprzeczyć swej „kobiecej naturze”. Nietrudno dostrzec analogię do kolejnych kroków abstrakcyjnego rozumowania: fakt, że kobieta musiała uczynić więcej kroków, by prze-



być ten sam dystans co mężczyzna, dawał asumpt do uznania jej za mniej zdolną do efektywnego przeskakiwania oczywistych przesłanek w drodze do konkluzji; było to zarówno skutkiem, jak i przyczyną niewielkiej wagi, jaką przywiązywano do kształcenia kobiet przez większość okresu nowoczesnego. Ustępstwa w kwestii prędkości marszu rekompensowane były efektem rozkołysania całej sylwetki. Dobrze ułożona panna winna jednak panować nad sprawami przyziemnymi jak własna anatomia i nie pozwolić swym biodrom rozchybotać się ponad miarę. Posunięty do skrajności chód typu kobiecego realizuje wszak nie kto inny, jak oczekująca na klientów prostytutka, od której przejęto „wyzywający” chód współczesnej *femme fatale*: kokieteryjnie zmienna szybkość zbliżania się do obserwatora, pozycja bioder określana bardziej jako sfera niż punkt w przestrzeni (w ten sposób sztucznie zostaje powiększony tunel, jaki wytwarza swoim ciałem krocząca), to kobieta dominująca swoją zwiększoną wysokością, ale też potencjalnie zdominowana przez niemożność ucieczki wskutek przymusu wykonywania małych, niepewnych kroków.

Sztuka spaceru nie jest wolna od licznych sztuczek, których zadaniem jest przenoszenie duchowej wielkości idącego w wymiar przestrzenny. Ciągący się za przechodzącym zapach perfum, chmura dymu z cygara lub papierosa znakują przestrzeń – z zasady wspólną i dostępną wszystkim – piętnem indywidualności. Do dobrego tonu w czasie spacerów należał parasol, chroniący, rzecz jasna, od słońca, nigdy zaś od deszczu; oraz laska, którą nobliwy jegomość dawał wyraz swojej postawie traktującej bieganie jako coś zbyt barbarzyńskiego dla cywilizowanego człowieka.

Wszystkie te cechy spacerowicza miały wspólny mianownik: zgodnie z kulturalną rolą nowoczesności, przenosiły chodzenie, znane człowiekowi od czasów najdawniejszych, ze sfery konieczności, w sferę wolności; przemieszczanie się – z naturalnej dziedziny czynności wszystkich organizmów żywych w dziedzinę specyficznie ludzką; zamieniały naturalne przesuwanie ciała w coś na wskroś kulturalnego, unormowanego i zdystansowanego, ukrytego za

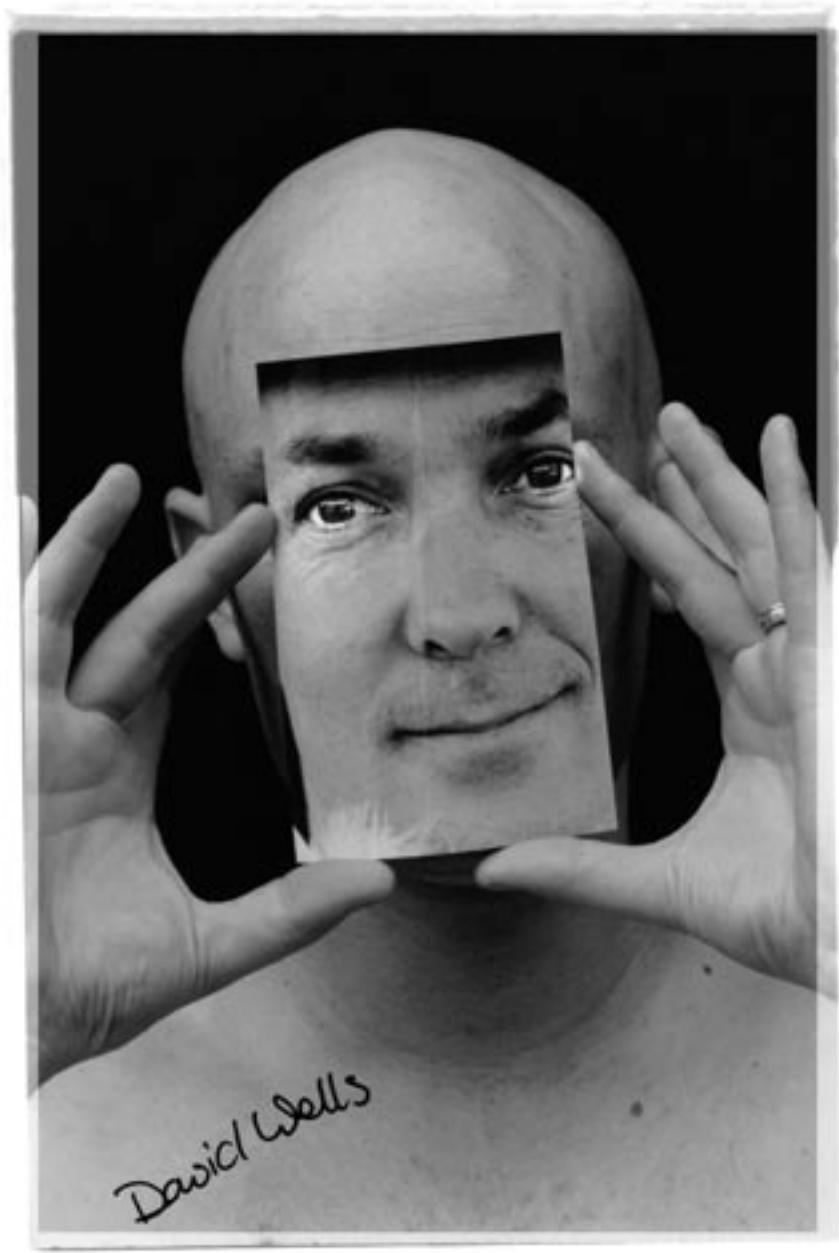
parawanem formy. Dopiero na tak wykreślonym polu możliwa była indywidualizująca funkcja spaceru, obejmująca pozycjonowanie się spacerowiczów względem siebie w kategoriach poziomu nonszalanckiej w szastaniu swoim wolnym czasem, przez porównywanie strojów pełniących tylko funkcję estetyczną czy też odkrywanie nowych przestrzeni, w których można oddawać się sztuce spaceru, w czym przodował XIX-wieczny *flâneur*.

W dzisiejszych, ponowoczesnych czasach, sztuka spacerowania znajduje się w sytuacji niewątpliwego kryzysu; przestrzenie stworzone dla spacerowiczów zawłaszczane są przez niańki i babcie pchające wózki dziecięce oraz reprezentantów klasy średniej z dumą prowadzących swój publicznie zdrowy tryb życia, a na miejskie „spacery” w pierwotnym sensie tego słowa, udają się już tylko emeryci, zamieszkujący wielkie blokowiska wybudowane w okolicach dzielnicowych parków. Te same parki, które niegdyś budowano dla roztaczających za sobą woń perfum dam i mężczyzn, nierzadko stają się noclegownią dla roztaczających za sobą woń uryny i alkoholu mężczyzn i kobiet w różnym wieku, których łączy brak innego miejsca zamieszkania. Umasowienie, które stało się udziałem XX-wiecznej kultury, zamieniło ukształtowaną sztukę spaceru w swoją karykaturę, dewaluując cały urok dawnej formy. Jesteśmy świadkami powrotu do pierwotnego charakteru chodzenia, co jednak jest niczym innym, jak tylko obiektywnym efektem sumy subiektywnych dążeń do zdobycia szerokiego uznania przez tych, którzy przejmując zewnętrzny kształt formy, zapomnieli o jej niewymawianym głośno uzasadnieniu. Apogeum popularności, jak to akurat trafnie zauważył Bauman, spotyka się z dnem wartości.

Różnica pomiędzy przestrzenią spaceru a ulicą zatarła się na korzyść tej ostatniej. Dominującym modelem przemieszczającego się współczesnego człowieka jest ktoś, dla kogo stanowi to jedynie smutne oderwanie od bardziej istotnych czynności: pracy zawodowej, troski o dom czy studiowania. Jeśli jednak w epoce nowoczesnej formy sytuowały się poza „zwykłym chodzeniem”, to dzisiaj jesteśmy świadkami formalizacji tego ostatniego; kultura na nowo wal-

What happened to the boy I was ?

I used to cry so easily and laugh for no reason.



Do we spend our whole adult life looking for something.

lost : is it our childhood ?

czy o swoje zdanie w temacie chodzenia. Nie licząc może niedzielnych spacerów do kościoła i spacerów świeżo zakochanych, nad przeważającą większością aktów chodzenia wisi odium konieczności: stąd popularność odtwarzaczy mp3, telefonów komórkowych, a zwłaszcza zestawów głośnomówiących. Człowiek współczesny, zafiksowany na wielowątkowości własnej egzystencji i umiejętności czynienia zadość więcej niż jednej czynności na raz, za wszelką cenę stara się pozbawić chodzenie jego irracjonalnego charakteru, który obserwowaliśmy w sytuacji spaceru. Dlatego idąc, słucha muzyki (czyni to nawet biegając, podkreśla przez to, że dbanie o dobrą figurę odbywa się równolegle z troską o rozwój duchowy) albo też nagranych na odtwarzaczu mp3 audiobooków, tak by smutną konieczność spaceru osłodzić nieco przez pozór obcowania z wielką sztuką. Duże zasługi dla radzenia sobie z przemieszczaniem się mają także telefony komórkowe pozwalające na czas chodzenia przywołać inną osobę, z którą można prowadzić konwersację, idąc przez nieprzyjazną bardziej bezpośrednim kontaktom ulicę wielkiego miasta. Tym sposobem, człowiek współczesny może zamieniać coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się być przeciwieństwem spaceru, w jego funkcjonalny odpowiednik. Jak daleko sięga analogia, można się przekonać, obserwując biznesmenów, którzy jednocześnie rozmawiają przez zestaw głośnomówiący, notują na dotykowym ekranie swojego telefonu i przemierzają ludzką gęstwinę w drodze do swojego biura. Na drugim biegunie społecznej skali uznania znajdują się ludzie, najczęściej młodzi, słuchający muzyki tak głośno, by towarzysze ich podróży miejskim autobusem słyszeli to co oni, albo – co czasami wywołuje większe oburzenie – słuchający muzyki z telefonu komórkowego bez słuchawek. Na to ostatnie zjawisko można spojrzeć również z perspektywy wytwarzania dźwięku w trakcie chodzenia: współczesna rytmiczna muzyka, towarzysząca krokom rozbawionej młodzieży gimnazjalnej (choć nie tylko), może być wówczas ujęta jako próba wychwycenia związku pomiędzy hałasem a pozycją idącego: nie przypadkiem męskie pantofle i kobiece buty na obcasie skonstruowane są w taki sposób, by zwracać uwagę na osobę idącego.

Zgodnie z zasadą, że kto ma klasę, ten jej nie okazuje, wszak ona ujawnia się sama, hałaśliwa młodzież „wyraża swoją indywidualność” za pośrednictwem środków, jakie uważa za najwłaściwsze. Niewątpliwie rzuca to inne światło na wołanie o uznanie, które towarzyszy chodzeniu w ten sam sposób, jak cień na ulicy towarzyszy spacerującemu: im większa ulica, tym więcej cieni.

Zniesieniu różnicy pomiędzy spacerem a ordynarnym chodzeniem towarzyszy poszukiwanie nowych sposobów wytworzenia dystynkcji: najlepiej widać to w kroku, którym poruszają się ludzie na ulicach współczesnych miast. Rozbawienie przechodniów budzą zwłaszcza dwa jego rodzaje: pierwszy to pijackie zataczanie się, które śmieszy z tego względu, że jest chodzeniem nieskutecznym, nierokującym nikomu osiągnięcia jakiegoś celu, a jednocześnie zbyt mało samoświadomym, by być dystygowanym jak w przypadku spacerowiczów epoki nowoczesnej; drugi zaś to coś, co najdokładniej oddaje określenie: „dresiarSKI krok marynarski”.

Spośród czterech zmysłów związanych z czynnością chodzenia, drugi z wymienionych powyżej sposobów chodzenia angażuje wzrok i dotyk. Przez stworzenie wzrokowego wrażenia wielkości, objawiającej się w szerokości hipotetycznego tunelu w przestrzeni miasta, który wycina swoim ciałem ten, kto idzie takim właśnie krokiem, daje on odczuć pozostałym przechodniom, jak niepośledniego kalibru jest on postacią. Ponieważ jednak maksimum swojej „objętości” człowiek osiąga poprzez dodanie ruchu „na boki” do ruchu „do przodu” (czego przykładem było kobiecie kręcenie biodrami), mężczyzna idący „dresiarSKIM krokiem marynarskim” lekko kołysze swoimi barkami w rytm własnych kroków, ręce zaś trzyma ugięte z łokciami skierowanymi lekko na zewnątrz; składa się to na wrażenie, że ominiecie go wymaga podjęcia decyzji dużo wcześniej niż w przypadku innych idących. Tym samym ktoś, kto idzie w ten właśnie sposób, wydaje się jakby walczył o pozostanie w świadomości przechodniów przez dłuższy czas, niż zazwyczaj zdarza się to w toku interakcji na zatłoczonej ulicy wielkiego miasta. Skierowane na zewnątrz stopy sugerują, że nie jest kimś, kogo

łatwo przewrócić, pokonać: tym samym wizja wielkiego ciała uzyskuje materialną podstawę w postaci lekko zapierającego się chodu. Wreszcie podniesiona do góry głowa, która skraca twarz i tak zazwyczaj wysokiego mężczyzny, i prowadzi do przedłużenia rozrośniętego karku, symbolizuje spojrzenie z góry, w gruncie rzeczy podobne do tego, jakim dawni spacerowicze darzyli zabieganych przechodniów. Całość wizerunku mężczyzny idącego „dresiarским krokiem marynarskim” ma oddziaływać także na zmysł dotyku, jako potencjalne zagrożenie: zetknięcie się z kimś robiącym tak duże wrażenie jest czymś, czego bez wątpienia należy unikać; chód ten rodzi więc i takie cudowne skutki, że pływacy w przeciwnym kierunku przechodnie rozstępują się (bez zbędnych słów w rodzaju „przepraszam”), a ich własny chód staje się dużo bardziej niepewny.

Oczywiście, jest też wiele mniej wyrazistych form chodzenia, spotykających się z uśmiechem i zainteresowaniem, a więc spełniających towarzyską funkcję, jaką przypisaliśmy spacerom. Kobiety, które – nawet podświadomie – kręcą pupą za każdym krokiem; wielkie biegi na otwarcie nowych supermarketów i związane z tym promocje; żyjący w swoim świecie naukowiec, który w nieskończoność przemierza kilka metrów przestrzeni za katedrą z rękami splecionymi za plecami; owe budzące zażenowanie „przestępowanie”, które można obserwować na dyskotekach u ludzi bardzo młodych i bardzo starych; czy wreszcie „kocie ruchy”, które towarzyszą „podręcznikowemu” wyobrażeniu o gejach chcących w ten sposób zaznaczyć swoją odrębność – nasze reakcje na wszystkie te czynności dowodzą, jak wielkie znaczenie zachowuje współcześnie sposób chodzenia. Złożoność tego fenomenu rośnie, gdy tylko uzmysłowić sobie, jak bogate w konsekwencje jest chodzenie wielu ludzi równocześnie: czy to w zorganizowanych formach

jak na lotnisku, defiladzie czy marszu poparcia, czy to w formach na pozór mniej spójnych, jak to się dzieje w przypadku współczesnych centrów handlowych. Można zaryzykować twierdzenie, że wraz z tymi ostatnimi, symbolami dominacji konsumpcji we współczesnej kulturze, znaczenie chodzenia nie tylko nie maleje, ale nawet rośnie. Niebagatelną rolę w tym procesie odgrywa ostatnia ze sztuk odziedziczonych przez współczesność po epoce nowoczesnej: kino.

Jeśli malarstwo czy rzeźba, a także początki fotografii, kojarzą się ze statycznym wymiarem ludzkiej egzystencji, to film bezdyskusyjnie zaczyna się tam, gdzie ludzie już się przemieszczają. Najśłynniejsze kroki w historii kina, jak choćby kończący każdy film z Małym Trampem marsz w dal czy pełen wdzięku krok Johna Travolty z otwierającej sceny *Gorączki sobotniej nocy*, stanowią coś więcej niż tylko wyraz zadania, jakie stanęło przed kinem. Są one raczej czymś, co działa niczym kurtka z węzowej skóry na wypuszczonym na wolność Sailorze w *Dzikości serca*: stanowią „wyraz indywidualności i wiary w wolność jednostki”, zdolnej nawet wytwarzać nowe przestrzenie dla spacerów w świecie grodzonym płotami panoptycznych osiedli. Zgodnie z mechanizmami obserwowanymi w modzie, upodobnienie rodzi potrzebę odróżnienia: sposób, w jaki chodzą ci, którzy ustalają nowe trendy współczesności, upowszechnia się, ale wytwarza też swoją antytezę – stanie się ona na jakiś czas nowym ośrodkiem tego, co określane bywa „dobrym smakiem” w chodzeniu. Choćby realizacje ulegają zmianom w czasie, znaczenie tematu nie maleje – chodzenie nadal pozostaje istotną kategorią życia społecznego. ◀

Daniel **Kontowski**

(1989), jest studentem MISH i CLAS na UW.
Zajmują go nauki społeczne, fascynują powieści.

Zwierciadło: kulisy filmu

SEWERYN KUŚMIERCZYK

Pierwsze zamysły twórcze prowadzące do realizacji *Zwierciadła* pojawiły się już na wiele lat przed jego powstaniem, podobnie jak w przypadku innych filmów Andrieja Tarkowskiego. Zachowane informacje pokazują, że pomysł na ten obraz powstał już w początkowym okresie twórczości reżysera.

Historia filmu ma swój początek w latach 60., kiedy to Aleksandr Gordon, kolega Tarkowskiego ze studiów reżyserskich, a później mąż jego siostry Mariny, spędzał wraz ze swoją rodziną wakacje w Ignatiewie, w tej samej miejscowości, w której Andriej i Marina Tarkowscy bywali z rodzicami jako dzieci. Nawet kwaterę małżeństwo Gordonów wynajmowało u tego samego gospodarza – Pawła Gorczakowa. W 1963 roku, po powrocie z wakacji, Gordon pokazał Tarkowskiemu wykonane przez siebie zdjęcia. Niektóre z nich były dość niezwykle, miały podwójną ekspozycję. Gordon, fotografując, zapominał przesunąć film w aparacie. Choć na pierwszym planie i w tle pojawiają się te same osoby, to oglądając fotografie trudno oprzeć się wrażeniu, że utrwalone na nich obrazy istnieją w dwóch różnych wymiarach czasowych: w teraźniejszości i w jakimś innym, tajemniczym czasie, który przeminął, a jednocześnie wciąż jest obecny. Po wielu latach Gordon zapisał:

„[Tarkowski] powściągliwie pochwalił, wyczułem jego zaniepokojenie i ukryte wzburzenie, jakbym zajrzał do pomieszczenia, do którego nie miałem wstępu lub nieumyślnie przeczytał cudzy list. Nagle

Andriej powiedział: «Nie pokazuj nikomu tych fotografii. Chcę nakręcić o Ignatiewie film»”¹.

Tarkowski powrócił do swojego pomysłu po kilku latach. 6 stycznia 1967 roku w Studiu Eksperymentalnym wytwórni filmowej Mosfilm odbyło się posiedzenie kolegium redakcyjnego, w czasie którego reżyser przedstawił koncepcję filmu o roboczym tytule *Spo-wiedź*. Wspomagał go przyszły współscenarzysta *Zwierciadła*, rosyjski pisarz Aleksandr Miszarin. Poznali się w 1962 roku, łączyły ich wspólne zainteresowania związane z literaturą i sztuką. Byli zapisani – jak wspominał Miszarin – do wszystkich bibliotek w Moskwie i znali na pamięć miejsca rozwieszenia poszczególnych obrazów w Galerii Trietiakowski².

„Chcemy w tym filmie dokonać czegoś, co w praktyce filmowej nie zostało jeszcze dostatecznie wypróbowane” – mówił Tarkowski. „Nakręcony materiał będzie miał postać bezpośredniej rozmowy z głównym bohaterem przyszłego filmu – nie zaś z aktorem. Krótko mówiąc, koncepcja polega na nakręceniu filmu o mojej matce. Jak wiele matek, ma ona za sobą długie i ciekawe życie. Właśnie jesteśmy w trakcie sporządzania listy pytań – jest to praca scenariuszowa, bardzo trudne zadanie, które ma skłonić moją matkę do odpowiedzi na nasze pytania. Wszystko ma być filmowane ukrytą kamerą³. Będzie się to odbywało tak, by matka nie wiedziała, że jest kręcony film. (...) Zestawienie takich pytań jest trudnym zadaniem psychologicznym. Ukształtowanie pytań, ich ogólny kierunek, ich powiązanie z biografią mojej matki, z jej stosunkiem do ludzi oraz różnych

1. A. Gordon, *Pieriesieczienija*, [w:] *O Tarkowskom. Wspominanija w dwuch knigach*, opracowała M. Tarkowskaja, Dedalus, Moskwa 2002, s. 463.
2. A. Miszarin, *O drugie i soawtorie*, [w:] *Andriej Tarkowskij. Nostalgija*, opracowała P. Wołkowa, AST, Chranitiel, Zebra E, Moskwa 2008, s. 395, 405.
3. Zdaniem M. Turowskiej inspiracją dla takiego pomysłu mogły być możliwości telewizji, która zaczęła wówczas wpływać na estetykę filmu. Zaproponowany „film-ankieta” był gatunkiem telewizyjnym, który reżyser chciał rozwinąć w bardziej wymagający gatunek artystycznego filmu kinowego. Zob.: M. Turowskaja, *7,5 ili filmy Andrieja Tarkowskiego*, Iskusstwo, Moskwa 1991, s. 101.

wydarzeń społecznych, wszystko to musi być dobrze przemyślane”⁴.

Przedstawiając koncepcję swojego projektu Tarkowski podkreślał niezwykle silne więzi łączące go z matką, zwracając jednak uwagę na dzielącą ich różnicę pokoleń. W czasie prac nad filmem zakładał także możliwość przeprowadzenia rozmów z osobami, które dobrze znały jego matkę, i zadanie im pytań o pewne wydarzenia z jej życia, o to, jak zostały one przez te osoby zapamiętane.

„O czym ma opowiadać ten film? W pewnym sensie czujemy się winni wobec naszych matek. To odczucie nie zawsze jest wyraźnie obecne. Często skłaniamy się ku temu, by zapomnieć o sprawach najważniejszych. To dla mnie bardzo ważne, by przywrócić ten problem do świadomości powszechnej. Nie krępuje mnie to, że chodzi tu o moją matkę. Wyjaśnię, dlaczego. (...) Chcę zrobić swój film bez żadnych domieszek fantazji na temat człowieka, którego dobrze znam i kocham. O czym ma traktować ten film? Przed nami ma przesunąć się całe życie kobiety i matki. Jestem absolutnie przekonany, że tego rodzaju film musi być interesujący, kiedy będziemy mieć do czynienia z człowiekiem, który swoje życie przeżył uczciwie. A życie to może być interesujące jedynie ze względu na jego indywidualny charakter. (...) Film ten ma traktować o mojej matce, o jej bardzo ciężkim życiu z jego nadziejami, wiarą, radościami. Ma to być normalna historia życia”⁵.

W czasie posiedzenia kolegium Aleksandr Miszarin podkreślał, że obraz będzie miał charakter dialogu wynikającego z zestawienia wypowiedzi matki i scen dodanych przez reżysera, jej syna, przedstawiających jego punkt widzenia. *Spowiedź* miała pokazywać „spór, walkę i konflikt, nie zaś piękny, spokojny portret własnej matki”⁶. Chodziło

mu o ukazanie głębokich relacji pomiędzy matką a synem, wyjaśnienie wielu problemów o charakterze uniwersalnym, obecnych w relacjach rodzinnych i ważnych dla widzów, którzy obejrzą film. Projekt został pozytywnie oceniony przez kolegium i uznany za „owocny i ciekawy”. Nie został jednak zatwierdzony do realizacji.

[...]

23 grudnia 1972 roku Tarkowski zanotował: „Sądzę, że pozwolą mi rozpocząć realizację *Białego dnia* (kolejna nazwa dla filmu), któremu nadałem nowy tytuł: *Szalony strumyczek*. Z pewnością go nie zaakceptują, a szkoda”. 29 stycznia 1973 roku zapisał: „Aby dowiedzieć się, co mam dalej ze sobą zrobić, muszę koniecznie nakręcić *Biały dzień*. Zupełnie nie mogę się zdecydować, jaki tytuł powinien mieć przyszły film”. Notatka z 4 lutego 1973 roku: „Tytuł *Biały dzień* nie podoba mi się. Jest zbyt miękki. Dobrym tytułem byłby *Martyrolog*, ale nikt nie zna tego słowa. Kiedy dowiedzą się, co oznacza, to zabronią! Tytuł *Pokuta* jest płaski. Pochodzi od Wiery Panowej. *Wyznanie* jest pretensjonalne. Tytuł *Dlaczego pozostajesz na uboczu?* jest lepszy, lecz mało czytelny”. W *Dzienniku roboczym „Zwierciadła”* 22 marca 1973 roku pojawiły się także inne propozycje: *Powrót na pogorzelisko*, *Tortury zwierciadła*, *Przechodzień* i... *Zwierciadło*. O tej ostatniej propozycji reżyser chyba jednak na pewien czas zapomniał, gdyż dopiero po kilkunastu miesiącach, 4 lutego 1974 roku zapisał w *Dzienniku*: „Znalazłem nowy tytuł dla filmu – *Zwierciadło*”⁷.

[...]

„Nic nie zrozumiałem” – mówi przewodniczący Goskina⁸, gdy w kwietniu 1974 roku Tarkowski pokazuje im *Zwierciadło*. Pozostali powtarzają za nim to samo. Równocześnie film ogląda przebywający właśnie w Moskwie Maurice Bessy, przedstawiciel

4. *Protokoll der Sitzung des Redaktionskollegiums des Experimentellen Filmstudios, abgehalten am 6. Januar 1967*, [w:] A. Tarkowskij, „*Der Spiegel*”. *Novelle, Arbeitstagebücher und Materialien zur Entstehung des Films*, redakcja Ch. Bertoncini, Ullstein, Frankfurt a. Main/Berlin 1993, s. 270-271.

5. *Ibidem*, s. 273-275.

6. *Ibidem*, s. 280.

7. A. Tarkowski, *Dzienniki*, przełożył i opracował S. Kuśmierczyk, Warszawa 1998, s. 98.

8. Goskino – Komitet do Spraw Kinematografii Rady Ministrów ZSRR.



She sat there and she waited for the man

animals are equal the thought, all animals, especially the innocent souls,



to come, he was secretive about the arrangement, what made

not wonder if she'd make the right decision,

John Updike

festiwalu filmowego w Cannes. Podejmuje decyzję o zaproszeniu filmu na festiwal. Goskino nie wyraża na to zgody, nie zgadza się także na spotkanie Bessy z Tarkowskim⁹. Wysuwa zastrzeżenia wobec *Zwierciadła*. Reżyser zostaje zobowiązany do usunięcia z filmu sekwencji z instruktorem przysposobienia wojskowego, materiałów dokumentalnych z kronik wojennych i sceny z unoszącą się w powietrzu Matką. „Co robić? Nie wiem” – zapisuje¹⁰.

W kilka dni później, 25 maja odbywa się kolejne spotkanie Tarkowskiego z kierownictwem IV Zespołu Twórczego, w którym powstaje film. Po powrocie Tarkowski notuje: „Naumow¹¹ miał pianę na ustach i krzyczał: «Geniusz, geniusz! Robi się szum, że jesteś geniuszem i ty w to wierzysz. Mówi się, że film jest genialny i ty też w to wierzysz!» Powiedziałem mu, żeby się uspokoił. A jeżeli chodzi o genialność filmu, to nikt mi nic takiego nie mówił. Wtedy Sizow zaczął wyliczać, co powinienem zmienić: 1. kronikę filmową, 2. instruktora, 3. unoszącą się Matkę, 4. autora w łóżku. Potem zaczął o nagich tyłkach żołnierzy w kronice filmowej (...), że bezwarunkowo muszę to usunąć. Inaczej oni sami wytną ich z kroniki, nawet z materiału źródłowego. Kiedy chciałem mu odpowiedzieć, powiedział, że wszystkich ich oszukałem. (...) Skończyło się tym, że Naumow zarzycał: «Niech będzie przeklęty dzień, w którym zgodziłem się na produkcję filmu Tarkowskiego»¹².

Kierownictwo stawia przed reżyserem konkretne żądania: wyraźnego rozgraniczenia płaszczyzn czasowych filmu na współczesność, teraźniejszość i wspomnienia; większej rozpoznawalności postaci Matki i Natalii; wyraźnego oddziaływania ideologicznego epizodu z instruktorem; ukazania misji wyzwolicielskiej i patriotyzmu narodu radzieckiego w czasie II wojny światowej; lepszego związania

losów bohaterki z życiem kraju i odrzucenia przez nią, w scenie z kolczykami „drobnomieszczańskiego dobrobytu w latach wojny”; wycięcia unoszącej się nad ziemią bohaterki filmu oraz usunięcia autora z zakończenia¹³.

Już następnego dnia Andriej Tarkowski zaczyna zastanawiać się nad ewentualnymi poprawkami. Mając za sobą doświadczenia „negocjacji”, związanych z zastrzeżeniami do swoich poprzednich filmów, przede wszystkim do *Andrieja Rublowa*, postanawia wprowadzić pewne zmiany, by stworzyć wrażenie, że przyjmuje większość zgłoszonych uwag. Usuwa ujęcie twarzy umierającego autora. Do filmowych materiałów dokumentalnych, pokazujących balon stratosferyczny, zamierza dodać dźwięk audycji radiowych, z efektem poszukiwania stacji, zmieniania fal. Chce uzyskać w ten sposób efekt przemieszczania się w czasie. Głosy Stalina, Hitlera, Chruszczowa i Breżniewa mają być przerywane muzyką, innymi głosami i efektami dźwiękowymi. Zdjęciom z kroniki wojennej zamierza odebrać jednowymiarowość poprzez rytmiczne rozczłonkowanie jej innymi scenami wojennymi, pokazującymi, w porządku chronologicznym: Hiroszimę, Koreę, Wietnam, konflikt Izraela z krajami arabskimi, konflikt ZSRR z Chinami na wyspie Damanski. Chce w ten sposób ukazać atmosferę narastającego niebezpieczeństwa wojny¹⁴.

Postanawia, że niezależnie od konsekwencji – *Zwierciadło* może zostać odłożone na półkę, a on nie będzie mógł nakręcić kolejnego filmu, co praktycznie będzie równoznaczne z bezrobociem – zostawi scenę z lewitującą Matką. 25 lipca Tarkowskiemu zostaje postawione ultimatum. Jeżeli następnego dnia nie przyniesie listy poprawek, studio, w którym wyprodukowano film, zostanie obciążone kwotą 450 tysięcy rubli. Reżyser „ucieka” w chorobę. Chce

9. A. Tarkowskij, *Arbeitsstagebuch*, [w:] idem, „Der Spiegel“. Novelle, *Arbeitsstagebücher...*, op.cit., s. 235.

10. *Ibidem*, s. 240.

11. Władimir Naumow, reżyser filmowy, pełnił w wytwórni funkcję kierownika artystycznego.

12. A. Tarkowskij, *Arbeitsstagebuch*, op.cit., s. 241-242.

13. *Dokumente zum langen Marsch des „Spiegel“ durch die Instanzen der sowjetischen Filmbehörde*, [w:] A. Tarkowskij, „Der Spiegel“. Novelle, *Arbeitsstagebücher...*, op.cit., s. 304-306.

14. A. Tarkowskij, *Arbeitsstagebuch*, op.cit., s. 242-243.



w ten sposób przesunąć termin odbioru filmu i uzyskać dodatkowy czas¹⁵. Pod koniec lipca otrzymuje listę poprawek, które powinien uwzględnić.

Do epizodu, w którym pojawia się balon stratosferyczny, ma dodać scenę przejazdu Walerija Czałowa ulicą Gorkiego. Tarkowski: „zrobię to”. Do materiału kroniki wojennej powinien dodać ujęcia pokazujące powitanie radzieckich czołgów przez mieszkańców Pragi. Tarkowski: „zrobię to”. Ma wyeliminować z filmu jąkanie się instruktora przysposobienia wojskowego. Tarkowski: „nie zrobię tego”. Jednak po pewnym czasie zastępuje ujęcie pokazujące jękającego się instruktora innym, z epizodu na strzelnicy. Z części końcowej filmu ma usunąć wypowiedź narratora. Tarkowski: „zrobię to”¹⁶. Tyle o zaproponowanych do *Zwierciadła* poprawkach możemy się dowiedzieć z *Dziennika roboczego*. Zachowany w archiwum Goskina dokument mówi jednak, że ta lista była dłuższa. Tarkowskiemu zarzucono wyolbrzymienie wad instruktora wojskowego. Z kolei w epizodzie z Hiszpanami dostrzeżono brak „podkreślenia radości dzieci hiszpańskich ze spotkania z krajem radzieckim”; wytknięto też ukrytą aluzję w scenie w drukarni, ogólny pesymizm i obecność mistycyzmu.

12 sierpnia 1974 roku Tarkowski pisze list do przewodniczącego Goskina Filipa Jermasza. Przedstawia wprowadzone zmiany, broni obecności, w prologu filmu, sceny z logopedą i sceny z lewitującą Matką. Tarkowski godzi się tylko na takie poprawki, które nie zmieniają wymowy filmu. Gotów jest skrócić niektóre ujęcia, wzbogacić materiał dokumentalny o dodatkowe fragmenty kronik. W kwestii scen mających dla filmu znaczenie fundamentalne pozostaje nieugięty. Reżyser wykorzystuje fakt, że obecna w obrazie filmowym wielość znaczeń pozwala na różne interpretacje. Stara się przekonać pouczającego go ministra, że lewitacja Matki jest tylko obrazową prezentacją „miłosnego uniesienia”. Zapewne obawiając się, że pojawiający się w tej scenie biały gołąb może stać się dodatkowym elementem wskazującym na „mistycyzm”, dodaje w skierowanym do niego liście, że Matka po prostu unosi się jak ptak.

Postulat „uwolnienia filmu od mistyki” będzie się jeszcze powtarzał w opiniach redaktorów Mosfilmu na temat *Zwierciadła*. Nie przeszkodzi to już jednak produkcji w wejściu na ekrany. *Zwierciadło* zostaje oficjalnie przyjęte przez Goskino 22 października 1974 roku. Film otrzymuje drugą kategorię artystyczną i zostaje skierowany do rozpowszechniania tylko w 73 kopiach. Jest pokazywany w kinach na prowincji i w salach na obrzeżach Moskwy.

Tarkowskiego czeka jeszcze jedno doświadczenie. Stenogram z kolaudacji *Zwierciadła* zostaje opublikowany na łamach miesięcznika „Iskusstwo Kino”. Opinie reżyserów, kolegów Tarkowskiego są bezlitosne. Na wieść o planowanej publikacji niektórzy uczestnicy tej dyskusji starają się do niej nie dopuścić. Nie wszystkim się to udaje.

F. Jermasz: „Tarkowski w filmie *Zwierciadło* wybrał dla wyrażenia swoich myśli i uczuć z nadmierną skomplikowaną formę i to sprawiło, że film stał się niedostępny dla widzów”.

S. Gierasimow: „Film odchodzi od subiektywnej oceny otaczającego świata, co nieuchronnie ogranicza krąg widzów”.

G. Kaprałow: „Myśl wije się wokół wielkich, tragicznych problemów epoki i jej tragicznych sprzeczności, lecz Tarkowski nie zdołał wypowiedzieć jej wyrażnie i do końca. Unika on wręcz zajęcia wyraźnego stanowiska, co dla współczesnego artysty jest wprost niezbędne”.

W. Naumow: „(...) widzę bardzo poważne niedostatki, na dodatek o charakterze czysto profesjonalnym”.

M. Chucyjew: „(...) w tym filmie nie ma dialogu, jest tylko monolog, w którym autor, nie troszcząc się o współrozmówcę, dyskutuje z zasady sam ze sobą. To mnie zasmuca. Mam przeświadczenie, że Tarkowskiego mało obchodzi, jak przyjmą go nawet doświadczeni widzowie”.

G. Czuchraj: „Sam Tarkowski jest ciekawszy od tego, co zrobił”.

J. Rajzman: „Tarkowski znalazł się obecnie na rozdrożu. To człowiek o ogromnym talencie i z powodzeniem może reprezentować radziecką kinematografię

15. *Ibidem*, s. 251.

16. A. Tarkowskij, *Arbeitstagebuch*, op.cit., s. 257.

na forum międzynarodowym. Osoby, z którymi się liczy, powinny uważnie się nim zająć i pomóc mu”¹⁷.

Kilka lat po premierze *Zwierciadła* w wywiadzie dla jednego z włoskich pism Tarkowski wypowiedział się na temat odbioru swojego filmu: „*Zwierciadło* jest w rzeczywistości przewidziane tylko dla osób inteligentnych, ale nie w sensie wykształcenia, lecz otwartości umysłu i duszy”¹⁸.

Po wejściu filmu na ekrany do reżysera zaczęły przychodzić listy od widzów. Niektóre wypowiedzi nie były dla Tarkowskiego przyjemne.

„Nam, biednym widzom, zdarza się oglądać różne filmy: dobre, złe, bardzo złe, zwyczajne i niezwykle oryginalne. Każdy można zrozumieć, można zachwycić się nim lub odrzucić. Cóż jednak można począć z Pańskim?” – pisał inżynier konstruktor z Leningradu.

„Cóż to za banał, coś za paskudztwo! Tfu, aż wstręt bierze! Uważam, że Pański film jest strzałem w próżnię. (...) Należy zapytać, jak osoby odpowiedzialne za rozpowszechnianie filmów w ZSRR mogły popełnić taki błąd” – dodawał inżynier ze Swierdłowska¹⁹.

W większości były to jednak inne wypowiedzi, bardzo ważne dla Tarkowskiego, chroniące go przed załamaniem i dające mu siłę do przewycięzania trudności. Niektóre z nich zanotował w swoim dzienniku i zacytował we wstępie do *Czasu utrwalonego*.

„Cały film, począwszy od motta, przeplakałam. Dlaczego – nie wiem. Bałam się tylko, że zaraz się skończy. Jest taki piękny. Większego szczęścia w kontakcie z czystą, zadziwiającą i wspianą sztuką nie doświadczyłam nigdy w życiu”²⁰.

„Dziękuję Panu za *Zwierciadło*. Takie właśnie było moje dzieciństwo... Jakże zdołał się Pan o tym dowiedzieć? Był taki wiatr i burza... Gala, wypędź kotkę – krzyczała babcia... W pokoju było ciemno. Zgasła lampa naftowa i całą duszę wypełniło Oczekiwanie na matkę...”

„Jest to film o tobie, o twoim ojcu, o ojcu twojego ojca, o człowieku, który będzie żył, kiedy ciebie już

nie będzie, a który zawsze będzie «Nim». O człowieku, który żyje na Ziemi, jest jej częścią, a Ziemia jest częścią jego samego; o tym, że człowiek odpowiada za swoje życie przed przeszłością i przyszłością”.

„Wszystko, co mnie dręczy, czego mi brakuje, za czym tęsknię, co budzi moje oburzenie, co mnie mierzi, co sprawia, że zaczyna mi brakować powietrza i co daje mi radość i ciepło, wszystko, czym żyję i co mnie gnębi – wszystko to jak w *zwierciadle* ujrzałam w Pańskim filmie. Po raz pierwszy film stał się dla mnie rzeczywistością i dlatego chodzę go oglądać, wnikam weń, aby żyć”²¹.

Fragmenty rozdziału poświęconego filmowi *Zwierciadło* z przygotowywanej do druku książki Seweryna Kuśmierczyka *Filmy Andrieja Tarkowskiego*. Tytuł pochodzi od redakcji. ◀

Seweryn Kuśmierczyk

(1960), filmoznawca, wykładowca w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w analizie dzieła filmowego. Tłumacz i autor opracowania naukowego książek Andrieja Tarkowskiego *Kompleks Tołstoja* i *Czas utrwalony* oraz pierwszego w skali międzynarodowej pełnego wydania *Dzienników* i *Scenariuszy* tego reżysera. Autor książki *Zagubieni w drodze. Film fabularny jako obraz doświadczenia wewnętrznego* oraz opracowań poświęconych Polskiej Szkole Filmowej.

W dniach 6–15 listopada 2009 roku odbędzie się warszawska część III Festiwalu Filmów i Kultury Rosyjskiej „Sputnik nad Polską”. Jego kontynuacją będą repliki w ponad 20 miastach w całej Polsce. W programie warszawskiej edycji, m.in. filmy, debaty, spotkania z twórcami i koncerty. Tegoroczna edycja festiwalu poświęcona jest mistrzowi kina rosyjskiego, Andriejowi Tarkowskiemu. W ramach przeglądu zaprezentowane zostaną takie filmy reżysera, jak *Zabójcy*, *Andriej Rublow*, *Solaris*, *Zwierciadło* i *Ofiarowanie*.

17. *Główną tiamą – sowriemiennost*, „Iskusstwo Kino” 1975, nr 3, s. 1-18.

18. *Conservare le radici*, rozm. L. Capo, „Scena” 1980, nr 1, s. 50.

19. A. Tarkowski, *Czas utrwalony*, przekład, przypisy i posłowie S. Kuśmierczyk, wyd. 2, Warszawa 2007, s. 6-7.

20. A. Tarkowski, *Dzienniki*, op.cit., s. 118.

21. A. Tarkowski, *Czas utrwalony*, op.cit., s. 9-12.

DNAMI MIASTA

DEBATA.01 // Ciągła zmiana // 9.06.2009

Ku czemu zmienia się miasto? Czy jest metoda w tym szaleństwie?

obecni: Bogna Świątkowska // Bohdan Jałowicki // Robert Piłat // Jacek Skolimowski // prowadzenie: Wojciech Przybylski

DEBATA.02 // Pamięć a mit // 17.06.2009

Co jest zapomniane, a co pamiętane i mitologizowane w przestrzeni miasta? Czemu mają służyć muzea?

obecni: Andrzej Ledee // Joanna Mytkowska // Przemysław Nowogórski // Anda Rottenberg // prowadzenie: Łukasz Błuszc

DEBATA.03 // Miasto-ogród // 23.06.2009

Czy Warszawa to ogród spokoju czy wszechobecny chaos? Czy to miasto wyścigu szczurów, czy pozwala na relaks?

obecni: Adam Czyżewski // Krzysztof Koptas // Mikołaj Mađurowicz // Marek Ostrowski // Jakub Szczepny // prowadzenie: Jarosław Kulsz

DEBATA.04 // Dramat czy farsa? // 2.07.2009

Jaki jest warszawski teatr? Gdzie leży obszar poszukiwania i niepokoju w warszawskim teatrze?

obecni: Jan Buchwald // Piotr Gruszczyński // Krystyna Janda // Paweł Passini // prowadzenie: Agata Didusko-Zyglewska

DEBATA.05 // My i oni - Warszawa 2009 // 9.07.2009

Co stało się z mniejszościami w naszym homogenicznym społeczeństwie? Czy nie drzemie w nas myśl kolonialna?

obecni: Aleksandra Czerniawska // Paweł Grzeń // Romuald Mieczkowski // Jarosław Prystasz // Natalia Romik // Nam Le Tuan // prowadzenie: Joanna Warsza

Więcej informacji o debatach - sprawozdania i zdjęcia można znaleźć na www.dnamiasta.pl/pilotaz/

www.dnamiasta.pl/pilotaz/

The background features a complex pattern of overlapping rectangles in light blue and orange, creating a layered, architectural effect. A dashed orange grid is also visible, intersecting the rectangles.

a

dna miasta
– warszawa

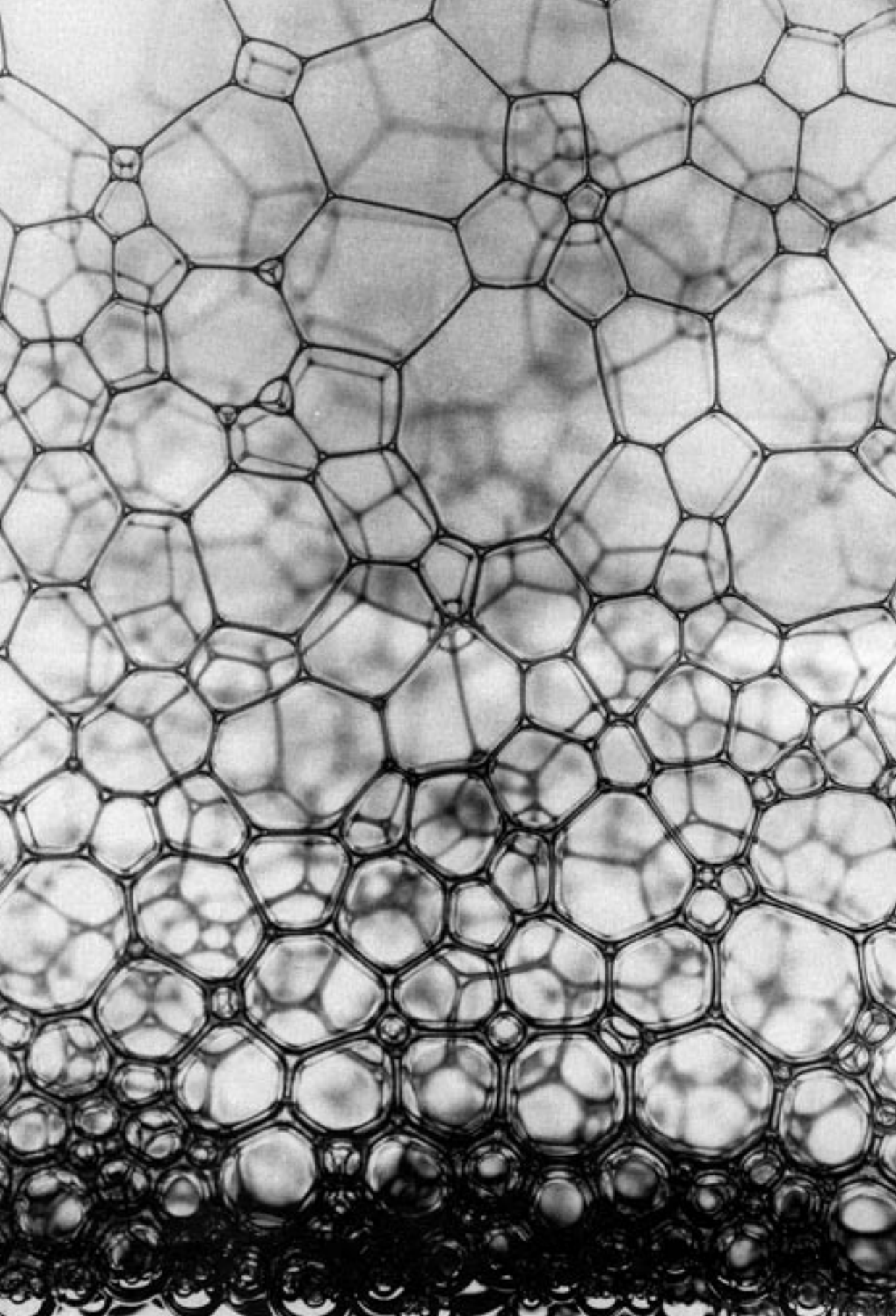


Foto: Sphären III - Schäume, Plurale Sphärologie, 2004 Peter Sloterdijk

Zmienny genotyp Warszawy

ALEKSANDRA WASILKOWSKA

Przestrzeń społeczna Warszawy to złożony system zależności, ewoluujący w czasie w sposób nieliniarny, skokowy. Najistotniejsze procesy determinujące strukturę symboliczną i materialną miasta pojawiły się w wyniku niezwykle rzadkich zdarzeń: wojen, transformacji ustrojowych, kryzysów ekonomicznych. Ostatnim takim momentem zwrotnym było przejście z ustroju socjalistycznego do kapitalizmu. Dwadzieścia lat później oglądamy Warszawę w bezradnym rozdarciu pomiędzy socjalistyczną wiarą w możliwość planowania ludzkiej działalności a liberalną – w samoregulujący się rynek. Bilans transformacji skłania do wyznaczenia nowych horyzontów myślenia o mieście.

Centralne sterowania i oddolne zawłaszczanie

Niepowodzenie miejskich utopii (modernistycznej, socrealistycznej), opartych na globalnej kontroli, centralnym sterowaniu oraz inżynierii społecznej, jest skutkiem walki z oddolną, spontaniczną aktywnością społeczną, której siła rozsądza sztywny plan od środka. Jednocześnie żywioł samoregulujących się procesów w swojej chwilowej niestabilności może prowadzić do lokalnych dysfunkcji lub destrukcyjnych efektów ubocznych kapitalizmu, na przykład w postaci przypadkowego zawłaszczania przestrzeni (grodzenie osiedli, monopolizacja przestrzeni, atrofia przestrzeni publicznej, getta biedy). Tymczasem konflikt pomiędzy modelem zarządzania odgórnego a samoorganizacją oddolną nie ma sensu. Dlatego bezpodstawne jest zarówno wyjaławianie miasta z oddolnych inicjatyw społecznych, jak i – przeciwnie – wpadanie w pułapkę leseferyzmu i przekonania, że metro zbuduje się samo. Gdybyśmy określili tożsamość wielowarstwowej Warszawy w kontekście

nauki o złożoności, bez uśredniania i szukania nie-
możliwej jedności, na rzecz różnicy i powtórzenia,
a następnie uznali nieprzewidywalność procesów samoorganizacyjnych, wówczas uniknęlibyśmy pułapki szukania optymalnej recepty czy planu opartego na antycypacji „przyszłej przeszłości”. Precyzyjnie zeterminowany plan jest bowiem niezdolny ewoluować wraz z rozwojem społecznym i reagować na nieoczekiwane zmiany. Współczesne planowanie Warszawy (spuścizna paradygmatu modernistycznego) opiera się na przekonaniu, że możliwe jest ściśle określenie rozwoju miasta i potrzeb mieszkańców na podstawie aktualnej wiedzy eksperckiej. Dlatego w stolicy obserwujemy aseptyzację miasta i walkę władz ze spontanicznymi ruchami użytkowników, nieprzewidywanymi w urbanistycznych planach zagospodarowania przestrzennego, jak handel uliczny (przestrzeń konfliktu na placu Defilad czy Stadionie X-lecia), lub z oddolnie wyłaniającymi się przestrzeniami publicznymi („zawłaszczenie” placu Grzybowskiego, najpierw przez *Dotleniacz* Joanny Rajkowskiej, a następnie przez samych mieszkańców).



Foto: Samoorganizujący się handel na pl. Defilad; źródło: projekt Miasto Symbiotyczne, strategia rozwoju dla placu Defilad Aleksandry Wasilkowskiej





Foto: *I've heard about...R&S(n)*; François Roche, Stéphanie Lavaux, Jean Navarro & Benoît Durandin; źródło: <http://www.new-territories.com/>

I've heard about... to eksperyment urbanistyczny ukazujący hipotetyczny wzrost idealnego, heterogenicznego, niezdeterminowanego miasta. Biostruktura generowana w czasie rzeczywistym przez roboty (metoda contour-crafting) powstaje w efekcie negocjacji i dystrybucji plotki pomiędzy mieszkańcami. Otwarty kod wzrostu działania robotów jest konsekwencją fluktuacji zbiorowej (pod)świadomości i indukcji zachowań społecznych. Strategia miasta Roche'a odrzuca paradygmat centralnie sterowanej urbanistyki i zamkniętego planu napiętnowanych kontrolą społeczną na rzecz samoorganizującej się społeczności, otwartego kodu wzrostu i kontroli rozproszonej.

Wraz z transformacją systemową do gry miejskiej przyłączyli się nowi gracze, w postaci korporacji, małych przedsiębiorców oraz organizacji pozarządowych. Rozwijająca się struktura ekonomiczno-społeczna pozostaje jednak wciąż scentralizowana, a komunikacja pomiędzy poszczególnymi uczestnikami działa punktowo i wybiórczo. Konsultacje planów zagospodarowania odbywają się dopiero w fazie końcowej, już po sfinalizowaniu projektu, na zasadzie poddania go pod publiczną dyskusję. Natomiast rzadkością są uprzednie konsultacje społeczne czy badania środowiskowe, jeszcze w procesie sporządzania takiego planu. Niewystarczająca ilość węzłów i połączeń komunikacji powoduje zator w przepływie informacji i ogranicza konstruowanie miasta opartego na współdziałaniu. Brakuje w Warszawie rozwiązania systemowego, które stworzyłoby platformę negocjacyjną opartą na powszechnej wielostronnej komunikacji między wszystkimi jego elementami i wyłanianiu zbiorowej inteligencji wspólnych działań.

Czy możliwe jest współzależne, demokratyczne zarządzanie miastem, łączące inicjatywy oddolne z odgórnymi? Jak mógłby funkcjonować nowy, agoniczny model strategii rozwoju Warszawy, adaptujący się do nieprzewidywalnych zmian socjoekonomicznych i geopolitycznych w czasie rzeczywistym, a więc taki, który potrafiłby zintegrować w sobie oddolną partycypację oraz przeprowadzić skomplikowane procesy np. dużych inwestycji infrastrukturalnych, w postaci budowy sieci metra czy rewitalizacji terenów zdegradowanych? Czy istnieje wreszcie taki *modus operandi*, który nie daje się sparaliżować przez wielość i różnorodność często radykalnie odmiennych potrzeb, nie poddaje się inercji braku decyzji, lecz tworzy płaszczyznę nieustannej negocjacji i wciąż na nowo wypracowywanych rozwiązań? Czy taki system, oparty na negocjacji i współzależności, może zapewnić nam społeczną stabilność, a zarazem innowacyjność miasta w procesie?

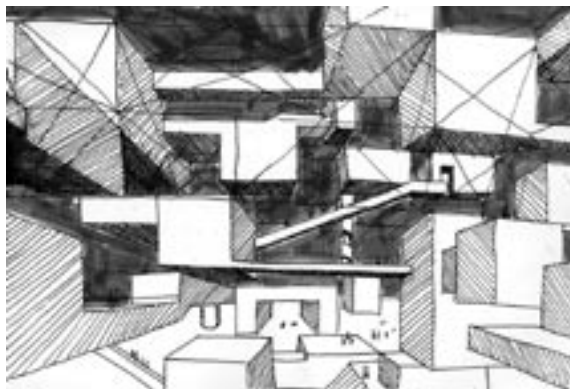


Foto: *La Ville spatiale*; Yona Friedman; źródło: dzięki uprzejmości Yony Friedmana

Yona Friedman, teoretyk i urbanista tworzy utopijną architekturę megastruktur opartą o zasady samoorganizacji i wielości połączeń. *La Ville spatiale* to rozpoczęte w latach 50. studium urbanistyczne wynikające z odrzucenia idei statycznego modernistycznego paradygmatu miasta. Friedman rozwinął zasady mobilnej infrastruktury dryfującej pomiędzy porządkiem i chaosem, postrzeganymi to rozpoczęte stany organizacji miejskiej. Friedman zaproponował projekt porowatej, otwartej megastruktury, w której użytkownicy oddolnie tworzyliby własne, zmienne konfiguracje przestrzenne. Intencją Friedmana było pomóc mieszkańcom stać się organizatorem własnej przestrzeni i tym samym uwrażliwić architektów na potrzeby użytkowników. Partycypacja oraz błędy wynikające z niekontrolowanych interakcji decydują według Friedmana o powstaniu żywej tkanki miejskiej.

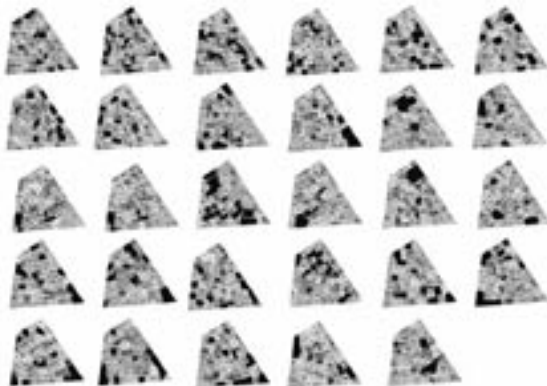


Foto: Kaisersrot (1999/03); ETH Zurich Zespół: M. Braach, O. Fritz, L. Hovestadt, A. Lehnener, S. Lemmerzuhl we współpracy z K. Cristiaanse / KCAP; źródło: <http://www.kaisersrot.com>
Program Kaisersrot był opracowany na potrzeby optymalizacji stosunki powierzchni użytkowej do ilości działek. W momencie rozpoczęcia symulacji, każda działka „walczy” o optymalizację swoich parametrów. Infrastruktura drogowa generuje się automatycznie w momencie osiągnięcia stabilności całego systemu.

Miasto jako system złożony

Nauka o systemach złożonych (jakimi są zarówno miasto, społeczeństwo, ekosystem, jak i sieć) tłumaczy, że im więcej powiązań i punktów styku pomiędzy poszczególnymi elementami, tym lepiej dany system adaptuje się do nowych sytuacji. Przykładem takiej emergentnej struktury, doskonale odpornej na szok zmiany warunków, jest w świecie roślin łądoga trawy, której przekrój składa się z połączonych ze sobą elastycznych rurek. Dlatego wichura szybciej złamie drzewo (którego pień jest centryczny i sztywny) niż łądogę zbudowaną z niehierarchicznie połączonych ze sobą bąbli, elastycznie kurczących się i powiększających, w zależności od wektora nacisku wiatru i wygięcia łądogi. Innym przykładem występowania adaptowalnych cech inteligencji zbiorowej w ekosystemie jest śluzowiec, którego struktura oscyluje pomiędzy jednością a zbiorowością. Grzyb ten większość swojego życia spędza w postaci oddzielnych komórek, z których każda przemieszcza się na swój własny sposób. W złych warunkach żywieniowych komórki scalają się w jeden organizm. Gdy sytuacja ulega poprawie, a pożywienie staje się łatwo dostępne, organizm roz-

pada się znów na części. Zatem oscyluje on pomiędzy bytem pojedynczym a ławicą, i jest to jego strategia na adaptację i przetrwanie. Najbardziej interesujący wydaje się fakt, że bez potrzeby sygnału z komórki centralnej, ławica komórek scala się synchronicznie w jedność, komunikując się ze sobą za pomocą sygnału chemicznego. Przykład śluzowca doskonale obrazuje skuteczność adaptacyjną systemu złożonego, opartego na komunikacji i inteligencji zbiorowej, bez obecności centralnie sterującego mózgu. O inteligencji i emergentnych właściwościach systemów złożonych pisze Sloterdijk w *Sferach*, porównując społeczeństwo do piany, które konstituuje się we współzależnym systemie i wielości rozmaitych relacji styków i powiązań.

W wirtualnej przestrzeni sieci to właśnie model samoregulującej się wolnej encyklopedii Wikipedii reprezentuje ideę komunikacji zbiorowej bez centralnego sterowania oraz dostępności informacji, wytwarzanej poprzez współpracę i kontrolę rozproszoną. Model Wiki jest opozycyjny do modelu kapitalizmu kognitywnego i kontroli przepływu informacji, dokonywanej przez scentralizowane i skomercjalizowane węzły Google. Otwarty kod i samoorganizowanie się wiedzy Wiki tworzą inteligentny system informacyjny, w którym błędna informacja zostaje skorygowana po zaledwie kilku minutach przez samych użytkowników, bez interwencji centralnego nadzoru.

Czy możliwe jest zatem zastosowanie analogicznego systemu operacyjnego zarządzania miastem, opartego na komunikacji zbiorowej, kontroli rozproszonej, samoorganizacji i przestrzeni swobodnego przepływu informacji, wiedzy, obrazu, kapitału *peer-to-peer*?

Symbiotyczny model zarządzania miastem jako systemem złożonym. Inteligencja zbiorowa i kontrola rozproszona

Na naszych oczach rewolucja komunikacyjna zmienia przestrzeń możliwości organizacji społecznej, której wyraz stanowi miasto informacyjne. Nowe technologie, wprowadzające ciągłość i zwrotność informacji, umożliwiają zbiorową komunikację bezpośrednią w czasie rzeczywistym lub asynchroniczną pomiędzy

wszystkimi użytkownikami (P2P, GPS, RFID czy telefony komórkowe i Wi-Fi). Być może nowe protezy otwartej komunikacji mogą być wykorzystywane jako narzędzie skuteczniejszego zarządzania miastem i włączania użytkowników do bezpośredniej partycypacji? Zintegrowana platforma komunikacyjna i negocyjacyjna, analogiczna do Wiki, stanowiłaby przestrzeń wirtualnych negocjacji, symulowania i optymalizowania rozwiązań przestrzennych, infrastrukturalnych i społecznych. Platforma taka stałaby się interfejsem komunikacyjnym pomiędzy decydentami, mieszkańcami, inwestorami i trzecim sektorem, demokratyzując w ten sposób proces podejmowania decyzji i ułatwiając rozproszenie scentralizowanej dotychczas kontroli na rzecz integracji jak największego spektrum potrzeb użytkowników i procesów. Na zasadzie symulacji w czasie rzeczywistym, wirtualna platforma byłaby także odzwierciedleniem ewolucji przestrzeni i procesu rozwoju miasta, umożliwiałaby przy tym monitorowanie i ewentualną regulację procesów dla niego destrukcyjnych. Jednocześnie stanowiłaby ona bank informacji o fluktuacjach społecznych, ekonomicznych i klimatycznych, potrzebnych do przeprowadzania badań przez socjologów, geografów, psychologów środowiskowych *etc.*

Wirtualna platforma, jako archiwum i redystrybucja informacji, przy wsparciu nauki o złożoności, umożliwiłaby symulację, analizę morfologii i klimatu miasta oraz procesów związanych z zachowaniami zbiorowymi w czasie i przestrzeni (np. zachowania tłumu w sytuacji wypadku, pożaru itp; analiza natężenia i optymalizacja globalnego ruchu czy badanie wpływu inwestycji na lokalne zmiany środowiska). Pozwoliłaby ona także na opracowywanie zoptymalizowanych strategii zarządzania lub rozwiązywania konfliktów, a nawet korektę samej strategii urbanizacji (symulacje parametryczne wzrostu, algorytmy genetyczne optymalizujące procesy). O ile totalna socjoinżynieria wydaje się niemożliwa, o tyle na podstawie coraz lepszej wiedzy na temat dynamiki i struktury układów złożonych naukowcy są w stanie określić wa-

runki niezbędne do tego, by dana interakcja społeczna była w ogóle – w kontekście miejskim – możliwa. Jak twierdzi prof. Andrzej Nowak¹, dla dynamiki struktury

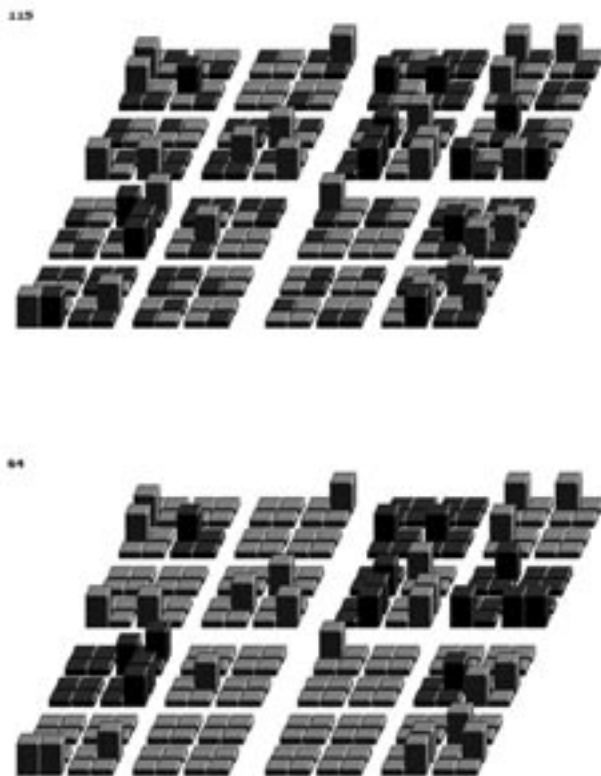


Foto: Prof. Andrzej Nowak, Piotr Frejlik; Symulacja modelu wpływu społecznego, pokazującego wpływ struktury przestrzeni na konfigurację postaw; źródło: dzięki uprzejmości Prof. Andrzeja Nowaka

Komputerowa symulacja samoorganizacji postaw w niejednorodnej przestrzeni. Ewolucja postaw wynika z wpływu społecznego w przestrzeni o hierarchicznej strukturze kontaktów. W jednym pokoju pracują cztery osoby, są cztery pokoje na korytarzu, cztery korytarze na piętrze i cztery piętra w budynku, cztery budynki itp. Najsilniejszy jest wpływ liderów (wysokie słupki) i osób będących blisko, wpływ spada wraz z kwadratem odległości. Zaczynamy od losowego rozłożenia postaw (górny rysunek). Końcowa struktura poglądów grupy osób oddziałujących na siebie wyznaczona jest strukturą kontaktów w przestrzeni.

1. Psycholog społeczny z UW i Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej zajmujący się nauką o złożoności, bada sieć powiązań oraz zachowań kolektywnych.



Foto: Virtual London: Online Participation, Michael Batty z CASA w Londynie (Center of Advanced Spatial Analysis) w UCL; źródło: <http://www.cs.ucl.ac.uk>

CASA zbudowało trójwymiarową wirtualną platformę Londynu dla użytku miasta, architektów, inwestorów i mieszkańców. Umożliwia ona partycypację online mieszkańców w procesie podejmowania decyzji w planowaniu miasta. Władze Londynu współpracują z CASA, opracowując partycypacyjne i optymalizujące strategie miejskiej organizacji. Podczas festiwalu w Camden Town, kiedy nagle zagęszczenie ludzi w dzielnicy wzrasta dziesięciokrotnie, CASA przy pomocy analiz i symulacji komputerowych opracowało system regulacji tłumu, ustalając miejsca przystanków, szerokości przejść i system barier. Miejsca niedrożne czy konfliktogenne mogły być regulowane i optymalizowane w czasie rzeczywistym dzięki opracowanym wcześniej wirtualnym modelom przestrzennym. CASA prowadzi także badania nad morfologią, złożonością miasta, nawigacją, optymalizacją przestrzeni i technologiami partycypacyjnymi.

społecznej kluczowe są niezwykle rzadkie zdarzenia, które wychodzą poza pole badań opartych na statystyce wartości średnich. Złożonymi sieciami rządzi trudny do przewidzenia lub zauważenia przypadek, jeśli posługujemy się prognozami na podstawie modeli matematycznych rozkładu Gaussa. W świetle nauki o złożoności tradycyjny plan urbanistyczny, oparty na analizie zaledwie kilku uśrednionych statystycznie parametrów miasta, nie bierze pod uwagę lokalnych mutacji, prowadzących do nieprzewidywalnych zmian całości systemu. Przykładem tutaj mogą być wyłaniające się spontanicznie oddolne przestrzenie miejskie, jak nieplanowane bazy (wypełniające luki w przestrzeni fizycznej i ekonomicznej miasta), lub rozprzestrzeniająca się plotka czy legenda miejska, zmieniająca wartość symboliczną, a następnie rynek, nieruchomości na danym terenie.

Miasto P2P. Sieć przepływów, połączeń i punktów styku w przestrzeni fizycznej

Kluczową zasadą sprawnie funkcjonującego systemu złożonego jest wielość interakcji, powiązań i punktów styku pomiędzy podsystemami (przykład struktury łodygi, słuzowca czy sieci). Zastosowanie tej zasady w przypadku fizycznej przestrzeni transportu usprawnia ruch, adaptowalność i funkcjonalność miasta. Im więcej różnorodnych połączeń, korytarzy oraz powierzchni styków pomiędzy wspólnotami, dzielnicami czy regionami, tym sprawniej funkcjonuje całość, tym łatwiej rozwija się cała nomadyczna struktura i tym bardziej odporna staje się ona na katastrofy. Dlatego potrzebne jest zróżnicowanie komunikacji publicznej, nie tylko teleinformatycznej, ale także fizycznej, pieszej, rowerowej, drogowej oraz tworzenie pomiędzy nimi wielu wzajemnych połączeń, umożliwiających swobodę przepływów.

Projekt pieszej sieci komunikacyjnej Jarosława Kozakiewicza – *Transfer* odwołuje się bezpośrednio do idei swobodnego przepływu ludzi. Wiadukty i kładki tworzą tu system powiązań pieszo-rowerowych pomiędzy terenami zielonymi, nałożonych na aktualną mapę komunikacyjną miasta. W planach zagospodarowania Warszawy coraz więcej uwagi poświęca się nie tylko statycznej formie urbanistycznej czy reprezentacyjnym dla niej węzłom komunikacyjnym (placom, dominantom urbanistycznym), ale także pojęciu przestrzeni komunikacji jako przestrzeni publicznej. Tworzy się w ten sposób alternatywne powiązania przestrzenno-komunikacyjne, takie jak zielone korytarze bulwarów wiślanych, planowane właśnie zagospodarowanie alei Skarpy Warszawskiej czy sieć nowych ścieżek rowerowych.

Poziom rozwinięcia sieci powiązań komunikacyjnych, teleinformatycznych i fizycznych decyduje o sprawności złożonego systemu miejskiego oraz jego umiejętności adaptacji w przypadku sytuacji krytycznej. Im więcej połączeń i styków, tym bardziej elastyczna i różnorodna staje się tkanka miejska. Błąd na jednym połączeniu (wypadek, korek) nie powoduje paraliżu całości systemu. Dzięki rozwiniętej siatce

komunikacyjnej, złożona struktura miasta wciąż na nowo może wypracowywać swoją wewnętrzną stabilność. Próba kontroli czy też wyjaławiania spontanicznych procesów i zmian zakłóca proces ewolucji i adaptowania się tkanki miejskiej. Dlatego potrzebne jest wypracowanie współzależnych, symbiotycznych metod zarządzania miastem, otwartych na proces demokratyzacji systemu komunikacji, i umożliwienie włączenia interesów wszystkich grup społecznych w proces nieustannej renegocjacji i (od)budowywania stale niekompletnego systemu miasta.

***Emergencja** (łac. *emergo* – wynurzam się) jest to powstawanie jakościowo nowych form i zachowań z oddziaływania między prostszymi elementami. Przykładem takiego zjawiska jest proces myślenia powstający z interakcji pomiędzy wieloma neuronami w ludzkim mózgu (choć żaden neuron nie jest sam z siebie zdolny do myślenia). Zjawisko określa się jako emergentne, jeśli w jakimś sensie nie można go opisać, definiuje się jedynie jego części składowe. W ścisłym sensie naukowym oznacza to nieredukowalność danego zjawiska. Ponieważ jednak nieredukowalności w żadnym przypadku nie da się jednoznacznie udowodnić, pojęcie emergencji nie ma też jednoznacznej definicji i jest używane w różnych znaczeniach. Często oznacza po prostu, że znany nam uproszczony opis zjawisk niższego poziomu nie jest wystarczający do opisanego zjawiska wyższego poziomu (czyli nie wiemy jak ono powstaje). <http://pl.wikipedia.org/wiki/Emergencja> [dostęp: 30.09.2009]

*** P2P** (od ang. *peer-to-peer* – równy z równym) to model komunikacji w sieci komputerowej, który gwarantuje obydwu stronom równorzędne prawa (w przeciwieństwie do modelu klient-serwer). W sieciach P2P każdy komputer może jednocześnie pełnić zarówno funkcję klienta, jak i serwera. W najpopularniejszej implementacji modelu P2P, jaką są programy do wymiany plików w Internecie, każdy węzeł sieci (czyli komputer użytkownika) odgrywa nie tylko rolę serwera, przyjmując połączenia od innych użytkowników danej sieci, lecz także klienta, łącząc się i pobierając dane z innych maszyn działających w tej samej sieci. Wymiana danych jest zawsze prowadzona bez pośrednictwa centralnego serwera. Sieć P2P charakteryzuje się także płynną strukturą, która zmienia się w zależności od tego, jakie komputery są w niej aktualnie zalogowane.

<http://pl.wikipedia.org/wiki/P2P> [dostęp: 30.09.2009]

Źródło definicji: Wikipedia ◀

Aleksandra Wasilkowska

(1978) architektka, urbanistka; zajmuje się samoorganizacją w kontekście przestrzeni, jej projekty oscylują na styku dyscyplin nauki o złożoności, sztuki, psychologii środowiskowej i ekologii. Autorka projektów – *Miasta symbiotycznego, strategii rozwoju dla placu Defilad, Bezinteresownej Przestrzeni Miejskiej, Dźwiękoprzestrzeni* wyróżnionej w konkursie na zagospodarowanie pl. Grzybowskiego oraz architektury wystawy *Niezwykłe Rzadkich Zdarzeń* w Centrum Sztuki Współczesnej. www.olawasilkowska.com

Nie jest **dobrze**

Z Andą Rottenberg o stracie, wyzwaniach stojących przed współczesną sztuką i odpowiedzialności, której nie biorą na siebie władze Warszawy, rozmawia Katarzyna Kazimierowska

Katarzyna Kazimierowska

(1979), sekretarz redakcji
Res Publici Nowej, absolwentka
nauk politycznych na UW
i socjologii w IS UW.

Anda Rottenberg

(1944), historyk sztuki, krytyk oraz
kurator licznych wystaw, w latach
1993-2000, dyrektor Galerii
Sztuki „Zachęta” w Warszawie,
od 1998 roku przewodnicząca
Fundacji Instytutu Promocji
Sztuki; Członkini International
Association of Art Critics AICA,
International „Manifesta” Foundation
oraz International „Germinations”
Foundation. Autorka książki
pt. *Sztuka w Polsce 1945-2005*,
*Proszę bardzo i Przeciąg. Teksty
o sztuce polskiej lat 80.*

Rozmawiając o Warszawie, dowiedziałam się, że są miasta silne, kreatywne i słabe, toczone przez samolubny gen, który nie pozwala im rosnąć. Zastanawiam się, w jakim stopniu Warszawa jest miastem silnym i czy pozwala na kreację, czy jej potrzebuje?

Ostatnio obejrzałam album pt. *W oczach wroga*. Pokazana w nim Warszawa jest już zburzona, ale zachował się rysunek tkanki miejskiej, z pierzejami ulic, z gęstą siecią kamienic, która nigdy w tym kształcie nie została odbudowana. Na zdjęciach tych widać, jak miasto rosnęło, kształtowało się, rozwijało swoje pomysły urbanistyczne i rozkwitało urodą w latach 20-lecia międzywojennego. Po Powstaniu Warszawskim dokonano totalnej zagłady, z której miasto już nigdy się nie podźwignęło. Sześćdziesiąt lat komunizmu sprawiło, że Warszawa ani nie została odbudowana, ani przebudowana – bo zabrakło całościowych wizji urbanistycznych. Z tajnych „przyczyn strategicznych” rozciągnięto ją w szerz i wzdłuż, tworząc szereg osiedli satelickich, zwanych „sypialniami”, z których jedynie Ursynów ma jakieś ludzkie oblicze. Samo centrum pozostawiono w stanie chaosu, z koszmarnym placem Defilad, z którym nie wiadomo, co zrobić, z tymi pustymi placami, które odgruzowano i zostawiono. A potem zaczął się dziki kapitalizm, wolna amerykanka i Warszawa stanęła w rozkroku, między ambicjami wielkomiejskimi rodem z USA lat trzydziestych a takim prowincjonalnym, wsiowym podkładem. Nie zapominajmy, że Powstanie Warszawskie zdziesiątkowało rdzenną ludność Warszawy, że kolejne rządy komunistyczne, a następnie postkomunistyczne, ściągały ludzi z prowincji, którzy dopiero po wielu latach poczułi się warszawiakami, a wcześniej mieli do Warszawy stosunek roszczeniowy, nie zaś gospodarski. Było to miasto im obce, pozbawione tożsamości, wówczas zresztą niewidocznej, pozostającej wyłącznie na przedwojennych fotografiach i w pamięci starych mieszkańców. Może dlatego z taką łatwością zgodzono się na ustawienie Pałacu Kultury w miejscu, gdzie wcześniej znajdowało się dziesięć skrzyżowań, zwarta zabudowa. Pałac przytłoczył to miasto już chyba na zawsze. A co robią artyści? Artyści próbują się do tego odnieść. Dotykają tych kawałków, które mają jakieś swoje znaczenie, które obrosły jakąś historią. Ale zobaczmy, jak miasto na to reaguje. Walka o palmę trwała kilka lat. A kiedy wreszcie ją postawiono, to tuż obok ustawiono ten okropny pomnik de Gaulle’a, którego oryginał stoi w krzakach przy paryskich Champs Élysées. Jest też ten nieszczęsny plac Grzybowski, tak piękny przed wojną, a teraz zrobiono tam cmentarz.



Na szczęście pojawiła się tam Joanna Rajkowska i zrobiła Dotleniacz, a plac od razu nabrał innego wymiaru.

Ale zobaczmy, co się stało. Ratusz od razu postanowił, że lepiej zagospodaruje ten teren i Dotleniacz znikł. Zatem artyści właściwie nie mają w tym mieście dobrze. Nie będę wnikać w powody. Miasto wydaje pieniądze na rozmaite konkursy, ale nie wiem, czy sensownie, bo nadal wszystko toczy się w tajemnicy. Na przykład na hasło „Wisła” pojawiają się efemeryczne działania i przez tydzień chodzimy nad Wisłę. Ale przecież na co dzień miasto jest od niej odwrócone, jakby nie miało z nią nic wspólnego. Stwarza tylko problemy komunikacyjne – bo wymaga budowania mostów. Poza tym kierunek nad Wisłę jest kierunkiem donikąd. Wisła nie jest dostępna na wysokości Starego Miasta, z którego naturalnie powinno się do niej schodzić w dół. Ale dotyczy to nie tylko wybrzeża. Wygląda na to, że poszczególne kawałki miasta są domeną działań bardzo różnych urzędników, każdy robi na swoim terenie to, co uważa za stosowne, i nikt tego nie koordynuje. Plac Zawiszy leży na styku trzech dzielnic: Śródmieścia, Ochoty i Woli – dlatego zapewne stanowi udrękę komunikacyjną. Gdzie tu jest miejsce dla sztuki? Najlepiej, by schowała się do budynków i nie było o niej słychać. Jeśli ktoś chce działać na zewnątrz, to albo robi to na dziko, albo musi uzyskiwać bardzo trudne zezwolenia. Rajkowska płaci za wykorzystanie pasa ruchu drogowego. Mówię to z żalem, bo od kilku lat uczestniczę w obradach jury oceniającego projekty dla Wiednia. Niektóre z nich są trwałe, ale większość jest tymczasowa, i na tym polu trwa nieustający konkurs na interwencje artystyczne w tkankę miejską. Artyści wchodzą np. do uboższych dzielnic, do środowisk emigrantów i przez pół roku realizują wspólnie z ich mieszkańcami projekty artystyczne. Miasto jest przygotowane do wydawania pieniędzy na ten cel, a artyści wiedzą, że ktoś ich potrzebuje. Nie rozumiem, czemu tak to nie może działać w Warszawie. Dlaczego bierze się pieniądze z Unii, żeby potem tylko szybko je wydać? Zupełnie jak za komuny. Wszyscy plastycy wiedzieli, że zarobią na 1 maja, 22 lipca i na rocznicę rewolucji październikowej, więc mieli pełne ręce roboty i przerobione tematy, umieli odpowiednio wypełniać rachunki i pisali: kompozycja trudna, technika trwała, bo za to było więcej pieniędzy. Po latach zmieniła się treść, ale akcyjność pozostała taka sama. Więc jeśli ktoś umie wypełnić stosowny kwit i wie, do kogo się zgłosić, to dostaje zamówienie. No i pojawiają się jelonki nad Wisłą albo pegazy na placu Krasińskich, a to jest czysta dekoracja, która nie ma styku znaczeniowego z historią danego miejsca, nie wciąga mieszkańców w dyskusję i nie pogłębia społecznej wiedzy ani o mieście, ani o sztuce.

Ale mówiąc „sztuka”, pamiętamy też o muzeach, przed którymi stawia się kolejne wyzwania. Do dziś ubolewa Pani, że po 1989 roku w Warszawie nie powstało muzeum sztuki współczesnej.

Zgadza się, i nadal tego żałuję, bo to była niepowtarzalna szansa. Ówczesnie jasno świecąca gwiazda architektury, Frank Gehry, chciał nam zbudować budynek w prezencie, ale w końcu, jak wiemy, całą śmietankę spiło Bilbao. I cały świat przyjeżdża tam nie po to, by zobaczyć, co jest w środku, ale jak wygląda ten budynek. Nasi politycy do dzisiaj nie zdają sobie sprawy, że to kultura napędza rynek. A przecież wszystko już zostało policzone. Wiadomo, ile pieniędzy do kasy miasta wnosi za

dzień pobytu osoba, która przyjechała zobaczyć jedno wydarzenie kulturalne. Chodzi nie tylko o hotele czy zakupy, ale o promocję. Ta osoba opowie o tym wydarzeniu dwudziestu innym osobom, czyli wykona całą pracę reklamową. Ten właśnie efekt wyliczono w Bilbao. Polska nie jest krajem, który ma do zaoferowania światu jakieś oryginalne technologie, nie jesteśmy eksporterem myśli technicznej tylko terenem outsourcingu. Jedynie kultura jest naszym prawdziwym dobrem narodowym. Nawet tak potężny kraj, jak Wielka Brytania, zrozumiał, że jego marką numer dwa jest nazwa „Tate”, i ta marka do dzisiaj pracuje na wizerunek swego kraju. Dlatego zapewne wiodące trendy w sztuce przeniosły się z Nowego Jorku, Berlina i Paryża do Londynu. Dwadzieścia lat temu mieliśmy podobną szansę. Ja sama pisałam wypracowania do ministra Dejmka na temat pozycjonowania Warszawy w Europie Wschodniej. Następnego dnia zadzwonił do mnie jego zastępca, dając mi do zrozumienia, że bym się czuła odwołana, bo przekraczam swoje kompetencje. Wobec tego do dziś nie mamy i jeszcze długo mieć nie będziemy muzeum sztuki nowoczesnej. Nie wierzę w dobrą wolę ratusza w sprawie usytuowania budynku nowego muzeum na placu Defilad. Już pomijam fakt, że pożenienie go z teatrem jest dramatem dla obu instytucji, to prawdziwa *Zemsta* Fredry. Jeśli odetnie się połowę budynku, to przestrzenie dla obu tych instytucji szybko okażą się zbyt małe. Nie widzę światła w tunelu. Daleko Warszawie do Wrocławia, gdzie filię Muzeum Narodowego tworzy się w słynnej Hali Stulecia, prawdziwej perle architektury początku XX wieku. I warto tam będzie jeździć, by oglądać sztukę w ogromnej przestrzeni świetnego wnętrza. A do Warszawy nie dość, że daleko z większości europejskich stolic, to jeszcze nie ma dobrej komunikacji. I to w momencie, gdy świat się naszą sztuką interesuje. Niestety jestem przekonana, że władz miasta to po prostu nie obchodzi, ponieważ nie podzielają one tych zachwytów. Poziom odbioru sztuki i poczucia estetyki w Warszawie jest taki, jak w pewnym butik, do którego raz weszłam. Mówię do sprzedawczyni: „Macie ładne materiały, ale kiepskie fasony, zmieńcie projektanta”. A ona spojrzała na mnie i mówi: „Są gusta i guściki”. Odpowiedziałam: „Ma pani rację”, bo ta pani reprezentuje średnią krajową. Otóż wśród decydentów nie ma takich ambicji, żeby średnia się podniosła, więc nie ma się od czego odbić.

Czy sztuka nie poradzi sobie sama? Czy potrzebuje decydentów?

Sztuka sobie radzi, to Warszawa nie radzi sobie ze sztuką. Stale mamy do czynienia z tym samym, co za komuny: artyści mimo istnienia żelaznej kurtyny dawali się jakoś poznać na świecie. A kiedy udało im się osiągnąć jakiś zagraniczny sukces, to drugi raz nie dostawali paszportu. Minister mówił, że teraz ktoś inny pojedzie, bo ten już był. Taki rozdzielnik. I ktoś, kto chciał z nimi pracować w Ameryce czy Europie, musiał zrezygnować.

A przecież sztuka to gotowy materiał na promocję.

Warszawa promuje się za pomocą Łazienek i Chopina, Starego Miasta, Kolumny Zygmunta i Wilanowa. Nie wiem, kto decyduje o tym w urzędzie miasta, ale sądzę, że generalnie panuje tam taki właśnie bombonierkowy gust.





KULTURA LIBERALNA

www.kulturaliberalna.pl

Jednak widać światelko w tunelu: Muzeum Sztuki Nowoczesnej za pomocą hasła *Warszawa w budowie* przejmując poniekąd rolę władz miasta, zapraszając mieszkańców, by dali upust swoim marzeniom, potrzebom i sami na nowo zaprojektowali czy też przeprojektowali swoje miasto. Czyli nie miasto do sztuki, ale teraz sztuka odwraca się w stronę miasta?

Taka rola MSN od początku była w jego koncepcji programowej i w jego misji. To nigdy nie miało być muzeum przedmiotów i widzów, ale muzeum uczestników, muzeum interaktywne. Wciągnięcie widza w żywe współdziałanie jest przykładem takiej aktywności. I przy okazji przypominaniem o ustawicznym lekcważeniu rodzimego dorobku. Żyjemy w mieście, które burzy swoje naprawdę ciekawe dzieła architektoniczne. Unicestwia się powstała po wojnie nowoczesna architektura, zostają po niej tylko neony, jak te po kinie Skarpa i Supersamie. Za chwilę znikną kolejne obiekty. To wszystko odbywa się po cichutku – tak samo, jak znikają drzewa. Bez śladu. Może taką mamy tradycję, że bardziej dbamy o sprawy prywatne niż publiczne? Nie ma w Polsce i Warszawie czegoś takiego, jak etos służby publicznej, silnej i działającej na tyle wyraziście, że każda samowola jest bezwzględnie tępiona. Dlatego jeszcze dziś, szczególnie w Warszawie, panuje moralność Kalego: dobre jest to, co jest dobre dla mnie. Przyzwyczajeni do tego, że nie mamy wpływu na funkcjonowanie wielkiego organizmu miasta, przestajemy się z nim utożsamiać, zaczynamy je traktować jak strukturę obcą, zewnętrzną, i staramy się z niej zagarnąć dla siebie, co się da. Nie wiem, co zrobić, żeby to się zmieniło, ale sądzę, że należy więcej wymagać od osób, które stoją na straży praworządności. Dodam tylko, że akurat *Warszawa w budowie* – projekt włączenia mieszkańców we wspólne projektowanie kawałków stolicy, muzeum realizuje na zlecenie miasta. Pozostaje pytanie, czy miasto później te pomysły wykorzysta. Obawiam się, że włoży je między bajki jako projekt artystyczny niemający żadnego związku z rzeczywistością.

Czyli kolejny wysiłek, który pójdzie na marne.

Nie wiemy tego na pewno, ale znając dotychczasowe postępowanie, jestem bardzo bliska takiej konkluzji.

Konkluzji bardzo przygnębiającej.

Bo nie ma się z czego cieszyć. Tyle było entuzjazmu, gdy wreszcie, po dwudziestu latach mojego bicia głową w mur, budowa tego muzeum została zaakceptowana, gdy nadano mu osobowość prawną, gdy rozstrzygnięto konkurs. Mieliśmy już wszystko. Otwarcie było zaplanowane na rok 2011. No i co?

Wiemy, że to się już nie zdarzy, otwarcie przesunie się o kilka lat. W wywiadzie, który znalazł się na końcu Pani książki zatytułowanej *Przeciąg*, w kontekście sytuacji artystów dziś i przed 1989 rokiem, powiedziała Pani, że „Wcześniej (...) zmiany nie mogły nastąpić, jak długo byliśmy zniewoleni formalnie i psychicznie”. Wówczas artyści byli, siłą rzeczy, zamknięci na zmiany, które mogłyby nastąpić. Czy jest coś, co ich dziś ogranicza?



Tak jak wcześniej w Polsce istniała grupa osób, artystów i krytyków, która miała poczucie, że komunizm ich nie dotyczy i zachowywała się tak, jakby go nie było, tak i dzisiaj mamy grupę osób, która zachowuje się tak, jakby ten estetyczny obskurantyzm też ich nie dotyczył. To są obywatele świata, ludzie myślący zupełnie innymi kategoriami, porozumiewający się między sobą zupełnie innym językiem. Ale nie ma komunikacji między nimi a całą resztą. A chodzi o to, żeby to porozumienie jednak zaistniało. Jeśli nie będzie takich instrumentów, jak Muzeum Sztuki Nowoczesnej, jak programy telewizyjne, jak nauczanie w szkole, jeśli nie stworzymy kontekstu edukacyjnego, to nasze społeczeństwo będzie nadal źle reagować na nową sztukę i nie zajedziemy daleko tylko przez budowanie innych domów. Zresztą te domy też powstają, jak powstają, dlatego że akceptujemy architekturę, która od dawna już nie jest realizowana w innych miastach świata. Warszawa stała się takim terenem zrztu przechodzonych pomysłów, i wszyscy uważają, że to jest bardzo fajne, albo przynajmniej tak mówią. Gdyby tak nie mówili, to by zaczęli coś w tym kierunku robić. Niestety, cała Polska i wszystko, co tutaj jest, odbija ten gust zrodzony z kompleksów i resentymentów. Oczywiście, nic się nie stanie z dnia na dzień, powoli wszystko się jednak zmienia, palma ma dzisiaj więcej zwolenników niż przeciwników, a Joanna Rajkowska dołączyła do grona artystów, których nazwiska do niedawna burzyły krew politykom i dziennikarzom, a o których teraz się mówi „nasi” artyści. Obraz ewoluuje, ale ile to kosztuje męczarni i czasu.

| Nie ma nic optymistycznego w tym, co Pani mówi.

| Nie szkodzi, w końcu będzie lepiej. ◀

W poszukiwaniu traconego miasta

MIKOŁAJ **MADUROWICZ**

Co to jest miasto? Takie pytanie usłyszałem podczas egzaminu kierunkowego przed obroną pracy doktorskiej. Na odpowiedź miałem wówczas trzy minuty... Teraz na rozmowę o mieście mamy więcej czasu. Spójrzmy na zdjęcia sprzed paru lat. Utrwaliłem na nich wybrane miejsca Warszawy. Jedno przedstawia kościół Wizytek na Krakowskim Przedmieściu. Wydaje się, że od momentu, gdy zostało zrobione, nic się tam nie zmieniło, ale tak naprawdę zmieniło się prawie wszystko:

fasada kościoła w remoncie, nie ma już widocznych na zdjęciu drzew, jest inna nawierzchnia, latarnie, ludzie, samochody, tylko niebo nad kościołem pozostało takie samo. Czy zatem, artykułując „miasto”, mamy na myśli pewien stan, który próbujemy uchwycić, a który jest ulotny jak światłocień? Mówimy: „Warszawa nocą, Warszawa w południe, Warszawa w deszczu” – i za każdym razem to inne miasto. Na kolejnym zdjęciu widać rzeźbę przedstawiającą sylwetkę kobiety w Ogrodzie Botanicznym. Zależnie od tego, pod jakim kątem na nią patrzymy, wydaje się inna. Podobnie jest z miastem – możemy spróbować doszukiwać się w nim elementów stałych: formalnych lub treściowych. Jeśli pierwotna forma jest silna i przemawia do odbiorców, to nawet gdy treść się zmieni, forma pozostanie wyrażna. Na przykład na zdjęciu, na którym widać parking przed kościołem św. Anny. Obecnie już go tam nie ma, jego miejsce zajął plac spełniający różne funkcje. Jednak niezmiennie dominuje tu sylweta kościoła, jest on ową silną formą. Czasem forma się wycofuje, ustępuje nieco wyzwaniom codzienności. Przykładem jest kościół Najświętszej Marii Panny znajdujący się w alei Solidarności, który został kiedyś w całości przesunięty na północ (czego ślady dotychczas są widoczne na jezdni). Silne elementy znajdziemy także w tekstach o mieście, w literaturze pięknej. Trudno zaprzeczyć, iż „Lalka” Bolesława Prusa wykreowała warszawską rzeczywistość niekiedy bardziej namacalną i w większym stopniu perswazyjną niż ta, którą mamy przed oczami – każdy warszawiak wie przecież, gdzie Stanisław Wokulski „miał” swój sklep, a przecież to postać fikcyjna. Taki tekst dodatkowo wypełnia, sublimuje, metaforyzuje i nasycza miasto realne. Gdybyśmy mieli rozmawiać o Petersburgu bez tekstu petersburskiego literatury rosyjskiej, bez dzieł Puszkina, Dostojewskiego, Biełego czy Toporowa, wówczas metropolia ta zostałaby pozbawiona drugiego dna, otuliny semantycznej ludzkiej interpretacji, troski i pamięci. Zatem tekst miasta jest

dlań konstytutywny. Drugim wątkiem wpływającym z pierwszego jest samo DNA, czy też dna (w liczbie mnogiej) miasta – swoiste podglebie znaczące. Sięgnijmy do dna, a dotkniemy czegoś fundamentalnego, podstawowego, na czym zaczynają narastać, niczym w palimpseście, kolejne warstwy druku tekstu miejskiego. W świetle powyższego zastanówmy się: czy, gdzie i kiedy Warszawa jest lub była konkretna, czy przeciwnie – stanowi wzór miasta niekonkretnego? Czy Warszawę można kategoryzować, czy nadaje się do strukturyzacji? Ale przecież potencjał strukturyzacji, podobnie jak tożsamość, zależy od dawnych i współczesnych odbiorców, od czytelników księgi miasta...

Możemy wyróżnić kilka poziomów rozumienia i rozmawiania o mieście. Na poziomie dyskursu pamięciowego posługujemy się dwoma biegunami: na jednym mamy tożsamość, na drugim zaś archetyp, czyli element nie partykularny, ale uniwersalny. Archetyp byłby zatem formą mocną, silną, stanowiącą fundament miasta, ale dopuszczającą zawołowane deformacje czy treści, na które jest otwarta (np. tymczasowe afiliacje tożsamościowe). Drugi poziom to poziom operacyjny. Dysponujemy potencjałem różnicy, z którym zestawiamy poten-

cjał niedomknięcia (miasto jest jakieś). Aglomeracje przyrównać możemy do serwerów, gdzie odbywa się wymiana idei, ludzi, pomysłów, energii. Mają one w sobie ogromny potencjał różnicy, możliwość heterogenicznego rozwoju w każdym momencie swojej historii. W dodatku kontaktują się z innymi serwerami, pozostając w tych kontaktach bytami odrębnymi. W środku takiego bytu mamy formy oczywiste i nie do zanegowania (jak np. wyraźnie określone centrum; im dalej od centrum, tym struktury ulegają rozluźnieniu, zaś na peryferiach tej jednostki już są formy rozmyte, nieokreślone, które musimy redefiniować). Dlatego Warszawa najwyraźniejsza bywa w momentach, w których chce udowodniać swoją tożsamość, jak w centrum (ale gdzie ono jest?) lub na rogatkach (ale wszak nie ma w tym mieście rogatek). Tymczasem każde klasyczne miasto ma centrum i rogatki. Josif Brodski rzekł przenikliwie, że miasto poznajemy albo od przedmieścia – jako przybysze, albo od centrum – jako mieszkańcy. Trzeci poziom – praktyczny – zaznacza się jako oscylacja między dziedzictwem a ingerencją w to dziedzictwo, materiał genetyczny. Ingerencja może być celowa bądź przypadkowa, konstruktywna lub destruktywna. Jednakże: kto i na jakich prawach może ingerować w dziedzictwo? W jaki sposób dokonuje się taka ingerencja: legalnie, we władzach miasta, czy może spontanicznie, np. w kawiarniach artystycznych, gdzie biją serca miast? Z jednej strony zatem DNA metropolii to perspektywa doświadczania miasta, z drugiej – metafora. Jeśli mielibyśmy rozpisać jej skład i pozostać w kręgu strukturalnym, to urbanistyczne DNA powinniśmy pojmować w kategoriach biologicznych czy genetycznych i traktować miasto niczym organizm. Oprócz dziedziczonej – znaczącej – informacji genetycznej wyróżnimy (za wypowiedzią genetyków) samolubne DNA – długie sekwencje niewnoszące żadnej treści, informacji i sensu. Rozważmy wobec tego, kto z obywateli miasta stanowi kreatywną informację genetyczną świadomie, a kto samolubną, która jedynie korzysta z miasta; mieszkaniowiec czy przybysz? Czy w ogóle pamięć kultury miasta, pamięć kultury, jest informacją dziedziczną? Które miasta mają więcej, a które mniej samolubnego



Projekt „Holon”, dotyczący połączenia terenów zielonych Warszawy w nowy, niezależny od ulic i kwartałów system. Projekt powstał w pracowni Centrala we współpracy z Zygmuntem Fitem i Anną Marią Kowalską.

DNA, czyli innymi słowy: które narzucają mieszkańcom styl życia, a które są bezbronne? W drugim przypadku przyjeźdni być może są predestynowani do zaproponowania swoich reguł zachowania. Dlatego w miastach słabszych dyskurs jest zamazany, zaś w miastach silnych – wyraźny i konkrety. Informacja genetyczna, owo DNA, określa miasto na wzór organizmu: struktury białek, regulacji ich syntezy oraz samych rodzajów białek. W metaforze miejskiej uwidoczniły strukturę jako relacje, regulacje jako kontekst, rodzaje z kolei jako podmioty uczestniczące. Relacje oparte są na miejskiej umowie społecznej, rodzaje to grupy osób (np. studenci, badacze, politycy), kontekst przestrzenny to np. jakość tkanki miejskiej, kontekst organizacyjny to m.in. ergonomia władzy, zaś kontekst symboliczny to np. wartości kulturowe.

W Warszawie do głosu dochodzi często samolubne DNA, które sprowadza się, dajmy na to, do odtwarzania własnej historii bez oryginalnej kreacji i dyskontowania wyzwań współczesności; wówczas to bez polotu skonstruowana fasada. Podobnie rzecz ma się ze schlebaniem uniwersalnie obowiązującym standardom. Skoro wszyscy mają wieżowce, to my też będziemy mieć, jeszcze wyższe i bardziej błyszczące. Takie podejście zamienia się w wyścig po nic, po pustą formę, w ramach operacji na skórze miasta. Warszawa jest miastem kopiującym, korzystającym z doświadczeń innych miast. Oczywiście w sytuacji, gdy 70 procent tkanki miejskiej zostało zniszczone podczas II wojny światowej, trzeba było poszukać natchnienia, urbanistycznej weny, długookresowej wizji nierozmiennej na kadencyjne pomysły polityków, którzy oglądają się na to, jakiej wymowy społecznej doczekają się ich działania. Skoro gramy w obiektywną rzeczywistość, czyli namacalne miasto, nie opieramy się na zapisach kodeksu subiektywnej popularności i populizmu. Partycypacja społeczna – owszem, ale jako weryfikacja, a nie punkt wyjścia. Świadomie pomijam tu wątek totalitarnego zawłaszczenia miasta. Długookresowy scenariusz wielopoziomowego, zintegrowanego i zrównoważonego rozwoju metropolii, mieszkańcom i przybyszom może zapewnić komfort, zarówno tożsamościowy, jak i poznawczy. Jednocześnie miasto takie wymaga

od swoich obywateli kreatywnej inteligencji. Takie są właśnie miasta silne. A gdzie jest to trwałe DNA Warszawy? Otóż, najtrwalszego elementu nie stanowi przestrzeń ani mieszkańcy, pozostaje zatem relacja pamięci, odniesienia i weryfikacji. Warszawa okazuje się miastem nietrwałym, ponieważ jest ciągle zmieniana i redefiniowana w sensie kulturowym. Stąd jej najstabilniejszy element konstytutywny przejawia się w relacji, która jest przejmująca, obiecująca i może stanowić pewien fundament. Jej część stanowi słynna warszawska umiejętność adaptacji do zastanej sytuacji. Warszawa oryginalna pozostaje tam, gdzie nie chce lub nie umie naśladować nikogo i niczego z zewnątrz, a zwłaszcza tam, gdzie jest sprzeczna i paradoksalna. Gdzie jątrzy, stawiając niewygodne pytania: dlaczego tu jesteś? czy wiesz, kim jesteś i po co? na jak długo? Varsavianista Jarosław Zieliński mówi, że Warszawa jest oryginalna tam, gdzie jej nie ma, w ludziach, którzy z niej wyjechali. Jednak stolica przedwojenna w stosunku do tej dzisiejszej wydaje się skrajnie różna, podobnie jak Warszawa pod powiekami jest inna niż ta, na którą patrzymy. I całe szczęście... Nie ma śladu obok przystanku po drzewie przed Pałacem Uruskich-Czetwertyńskich, nie ma drzew przed wizytkami. W tym mieście obowiązywała kiedyś pewna antycypacja urbanistyczna, ale jej miejsce zajęła antykoncepcja organizacyjno-polityczna, która polega na zaniechaniu i kunktatorstwie oraz permanentnym oglądaniu się na sondaże. Mamy tu więc spektakularne przedsięwzięcia, ale nie idzie za nimi zintegrowana rewitalizacja dzielnic i ożywiona realna debata społeczna o mieście. Wracając do subiektywnego *versus* obiektywnego spojrzenia na Warszawę w kontekście innych miast, karmimy się kliszami, nie potrafimy zaproponować klucza interpretacyjnego. Stolica Polski pozostanie dla nas miastem-symbolem, miastem-nekropolią, miastem-miejscem pracy, a więc są to chwilowe afiliacje tożsamościowe, *ersatz* ontologicznej konstytucji. Narracja miejska możliwa jest w przypadku miast stałych, jak Rzym, Praga, nawet Berlin, ale w Warszawie nie potrafimy w sensie kulturoznawczym zaproponować zestawu figur dyskursywnych, pojęć, pól semantycznych i problemów, które byłyby nową propozycją jej

postrzegania, paradygmatem urbanistycznym. Efektem tego jest brak jednoznacznej i twórczej strategii promocyjnej stolicy.

Co wyróżnia Warszawę? Zielen – element antymiejski. Może wobec tego klucz do spodziewanej relacji tkwi w przeciwieństwie, w antynomii – właśnie w paradoksie! Łatwiej jest skonstruować klucz na zasadzie anty, czyli na tym, czym Warszawa nie była, nie jest albo nie będzie. Można zaryzykować tezę, że trzon Warszawy jest archipelagiem miejsc, o których pamiętają już tylko nieliczni i kapryśnie przekazują swoją wiedzę potomnym. Odziedziczyliśmy tę wyidealizowaną Warszawę przedwojenną, podobnie jak Warszawę PRL-u. Zresztą do 1989 roku była ona miastem, które z powodu swojej szarości i smutku pozostawiało dużo miejsca na wyobraźnię, była naszą *carte blanche*. Znów – paradoksalna *terra incognita*... Dzisiaj mamy przesyt znaczeń, nadsementyzację znaków. Czyli naszej warszawskiej rzeczywistości potrzebna jest melioracja semantyczna. Niech Warszawa jawi się – swoim i obcym – miastem zielonego archipelagu znaczeń, antysystemowym, spontanicznym, przypadkowym. Warszawską tożsamość (w sensie relacji) uwyrażnia się kątem oka, jest tam, gdzie jej nie widać...

Niewykluczone, że z Warszawą jest jak z ciszą – kiedy staramy się ją uchwycić pojęciowo i wypowiedzieć jej imiona, ona ucieka. W takim razie warto czasem w krainie własnej miejskiej wyobraźni hołubić swoją Warszawę. Dla mnie są to podwórka wzdłuż ulicy Marszałkowskiej, (między Żurawią i Koszykową), to ulica Agrykola, blokowiska na Służewiu nad Dolinką, to targowiska i budy sklecone z kartonów na trasie w stronę Sulejówka. To także szklarnie przy ulicy Woronicza... korytarze kolei podmiejskiej... kończące się raptem szyny tramwajowe... kapliczki praskich podwórek-studzien... wyszczerbiony grzebień wieżowców śródmiejskich... drogowskaz „Warszawa” na ulicy Puławskiej, gdzie wzdłuż dominują baraki, pokraczne pawilony i zmęczone szyldy reklamowe... Znakiem tożsamości jest dla mnie wzrok warszawski, tak bardzo charakterystyczny; to wzrok, jakim patrzymy, gdy coś nam się uda, albo gdy sprytnie zrobimy komuś psikusa. Miasto obrazuje sposób

myślenia jego mieszkańców. W Warszawie zapatrzeni jesteśmy na zachód, uciekając od wschodnich proveniencji, ale ta nasza westernizacja przebiega w sposób pośpieszny i wcale nam nie służy. Warszawa ma dwie wyraźne cechy, które pozostaje mądrze rozwijać: to jej archipelagowość i kobiecość. Pierwsza z nich pozwala zwracać uwagę na miejsca o podwyższonej temperaturze, bo one są ważne dla miasta. Zaś bez tej drugiej cechy Warszawa nie przetrwałaby wojny i tego, co po niej. Warszawa jest kobietą po przejściach, z niejednorodną metryką urodzenia, z poharatanim dowodem osobistym, rozłożona nad życiodajną (choć obojętną) rzeką. W dwudziestolecium międzywojennym Warszawę nazywano Paryżem Północy, ale tak naprawdę nigdy nim nie była. Od początku była i jest Wenecją (ciągle podtapianą przez sztormy dziejowe dumną damą), Troją, Kartaginą... ◀

Notowała Katarzyna Kazimierowska

Mikołaj Madurowicz

(1976), badacz miasta, doktor nauk o Ziemi, pracownik naukowo-dydaktyczny Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych UW. Autor książek o mieście, m.in. *Miejska przestrzeń tożsamości Warszawy*, *Sfera sacrum w przestrzeni miejskiej Warszawy* oraz redaktor naukowy pracy *Percepcja współczesnej przestrzeni miejskiej*.

W dniach 3-5 grudnia 2009 w Warszawie odbędzie się ogólnopolska interdyscyplinarna konferencja naukowa, pt. „Wartościowanie współczesnej przestrzeni miejskiej”. Wydarzenie organizowane jest przez Instytut Geografii Społeczno-Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych UW. Mikołaj Madurowicz jest inicjatorem obrad i współorganizatorem konferencji (szczegóły na stronie: www.wgssr.uw.edu.pl). Res Publica Nowa jest patronem medialnym wydarzenia.

Dramat czy farsa?

Agata

Diduszek-Zyglewska

(1975), absolwentka Anglistyki UW i Akademii Praktyk Teatralnych w Gardzienicach; wieloletnia redaktorka pisma kulturalno-społecznego „OPCIT.”; współpracowniczka strony o kulturze Dwutygodnik (www.dwutygodnik.com), prezeska Stowarzyszenia Pasaż Antropologiczny, animatorka kultury, redaktorka anglojęzycznej strony o kulturze niezależnej www.warsawoff.eu

Chciałabym, abyśmy zaczęli naszą rozmowę od planowanej reformy kultury. Założenia reformy są dość kontrowersyjne – dla jednych niepokojące, innym przynoszące nadzieję. Wśród nich znalazły się takie postulaty, jak m.in. zrównanie instytucji państwowych, społecznych i prywatnych w dostępie do publicznych dotacji, wybór dyrektorów teatrów na pięcioletnie kadencje i nadzór ich przez rady złożone z ekspertów, a także jednoprocentowy odpis podatku dla instytucji kultury. To dość rewolucyjne pomysły. Czy niosą zagrożenie, czy nadzieję? Jaka byłaby Państwa wymarzona reforma teatralna, która poprawiłaby warunki funkcjonowania teatrów w Warszawie?

Krystyna Janda

(1952), aktorka filmowa i teatralna, prozaiczka i felietonistka, piosenkarka, dyrektor Teatru Polonia.

Dla naszego teatru to jest nadzieja. Śledziłam dość szczegółowo debatę, która toczyła się na ten temat w prasie, i jedno jest pewne: obojętnie, jaka by nie była, reforma teatralna jest konieczna. Chciałabym, żeby Teatr Polonia miał na równi z innymi teatrami dostęp do pieniędzy przeznaczanych na kulturę. Żebyśmy, startując w konkursach, nie byli ograniczeni tylko do takiej puli, która stanowi bardzo mały procent ogólnej kwoty przeznaczonej na teatry w Warszawie. Kiedy zaczynaliśmy działać, proporcje były bardzo niesprawiedliwe, jeśli się nie mylę – 68 mln (dla wszystkich teatrów) do 2 mln (podmioty zrzeszające także amatorów). Sprawiedliwe byłoby, gdybyśmy wszyscy startowali do tej samej puli pieniędzy przeznaczonych na produkcje teatralne. To oznaczałoby po prostu zwycięstwo najciekawszych projektów. Choć różnie to bywa jak wiemy z wiarygodnością i realizacją zgłoszonych projektów. Interesy dyrektorów teatrów z własnymi siedzibami i tych bez siedzib są sprzeczne. Zaproszenie do teatru repertuarowego spektaklu wystawianego przez inny teatr zdarza się incydentalnie. Sama wielokrotnie starałam się wystawiać spektakle w różnych teatrach w Polsce. W pewnym okresie mówiłam nawet, że naszą trzecią sceną jest Polska. Dużo podróżowaliśmy, by w ten sposób łączyć nasz budżet, ale czasem nie było to łatwe. W Warszawie znalezienie sali do grania niezależnych produkcji to naprawdę duży problem, niewiele jest miejsc dysponujących profesjonalnym, teatralnym wyposażeniem. Wydaje mi się, że reforma jest konieczna, ale włączyłabym do puli utrzymywanych przez ministerstwo teatrów więcej instytucji, w tym także te „eksperymentalne”, które dają teatrowi nowe perspektywy. Awangarda potrzebuje pieniędzy i nie jest prawdą, że można osiągnąć wysoki efekt artystyczny bez nakładów finansowych. Co do konkursów – zrównanie szans wszystkich teatrów jest konieczne, bo tylko to gwarantuje różnorodność, żywość, aktualność, często także jakość przedstawień. Obecnie wiele teatrów instytucjonalnych nie jest rozliczanych z tego, co robią.



Jan Buchwald

(1950), reżyser, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego – Wydział Filologii Polskiej (1974) oraz Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie – Wydział Reżyserii Dramatu (1987). W latach 1975–1982 oraz 1986–1991 redaktor Teatru Telewizji i dziennikarz. Organizował Studio Teatralne Dwójki, którego pracami kierował przez kilka lat jako zastępca redaktora naczelnego Teatru Telewizji. W latach 1994–1998 dyrektor naczelny i artystyczny Państwowego Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu, a także dyrektor Kaliskich Spotkań Teatralnych – Festiwalu Sztuki Aktorskiej. W latach 1999–2002, dyrektor naczelny Teatru Rozmaitości w Warszawie. Od czerwca 2007 dyrektor naczelny i artystyczny Teatru Powszechnego im. Zygmunta Hübnera w Warszawie.

Zgadzam się, że reforma jest potrzebna, ale nie w takiej postaci. Najpierw potrzebny jest namysł w środowiskach kulturalnych i samorządowych poszczególnych miast na temat tego, jakiego typu teatrów one potrzebują – czy wszystkie powinny być repertuarowe, czy wszystkie powinny mieć stałe zespoły, czy może powinien to być budynek z odpowiednim wyposażeniem, który zaprasza spektakle do siebie? Potrzebny jest taki namysł w skali całego kraju. Podczas pierwszej przymiarki do reformy, kiedy to pani Izabela Cywińska była ministrem, a wszystkie teatry były państwowe, to się nie udało. Od 1998 roku teatry są samorządowe – marszałkowskie lub miejskie, z wyjątkiem Opery Narodowej, Teatru Narodowego i Starego Teatru. Zaproponowana reforma kultury skupia się wyłącznie na ekonomicznym aspekcie funkcjonowania teatrów, warto natomiast spojrzeć na to z drugiej strony, pod kątem potrzeb rozwoju kulturalnego społeczeństwa. Ten właśnie aspekt powinien decydować o kształcie reformy; aspekt ekonomiczny natomiast powinien być do niego dostosowany. Co do konkursów: gdyby było tak, że wszystkie teatry – prywatne i miejskie – startują do konkursu, w którym zgłaszane projekty oceniałoby jedno konkretne grono mędrców, to wszystkie te spektakle byłyby takie same. W chwili obecnej teatry mają swoją autonomię programową. Organ założycielski powierza komuś prowadzenie teatru na jakiś czas, ten ktoś zapowiada realizację swojego programu, władza się temu przygląda, patrzy, jakie są wyniki, czy to się sprawdza – i to gwarantuje różnorodność programową.

Krystyna Janda

Dość długo pracowałam w Niemczech i zawsze zachwycał mnie tamtejszy zwyczaj prowadzenia targów sztuki. Dwa razy do roku odbywa się tam przegląd spektakli, które zostały wyprodukowane w ciągu ostatniego sezonu w całym kraju. Publiczność stanowią intendentzi teatrów, zarządzający dobrze wyposażonymi budynkami teatralnymi na terenie całych Niemiec. Podczas przeglądu planują oni cały sezon teatralny dla ich miast. Ustalają z góry repertuar, mogą sprzedawać karnety na cały rok – w ten sposób mieszkańcy mają przegląd wszystkich najważniejszych wydarzeń teatralnych, we własnym mieście. Do tego może to być oferta różnorodna także gatunkowo, bo intendentzi sprowadzają sztuki teatralne, opery, operetki, kabarety... Na tych targach w ogóle nie ma ludzi z zewnątrz, jedynie profesjonaliści, a kontrakty są podpisywane na miejscu.

Agata Diduszko-Zyglewska

Wydaje mi się, że Nowy Teatr, który jest instytucją miejską, choć w tej chwili wciąż bez własnego budynku, mógłby połączyć te oczekiwania. Jest to instytucja gotowa stawać do wszystkich konkursów dzięki swojej otwartej postawie; z jednej strony ma charyzmatycznego twórcę na czele, a z drugiej strony będzie dysponować miejscem na tyle dużym, że mogłaby gościć innych artystów.

Piotr Gruszczyński

(1965), krytyk teatralny, na przełomie lat 80. i 90. związany z Res Publicą, obecnie nadal współpracuje z redakcją; dramaturg, odpowiedzialny za program artystyczny Teatru Nowego w Warszawie.

Martwi mnie w propozycji reformy, że skonstruowano ją tak, by ograniczyć straty, jakie może przynieść teatr czy kultura, nie zaś – by zwiększyć zyski. Mówi się w tym planie o „dokonywaniu oszczędności” i „niwelowaniu strat”, co wynika z przekonania, że pieniądze wydane na kulturę są wyrzucone w błoto. A można by przecież wymyślić taki mechanizm, który sprawiłby, że teatr przynosi zyski. Może nie bezpośrednio, bo trudno jest zarobić na gigantycznym przedstawieniu teatralnym, a nie operowym, ale taki spektakl może przynieść zysk pośredni, czy też długodystanso-

wy. Podoba mi się system zaprowadzony w Holandii: tam teatry mają równy dostęp do pieniędzy, odbywają się regularne konkursy, które nie dotyczą pojedynczych projektów, ale funkcjonowania grupy teatralnej przez jakiś określony czas. Po upływie terminu ważności wygranego konkursu grupa musi stanąć do niego ponownie, bez żadnego zapewnienia, że znów go wygra. To bardzo motywujące. Dodatkowo w Holandii teatry cały czas podróżują, co z jednej strony jest męczące dla aktorów, ale z drugiej – zapewnia powszechny dostęp do spektakli. U nas w miastach średniej wielkości, np. w Kołobrzegu, elita intelektualna nie ma żadnego dostępu do teatru. Nawet, jeśli jakiś spektakl chciałby się tam pokazać, to nie ma gdzie, bo nie ma żadnej sali, która spełniałaby podstawowe dla teatru warunki. Ci ludzie znają więc teatr z gazet i żyją w poczuciu rozżalenia i odcięcia. Trochę się to zmieniło dzięki działalności TVP Kultura... Co do pomysłu na odpis podatkowy: miałby sens, gdyby firmy sponsorujące kulturę mogły załatwić tą drogą jakiś realny interes. Obecnie jest to tylko kwestia prestiżu.

Krystyna Janda

Nasz teatr zrezygnował z tego finansowania. Działam w zarządzie kilku fundacji i widzę, że ludzie bardzo chętnie oddają pieniądze dla ludzi ubogich lub chorych, ale nie dadzą ich na teatr.

Piotr Gruszczyński

Może to nie powinien być obowiązkowy jeden procent, tylko możliwość przeznaczenia jakiejś kwoty w zamian za ulgę podatkową...

Krystyna Janda

Kiedy ktoś ma dobry pomysł, natychmiast powstaje wokół niego energia, która zaraża innych, każe działać niekonwencjonalnie, to najcenniejsi pracownicy kultury. Muszą mieć dostęp do pieniędzy i dostawać szansę na realizację marzeń artystycznych, bo z takich pomysłów czasem powstają cuda. Wkraczają nowi ludzie z nową siłą, ideami, przerywają zakłęte, skostniałe kręgi tłumaczy, scenografów... Zawsze zaczyna się wtedy mała rewolucja. Danie takiej szansy komuś, kto nie ma czasami nic oprócz dobrego pomysłu, tworzy energię, którą już widać w Warszawie. Powstają spektakle, które dotąd nie mogły ujrzeć światła dziennego, bo brakowało na nie pieniędzy. Ta nadzieja powoduje, że nagle wszystko rusza z posad: pojawiają się nowości, zarówno repertuarowe, jak i inscenizacyjne.

Jan Buchwald

W tym zachwycie trzeba jednak pamiętać, że zwykle takie wydarzenia, które są inspirujące nawet dla teatrów stałych, które nas pobudzą do myślenia, do zdrowej konkurencji itd., są incydentalne, czyli nie spełniają tej funkcji teatru repertuarowego, który gra codziennie. To są dwa odrębne rodzaje teatrów. Dlatego trzeba dokładnie zdiagnozować potrzeby: ile potrzeba nam teatrów grających stale, ile teatrów incydentalnych, czyli tej świeżej krwi. Trzeba ustalić te proporcje, one są niezwykle ważne.

Krystyna Janda

To prawda. W Paryżu na przykład jest pięć teatrów grających stały repertuar, a dodatkowo można obejrzeć siedemdziesiąt najróżniejszych spektakli, codziennie! Jest więc garść teatrów, która zapewnia bazę, a oprócz tego niesamowity tygiel artystyczny, w którym spektakle nie tylko muszą ubiegać się o pieniądze w konkursach, ale także współzawodniczą ze sobą w tym najlepszym sensie.



Piotr Gruszczyński

Każdy dyrektor teatru dysponuje pieniędzmi, którymi może zarządzać według własnego uznania... W Nowym Teatrze szukamy ludzi, którzy mają dobre pomysły i potrafią nas do nich przekonać – jeśli im się uda, staramy się pomagać w realizacji, w zdobyciu pieniędzy.

Krystyna Janda

Gdybym była dyrektorem teatru, do którego przychodzi artysta nie dość, że z pomysłem, to jeszcze możliwością jego sfinansowania, przyjąłabym go z otwartymi ramionami. Wtedy mogę ryzykować. Teraz właśnie wystawiamy w Polonii dwa takie spektakle. Ale nadal w Warszawie jest za mało debiutów. We Francji funkcjonuje system promocji młodzieży artystycznej: jeśli ktoś angażuje aktora, muzyka, scenografa, kostiumologa, który nie przepracował jeszcze w zawodzie siedmiu lat, to pieniądze na jego gażę otrzymuje z ministerstwa. W interesie teatrów leży więc, by angażować początkującą młodzież – to jest naturalna promocja. Ale jeśli ktoś przez siedem lat nie zdąży zrobić kariery, w zasadzie powinien pożegnać się z zawodem.

Paweł Passini

(1977), reżyser teatralny, twórca spektakli m.in. *Hamlet 44* wg Williama Shakespear'a, *Kordian* Juliusza Słowackiego, związany z Lublinem.

Reprezentuję tych artystów, którzy żyją z grantów. Reforma może zmienić w naszym położeniu bardzo wiele. To nieprawda, że teatry repertuarowe nie startują do grantów – często znajdujemy się w tej samej kolejce. Różnica pomiędzy nami a teatrem repertuarowym polega na tym, że repertuarowy zatrudnia osobnych, opłacanych przez państwo pracowników, którzy zadbają o składany wniosek. U nas natomiast zarówno budżetem, jak i opisem projektu, oraz znalezieniem miejsca na realizację spektaklu zajmują się moi aktorzy. Ponadto proporcja pomiędzy wynagrodzeniem reżyserów wystawiających w teatrach repertuarowych a reżyserów spektakli niezależnych wynosi 10:1. Każdy zdrowo myślący ekonomista zauważy, że ten sam spektakl, jeśli zleci się go nam, można zrealizować za dużo mniejsze pieniądze! Ale ta sytuacja potwornie ogranicza scenę niezależną. Jestem sceptyczny wobec entuzjazmu dla tej grupy teatrów, która według państwa tworzy oddolną energię, bo to są niemal zawsze projekty jednorazowe, które upadają po roku od powstania. A bardzo często zasługują na dłuższe życie.

Krystyna Janda

Ale przecież Teatr Polonia jest takim właśnie teatrem. Do biletu na spektakl w teatrze repertuarowym państwo dokłada około 80 zł, w naszym teatrze – tylko 3,4 zł. Mamy więc tylko dziesięć etatów, aktorzy grają za niewielkie stawki, a ja jestem szefową, która wchodzi na scenę jako aktorka, reżyseruje, żeby zarobić na mniej dochodowe sztuki.

Paweł Passini

Tak, ale często osoby zatrudnione w teatrach państwowych nie są profesjonalistami. Dlaczego związki zawodowe bronią akustyków, którzy nie znają się na realizacji dźwięku? Nie ma żadnego powodu, żeby zatrudniać na tych stanowiskach osoby, których jedynym atutem jest to, że zrzesza ich związek zawodowy. Przecież to są konkretne pieniądze, a jakość ich pracy przekłada się bezpośrednio na jakość spektakli i wizerunek teatru.

Piotr Gruszczyński

Związki zawodowe są wbrew teatrowi i wbrew sztuce. Ktoś, kto pracuje w teatrze trzydzieści lat, wcale nie musi być lepszym oświetleniowcem niż ktoś, kto przychodzi od razu po studiach. Związki bronią przede wszystkim ludzi z dużym stażem i reforma tego nie zmienia.

**Agata
Diduszek-Zyglewska**

Czym więc jest profesjonalizm w zawodach teatralnych? Czy profesjonalizm zależy od ukończonej szkoły, czy od konkretnych umiejętności, które można zdobyć w wyniku praktykowania zawodu w dowolnym miejscu? W jaki sposób zmienia się charakter teatrów w związku ze wzrastającą interdyscyplinarnością ich działań?

Jan Buchwald

W Powszechnym, w ramach działań pozateatralnych, organizujemy przede wszystkim spotkania przedpremierowe, tzw. *Rozmowy z premierą w tle*, których celem jest dyskusja wokół tematów poruszanych przez daną sztukę. Przychodzą na nie bardzo różnorodni goście, widzowie. Jest to wprawdzie działanie o charakterze kulturotwórczym, nawet edukacyjnym, ale bardzo silnie związane z teatrem i jego programem. Co do „profesjonalizmu” – na całym świecie zawód reżysera nie jest zawodem wyuczonym – wykonują go ludzie wykształceni często w zupełnie nieteatralnych kierunkach. Jeśli zaś chodzi o aktorów, to najważniejszy jest warsztat. A ten można zdobywać w różnych miejscach.

Paweł Passini

Większość reżyserów, którzy w tej chwili znajdują się w szczytowym punkcie swojej kariery, to ludzie, którzy na początku drogi mieli do czynienia z jakimś rodzaju mistrzem. Obecnie mistrzów brak. W szkole spotyka się najczęściej ludzi, którzy są raczej konkurencją... Ci, którzy w tej chwili mają wiele do powiedzenia w teatrze, cechują się zwykle wstrętem do szkolnictwa. Szkoła jest miejscem pierwszych szlifów, uczy koncentracji, pamięci do tekstów, skupienia. Ja z kolei wymagam od swoich aktorów umiejętności, których nie mieli szans zdobyć w szkole – ogromnej sprawności fizycznej, tańca, pracy z ciałem. A przecież teatr, który czerpie z fizyczności, jest marką polskiego teatru na świecie. Może warto w to inwestować? Mam wrażenie, że granice profesjonalizmu przesuwają się i cztery lata spędzone na scenie dają więcej niż cztery lata studiów.

Krystyna Janda

Wielokrotnie zatrudniałam amatorów, bo w końcu najważniejszy jest talent. Podstawowych umiejętności, takich jak zasady poruszania się po scenie, można się bardzo szybko nauczyć w trakcie pracy nad spektaklem. Tak naprawdę, wszyscy aktorzy po liceach powinni iść od razu do teatru praktykować. Tego zawodu trzeba się uczyć grając.

Paweł Passini

Czy istnieje coś takiego, jak metoda pracy aktora?

Krystyna Janda

Ja wierzę w talent, emocje, inteligencję, pasję. Jeżeli ktoś się rodzi do pracy w tym zawodzie, to nic nie jest dla niego niemożliwe, nawet pokonanie problemów z emisją głosu, dykcją itp.

Paweł Passini

Ale prawda jest taka, że większość osób dyktujących teraz warunki przeszła tradycyjną drogę edukacji i od swoich następców wymaga tego samego.

Piotr Gruszczyński

Ale czy to im zaszkodziło?

Krystyna Janda

Uważam, że szkoła teatralna ani nie pomaga, ani nie szkodzi.



- Piotr Gruszczyński** | Profesjonalizm zaczyna się tam, gdzie już nie trzeba rozmawiać o warsztacie, pozostaje jedynie porozumienie się co do ostatecznego efektu; gdy wystarczy powiedzieć oświeceniowcowi, że potrzeba nam efektu zachodzącego słońca, a on już sam wie, jak ustawić reflektor.
- Krystyna Janda** | Podam przykład Przemka Wojcieszka, czy Krzysztofa Bizio. Są to ludzie, którzy nie skończyli szkół artystycznych, jeden jest, zdaje się, inżynierem z wykształcenia, drugi – dentystą... Piszą, Przemek robi filmy, spektakle – są naprawdę interesujący. Czasem zacinają się na abecadłe. Sama byłam świadkiem, gdy Przemek miał problem, który rutynowy pracownik teatru rozwiązałby jednym pstryknięciem. Ale nie przeszkadza mu to tworzyć. I to wspaniale. Teatr to uprzywilejowany świat, gdzie liczy się wyobraźnia, wiedza ogólna, talent, wrażliwość, to, ile się w życiu przeczytało i ile spraw głęboko przemyślało. Ludzie związani ze sztuką to duchowa arystokracja.
- Agata Diduszko-Zyglewska** | Przynajmniej chcielibyśmy, żeby tak było. Wiele osób obawia się, że reforma zmusi teatr do schlebienia najniższemu gustowi publiczności.
- Krystyna Janda** | Przecież tak właśnie działa teatr. Nawet, gdy twórcy dostaną za swoją pracę sowite wynagrodzenie, to i tak będą kierować się gustem publiczności. Dzieje się tak dlatego, że sztukę robi się na miarę własnego gustu. Trzeba być sobą.
- Agata Diduszko-Zyglewska** | Jedną z ważnych ról twórcy teatralnego jest też swoiste edukowanie publiczności, bo spora część społeczeństwa tego potrzebuje. Konieczność dopasowywania sztuki do gustów gawiedzi, bo takie niebezpieczeństwo może wynikać z planowanej reformy, nie jest chyba dobrą perspektywą dla sztuki.
- Krystyna Janda** | Ja mam lepsze zdanie o publiczności.
- Jan Buchwald** | Spójrzmy na to racjonalnie. Gdy w telewizji publicznej jedynym kryterium oceny wartości programu stała się jego oglądalność, zaginęły w niej wyższe formy artystyczne.
- Krystyna Janda** | Dlatego uważam, że ci, którzy zamawiają programy dla telewizji publicznej, mają koszmarny gust. To im właśnie podoba się to, co jest emitowane, nie zaś – telewizjom.
- Jan Buchwald** | Ale słupki idą w górę. Widz idzie za rozrywką – może nie najwyższych lotów, ale za to masowo odbieraną, co wiąże się z konkretnymi zyskami. Boję się, że to, co po reformie samo na siebie zarobi, nie będzie miało wysokiej rangi artystycznej, za to uzyska szeroką akceptację. Tego należy się bać.
- Paweł Passini** | Gdy mówimy, że spektakl ma „sam na siebie zarabiać”, mamy na myśli sytuację, w której zwracają się nam przynajmniej koszty produkcji spektaklu. Nie można tego osiągnąć bez wsparcia ze strony jakiejś instytucji, która pomoże w dotarciu do właściwego widza. Naprawdę nie wszystko musi być dla wszystkich.

Krystyna Janda

Obawa przed pauperyzacją teatru jest nieuzasadniona. Teatr jest sztuką elitarną, zawsze to elita chodziła do teatru, nie zaś ludzie, którym wystarczy rozrywka na poziomie dzisiejszej telewizji publicznej.

Piotr Gruszczyński

Nie mogę się z tym zgodzić. W Warszawie jest taka różnorodność repertuaru, że czasem ciężko w ogóle dokonywać jakichkolwiek porównań. Myślę, że publiczność Teatru Kwadrat to zupełnie inni ludzie niż publiczność Nowego Teatru. Niezależnie od tych podziałów – do teatru przychodzi bardzo niewielu ludzi. Różnorodność oferty teatralnej jest zjawiskiem bardzo pozytywnym – w telewizji każdego wieczoru emitowane są, wprawdzie konkurujące ze sobą, ale w gruncie rzeczy podobne seriale. W teatrze natomiast każdego wieczoru grane są bardzo różnorodne spektakle – i każdy może coś dla siebie wybrać. Gdy zaczynałem pisać o teatrze, bardzo szybko zdałem sobie sprawę, że są pewne rodzaje spektakli, które mnie w ogóle nie interesują. Nie piszę o nich, bo nie potrafię, brakuje mi odpowiedniej wrażliwości. Szanuję gust ludzi, których te właśnie spektakle zachwycają. Różnymi się upodobaniami – nie wiem, czyje są lepsze, czyje gorsze – ale to nie ma znaczenia. Taka różnorodność jest największą zaletą teatru. Nie potrafię sobie wyobrazić, że nagle wszystkie teatry zaczną grać komedie. Natomiast wszyscy wiemy, że istnieje bardzo duża różnica pomiędzy kosztem produkcji np. monodramu a spektaklu, w którym gra piętnastu aktorów.

Jan Buchwald

Teatry duże, takie jak Powszechny, zatrudniają tak wielu ludzi, ponieważ stworzone zostały w celu wystawiania dużych inscenizacji, wymagających ogromnego nakładu pracy. Spektakle Teatru Narodowego są, z kolei, tak kosztowne głównie z tego względu, że wystawia się je na ogromnej scenie, którą trzeba w całości zagospodarować. To są przyziemne sprawy, ale niezwykle istotne, bo decydują o specyfice przedstawienia. Teatr repertuarowy musi tworzyć zarówno duże, poważne inscenizacje, jak i małe, nieraz bardziej rozrywkowe – w ten sposób utrzymuje się równowagę i umożliwia realizację śmielszych artystycznie założeń.

Piotr Gruszczyński

Od kilku lat jeżdżę do Avignonu na festiwal teatralny i obserwuję, jak dwie skrajne sfery teatru wzajemnie się przenikają. Właściwie można powiedzieć, że odbywają się tam dwie równoczesne imprezy: jedna z nich jest oficjalna i musi być finansowana z pieniędzy państwowych, by umożliwić wystawienie około 40 kosztownych spektakli, które na siebie nie zarabiają; druga zaś jest offowa i pokazuje się podczas niej kilkaset przedstawień, które walczą o widzów, dosłownie nagabując ich na ulicy. Festiwal off musi na siebie zarobić. Jedną z głównych zalet spektaklu, podkreślaną w ulicznych zachętach, jest liczba aktorów na scenie – im jest ich więcej, tym większa szansa, że ludzie przyjdą. Na drugim miejscu pojawia się klimatyzacja sali.

Agata Diduszko-Zyglewska

Warszawa chce zwyciężyć w konkursie o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 roku. Jak postrzegacie swoją rolę w tym wyścigu?

Paweł Passini

Ja jestem odszczepieńcem w tym kręgu, bo w konkursie wspieram nie Warszawę, ale Lublin. Niezależnie od wyniku wyścigu o tytuł ESK wierzymy, że można wiele na tej drodze osiągnąć. Jako warszawiak w czwartym pokoleniu mam zamiłowanie do





Two colours, One people
A.K.B.

provincji i sercem jestem z Lublinem, który może wiele w tym konkursie zyskać. Nie obawiam się o los teatrów warszawskich. Ponieważ Lublin jest w tym konkursie kandydatem najdalej wysuniętym na wschód, mam nadzieję, że przyczyni się do rozwoju tej części Polski. Proces przygotowywania się do konkursu w tak małym mieście wymaga współpracy większości artystów z nim związanych, którzy muszą usiąść do stołu razem z urzędnikami i stworzyć wspólną wizję. To niezwykła okazja, żeby zaobserwować podstawowy błąd w założeniach reformy: nie ma takiego gremium złożonego z osób spoza świata sztuki, które mogłoby decydować o rozwoju artystycznym społeczeństwa. Ten wspólny wysiłek artystów i urzędników jest jak próba ugotowania takiej zupy, która przy maksymalnym natężeniu wszystkich koniecznych składników będzie jeszcze strawna. W Lublinie skupiamy się na wielokulturowości i prowincjonalności – jest sens wyjeżdżać na prowincję i robić tam kulturę. W Lublinie jest 100 tys. studentów, co przy 400 tys. stałych mieszkańców jest niewyobrażalnym źródłem energii. Są to ludzie, którzy idą na swoje pierwsze studia i często po raz pierwszy stykają się z teatrem. Próbuje się więc osiągnąć taki stan, w którym ci młodzi ludzie zaangażują się w teatr jako twórcy. Proces tworzenia spektaklu otwiera się na ludzi z zewnątrz, co z jednej strony pozwala na bardzo ciekawe wypowiedzi artystów, z drugiej zaś – daje wyraźny sygnał, że ta dziwna działalność, którą uprawiamy, nie jest dla kogokolwiek zarezerwowana, ale jest dostępna dla każdego człowieka i jeśli wykaże się on talentem i pasją, zostanie dostrzeżony. Może mamy słabsze argumenty niż Warszawa, ale jesteśmy zdecydowanie bliżej ludzi.

Piotr Gruszczyński

Uważam, że Warszawa powinna być Europejską Stolicą Kultury na co dzień. Czekam na ten moment, kiedy przestanie mieć kompleksy, a ludzie zaczną przyjeżdżać do nas tak, jak się jeździ na wystawy do Berlina. Taki tytuł jest szansą dla mniejszych ośrodków, a nie dla stolic, zwłaszcza stolicy dużego kraju. Nowy Teatr z jednej strony reklamuje Warszawę w całej Europie, pokazując spektakle Krzysztofa Warlikowskiego, z drugiej zaś, stara się przyciągnąć warszawiaków, którzy zazwyczaj do teatru nie chodzą. Mamy w planie projekt *X-Apartments*, w którym oddamy artystom pod opiekę mieszkania w Warszawie, gdzie pokażą swoją sztukę i udostępnią ją sąsiadom, wnikną głębiej w miasto. Dzielnica, w której działamy – Mokotów – jest bardzo zróżnicowana i chcemy się z nią zintegrować. Stąd niektóre nasze przedsięwzięcia nie mają nic wspólnego z teatrem, ale ich celem jest stworzenie środowiska wzajemnych wpływów, przyciągnięcie mieszkańców, którzy kiedyś – w odleglejszej perspektywie – być może staną się widzami naszego teatru, a na razie przyjdą po coś zupełnie innego. Nawet projekt naszego budynku, uwzględniający ukryte teraz przejście pomiędzy przystankiem autobusowym a kościołem, odzwierciedla chęć wniknięcia w miasto, bycia integralną częścią dzielnicy.

Jan Buchwald

Teatr Powszechny jest typem teatru środka – dla myślących ludzi różnych pokoleń. Taka jest tradycja teatru i chcemy ją podtrzymać. W tej chwili odbudowujemy repertuar po pewnej zapaści, która zaczęła się m.in. po odejściu Krystyny Jandy, a na niej – w gruncie rzeczy – opierał się repertuar i wiele sukcesów teatru było związanych z jej obecnością. Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że staramy się odbudować relacje z naszą publicznością. Socjologowie mówią, że około 3% populacji uczęszcza do teatru i właśnie 3% mieszkańców Warszawy odwiedza nasz teatr; staramy się za-



tem utrzymać ten dobry poziom. A teraz planujemy remont i na wiosnę przyszłego roku zobaczycie państwo teatr w nowej odsłonie. Co ciekawe, do tego czasu nasze spektakle będą grane na scenach innych teatrów w Warszawie, których dyrektorzy wykazali się nadspodziewaną życzliwością, co świadczy o dużej integracji środowiska teatralnego w Warszawie.

Krystyna Janda

My zagramy w te wakacje 160 spektakli. A jeśli chodzi o ESK, to nie mam zamiaru nic robić. Nasza sytuacja jest odmienna: jesteśmy zakładnikami publiczności w dobrym tego słowa znaczeniu. Stoję na scenie od 30 lat i znam publiczność, jej emocje rozpoznaję po oddechach. Stoję też ostatnio po drugiej stronie. Obliczyłam, że grupa stałych widzów Teatru Polonia liczy 25 tys. ludzi. A skoro układam repertuar według swojego uznania, można powiedzieć, że jestem K.O. na statku, który się nazywa Teatr POLONIA i płynie przez Polskę. Dbam o rozrywkę, edukację, emocje, uczucia 25 tys. inteligentów w różnym wieku, którzy przychodzą do tego teatru. Problem stolicy kultury nie obchodzi mnie właśnie dlatego, że mam pełne ręce roboty. Ale nie można powiedzieć, że nie wychodzimy poza tę grupę: w wakacje gramy tak wiele spektakli, ponieważ w tym czasie całkowicie zmienia się publiczność – przychodzą do nas głównie turyści, którzy poznając Warszawę, chcą poznać także warszawskie teatry. No i przede wszystkim nasze spektakle na placu Konstytucji są za darmo. To wiele zmienia. Bardzo wiele. Wielu inteligentów nie może sobie dziś pozwolić na kulturę z powodów finansowych. To smutne. ◀

*Dyskusja odbyła się w siedzibie redakcji przy ul. Gałczyńskiego 5 w Warszawie
dnia 2 lipca 2009 roku.*

Obywatelka Polski narodowości ukraińskiej

TERESA OLESZCZUK

(...) przez wiele pokoleń pojęcie Ukrainy było dla Ukraińców bliskie zasadom chrześcijaństwa. Doczesna Ukraina – Nieukraina była tylko krótkim sprawdzianem przed wiecznością. Myśląc o Ukrainie, operowało się pojęciami Królestwa Bożego, Sądu Ostatecznego, Powtórznego Przyjścia, raju i piekła. Jednakową rzeczywistością był kawałek gruntu pod nogami, piękno, stworzone dla samego piękna, cierpienie i wiara. Przeszła Ukraina była najpiękniejsza w przeszłości. Ludzie wokół dzielili się na świętych, męczenników, proroków, wiarołomców, zdrajców, ascetów, heretyków, grzeszników, sprawiedliwych, pokutujących, odpuszczonych, winnych i niewinnych. Ukraińska idea opierała się na modlitwach, przypowieściach i przykazaniach.

Kiedy w końcu doczesna Ukraina się ziszcila, okazało się, że cały ten idealny aparat stracił na przydatności. Wspaniała idea znikła. W najlepszym razie stało się jasne, że Ukrainy, o jakiej się marzyło, nigdy już nie będzie. Nastąpiła epoka czyścica, w której ani doczesne doświadczenie, ani wyobrażenie raju nie miało najmniejszego znaczenia. Epoka manicheizmu, gnostycyzmu, agnostyków (...)¹.

Gdyby mnie ktoś dzisiaj zapytał o to, kim jestem, odpowiedziałabym, że kobietą feministką. Od relacji państwo – naród ważniejsza jest dla mnie relacja państwo – obywatel. To, że jestem Ukrainką polskiego pochodzenia jest dla mnie wartością samą w sobie, czymś, co mnie wzbogaca, ale nie decyduje o tym, kim jestem.

Moja ukraińskość jest wynikiem poszukiwań. Odkryłam ją tak naprawdę w liceum. Wcześniej się tym nie interesowałam. Nie wiedziałam, dlaczego moja

matka, w chwilach złości, mówiła do ojca, żeby przestał być takim banderowcem. Nie wiedziałam, kim jest banderowiec, ale wówczas było to jedno z moich ulubionych słów. Wydawało mi się, że inni ojcowie byli zwykłymi rodzicami, a mój był kimś więcej – był banderowcem. Nie dociekałam, dlaczego nasz sąsiad na widok ojca wykrzykuje: „rezun”. Nie wiedziałam również, dlaczego dyrektor liceum zwracał się do mnie per „koleżanko z tym dziwnym, hiszpańskim nazwiskiem”. Dopiero w ostatniej klasie mogłam mu odpowiedzieć, że ono wcale nie jest hiszpańskie, tylko ukraińskie.

Moje nazwisko dał mi mój ojciec. W domu nigdy nie wspominał o ukraińskich korzeniach. Nie utrzymywaliśmy kontaktów z jego rodziną. On sam niewiele mówił, a matki nie pytałam. Matka była wojenną sierotą, nie miała i nie ma poczucia przynależności do narodu, państwa; może tylko do sąsiedzkiej wspólnoty, ludzi bez wykształcenia, pracujących i mieszkających na obrzeżach małego miasteczka, w czymś w rodzaju PGR-u w centralnej Polsce, gdzie problemy narodowościowe, po wymazaniu pamięci o przedwojennych Żydach, nie istniały.

W historię rodziny wtajemniczył mnie przyjaciel ojca z dzieciństwa, jego krewny. Dziś myślę, że to nic nadzwyczajnego zadawać sobie pytania o narodowość w wieku, gdy chodzi się do podstawówki. Ale wtedy ta wiedza pozwoliła mi zrozumieć i usprawiedliwić moje dzieciństwo, wybaczyć ojcu i bardzo się nim zaciekać. Wujek był dla mnie ważną postacią: dyrektor zespołu szkół, wykształcony, w przeciwieństwie do większości osób, które wówczas znałam. To dzięki niemu uznałam moją ukraińskość za ważną i rozpoczęłam własne poszukiwania, ale stało się

1. Taras Prochaško, *Discours de cosaques*, [w:] Taras Prochaško, Serhij Żadan, *Ukraina*, przełożyła Renata Rusnak, Kraków 2006, s. 43.



to już znacznie, znacznie później. Był rok 1979 i w Polsce zaczynały się sprawy zdecydowanie bardziej podniosłe i ekscytujące, a poza tym nie znałam nikogo wśród rówieśników o podobnych losach i problemach. Dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych, podczas szkoleń organizowanych przez Helsińską Fundację Praw Człowieka, spotkałam Piotra Tymę, obecnego prezesa Związku Ukraińców w Polsce, a dzięki niemu całe środowisko, nie tylko warszawskie. No i wessało mnie w ten właśnie odkryty świat, na dobre i złe.

Moi przyjaciele z Polskiego Związku Ukraińców mają zupełnie inne doświadczenia niż ja – w zdecydowanej większości są potomkami ofiar akcji „Wisła”. Pochodzą z małych wiosek, w których przeważała postawa konfrontacji, agresji i wyszydzenia. Obroną przed tym było trzymanie się razem i nieufność do polskości. To pozostało w nich do dziś. I choć ja nie mam tego obciążenia, to przez silną identyfikację ze społecznością ukraińską rozumiem, dlaczego bez tej pamięci, również emocjonalnej, nie ma ukraińskości w Polsce.

Dzisiaj akcja „Wisła” nie jest już dla mnie dominującym tematem, wciąż jednak pozostaje istotnym grupowym kontekstem, który tłumaczy mój status, zwłaszcza, gdy deklaruje się jako obywatelka Polski narodowości ukraińskiej. Wtedy zazwyczaj Polacy zadają mi pytanie o to, w jaki sposób się tutaj (czyli w Polsce) znalazłam. W odpowiedzi nie można pominąć akcji „Wisła”. Bez tego wątku nie da się wygłosić krótkiego wykładu o historii naszej wielowiekowej obecności na terenach Polski.

Bycie Ukraińcem w Polsce oznacza, że zarówno na Polskę, jak i Ukrainę patrzymy szerzej, wnikliwiej i bardziej krytycznie. Ukraińcy przyjeżdżający do Polski często odwiedzają Muzeum Powstania Warszawskiego. Bardzo ich to ciekawi – myślę, że przede wszystkim dlatego, iż sami odczuwają potrzebę heroicznych mitów, bez których nie da się stworzyć nowoczesnego państwa. To jest właśnie problem z naszą mityczną Ukrainą: nie do końca odpowiada ona wizerunkowi niezależnego państwa, o którym marzono i o które walczone i tu, i tam, w Ukrainie. Ukraina ma dzisiaj 18 lat – wyrosło już pierwsze po-

kolenie Ukraińców, którzy nie urodzili się w Związku Radzieckim i muszą żyć odpowiedzialnie w trudnych warunkach politycznych i ekonomicznych. Z marnym doświadczeniem obywatelskim jest to wyjątkowe wyzwanie – być dumnym ze swego kraju.

Polska to kraj i naród pełen kompleksów i bólu – albo heroiczny zwycięzca, albo ofiara. W żadnej innej roli Polacy występować nie chcą. Do tego jeszcze pojawia się tu postkolonialny paternalizm w stosunku do tzw. Kresów. Mało to obchodzi mieszkańców Ukrainy, zwłaszcza centralnej i wschodniej, za to dotyka Ukraińców mieszkających w Polsce. Byłam w Kijowie podczas wydarzeń pomarańczowej rewolucji. Polscy politycy w większości występowali z pozycji starszych, mądrzejszych braci „w wolności i demokracji”. Ten sam ton dominuje w publicystyce: powierzchownej i polskocentrycznej, opartej na stereotypach. Państwo polskie kolonizowało i eksploatowało Ukrainę. Dzisiaj nie chcemy pamiętać tej historycznej i społecznej prawdy. Dominuje postawa, którą nazwałabym agresywno-ofiarną. Wystarczy tylko wspomnieć o dramacie wołyńskim. Polacy od razu zaczynają wtedy mówić tylko o swoich krzywdach. Nie wspomina się jednak np. o polskim osadnictwie wojskowym w latach dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku i ich skutkach dla relacji polsko-ukraińskich, a w konsekwencji dla Wołynia. To osadnictwo było niesamowicie agresywne, zarówno w stosunku do Ukraińców, jak i zamieszkałych tam wcześniej Polaków i w konsekwencji przyniosło tę tragiczną konfrontację dwóch niepodległościowych racji.

Staram się unikać takich sytuacji, w których muszę kajać się, jako polska Ukrainka, za mordy na Wołyniu i zasadzkę w Baligródzie. Wciąż są one potencjalnym źródłem konfliktów z niektórymi współobywatelami, często przyjaciółmi. Nie lubię takich pozorów dialogu, prowadzonego tylko dla dowiedzenia utrwalonego przez dziesięciolecia stereotypu.

Jest taka wieś – Bielica niedaleko Słupska, w której w od kilku lat w sierpniu współorganizuję obchody Dnia Niepodległości Ukrainy. Do bardzo małej wsi, liczącej dwadzieścia pięć chałup, przyjeżdżają

tłumnie Ukraińcy z północnej Polski. Wszyscy chodzą w odświętnych strojach, mówią po ukraińsku, a nad skromną sceną wiszą flagi: polska, ukraińska i Unii Europejskiej. Tam zawsze czuję, że to musi wystarczyć, i wystarcza za całą ukraińską mityczną ojczyznę.

Z Bielicy pochodzi moja przyjaciółka, Stefania Łajkosz, jedna z „niezastępowalnych” działaczek zarządu głównego Związku Ukraińców w Polsce, który mieści się w Warszawie. Tworzą go głównie czterdziestolatkowie, ukształtowani przez opozycję demokratyczną. Mimo poczucia wypalenia i ponoszonym od kilkunastu lat trudom ogarnięcia coraz większej biurokracji, towarzyszącej utrzymaniu związkowej aktywności, raz do roku jedziemy do

Bielicy, naszej małej Ukrainy, aby wypatrywać następców i cieszyć się sobą...

I znaleźć sens bycia obywatelem Polski narodowości ukraińskiej. ◀

Wspomnienia pani Teresy Oleszczuk powstały jako pokłosie debaty pt. My i Oni – Warszawa 2009, która odbyła się w ramach projektu pilotażowego – DNA Miasta, 9 lipca 2009 w Centrum im. Jana Nowaka Jeziorańskiego.

Notował Artur Celiński

Teresa **Oleszczuk**

(1959), graficzka, od 1988 współpracowniczka Res Publiki.

wrzesień – listopad 2009

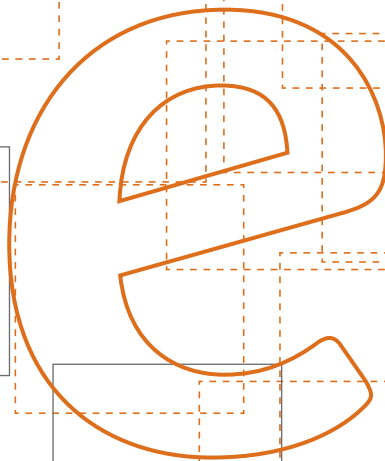
DNA MIASTA - POLSKA 2009



debaty o kulturze w siedmiu miastach:

Warszawa Gdańsk Lublin Łódź Poznań Szczecin **Toruń** Warszawa
Warszawa **Gdańsk** Lublin Łódź Poznań Szczecin Toruń Warszawa
Warszawa Gdańsk Lublin Łódź **Poznań** Szczecin Toruń Warszawa
Warszawa Gdańsk **Lublin** Łódź Poznań Szczecin Toruń Warszawa
Warszawa Gdańsk Lublin Łódź Poznań Szczecin Toruń **Warszawa**
Warszawa Gdańsk Lublin **Łódź** Poznań Szczecin Toruń Warszawa
Warszawa Gdańsk Lublin Łódź Poznań **Szczecin** Toruń Warszawa

www.dnamiasta.pl



europa
dyskusje

Holocaust: ignorowana rzeczywistość

TIMOTHY SNYDER

Koncentrując się na Auschwitz i gułagu, które powszechnie uważa się za wystarczające lub wręcz ostateczne symbole zła związanego z masowym mordowaniem ludzi, nie dostrzegamy, że w okresie dwunastu lat – od 1933 do 1944 roku – w regionie Europy pokrywającym się mniej więcej z dzisiejszą Białorusią, Ukrainą, Polską, Litwą i Łotwą zginęło około 12 milionów ofiar nazistowskiej oraz sowieckiej polityki masowego mordu.

Chociaż Europa tętni życiem, jej pisarze i politycy są pochłonięci tematem śmierci. Masowe mordy na europejskich cywilach w latach 30. i 40. XX wieku stanowią punkt odniesienia dla dzisiejszych chaotycznych dyskusji o pamięci oraz próbiez wspólnego etycznego mianownika kontynentu. Biurokracje nazistowskich Niemiec i Związku Radzieckiego zamieniły życie jednostek w śmierć mas, poszczególnych ludzi w liczby do zabicia. Sowietci skrywali dane dotyczące regionów, gdzie zagłodzili ludzi na śmierć; Niemcy kazali robotnikom przymusowym odkopywać zwłoki swoich żydowskich ofiar i palić je na olbrzymich rusztach. Jako historycy mamy obowiązek uczynić wszystko, co w naszej mocy, by rzucić światło na owe obszary cienia i wydobyć z nich tych ludzi. Do tej pory nie zrobiliśmy tego. Auschwitz, powszechnie uważane za wystarczający lub wręcz ostateczny symbol zła związanego z masowym mordowaniem ludzi, jest w rzeczywistości zaledwie początkiem wiedzy, zapowiedzią prawdziwego rozliczenia z przeszłością, które jeszcze nie nastąpiło.

To właśnie powody, dla których dysponujemy wiedzą o Auschwitz, wypaczają nasze zrozumienie

holocaustu: o Auschwitz wiemy, ponieważ niektórzy więźniowie przeżyli, co zaważdzięczali faktowi, że była to nie tylko fabryka śmierci, ale i obóz pracy. Ocaleni to w znacznej części Żydzi z Europy Zachodniej, gdyż do Auschwitz trafiali zazwyczaj członkowie tej grupy. Po drugiej wojnie światowej mogli oni swobodnie pisać i publikować – w przypadku ocalałych Żydów z Europy Wschodniej, którzy znaleźli się za żelazną kurtyną, było inaczej. Na Zachodzie wspomnienia z holocaustu mogły (choć bardzo powoli) stać się częścią historiografii i świadomości społecznej.



Stalinizm zaburzył nasz obraz masowych zbrodni Hitlera.

Ta forma historii ocalałych, której najśłynniejszy przykład stanowią dzieła Prima Leviego, nie oddaje w adekwatny sposób rzeczywistości zagłady. *Dzienniki Anny Frank* dotyczą zasymilowanych społeczności europejskich Żydów – holenderskich i niemieckich – których tragedia, choć potworna, stanowiła bardzo niewielką część holocaustu. W latach 1943–1944, gdy dokonywano większości mordów na zachodnioeuropejskich Żydach, holocaust w znacznej mierze już się zakończył. Dwie trzecie Żydów, którzy mieli zginąć podczas wojny, zabito jeszcze przed końcem 1942 roku. Główne grupy ofiar – Żydzi polscy i sowieccy – zginęły od kul wystrzelonych nad dołami śmierci lub od tlenku węgla z silników spalinowych, który wtloczono do komór gazowych w Treblince, Bełżcu i Sobiborze na okupowanych ziemiach polskich.

Auschwitz jako symbol zagłady oznacza pami­nięcie tych, którzy znaleźli się w jej centrum. Naj­większa grupa ofiar holocaustu – ortodoksyjni, po­slugujący się jidysz Żydzi z Polski, okreś­lani też nieco pogardliwym niemieckim terminem *Ostjuden* – była kulturowo obca mieszkańcom zachodu Europy, w tym również zachodnioeuropejskim Żydom. Grupa ta jest nadal w pewnym stopniu marginalizowana, jeżeli chodzi o pamięć o zagładzie. Obóz śmierci Au­schwitz-Birkenau zbudowano na ziemiach, które leżą dziś w Polsce, ale wówczas stanowiły część Rzeszy. W związku z tym Auschwitz kojarzy się wszystkim odwiedzającym ze współczesną Polską, chociaż zginęło tam relatywnie niewiele polskich Żydów i prawie nikt nie zginął spośród Żydów sowieckich. Ten symbol niemal w ogóle nie upamiętnia dwóch największych grup ofiar.

W centrum adekwatnej wizji holocaustu mu­siałyby się znaleźć operacja „Reinhardt”, czyli mord popełniony w 1942 roku na polskich Żydach. Byli oni największą społecznością żydowską świata, a Warszawa – najważniejszym miastem żydowskim. Społeczność tę poddano eksterminacji w Treblince, Bełżcu i Sobiborze. W tych trzech miejscach zginęło mniej więcej 1,5 miliona Żydów – w samej Treblince wedle najlepszych szacunków 780 863. Spośród ludzi, którzy trafili do tych trzech obozów śmierci, przeżyło tylko kilkudziesięciu. O Bełżcu wiedzą nie­liczni, choć był po Auschwitz i Treblince trzecim naj­ważniejszym miejscem zagłady podczas holocaustu. W tamtejszej fabryce śmierci zginęło w przybliżeniu 434 508 Żydów, przeżyło zaś tylko dwóch czy trzech. Kolejny milion polskich Żydów zabito w inny sposób – niektórych w Chełmnie, Majdanku czy Auschwitz, o wiele więcej zastrzelono zaś podczas akcji na wschodzie kraju. Ogółem od kul zginęło tyle samo Żydów, co od gazu, jeżeli nie więcej. Kule te wystrze­lono jednak na wschodzie, w miejscach, które zatarły się w bolesnej pamięci.

Drugim najważniejszym elementem holocaustu było masowe rozstrzeliwanie ludzi na wschodzie Polski i w Związku Radzieckim. Początkowo były to dokonywane w czerwcu 1941 roku przez Einsat­zgruppen SS egzekucje żydowskich mężczyzn, które

w lipcu objęły także kobiety i dzieci, by w sierpniu i wrześniu przekształcić się w eksterminację całych społeczności żydowskich. Do końca 1941 roku Niem­cy (wraz z miejscowymi pomocnikami i żołnierzami rumuńskimi) wymordowali w Związku Radzieckim i krajach bałtyckich milion Żydów. To tylu właśnie, ilu zginęło łącznie w Auschwitz podczas całej wojny. Do końca 1942 roku Niemcy (ponownie przy znacznej pomocy miejscowych) rozstrzelali kolejne 700 tysię­cy osób, a populację sowieckich Żydów na kontrolo­wanych przez nich terenach przestały istnieć.



Auschwitz jest zaledwie wprowadzeniem do holocaustu, a holocaust jedynie sugestią ostatecznych celów Hitlera.

Wśród sowieckich Żydów byli elokwentni świad­kowie i kronikarze jak Wasilij Grossman. Jemu oraz innym zakazano jednak przedstawiania holocaustu jako tragedii przede wszystkim żydowskiej. Gros­sman odkrył Treblinkę we wrześniu 1944 roku jako korespondent towarzyszący Armii Czerwonej. Domy­ślił się, do czego tam doszło – być może dlatego, że wiedział, co Niemcy zrobili z Żydami na jego rodzin­nej Ukrainie – i napisał na ten temat krótką książkę. Nazwał Treblinkę „piekłem”, lokując ją w centrum wojny i stulecia. Jednak z punktu widzenia Stalina za­glądę Żydów trzeba było przedstawić jako cierpienia „obywateli”. Grossman wziął udział w opracowaniu wycofanej później przez władze sowieckie *Czarnej księgi* niemieckich zbrodni na sowieckich Żydach. Stalin utrzymywał wbrew faktom, że jeżeli jakaś gru­pa została szczególnie ciężko doświadczona okupacją niemiecką, byli to Rosjanie. W ten sposób stalinizm zaburzył nasz obraz masowych zbrodni Hitlera.

W skrócie na holocaust złożyły się zatem, w na­stępującej kolejności: operacja „Reinhardt”, szoah przy użyciu broni palnej, Auschwitz; lub też Polska, Zwią­zek Radziecki, reszta. Spośród mniej więcej 5,7 milio­



na zgładzonych Żydów z grubsza 3 miliony stanowili obywatele przedwojennej Polski, a około 1 miliona – obywatele przedwojennego Związku Radzieckiego: łącznie daje to 70 procent ogólnej liczby ofiar. Po społecznościach polskich oraz sowieckich kolejne co do wielkości grupy wymordowanych Żydów pochodziły z Rumunii, Węgier i Czechosłowacji. Jeżeli uwzględnimy je, holocaust staje się w jeszcze wyraźniejszy sposób zjawiskiem wschodnioeuropejskim.

Jednak nawet ten skorygowany opis holocaustu daje rażąco niekompletny obraz rozmachu niemieckiej polityki zagłady w Europie. Ostateczne rozwiązanie, jak nazwali je naziści, miało pierwotnie być tylko jednym z eksterminacyjnych przedsięwzięć realizowanych po zwycięstwie nad Związkiem Radzieckim. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami Hitlera, Himmlera i Göringa, wojska niemieckie na przełomie 1941 i 1942 roku wdrożyłyby w Związku Radzieckim „plan głodowy”. Płody rolne z Ukrainy oraz południa Rosji trafiłyby do Niemiec, a około 30 milionów ludzi na Białorusi, północy Rosji i w miastach Związku Radzieckiego zostałyby zagłodzonych na śmierć. Plan głodowy był zaledwie preludium do *Generalplan Ost* – planu kolonizacji zachodnich ziem Związku Radzieckiego, który przewidywał eliminację około 50 milionów ludzi.

Niemcom udało się wykonać działania w pewnej mierze przypominające te plany. Z ziem wcielonych do Rzeszy wysiedlili pół miliona niebędących Żydami Polaków. Zniecierpliwiony Himmler nakazał realizację pierwszej fazy *Generalplan Ost* na wschodzie Polski: zabito 10 tysięcy polskich dzieci i wysiedlono 100 tysięcy dorosłych. Wehrmacht celowo zagłodził około miliona ludzi podczas oblężenia Leningradu i kolejne mniej więcej 100 tysięcy wskutek zaplanowanych klęsk głodu w miastach Ukrainy. W niemieckich obozach jenieckich zmarło z głodu lub chorób około 3 milionów sowieckich jeńców. Ludzi tych zabito z premedytacją: podobnie jak w przypadku blokady Leningradu, sprawcy wiedzieli, co robili – mieli zamiar zagłodzenia ich na śmierć. Gdyby nie doszło do holocaustu, pamiętalibyśmy te wydarzenia jako najgorszą zbrodnię wojenną nowożytnej historii.

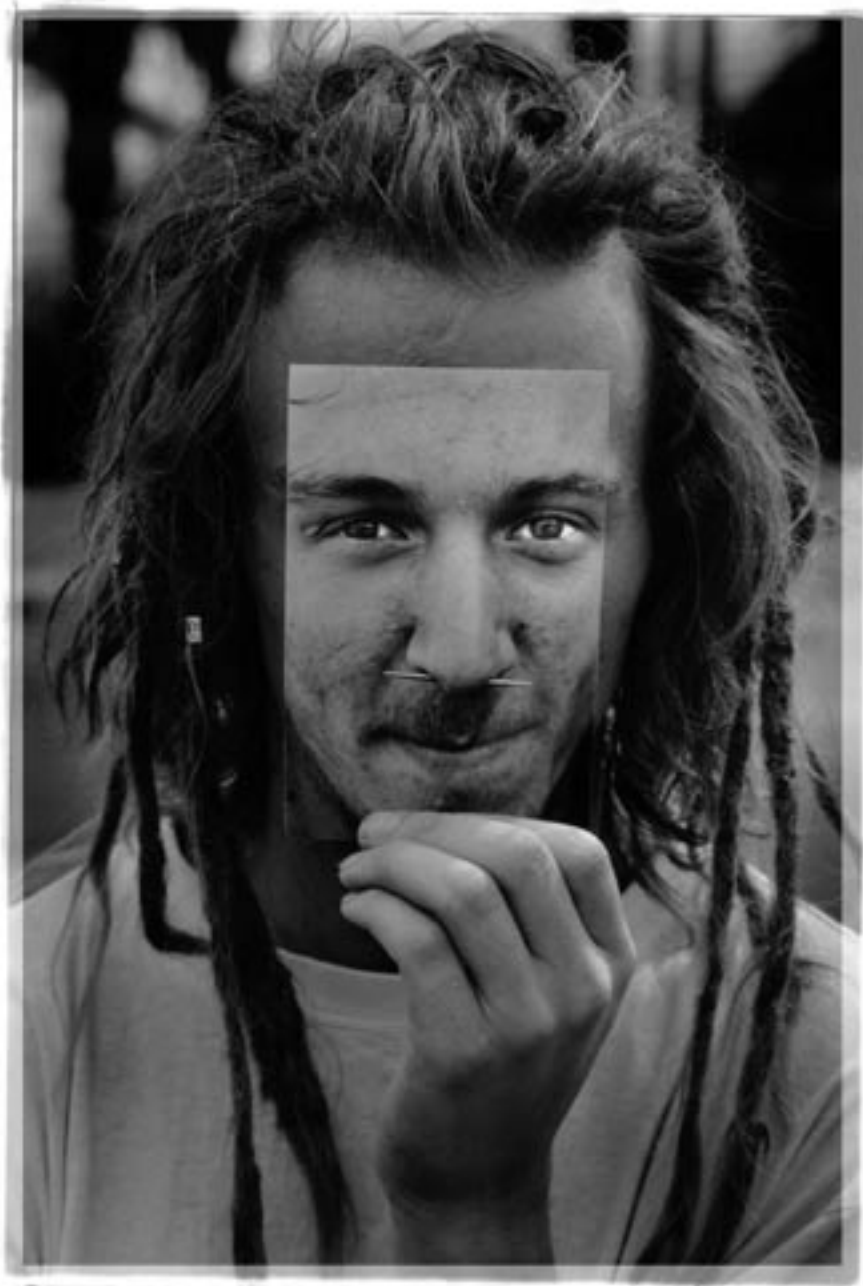
Pod przykrywką akcji skierowanych przeciwko partyzantom Niemcy zabili mniej więcej 750 ty-

sięcy ludzi – około 350 tysięcy na samej Białorusi oraz mniejszą, lecz porównywalną liczbę w Polsce i Jugosławii. Tłumiąc w 1944 roku powstanie warszawskie, zabili ponad 100 tysięcy Polaków. Gdyby holocaust nie miał miejsca, ten „odwet” również zostałby uznany za jedną z największych zbrodni wojennych w dziejach. W rzeczywistości, podobnie jak o zagłodzeniu na śmierć sowieckich jeńców wojennych, o wydarzeniach tych nie pamięta prawie nikt poza mieszkańcami krajów bezpośrednio nimi dotkniętych. Niebędący Żydami cywile padali ofiarą niemieckiej polityki okupacyjnej również w inny sposób, na przykład umierając wskutek ciężkiej pracy w obozach. Ponownie chodzi tu przede wszystkim o mieszkańców Polski i Związku Radzieckiego.

W największych akcjach związanych z masową zagładą Niemcy wymordowali ponad 10 milionów cywilów, z czego około połowę stanowili Żydzi. Zabici Żydzi i nie-Żydzi pochodzili w większości z tej samej części Europy. Projekt eksterminacji narodu żydowskiego został zasadniczo zrealizowany; projekt zniszczenia ludności słowiańskiej wdrożono jedynie w niewielkiej części.

Auschwitz jest zaledwie wprowadzeniem do holocaustu, a holocaust jedynie sugestią ostatecznych celów Hitlera. Powieści Grossmana *Wszystko płynie* oraz *Życie i los* w odważny sposób opowiadają zarówno o terrorze nazistowskim, jak i sowieckim, przypominając nam, że nawet kompletny opis niemieckiej polityki zagłady nie składa się na całość dziejów okrucieństw, do jakich dochodziło w Europie w połowie zeszłego wieku. Opis taki pomija państwo, o którego zniszczenie chodziło Hitlerowi przede wszystkim, drugie państwo, które zabijało Europejczyków *en masse* w połowie stulecia: Związek Radziecki. Podczas całego okresu rządów Stalina od 1928 do 1953 roku ofiarą sowieckiej polityki padło, według ostrożnych szacunków, znacznie powyżej 5 milionów Europejczyków. Ustalając zatem łączną liczbę europejskich cywilów zgładzonych przez mocarstwa totalitarne w połowie XX wieku, należy pamiętać o trzech mniej więcej równych wielkością grupach: Żydach zamordowanych przez Niemców, nie-Żydach zamordowanych przez Niemców i obywatelach sowieckich zamordowanych

CONFUSION OF THE ILLUSION OF THE MIND



OB

przez państwo sowieckie. Ogólną zasadą było, że reżim niemiecki zabijał cywilów niebędących obywatelami niemieckimi, natomiast sowiecki zabijał głównie cywilów będących obywatelami sowieckimi.



Do masowych mordów dochodziło przede wszystkim na ziemiach europejskich położonych między Niemcami a Rosją.

Represje sowieckie utożsamia się z gułagiem, podobnie jak nazistowskie z Auschwitz. Tymczasem gułag, pomimo koszmaru pracy niewolniczej, nie służył masowemu zabijaniu. Jeżeli uznamy, że centralnym problemem politycznym, etycznym i prawnym są masowe zbrodnie na cywilach, z historycznego punktu widzenia gułag jest pokrewny Auschwitz. Dysponujemy o nim wiedzą, ponieważ był systemem obozów pracy, nie zaś fabryk śmierci. Przetrzymywano w nim mniej więcej 30 milionów ludzi, z czego gułag skrócił życie około 3 milionów. Niemniej olbrzymia większość tych, którzy trafili do obozów, ocalała. Właśnie dlatego, że mamy literaturę na temat gułagu, przede wszystkim *Archipelag GUŁag* Aleksandra Solżenicyna, możemy próbować wyobrazić sobie jego okropności, podobnie jak możemy starać się wyobrazić sobie okropności Auschwitz.

Jednak tak jak Auschwitz odwraca uwagę od jeszcze straszliwszej rzeczywistości Treblinki, gułag powoduje, że nie dostrzegamy sowieckiej polityki bezpośredniego, celowego mordowania ludzi za pomocą głodu oraz kul. Spośród zbrodniczych przedsięwzięć stalinowskich najważniejsze były dwa: klęski głodu towarzyszące kolektywizacji w latach 1930–1933 oraz wielki terror lat 1937–1938. Nadal nie jest pewne, czy głód w Kazachstanie w latach 1930–1932 był zaplanowany, choć wiadomo, że w jego wyniku zmarło więcej niż milion Kazachów. Ponad wszelką wątpliwość ustalono natomiast, że na przełomie 1932 i 1933 roku Stalin celowo zagłodził mieszkańców sowieckiej Ukrainy. W sowieckich dokumentach można znaleźć

kolejne rozkazy z okresu od października do grudnia 1932 roku świadczące o popełnionym z premedytacją mordzie. Ostatecznie na sowieckiej Ukrainie zmarło ponad 3 miliony ludzi.

To, co czytamy o wielkim terrorze, również odwraca naszą uwagę od jego rzeczywistej istoty. Wielką powieścią i wielkim pamiętnikiem są w tym przypadku *Ciemność w południe* Arthura Koestlera oraz *Wielka czystka* Aleksandra Weissberga-Cybulskiego. Obydwa dzieła skupiają się na niewielkiej grupie ofiar Stalina – pochodzących z miast wykształconych przywódcach komunistycznych, których nazwiska bywały znane na Zachodzie. Wielki terror kojarzy nam się z takim właśnie obrazem, lecz nie jest on prawdziwy. Czystki wśród elit partii komunistycznej, aparatu bezpieczeństwa i wojska pochłonęły łącznie co najwyżej 47 737 ofiar.

Największa akcja terroru – Operacja 00447 – była skierowana przede wszystkim przeciw kułakom, czyli chłopom już wcześniej ciężko doświadczonym kolektywizacją. W jej wyniku zginęło 386 798 ludzi. Ponad jedna trzecia śmiertelnych ofiar terroru wywodziła się z kilku mniejszości narodowych, które stanowiły łącznie poniżej 2 procent ludności Związku Radzieckiego. Na przykład podczas operacji wymierzonej w obywateli sowieckich narodowości polskiej rozstrzelano 111 091 osób. Spośród 681 692 egzekucji za rzekome przestępstwa polityczne w latach 1937–1938 633 955 (a więc ponad 90 procent) miało związek z operacją przeciwko kułakom i operacjami narodowościowymi. Ludzi tych rozstrzelano w tajemnicy, zakopano w dołach i zapomniano.

Nacisk kładziony na Auschwitz i gułag prowadzi do zaniżenia liczby zabitych Europejczyków, czyniąc zarazem geograficznymi ośrodkami zbrodni Rzeszę oraz wschód Rosji. Podobnie jak Auschwitz, które zwraca naszą uwagę na zachodnioeuropejskie ofiary nazistowskiego imperium, niesławne syberyjskie obozy gułagu również przesłaniają nam prawdziwą lokalizację morderczych działań Sowietów. Koncentrując się na Auschwitz i gułagu, nie dostrzegamy, że w okresie dwunastu lat – od 1933 do 1944 roku – w regionie Europy pokrywającym się mniej więcej z dzisiejszą Białorusią, Ukrainą, Polską, Litwą i Łotwą zginęło

około 12 milionów ofiar nazistowskiej oraz sowieckiej polityki masowego mordu. Ogólniej, gdy analizujemy Auschwitz i gułag, myślimy zazwyczaj o krajach, które je stworzyły, jako o ustrojach, nowoczesnych tyraniach lub państwach totalitarnych. Jednak takie rozważania dotyczące idei oraz polityki prowadzonej w Berlinie i Moskwie pomijają zwykle fakt, że do masowych mordów dochodziło przede wszystkim na ziemiach europejskich położonych między Niemcami a Rosją, nie zaś w samych tych krajach.

Geograficznym, moralnym i politycznym centrum Europy masowej zagłady jest wschód kontynentu, a przede wszystkim Białoruś, Ukraina, Polska i państwa bałtyckie – tereny poddane przez długi czas okrutnej polityce obydwu reżimów. Najbardziej ucierpieli mieszkańcy Ukrainy i Białorusi – przede wszystkim, lecz nie tylko Żydzi – ponieważ obydwa kraje wchodziły w skład Związku Radzieckiego

w strasznych latach 30. oraz odczuły największy ciężar niemieckich represji w latach 40. XX wieku. Jeżeli Europa była, jak ujął to Mark Mazower, ciemnym kontynentem, Ukraina i Białoruś stanowiły jądro ciemności.

Uznawane za obiektywne wyliczenia historyków, jak na przykład ustalenie liczby ofiar masowych mordów, mogą pomóc w przywróceniu utraconej równowagi w historiografii. Cierpienia Niemców pod rządami Hitlera i podczas wojny, choć ich skala była ogromna, nie zaliczają się do najważniejszych rozdziałów dziejów masowego zabijania. Nawet jeżeli uwzględnimy ludność pochodzenia niemieckiego, która zginęła uciekając przed Armią Czerwoną, wypędzenia z Polski i Czechosłowacji w latach 1945–1947 oraz użycie bomb zapalających podczas nalotów w Niemczech, łączna liczba niemieckich cywilów, którzy zginęli z ręki państwa, pozostaje stosunkowo niewielka¹.

1. Z około 12 milionów Niemców, którzy uciekli lub zostali wypędzeni z Europy Wschodniej pod koniec wojny, zdecydowana większość pochodziła z Czechosłowacji (3,5 miliona) oraz z Polski (7,8 miliona). Większa część drugiej grupy wywodziła się z ziem odebranych pokonanej Rzeszy i przyznanych Polsce przez aliantów. Mniej więcej połowa z tych 12 milionów uciekła, a połowa została wywieziona, chociaż nie da się dokonać dokładnego podziału, gdyż wielu spośród tych, którzy uciekli, powróciło, i zostało następnie wywiezionych.

Na przełomie 1944 i 1945 roku przed Armią Czerwoną zbiegło około 6 milionów Niemców; większość spośród około 600 tysięcy ofiar wśród niemieckich uchodźców zginęła właśnie wówczas. Wielu spośród nich znalazło się po prostu pomiędzy walczącymi stronami; część została celowo zmasakrowana przez żołnierzy sowieckich lub zmarła w sowieckich obozach. Morderstwa popełniali także Czesi i Polacy. Część odpowiedzialności za śmierć tych ludzi spoczywa na Hitlerze, gdyż władze niemieckie nie zorganizowały w porę ewakuacji.

Powojenne deportacje Niemców, które były bezpośrednim wynikiem wojny rozpętanej przez Hitlera, stanowiły wspólne przedsięwzięcie czechosłowacko-polsko-sowiecko-brytyjsko-amerykańskie. Podczas wojny przebywający na wygnaniu przywódcy okupowanej Polski i Czechosłowacji wyrazili pragnienie, by liczba ludności niemieckiej w ich krajach po wojnie pozostała niewielka, alianci zgodzili się na to. Winston Churchill zalecił „całkowite czyszczenie”, a Sojusznicza Rada Kontroli opracowała oficjalny plan przesiedlenia 6 milionów Niemców.

Niekomunistyczny jeszcze rząd czechosłowacki zyskał dla planu wypędzenia Niemców aprobatę Stalina, ale też Churchilla i Roosevelta. Polska znajdowała się pod kontrolą Sowietów, niemniej jednak każdy rząd polski wygnałby Niemców. Polscy komuniści zaakceptowali propozycję Stalina, by przesunąć granice Polski bardzo daleko na zachód, co wiązało się z wysiedleniem większej liczby Niemców, niż życzyliby sobie tego demokratyczni politycy polscy. Oznaczało to też deportację Polaków ze wschodniej części przedwojennej Polski, którą zajęli Sowieci. Około miliona tych polskich przesiedleńców osiedliło się na terenach, z których wypędzono Niemców.

W okresie od maja do grudnia 1945 roku władze polskie i czechosłowackie wysłały za granicę około 2 milionów Niemców. Po styczniu 1946 roku władze obydwu krajów nadal zmuszały Niemców do wyjazdu, a wojska brytyjskie, sowieckie i amerykańskie przyjmowały ich w swoich strefach okupacyjnych w Niemczech. W latach 1946–1947 Sowieci przyjęli w swojej strefie nieco ponad 2 miliony Niemców, Brytyjczycy około 1,2 miliona, a Amerykanie około 1,4 miliona. Później tempo deportacji zwolniło.

Chociaż wypędzenia były przykładem zastosowania odpowiedzialności zbiorowej i wiązały się z fatalnym traktowaniem, wskaźniki umieralności wśród niemieckich cywilów – około 600 tysięcy na 12 milionów – były względnie niskie w porównaniu z innymi omawianymi tutaj wydarzeniami. Pomimo że dotknął ich koniec straszliwej wojny rozpętanej w ich imieniu, a potem uzgodnienia aliantów w sprawie zmian granic i deportacji, Niemcy ci nie padli ofiarą wyrachowanej stalinowskiej polityki mordu porównywalnej z wielkim terrorem czy głodem.



The two faces of love.



Yvonne Walker.

Najważniejszymi ofiarami bezpośrednich mordów na obywatelach niemieckich było 70 tysięcy pacjentów poddanych „eutanazji” oraz 165 tysięcy niemieckich Żydów. Najważniejszymi niemieckimi ofiarami Stalina pozostają kobiety zgwałcone przez Armię Czerwoną i przetrzymywani w Związku Radzieckim jeńcy wojenni. W niewoli sowieckiej zmarło z głodu i chorób około 363 tysięcy niemieckich jeńców, jak też mniej więcej 200 tysięcy Węgrów. W czasie, gdy w mediach wiele się mówi o niemieckim oporze wobec Hitlera, warto pamiętać, że niektórzy uczestnicy zamachu na życie Hitlera w lipcu 1944 roku odegrali kluczowe role we wdrażaniu polityki zagłady: chodzi na przykład o Arthura Nebego, który dowodził Einsatzgruppe B na białoruskich polach śmierci podczas pierwszej fazy holocaustu w 1941 roku, czy też głównego kwatermistrza Wehrmachtu Eduarda Wagnera, który napisał do żony pogodny list o potrzebie odcięcia dopływu żywności dla milionów ludzi głodujących w Leningradzie.

Trudno zapomnieć słowa Anny Achmatowej: „Lubisz, ziemio Rusi, ech / Słodki smaczek krwi”². Niemniej rosyjskie męczeństwo i heroizm, głośno dziś sławione w państwie Putina, trzeba postrzegać na szerszym tle historycznym. Rosjanie w Związku Radzieckim, podobnie jak inni jego obywatele, byli w istocie ofiarami stalinizmu, ginęli jednak znacznie rzadziej niż obywatele sowieccy narodowości ukraińskiej lub polskiej, czy też członkowie innych mniejszości narodowych. W latach drugiej wojny światowej we wschodniej Polsce i krajach bałtyckich, czyli na terenach wchłoniętych przez Związek Radziecki, miało miejsce kilka epizodów terroru. Podczas najbardziej znanego, w roku 1940, w Katyniu i czterech innych miejscach rozstrzelano 22 tysiące obywateli polskich; kolejne dziesiątki tysięcy Polaków oraz Bałtów zmarły w trakcie wywózek do Kazachstanu i na Syberię lub wkrótce potem. W czasie wojny z rąk Niemców zginęło wielu Rosjan, proporcjonalnie było ich jednak znacznie mniej niż Białorusinów czy Ukraińców, o Żydach już nie wspominając. Szacuje się, że liczba ofiar

wśród sowieckiej ludności cywilnej wyniosła około 15 milionów. W Rosji w latach wojny Niemcy zabili mniej więcej jednego na dwudziestu pięciu cywilów. Na Ukrainie (i w Polsce) z ich rąk zginął mniej więcej co dziesiąty cywil, a na Białorusi – co piąty.



Historia Polski jest przedmiotem niekończących się nieporozumień.

Białoruś oraz Ukraina znajdowały się pod okupacją przez większą część wojny; tak armia niemiecka, jak i sowiecka przeszły przez ich całe terytorium dwukrotnie – nacierając i wycofując się. Armia niemiecka okupowała jedynie niewielką część samej Rosji, a i to przez krótszy czas. Nawet biorąc pod uwagę oblężenie Leningradu i zniszczenie Stalingradu, żniwo wojny wśród rosyjskich cywilów było znacznie mniejsze niż w przypadku Białorusinów, Ukraińców oraz Żydów. Zawyżone rosyjskie wyliczenia dotyczące liczby ofiar wynikają z potraktowania Białorusi i Ukrainy jako Rosji, a Żydów, Białorusinów oraz Ukraińców jako Rosjan. To imperializm męczeństwa – milczące zawłaszczanie terytorium poprzez jawne zawłaszczanie ofiar. Zapewne takie też będzie stanowisko nowego komitetu historycznego ustanowionego przez prezydenta Dmitrija Miedwiediewa, aby zapobiegać „fałszowaniu” przeszłości Rosji.

Politycy ukraińscy przeciwstawiają się monopolizowaniu wspólnego cierpienia przez Rosję i reagują na zachodnioeuropejskie stereotypy Ukraińców jako współsprawców holocaustu, przedstawiając własną historię doznanych krzywd: chodzi o miliony Ukraińców celowo zgłodzone przez Stalina. Prezydent Wiktor Juszczenko wyświadcza swojemu krajowi bardzo złą przysługę, mówiąc o 10 milionach ofiar, a więc trzykrotnie zawyżając liczbę zabitych miesz-

2. Anna Achmatowa, *** [w:] *Liryka rosyjska 1880–2005*, przełożył Krzysztof Krejckant-Ożarski, Spółdzielnia Wydawnicza Anagram, Warszawa 2007, s. 80.



kańców Ukrainy. Prawdą jest jednak, że ukraiński głód w latach 1932–1933 był wynikiem celowych decyzji politycznych i zabił około 3 milionów ludzi. Głód towarzyszący kolektywizacji był największą po holokuście katastrofą polityczną XX-wiecznej Europy. Kolektywizacja pozostała mimo to podstawowym składnikiem sowieckiego modelu rozwoju i została później wdrożona w Chinach przez tamtejszy reżim komunistyczny, z łatwymi do przewidzenia konsekwencjami: 10 milionów ofiar głodu podczas wielkiego skoku Mao.



Nieobecność Białorusi w dyskusjach o przeszłości jest najwyraźniejszą oznaką rozdźwięku między pamięcią a historią.

Zarówno Hitler, jak i Stalin przywiązywali wielką wagę do Ukrainy jako źródła żywności. Obydwaj pragnęli kontrolować oraz wykorzystać ukraiński spichlerz i polityka obydwu doprowadziła do klęsk głodu: w przypadku Stalina w całym kraju, a Hitlera – w miastach i obozach jenieckich. Część ukraińskich jeńców głodzonych w tych obozach w 1941 roku przeżyła głód w 1933 roku. Nawiasem mówiąc, niemiecka polityka głodu przyczyniła się do stworzenia obrazu Ukraińców jako gorliwych uczestników holocaustu. Najbardziej osławionymi ukraińskimi kolaborantami byli strażnicy z obozów śmierci w Treblince, Bełżcu i Sobiborze. Rzadko pamięta się jednak, że Niemcy rekrutowali pierwsze grupy tych ludzi – wziętych do niewoli żołnierzy sowieckich – we własnych obozach jenieckich. Ratowali ich od masowej śmierci głodowej, która była jedną wielką zbrodnią popełnioną na Wschodzie, by uczynić ich współsprawcami innej – holocaustu.

Historia Polski jest przedmiotem niekończących się nieporozumień. Kraj ten został napadnięty i był okupowany w latach 1939–1941 nie przez jedno, a przez obydwa państwa totalitarne – sprzymierzone

wówczas nazistowskie Niemcy i Związek Radziecki eksploatowały jego ziemie, eksterminując zarazem znaczną część inteligencji. Stolica Polski była podczas drugiej wojny światowej sceną nie jednego, lecz dwóch wielkich powstań przeciwko władzy niemieckiej: żydowskiego powstania w getcie warszawskim w 1943 roku, po którym getto zrównano z ziemią, oraz zorganizowanego przez Armię Krajową powstania warszawskiego w 1944 roku, po którym zniszczono resztę miasta. Te dwa najważniejsze przykłady oporu oraz masowego mordu mylono w niemieckich mediach w sierpniu 1994, 1999 i 2004 roku – podczas wszystkich niedawnych pięcioletnich rocznic powstania warszawskiego – i nie inaczej będzie w sierpniu 2009 roku.

Jeżeli jakiś kraj europejski wydaje się we współczesnej Europie nie na miejscu i wygląda, jak gdyby zatrzymał się w nim czas, jest to Białoruś pod dyktatorskimi rządami Aleksandra Łukaszenki. Chociaż Łukaszenka woli pomijać milczeniem sowieckie pola śmierci w swoim kraju i chce poprowadzić autostradę przez doły śmierci w Kuropatach, pod pewnymi względami pamięta on historię Europy lepiej od swoich krytyków. Głodząc na śmierć sowieckich jeńców wojennych, rozstrzeliwując i gazując Żydów oraz rozstrzeliwując cywilów podczas akcji skierowanych przeciwko partyzantom, wojska niemieckie uczyniły Białoruś w latach 1941–1944 najstraszliwszym miejscem na ziemi. Podczas drugiej wojny światowej połowa ludności sowieckiej Białorusi została zabita lub siłą przesiedlona; na kontynencie nie było drugiego takiego kraju.

Pamięć Białorusinów o tamtych czasach, którą pielęgnuje obecna dyktatura, pomaga zrozumieć podejrzliwy stosunek do inicjatyw Zachodu. Mieszkańcy Europy Zachodniej byłoby jednak zaskoczeni, gdyby powiedzieć im, że Białoruś była epicentrum europejskich masowych mordów, a zarazem bazą operacyjną antyfaszystowskiej partyzantki, która przyczyniła się do zwycięstwa aliantów. Uderzającym faktem jest to, że taki kraj można było całkowicie wymazać z europejskiej pamięci. Nieobecność Białorusi w dyskusjach o przeszłości jest najwyraźniejszą oznaką rozdźwięku między pamięcią a historią.

Równie niepokojąca jest nieobecność ekonomii. Chociaż historia masowych zbrodni ma wiele wspólnego z kalkulacją ekonomiczną, pamięć wzdraga się przed wszystkim, co mogłoby ukazać morderstwo jako działanie racjonalne. Zarówno nazistowskie Niemcy, jak i Związek Radziecki podążały drogą do samowystarczalności gospodarczej. Niemcy chciały stworzyć przeciwwagę dla sektora przemysłowego, budując na Wschodzie rolniczą utopię, a ZSRR pragnął wydobyć się z rolniczego zacofania dzięki szybkiej industrializacji i urbanizacji. Obydwa reżimy dążyły do autarkii gospodarczej w obrębie wielkiego imperium, które w obu przypadkach miało objąć Europę Wschodnią. Obydwa uznawały państwo polskie za historyczną aberrację; uważały za niezbędny składnik Ukrainę z jej żyznymi glebami. Za wrogie swoim zamysłom uznały odmienne grupy ludzi, chociaż jeżeli chodzi o kompleksowość celów, żadne przedsięwzięcie sowieckie nie dorównuje niemieckiemu planowi zabicia wszystkich Żydów bez wyjątku. Niezwykle ważny jest tutaj fakt, że ideologia legitymizująca śmierć mas była zarazem wizją rozwoju gospodarczego. W warunkach niedoboru, zwłaszcza żywności, obydwie reżimy połączyły masowy mord z planowaniem gospodarczym. Uczyniły to w sposób, który wydaje się dzisiaj straszny i odrażający, a jednak w tamtym czasie okazał się wystarczająco atrakcyjny, by zmotywować rzesze wyznawców. Żywności już nie brakuje, przynajmniej na Zachodzie, ale niedostatek innych zasobów już odczuwamy lub odczujemy wkrótce. W XXI wieku będziemy borykać się z niedoborem wody pitnej, czystego powietrza i niedrogiej energii. Zmiany klimatu mogą spowodować, że powróci widmo głodu.

Czy z historii masowego mordy można wyciągnąć ogólne wnioski polityczne? Myślę, że konieczna jest nieufność do polityki, którą można by nazwać uprzywilejowanym rozwojem: działań aparatów państwowych na rzecz takiej formy ekspansji gospodarczej, która wiąże się z określeniem pewnej grupy ofiar, prowadzi do dobrobytu poprzez śmierć. Nie da się wykluczyć możliwości, że wymordowanie jednej grupy przyniesie korzyści innej, a przynajmniej może być tak postrzegane. Europa była już świadkiem ta-

kiej polityki i może ona powrócić. Jediną wystarczającą odpowiedzią jest etyka poszanowania jednostki – wówczas cenne jest życie każdego człowieka, nie zaś jego śmierć, a projekty tego rodzaju stają się niewyobrażalne.

Dzisiejsza Europa jest niezwykła właśnie dzięki połączeniu dobrobytu ze sprawiedliwością społeczną i prawami człowieka. Na tle świata jest ona, przynajmniej na razie, prawdopodobnie najlepiej uodporniona na tak bezduszne, instrumentalne sposoby dążenia do wzrostu gospodarczego. Występuje jednak dziwny rozdźwięk między pamięcią a historią w czasach, gdy potrzebujemy historii bardziej niż kiedykolwiek. Niedawna przeszłość Europy może przypominać niedaleką przyszłość reszty świata. To kolejny powód, by rzetelnie porachować się z historią.

Artykuł ten powstał na podstawie wystąpienia podczas konferencji Eurozine „Historie Europy”, która odbyła się w Wilnie w dniach 8-11 maja 2009 roku. Został po raz pierwszy opublikowany w języku angielskim w „New York Review of Books” oraz na portalu EUROZINE, 16 lipca 2009 roku. ◀

eurozine

Przełożył Bartłomiej Pietrzyk

Timothy Snyder

(1969), amerykański historyk, profesor Yale University, specjalista historii nowożytnego nacjonalizmu i historii Europy Środkowej i Wschodniej. Współpracował z uniwersytetami w Paryżu, Wiedniu, Warszawie, Pradze i Harvard University. Obecnie pracuje nad książką *Brotherlands: A Family History of the Slavic, German, and Jewish Nations*.

Dyskusja w odpowiedzi na wystąpienie Timothy'ego Snydera

Poniższa dyskusja była reakcją na wystąpienie Timothy'ego Snydera podczas konferencji Eurozine pt. „Europejskie historie”, która odbyła się w Wilnie w dniach 8–11 maja 2009 roku (www.eurozine.com).

Emmanuel Alloa: Czy masowe mordy można rozpatrywać tylko w kategoriach liczbowych? Co sprawia, że w XX wieku są one tak niewytłumaczalne z moralnego punktu widzenia, a jednocześnie tak zrozumiałe od strony technicznej i ekonomicznej? Dlaczego według Pana reżim nazistowski był gorszy od sowieckiego? Mówiąc o historii kontrfaktycznej, kładzie Pan nacisk na to, co mogło się zdarzyć, jednak później twierdzi Pan, iż powinniśmy rozmawiać o tym, co się naprawdę wydarzyło. Czy nie ma w tym sprzeczności?

Susan Neiman: Obawiam się, że będzie Panu trudno oddzielić aspekt historyczny od filozoficznego. Profesor Donskis podał przykład tego, jak kwestie historyczne, filozoficzne i moralne mogą się ze sobą łączyć. Mówił o wymienności ideologii, twierdził także, że po wojnie wielu nazistów stało się komunistami. Jednak większość z nich wyjechała na Zachód, po czym nie bez powodu wstąpiła w szeregi różnych partii prawicowych. Profesor Khapaeva zwróciła uwagę na sprawę, której nie mogę pominąć, a która według mnie dotyczy sedna naszej dyskusji, postawiła mianowicie pytanie: jaką spuściznę pozostawiło po sobie Oświecenie? Jeden z argumentów brzmi: to właśnie ono ponosi winę za Holokaust. W odniesieniu to tego profesor Snyder stwierdził, że głód był *de facto* jednym z głównych narzędzi śmierci. W Niemczech ciągle powraca pytanie: kto ponosi odpowiedzialność i jaka jest odpowiedzialność kraju za zbrodnie przeszłości? Wydaje mi się, że

oddzielenie kwestii wyrównania moralnego od tego, co *de facto* miało miejsce – od faktów historycznych jest dużo trudniejsze niż to postuluje [profesor Snyder – przyp. tłum.].

Przywołał Pan ten jakże wstrząsający przykład Ukraińców, których szantażowano, mówiąc: albo zginiecie, albo będziecie strażnikami w obozach koncentracyjnych. Ogromna część Niemców jest przekonana, że jeśli ktoś nie współpracował z nazistowskim reżimem, to czekała go śmierć. To oczywiście nieprawda, co udowodnił szereg badań na temat ruchu oporu. I po raz kolejny pada pytanie o rolę idei. Całkiem możliwe, że zarówno dla nazistów, jak i dla sowietów Ukraina miała stanowić spichlerz i środek do osiągnięcia konkretnego celu. Wydaje mi się jednak, że te cele były krańcowo różne. Moim zdaniem wielu z nas tu zgromadzonych wstąpiłoby w szeregi partii komunistycznej – myślę, że sama byłabym trockistką – jednocześnie nie przypuszczam, by kogokolwiek z nas skusiła ta druga opcja. Rodzi się zatem pytanie: jaka jest rola idei przy podejmowaniu tych decyzji?

Reprezentant „Kulturos Barai”: Jeszcze pięć, dziesięć lat temu nie można było w jakikolwiek sposób zakwestionować statusu Auschwitz jako symbolu drugiej wojny światowej. Jakie zmiany musiały nastąpić, aby umożliwić Panu dokonanie tej rekonfiguracji? Czy archiwa udostępniły nowe informacje, czy zapoczątkowano nowe badania w Europie Wschodniej? Czy też nastąpiła zmiana w klimacie politycznym Ameryki i Europy?

Seraphim Seferiades: Wydaje się, że może mieć Pan słuszość, kwestionując empiryczną ważność Auschwitz i gułagu, według mnie jednak należy zwrócić uwagę na rolę symboli, na to, co symbolizują. Przy założeniu, że nie są one tworzone na podstawie sfabrykowanych danych, zadaniem symboli nie jest opis całości, lecz kondensacja, i być może jest to kondensacja grozy i tragedii – co byłoby całkiem na miejscu – która ma w ten sposób zapoczątkować nowe badania, postawić nowe pytania. Patrząc na Auschwitz w ten sposób, nie nazwałbym go falstartem, tak jak to Pan uczynił. Wiąże się to z drugą

kwestią, czyli negowaniem Holokaustu. Być może zamiast pogłębiać nasze rozumienie problemu, powodujemy zanik jego warunków koniecznych. Być może obranie czegoś za symbol tego strasznego projektu politycznego jest niezwykle ważne z kognitywnego punktu widzenia. Czy jest Pan w stanie zaproponować inne symbole w miejsce Auschwitz i gułagu?

Paul Gillespie: Odnosił się Pan do prac Marka Mazowera, które przedstawiają historię XX wieku z punktu widzenia mniejszości. Ciekawą kwestią jest to, w jaki sposób większość i różne mniejszości powiązane są z mocarstwami i ustrojami totalitarnymi – lecz jaka może być zaleta takiego pojmowania historii? Czy dzięki temu da się lepiej zrozumieć relacje między mniejszościami i większością w historii europejskiej, przy świadomości, że jedną z definicji integracji europejskiej jest stwierdzenie, że nie ma już dużych państw – wszystkie są małe, przy czym, niektóre są mniejsze od innych? Jeśli to zrozumiemy w odniesieniu do historii stosunków między mniejszościami i większością, wtedy stworzymy europejski system wartości, w ramach którego moglibyśmy się uczyć od Wschodu, zamiast skupiać się na tych dwóch krańcowych punktach: jednym na Zachodzie i jednym na Wschodzie. I mówię to z perspektywy Irlandii, gdzie stosunki między mniejszościami a większością są bardziej podobne do tych w Europie Wschodniej niż Zachodniej, z czego zdaliśmy sobie sprawę dopiero po roku 1989.

Judith Vidal-Hall: Profesor Donskis zdaje się twierdzić, że mamy do czynienia z wyrównaniem zła, co jednak nie oznacza wyrównania moralnego. Czy

mógłby Pan to bliżej wyjaśnić, lub skorygować mój punkt widzenia? Czy mówiąc o moralnym wyrównaniu, bazujemy na krytyce samych intencji lub samych efektów? ◀

Notowała Anna Wysokińska

Emmanuel Alloa

badacz w Eikones Institute, nauczyciel filozofii na University of Basel i University of Paris VIII-Saint Denis. Pracuje jako dziennikarz, w 2001 był współzałożycielem *ATOPIA. The polylogic e-zine*.

Susan Neiman

dyrektor Forum Einsteina. Autorka książek: *Slow Fire: Jewish Notes from Berlin*; *The Unity of Reason: Rereading Kant*; *Evil in Modern Thought*; and *Moral Clarity: A Guide for Grown-up Idealists* (2008). Członek zarządu Eurozine.

Seraphim Seferiades

starszy wykładowca na Wydziale Polityki i Historii w Panteion University of Social and Political Science w Atenach. Redaktor magazynu „Greek Political Science Review”. Wydał książkę *Semantics, Concepts, Comparative Method* (Athens 2004), współautor pracy na temat greckiej dyktatury.

Paul Gillespie

redaktor działu polityki zagranicznej w „Irish Times”. Autor wielu artykułów, wydał takie prace, jak *Blair's Britain, England's Europe*.

Judith Vidal-Hall

członek zarządu Eurozine, redaktor prowadzący działu: „European media landscapes: Central and eastern Europe”.

Centrum – peryferia – centrum

Uwagi na marginesie tekstu Timothy'ego Snydera

JAROSŁAW KUISZ

1.

Max Beckmann namalował *Zmartwychwstanie* (*Auferstehung*) co najmniej dwukrotnie. Za pierwszym razem w konwencji obrazoburczej dla czasów *La Belle Epoque*. Po raz drugi w latach 1916–1918, gdy prawdziwe zwątpienie wykluczało mocno stylizowany ikonoklazm.

Na gigantycznym płótnie (345 x 497 cm), które znajduje się w Staatsgalerie w Stuttgarcie, ubrane oraz nagie postacie zostały przedstawione bez ładu i składu. Dominują zdeformowane ciała i czarna dziura po środku obrazu – być może – zamiast słońca. Śmierć nie ma żadnego widocznego na obrazie sensu. Wedle pewnych interpretacji – które porzucają tytuł płótna – to bardziej apokalipsa niż zmartwychwstanie.

Nie ma to jednak znaczenia. Człowiek, wedle określenia Beckmanna, to „monstrum konwulsyjnie żywotne”¹, a zarówno zmartwychwstanie, jak i apokalipsa są wobec tej olbrzymiej, robiącej do dziś wrażenie, powierzchni obrazu pojęciami z innej epoki. Jeśli mamy się nimi w ogóle posługiwać po 1918 roku, to należałoby włączyć w nie nową treść – tak jak malarz z Lipska zamykał „monstrum” w strukturze płaszczyzn i linii².

Jan Patočka w tekście *Wojny XX wieku i wiek XX jako wojna* zauważył, że z przekraczającym horyzont każdego człowieka wydarzeniem, jakim była I wojna

światowa, próbowano się zasadniczo uporać na gruncie myślowym XIX wieku. Druga wojna światowa wydawała się na tyle zrozumiała, że nie wywołała już takiego myślowego fermentu. Ponadto przeewoluowała „w coś osobliwego, co nie przypomina ani wojny, ani pokoju”³.

2.

Timothy uzmysławia, iż mimo wszystko specyficzny ferment dokoła II wojny światowej trwa. Ma on jednak odmienną, na pozór prostszą naturę. Dotyczy bowiem namiętnych sporów o fakty. Artykuł, opublikowany na łamach prestiżowego „The New York Review of Books” oraz w Eurozine znalazł się w rękach czytających elit na całym świecie, i wzbudził oczekiwane kontrowersje. W późniejszej wymianie zdań z Pacho Lane (w tym samym piśmie) Snyder poczuł się jednak zmuszony do objaśnienia struktury swego eseju, by odeprzeć dalsze nieporozumienia. Warto zatem zdać sobie sprawę z tego, na co sam autor kładzie szczególny nacisk.

Otóż, zdaniem amerykańskiego historyka, przede wszystkim powinno ulec zmianie rozumienie zjawiska masowego zabijania w Europie. Zniekształcenia są bowiem podstawowe. Oto Auschwitz ma przecież mniejsze znaczenie dla rozmiarów Holocaustu niż operacja „Reinhardt” na terenie okupowanej Polski oraz masowe egzekucje na terenie ZSRR. Kluczowym argumentem dla Snydera pozostaje nadal liczba ofiar.

1. *Od Maneta do Pollocka. Słownik malarstwa nowoczesnego*, przełożyła Helena Devechy, Wydawnictwo Arkady, Warszawa 1995, wyd. II popr., s. 28.

2. *Ibidem*.

3. Jan Patočka, *Wojny XX wieku i wiek XX jako wojna*, [w:] idem, *Eseje heretyckie z filozofii dziejów*, przełożyli Andrzej Czcibor-Piotrowski, Elżbieta Szczepańska i Juliusz Zychowicz, Wydawnictwo Fundacja Aletheia, Warszawa 1998, s. 163.

Stereotypy przesłaniają także fakt, iż Niemcy planowali zabić więcej nie-Żydów niż Żydów (w efekcie zabito mniej więcej taką samą liczbę osób z obu grup). A ponadto niemiecka i sowiecka polityka mordowania wykraczała poza terytorium tych państw, powinna być więc uważana za część większego problemu. Historyk, obalając obiegowe opinie, przypomina, że z grubsza można mówić o trzech grupach europejskich ofiar o porównywalnych rozmiarach: Żydzi zabici przez Niemców, nie-Żydzi zabici przez Niemców oraz obywatele sowieccy zabici przez sowiecki reżym.

Snyder przyznał, że nie wspominał o mniejszych grupach ofiar, które należą do wszystkich trzech kategorii i tu podał interesujące dla polskiego czytelnika przykłady:

- do pierwszej kategorii należałoby zaliczyć 60 tysięcy Żydów z warszawskiego getta, którzy umarli z powodu głodu i chorób (1940–1942),
- do drugiej kategorii: przedstawicieli polskiej inteligencji, zastrzelonych przez Niemców w trakcie operacji „Tannenberg” (1939) oraz w akcji „A-B” (1940),
- a do trzeciej: zamordowanych chłopów i prawosławnych duchownych.

Sam Snyder dodaje, że te przykłady można by mnożyć. Ta rzucona mimochodem uwaga ma znaczenie: otwiera się możliwość dyskusji bez końca. „Mniejsze” czy „większe” grupy ofiar, co oczywiste, zależą przecież od punktu odniesienia.

A jak tę uwagę przypisać do danej zbiorowości, w sytuacji powojennej zmiany granic?

Snyder ma, siłą rzeczy, w pewnych sytuacjach, kłopot z przypisaniem jednoznacznej tożsamości ofiarom. Ostatecznie decyduje się na rozwiązanie politycznie bezpieczne: we wnioskach skierowanych do czytelnika odnosi się już do dzisiejszych granic państwowych (wyraźny *casus* Białorusi) i dzisiejszych tożsamości. Pominął zatem zapomnianą grupę „miejscowych”⁴.

Skoro liczbę ofiar i możliwość ich przyporządkowania często można podać jedynie z grubsza, to chciałoby się po prostu za Stanisławem Vincenzem odpowiedzieć Snyderowi: „Chyba nie należy dewaluować żadnej rozpaczliwych ilościowymi porównaniami”⁵.

A jednak to przedwcześnie ucięłoby dyskusję.

3.

Jak nadać unicestwieniu sens?

Snyder usiłuje nadać unicestwieniu sens znany z perspektywy nauk historycznych. Jak wiadomo, jednym ze sposobów, by oswoić ustanie funkcji biologicznych organizmu, jest nadanie sensu śmierci przez zbiorowość. Historyk nie wspomina o Bogu, zdaje sobie sprawę ze słabości koncepcji praw człowieka, pozostaje mu więc odwołanie się do negatywnych doświadczeń z przeszłości.

„Uczmy się na błędach” – w ustach badacza brzmi nie tylko wiarygodnie, ale być może w ogóle nadaje jakiegokolwiek znaczenie jego pracy. Jörn Rüsen ujął rzecz zgrabnie: „Doświadczenia przeszłości bez normatywnych zamiarów wobec przyszłości są histo-

4. Zygmunt Bauman przypomina piękną historyjkę: „Tuż przed wybuchem ostatniej wojny w Polsce przeprowadzono spis ludności. Polska była wówczas społeczeństwem wielonarodowościowym. Poszczególne części mego kraju stanowiły dziwną mieszankę grup etnicznych, wyznań, zwyczajów i języków. Przekuwanie tego wszystkiego, na drodze przemocy lub asymilacji, w jednolity lub niemal jednolity naród – jak dajmy na to, w modelu francuskim – stanowiło, być może, usilnie wdrażany cel części polskiej elity politycznej. Trzeba jednak przyznać, iż nie był on powszechnie akceptowany i konsekwentnie realizowany, nie mówiąc już nawet o tym, by kiedykolwiek go osiągnięto. Jak można się było spodziewać w nowoczesnym państwie, rachmistrzów spisowych poinstruowano, że każdy obywatel należy do jakiegoś narodu. Mieli zbierać dane o narodowym samookreśleniu (dziś powiedzielibyśmy: o «tożsamości narodowej lub etnicznej»). Rachmistrze nie mogli sobie poradzić z tym w przypadku około miliona osób. Pytani przez nich ludzie po prostu nie rozumieli tego, czym jest «naród» i «przynależność narodowa». Pomimo nacisków – groźby ukarania grzywną i niemal herkulesowych wysiłków wyjaśnienia terminu «narodowość» – trzymano się z uporem takich odpowiedzi, które posiadały dla udzielających ich jakiś sens: «jesteśmy miejscowi», «jesteśmy stąd», «jesteśmy swoi» czy «należymy tutaj». Władze musiały w końcu ulec i dodać do oficjalnej listy narodowości pozycję «miejscowi»”. Zygmunt Bauman, *Tożsamość. Rozmowy z Benedetto Vecchim*, przełożył Jacek Łaszcz, Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Gdańsk 2007, s. 19.

5. Stanisław Vincenz, *Dialogi z sowietami*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1991, s. 169.



最初顔だけの写真を見た時は、どんなものが出来るのか全くイメージが想像出来ませんでした。これはいいおもしろいと思います。今またこんな写真は見た事が



なまぐさだったけど、写真は大切にしていきたいと思います。
どうもありがとうございます。

Yumi Itakura
Yumi Itakura

rycznie ślepe; normatywne zamiary względem przyszłości są bez doświadczeń przeszłości historycznie puste”⁶.

* * *

Przy okazji uroczystych obchodów 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej można było obserwować paroksyzm namiętności nacjonalistycznych. W miejsce pojednania znów pojawiły się spory o niebywałej temperaturze. Polski i rosyjski obraz przeszłości nie jest taki sam i naprowadzało to na pytanie, którego Snyder – zwracając się do abstrakcyjnego czytelnika – uniknął. A mianowicie: czy łatwe jest uznanie śmierci wroga w takim samym wymiarze, jak uznanie śmierci naszego przodka czy członka naszej wspólnoty?

Amerykański historyk wylicza ofiary i sposoby eksterminacji, przedstawia topografię zbrodni... Ale czy do uznania śmierci wroga za naszą sprawę wystarczy tylko przedstawienie faktów?

Trudności są oczywiste. Podajmy więc jeden przykład. Gdy uznamy śmierć w konkretnym człowieku innej narodowości za własną sprawę – jak chciałby Snyder – może się tak zdarzyć, że porzucimy przy tym sens śmierci, który dotąd nadawany był przez naszą narodowość.

Wymaga to zmian w języku, osobistej odwagi udania się na płaszczyznę bardziej uniwersalną, w gruncie rzeczy porzucenia postawy konfrontacyjnej, która w jakiejś mierze kształtuje naszą tożsamość...

A przecież to tylko przykładowe wyliczenie niebagatelnych wyzwań dla konkretnego „ja”. Mówiąc za Emmanuelem Levinasem: śmierć to pytanie, które pozostaje bez odpowiedzi, a jednocześnie śmierć nie

jest naszym osobistym doświadczeniem – to zawsze tylko opowieść, która ma otoczyć zwłoki danej osoby. Przejęcie się śmiercią innego, to moja relacja ze śmiercią⁷.

A jeśli to śmierć wroga? Standardy moralne, które mielibyśmy spełnić, okazują się nadzwyczajnie wysokie.

Cytowany już Patočka zastanawiał się nad doświadczeniem bycia na froncie⁸. Stwierdził, że nieprzyjaciel przestaje być wrogiem absolutnym na drodze woli pokoju, lecz staje się współuczestnikiem tej samej sytuacji, jest „tym, z kim możliwa jest zgodność w sprzeczności”⁹. Zdaniem czeskiego filozofa tutaj otwiera się sfera „modlitwy za przyjaciela” czy fenomen „miłowania tych, którzy nas nienawidzą”, co łącznie można nazwać „solidarnością zachwianych wbrew ich przeciwieństwom i waśniom”.

Jednak – z rozczarowaniem zauważa Patočka – „doświadczenie frontu” nie stało się „czynnikiem dziejowym”. Czeski filozof próbuje to wyjaśnić następująco: „jest ono doświadczeniem każdej jednostki rzuconej oddzielnie na swój szczyt, z którego pozostaje tylko zstąpić na powrót do dnia powszechnego, gdzie nieuchronnie znowu zawładnie nią wojna w postaci pokojowego planowania Siły. Środkiem do przewyciężenia tego stanu jest «solidarność zachwianych»”¹⁰.

Koncepcja bardzo piękna, ale nie zmieniająca faktu, iż znów stajemy na niełatwej psychologicznej płaszczyźnie, której zawiłości poniekąd uświadamia właśnie trudność zbudowania postawy kosmopolitycznej w Europie czy wyraźna ostrożność w orzekaniu o rychłym końcu państw narodowych. Oznacza ona przecież rezygnację z wyłącznie dobrej samooceny danej zbiorowości.

6. Jörn Rüsen, *Cztery typy narracji historycznej*, [w:] *Opowiadanie historii: w niemieckiej refleksji teoretycznohistorycznej i literaturoznawczej od oświecenia do współczesności*, wyboru dokonał, przełożył i opracował Leszek Jerzy Kałężny, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2008, s. 574.

7. Emmanuel Levinas, *Bóg, śmierć i czas*, przełożył Janusz Margański, Wydawnictwo Znak, Kraków 2008.

8. „Najgłębszym odkryciem frontu jest więc to wychylenie życia ku nocy, walce i śmierci, niemożliwość skreślenia tej pozycji w życiu, która z punktu widzenia dnia wydaje się niczym innym, jak tylko nieegzystencją, przemiana sensu życia w «nic», o nieprzekraczalną granicę, w której wszystko się zmienia”. Jan Patočka, *op.cit.*, s. 180.

9. *Ibidem*.

10. *Ibidem*, s. 184.



Dopiero na tym polu porozumienia co do wartości uniwersalnych można podjąć się wspólnego pisania historii. W istocie można chyba powiedzieć – wbrew Snyderowi – że dialog i pojednanie są możliwe tylko przy założeniu, że nie można ustalić dokładnej liczby ofiar.

4.

Max Beckmann, który w czasie *La Grande Guerre* przeżył upiorne załamanie nerwowe, podobno nie dokończył *Zmartwychwstania*. Może nie miało to już dla niego żadnego znaczenia, a może obraz świata po zbrodni na masową skalę musi pozostać otwarty.

5.

Snyder wykonał zaszczytną pracę przypomnienia o ofiarach poniesionych przez Europę Środkowo-Wschodnią w czasie II wojny światowej. Bez wątpienia tekst jest sprzeciwem wobec swoistego oglądania i pisania historii wyłącznie z perspektywy Zachodu. Oto bowiem „centrum” pisało i pisze popularną wersję historii świata, uparczywie nie wsłuchując się w głosy z „prowincji”. W efekcie dochodzi do szczytów ignorancji (np. „polskie obozy śmierci”), które przemiana pokoleń tłumaczy tylko częściowo. Snyder słusznie naprowadza nas na myśl, że kryje się za tym uprzywilejowana pozycja Zachodu. Z dzisiejszej perspektywy wypada dodać: tego Zachodu, który bogacił się w okresie zimnej wojny, podczas gdy narody – ofiary II wojny światowej – nie ze swej woli znalazły się w strefie wpływów ZSRR (sfalszowane wybory itp.). Do dziś są jednak postrzegane jako ubodzy krewni, słabiej wykształceni, szukający pracy i ewentualnie godni współczucia – dopóty, dopóki człowiek Zachodu będzie się czuć „lepsz”.¹¹

Takim poglądom – podobnie jak Snyder – najuprzejmiej dziękujemy. Nie ma w nich wolności równych podmiotów. O ironii losu może świadczyć to, że globalizacja rozumiana jako wielość centrów oraz refleksja postkolonialna w sposób oczywisty przecierają tu dla nas intelektualne szlaki.

Stanowisko amerykańskiego historyka mogłoby zatem cieszyć, gdyby nie fakt, że znów prezentowani jesteśmy wyłącznie jako ofiary. Opowieść Snydera – choć wynikająca zapewne z najszlachetniejszych pobudek – jest niczym innym, jak ciągiem dalszym pisania historii wyłącznie z perspektywy Zachodu. Ofiary dawnych zbrodni pozostają bierną „prowincją”.

Uzmysławia to, że opowiadanie o przeszłości w formie atrakcyjnej dla innych narodów, troska o włączanie ich w konteksty zrozumiałe dla drugiego człowieka, a następnie skuteczne dystrybuowanie takich treści – jest czymś więcej niż przejawem „banalnego nacjonalizmu”. To po prostu cena intelektualnej wolności. Entuzjazm w uznawaniu polskich ofiar za pośrednictwem takich tekstów, jak artykuł Snydera, na świecie powinniśmy zatem okazywać powściągliwie.

6.

W 1917 roku artysta zanotował:

„W tym pomieszaniu somnambulizmu i przerażającej jasności umysłu jeszcze można żyć, jeśli nie chcemy stać się głupim jak zwierzę, w epoce, w której wszystkie wartości zostały wywrócone”¹¹.

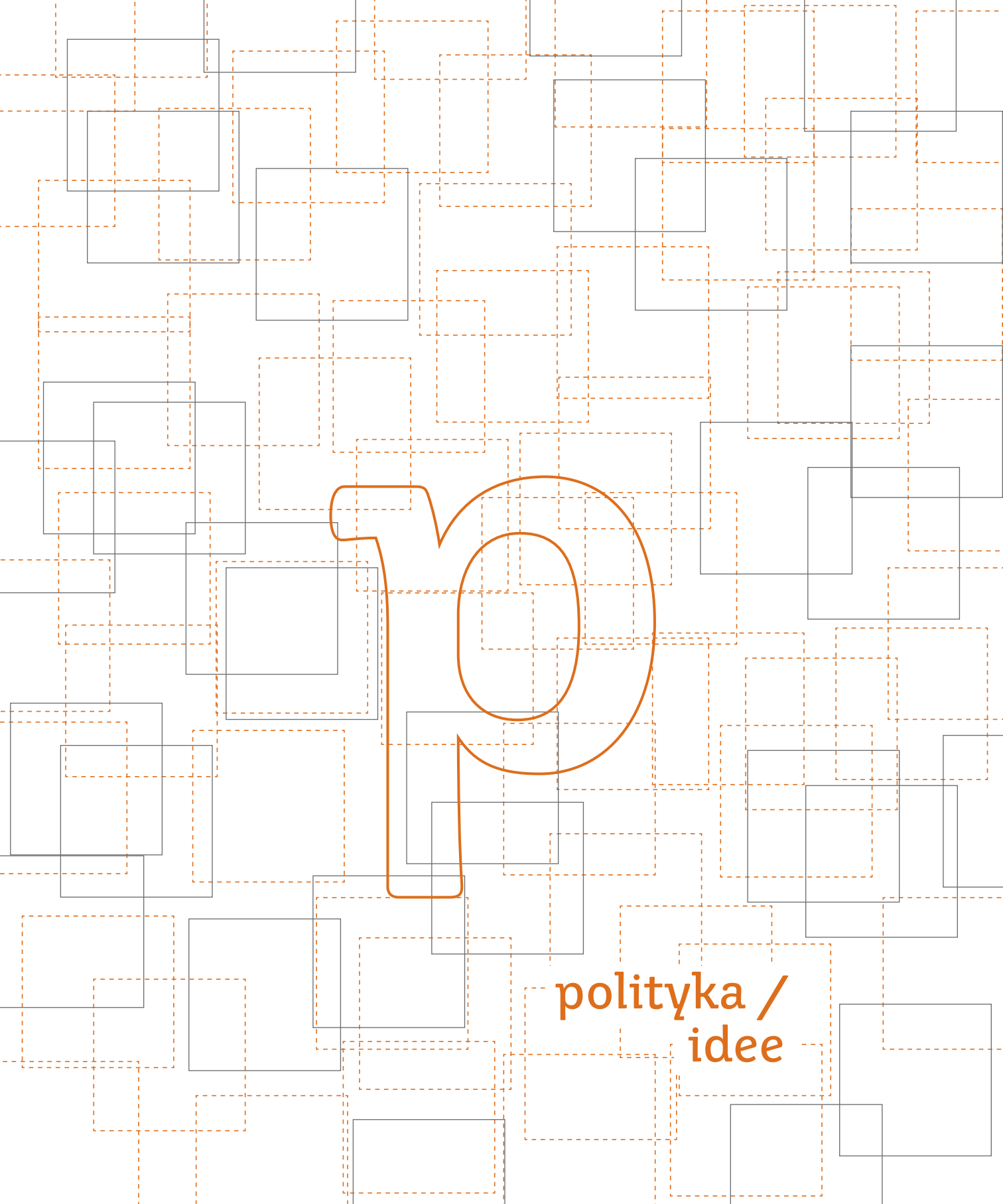
Po namalowaniu *Zmartwychwstania* w czasach, które mogły wydawać się nieco spokojniejsze, Max Beckmann próbował niekiedy na obrazach przedstawić kompozycje o bardziej idyllicznym czy chociaż stonowanym nastroju. Zawsze przenikała je jednak niepokojąca wieloznaczność.

„Monstrum konwulsyjnie żywotne” malowało dalej. ◀

Jarosław Kuisz

(1976), naukowiec i poeta. Adiunkt w Instytucie Historii Prawa Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego i wykładowca w Kolegium MISH UW. Recenzent książek w programie *Magazyn Świat* (TVP Info). Wkrótce ukaże się jego książka o porozumieniach sierpniowych z 1980 r.

11. Max Beckmann. *L'exposition*, Editions du Centre Pompidou, Paryż 2002.

The background is a light gray field filled with a complex pattern of overlapping squares. Some squares have solid gray outlines, while others are defined by dashed orange lines. The squares vary in size and are positioned in a way that creates a sense of depth and movement. In the center of the image, there is a large, stylized orange outline of the number '10'.

10

polityka /
idee

Requiem dla etyki protestanckiej

MARTA BUCHOLC

Czytając rozważania Ralpha Dahrendorfa nad gospodarką i społeczeństwem w dobie kryzysu, niełatwo uniknąć banalnych interpretacji. Okoliczności powstania *Po kryzysie...*, zwłaszcza te związane z osobą Autora, budzą skojarzenia, które umacniają pobrzmiewający w tekście ton obawy, przestrogi i nader powściągliwego optymizmu. Nie można jednak uznać wypowiedzi Dahrendorfa za jeden z alarmistycznych komentarzy, jakich pełna jest dziś światowa prasa, a które przenikają również (z opóźnieniem wynikającym zapewne z dłuższego cyklu redakcyjnego, nie zaś z metodologicznego dystansu) do pism naukowych. Z pewnością natomiast należy uznać tę wypowiedź za wzorcowy przykład zastosowania wyobraźni socjologicznej. Tej zaś bardzo potrzeba w czasach, gdy – podobnie jak w roku 1959, kiedy świat anglojęzyczny zapoznawał się z pierwszą ważną pracą Ralpha Dahrendorfa¹, a Charles W. Mills pisał *The Sociological Imagination* – ludzie mają „poczucie, że zostali schwytani w pułapkę”².

Zestawienie Dahrendorfa z Millsem jest tym bardziej zasadne, że osią rozumowania tego pierwszego w *Po kryzysie...* jest słynna teza Daniela Bella dotycząca napięcia między zarabianiem a wydawaniem w kapitalizmie. Tę zaś antycypował właśnie Mills w *Elicie władzy*, nie wyciągając z niej jednak takich konsekwencji, jak jego „najwybitniejszy antagonistą” w *Kulturowych sprzecznościach kapitalizmu*³. Z pew-

nością Mills zdziwiłby się, czytając o Amerykanach kupujących „na kreskę” wszystko, poczynawszy od domów poprzez podróże marzeń aż po bułki na śniadanie.

Bell twierdził, że wzajemna odpowiedniość struktury społecznej i kultury, którą głosili „mistrzowie teorii społecznej”, zanikła w społeczeństwie nowoczesnym⁴: „Pierwszy z tych obszarów podlega ekonomicznej zasadzie wydajności i funkcjonalnej racjonalności oraz organizacji produkcji poprzez uporządkowanie rzeczy wyłącznie z ludźmi, również traktowanymi jako rzeczy. W drugim obszarze panuje rozrzutność, nieuporządkowanie, (...) irracjonalizm i antyintelektualizm. (...) Struktura osobowości, odziedziczona po XIX stuleciu ze swą samodyscypliną, pohamowaniem, opóźnioną gratyfikacją, wciąż jeszcze odpowiada wymogom struktury (...). Zderza się jednak gwałtownie z kulturą, która – między innymi w wyniku funkcjonowania gospodarki kapitalistycznej – radykalnie odrzuciła te mieszczańskie wartości”⁵. Prorokował również, że wobec tego integracja społeczeństwa wokół jednej zasady mentalnościowej odejdzie w przeszłość, pozostawiając rzesze zdezorientowanych jednostek. Mills ujmował to następująco: „[S]amo kształtowanie się historii wyprzedza współcześnie zdolność ludzi do orientowania się w świecie zgodnie z uznawanymi przez nich wartościami. (...) Ludzie, jeśli nawet nie wpadają w panikę, często czują, że dawniejsze sposoby odczuwania i myślenia leżą w gruzach, a zaczętki

1. Ralph Dahrendorf, *Klasy i konflikt klasowy w społeczeństwie przemysłowym*, przełożyła Renata Babińska, Wydawnictwo Nomos, Kraków 2008 (wyd. oryg. 1957; wyd. ang. 1959).

2. Charles Wright Mills, *Wyobraźnia socjologiczna*, przełożyła Marta Bucholc, PWN, Warszawa 2007, s. 49 wyd. oryg. 1959).

3. Por. Todd Gittlin, *Posłowie*, [w:] Charles Wright Mills, *op.cit.*, s. 361.

4. Daniel Bell, *Kulturowe sprzeczności kapitalizmu*, przełożył Stefan Amsterdamski, PWN, Warszawa 1994, s. 1-72.

5. *Ibidem*, s. 72.

nowszych są wieloznaczne aż do granic moralnej obojętności”⁶.

Problem obu autorów był więc na pozór identyczny, tylko że Mills największą wagę przypisywał temu, iż kultura nie nadąża za zmianami strukturalnymi, zaś Bell – rozpadowi kultury i dezintegracji osobowości wskutek rozszczepienia świata życia na dwie sfery, skoncentrowane wokół dwóch niezgadzających się maksym działania.



Kapitalizm nadal istnieje, chociaż od tak dawna ludzie pracują już tylko po to, by móc wydawać.

Na pierwszy rzut oka diagnozy sprzed kilkudziesięciu lat, w porównaniu ze współczesnym rozpoznaniem autorstwa Dahrendorfa, nie straciły wcale na trafności – i na pierwszy rzut oka to może być prawda. Przyglądając się im uważniej, widzimy jednak, że układają się w ironiczną historię choroby.

Mills opisuje w gruncie rzeczy stan człowieka przednowoczesnego stojącego wobec dojrzałej modernizacji – zmiany technologicznej, rozpadu społeczności lokalnych, nowych form komunikacji, przewartościowań w świecie pracy, nauki, polityki, rozrywki. Wszystko to można uważać za pokłosie instrumentalizacji stosunków międzyludzkich, będącej bezpośrednim następstwem racjonalizacji niezbędnej dla kapitalistycznej produkcji; o identycznych zjawiskach pisano wówczas w Europie⁷. Poczucie zagubienia i osaczenia jest reakcją obronną przednowoczesnego ducha, który niechętnie nagina się do nowej formalnej racjonalności, eksportowanej

w dziedzinie życia dotąd przed nią zamknięte – jakby przeczuwając, że mu to nie posłuży.

Bell opisuje kolejne stadium: ludzie już nie opierają się logice nowej sytuacji, ale się jej podporządkowują – ze skutkiem fatalnym, lecz na razie tylko dla kultury i osobowości. Pozbawiona hamulców kulturowych racjonalność formalna doprowadziła do dewaluacji kultury i rozpanoszenia się postaw konsumpcyjnych. Paradoxs kapitalizmu nie polega wyłącznie na tym, że z punktu widzenia jednostki życie prywatne i zawodowe (konsumpcja i produkcja) zaczynają się od siebie odrywać, tworząc głęboką wyrwę w świecie życia. Za bardziej paradoksalne należałoby uznać, że kapitalizm nadal istnieje, chociaż od tak dawna ludzie pracują już tylko po to, by móc wydawać⁸.

Obraz kreślony przez Dahrendorfa to ostatnie stadium choroby. Słowa Millsa i Bella można by zastosować do tego społeczeństwa, ale jedynie przez ironiczne odwrócenie. Coraz śmielsze przenoszenie nawyków życia prywatnego w sferę produkcji przy coraz słabszej presji ekonomicznej sprawiło, że ludzie zapomnieli nie tylko jak się oszczędza, ale nawet jak się obiera ziemniaki i przyszywa guziki. Dychotomia kultura – struktura została więc zniesiona, ale wbrew oczekiwaniom Maxa Horkheimera i Jürgena Habermasa (zastanawiająco nieobecnych w tekście Dahrendorfa) nie struktura skolonizowała kulturę, lecz na odwrót.

Truizmem jest, że przeniesienie w sferę ekonomii mentalności żądającej natychmiastowej gratyfikacji musiało zagrozić podstawom racjonalnego gospodarowania. Musiało przynieść kurioza w rodzaju instrumentów pochodnych, których niepochoďną podstawę trudno było odszukać w prospektach; funduszy, których polityki inwestycyjnej nikt nie był w stanie w zrozumiały sposób opisać; gigantycznych kredytów rozdawanych na prawo i lewo; kart kredytowych wciskanych każdemu, kto zechciał po-

6. Charles Wright Mills, *op.cit.*, s. 51.

7. Por. zwłaszcza Richard Hoggart, *Spojrzenie na kulturę robotniczą w Anglii*, przełożyła Aleksandra Ambros, PIW, Warszawa 1976 (wyd. oryg. 1957).

8. Skutkiem rozpadu jedności kultury i struktury była „korozja charakteru”, opisywana przez Richarda Sennetta (wyd. oryg. 1998), o której tutaj nie piszę z braku miejsca; zob. Richard Sennet, *Korozja charakteru*, przełożyli Jan Dzierzgowski, Łukasz Mikołajewski, Wydawnictwo MUZA, Warszawa 2006.



święcić kwadrans na rozmowę telefoniczną. Wobec tego rodzaju absurdów błędnie eksponowana przez Dahrendorfa kwestia kosmicznych wynagrodzeń menedżerów. Radosne Roboty, o których pisze Mills, okazały się równie groźne dla gospodarki, jak wcześniej dla polityki⁹.



Problem jedności świata jest kluczem do zrozumienia naszej błogiej ignorancji.

Dźwignią systemu stała się – o czym Dahrendorf nie pisze w ogóle – *beata ignorantia*. Sedno problemu nie leży w tym, że za czasów nieboszczki etyki protestanckiej nie było handlu derywatami, zdematerializowanego pieniądza, spekulacji i krachów. Były, tyle że chodziło o cebulki tulipanów, a nie o swapcje. Gospodarowanie opierało się natomiast na maksymie, którą Anglicy ujmują za pomocą porzekadła: *Don't bite off more than you can chew*. Człowiek kupujący cebulki wiedział doskonale, czym zdrowa cebulka różni się od zgniłej, a jeśli został oszukany, *post factum* przynajmniej był w stanie zrozumieć, na czym polegał szwindel – inaczej nie brałby się za cebulki. Ten komfort, wynikający z miarkowania zamiarów i potrzeb poziomem kompetencji, straciliśmy nieodwołalnie.

System – zwłaszcza w Europie – próbował się oczywiście bronić, głównie za pomocą regulacji prawnych mających niwelować skutki ignorancji (służących ochronie inwestora, przejrzystości i bezpieczeństwu obrotu instrumentami finansowymi, kontroli kapitalizacji i koncentracji zaangażowania banków, ubezpieczycieli i funduszy inwestycyjnych). Regulacje te na razie uchroniły nas prawdopodobnie przed scenariuszem z roku 1929, nie sądząc jednak,

by one same rozwiązywały problem – leczą tylko jego objawy. Od początku lat siedemdziesiątych system otrzymał kilka ostrzeżeń (nieoczekiwane korekty, eksplozje baniek mydlanych, skandale), ale zamiast ożywienia aktywności poznawczej przyniosły one tylko chwilowe zainteresowanie mitologicznymi, fabularyzowanymi narracjami o gospodarce wśród tzw. *educated public*. Coraz szersze kręgi zataczało złudzenie, że rynek jest jednocześnie bardzo prosty (bo może i powinna na nim inwestować nawet kucharka) i bardzo skomplikowany (więc nikt, w szczególności zaś kucharka-inwestorka, nie powinien dążyć do rzetelnego zrozumienia rynku).

Dahrendorf formułuje pytanie o stan gospodarki i społeczeństwa po kryzysie w kategoriach Weberowskich. Zagadnienie „dominanty kulturowej” organizującej całość życia społecznego, w tym działań gospodarczych, było centralne dla studiów historyczno-porównawczych Maxa Webera, z których najbardziej wpływowa jest *Etyka protestancka a duch kapitalizmu*. Jednak z Weberowskiego myślenia Dahrendorf wybiera właściwie tylko to, co wiąże się z definiowaniem kapitalizmu jako systemu „odroczonej nagrody”, traktując kulturę jako swoisty rezerwuar zasobów, do których sięgać może gospodarka w czasach kryzysu. Problem rozpadu poczucia jedności świata – upadku jego zasady metafizycznej – pozostawia natomiast poza marginesem swoich rozważań.

Tymczasem problem jedności świata – ujmowanej na bardzo wysokim poziomie abstrakcji, przez metafizyczne poczucie sensu – jest kluczem do zrozumienia naszej błogiej ignorancji. Świat musi mieć sens nie po to wyłącznie, byśmy mogli – jak Abraham i średniowieczny chłop – umierać „syci życia”, zamiast nim zmęczeni¹⁰. Poczucie metafizycznej jedności świata odgrywa także istotną rolę poznawczą, dostarcza siła selekcyjnego, przez które przesiewamy mialką, chaotyczną rzeczywistość, wyłaniając jej godną poznawania i przeżywania reprezentację. Pisząc

9. Por. Charles Wright Mills, *op.cit.*, rozdz. IX.

10. Max Weber, *Nauka jako zawód i powołanie*, przełożył Paweł Dybel, [w:] idem, *Polityka jako zawód i powołanie*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1998, s. 122.



*From my eyes I can look for
everything God creations*

A stylized signature or mark, possibly initials, written in a cursive or calligraphic style.

o Weberowskich badaniach porównawczych wielkich religii¹¹, Habermas słusznie postawił w centrum swoich rozważań pojęcie metafizyczno-religijnego obrazu świata, definiując racjonalizację jako jego odczarowanie i rozpad¹². Nasza ignorancja była więc dlatego zawiniona, że nie próbowaliśmy się dowiedzieć, co też właściwie się za tym wszystkim kryje, ale też dlatego niewinna, że nie mieliśmy skąd brać poczucia, jakoby w rzeczywistości w ogóle należało poszukiwać jakiegokolwiek całościowego sensu.

Dahrendorf twierdzi, że nie ma powrotu do etyki protestanckiej, i z pewnością ma rację. Coś jednak trzeba zrobić z naszym poczuciem „bycia schwytanym w pułapkę”. W gruzach legło podbudowane ignorancją przekonanie, że – indywidualnie i zbiorowo – możemy sobie pozwolić na wszystko i to natychmiast, a gospodarka jest tylko po to, by nam podpowiadać, co też by to mogło być. Radosne Roboty potrzebują nowego programu – a to, co proponuje Dahrendorf, to właściwie wskazówki dla programisty.

Dlatego też twierdzę, że puenta *Po kryzysie...* jest pesymistyczna. Można ludzi nauczyć tak żyć,

jak gdyby byli Weberowskimi purytanami. Można ich oduczyć nieokiełznanego konsumowania; kupowania plazmowych telewizorów pod kolor nowej kanapy, polowania na *last minute* i przeceny na zasadzie: „zobacz, ile na tym zarabiasz”, zmieniania telefonów komórkowych i samochodów dlatego, że można, a nie dlatego, że trzeba. Poza nawiasem pozostawiam, wzorem Dahrendorfa, pytanie, co na dłuższą metę stanie się z gospodarką, w której konsumenci zatracą powyższe przyzwyczajenia, jak będzie w niej wyglądało zatrudnienie sektorami i do jakiej epoki w historii ekonomicznej cofnęłaby nas taka zmiana mentalności. Faktem jest jednak, że rozwiązanie takie to terapia behawioralna, a nie leczenie przyczyn schorzenia. Wskrzeszenie dawnych cnót, o których mówi Dahrendorf, wymaga, jak sądzę, głębszego przepracowania problemu. ◀

Marta Bucholc

(1978), absolwentka socjologii i filozofii w ramach Kolegium MISH UW oraz WPiA. Od 2006 adiunkt w Zakładzie Historii Myśli Społecznej IS UW.

11. Max Weber, *Socjologia religii. Etyka gospodarcza religii światowych*, przełożyli Dominika Motak, Grzegorz Sowiński, Tadeusz Zatorski, Wydawnictwo Nomos, Kraków 2006.

12. Jurgen Habermas, *Teoria działania komunikacyjnego*, t. 1, przełożył Andrzej Maciej Kaniowski, PWN, Warszawa 1999, s. 325 i następne.

Po kryzysie: powrót do etyki protestanckiej?

RALF DAHRENDORF

Po pierwsze: wyjaśnienia

Ktoś, kto dziś, w roku 2009, mówi o „kryzysie”, nie musi wyjaśniać swoim czytelnikom lub słuchaczom, o czym mowa. Jednak całe zjawisko na razie wciąż nie ma nazwy, pod którą mogłoby figurować w podręcznikach do historii. „To” zaczęło się jako kryzys finansowy, następnie rozrosło się do kryzysu gospodarczego, obecnie zaś przez wielu postrzegane jest jako przejaw dogłębnej zmiany społecznej, a być może również politycznej. Wyjaśnienia załamania społeczno-gospodarczego są więc tak samo zróżnicowane, jak reakcje na kryzys. Wahają się między nadmierną szczegółowością a zbyt uogólnieniem i więcej wprowadzają zamęt, niż rzeczywiście wyjaśniają.



Wiara w samoregulację rynku
przerodziła się w fundamentalistyczne
wypaczenie.

W spektrum wyjaśnień po stronie nadmiernej szczegółowości lokuje się teza, zgodnie z którą wszystko, co zdarzyło się w gospodarce światowej od (września) 2008 roku, da się sprowadzić do postanowienia amerykańskiego rządu, by nie chronić banku Lehman Brothers przed niewypłacalnością. Decyzję tę składa się w dodatku na karb osobistych animozji między szefem Lehman Brothers, Richardem Fuldem, a ówczesnym ministrem finansów Henrym Paul-

sonem. Pojedyncza decyzja uruchomiła więc efekt domina, który zachwiał najpierw gospodarką finansową, a później także realną. Można jednak było tego uniknąć, gdyby odpowiedzialne osoby w Stanach Zjednoczonych wybrały europejską drogę używania środków publicznych do ratowania banków.

Na drugim krańcu spektrum wyjaśnień mieszczą się dyskusje na temat „systemu”, który obecnie jakoby się załamuje. Czyż już Karol Marks nie prorokował, że kapitalizm źle skończy? Było to co prawda półtora wieku temu, w międzyczasie zaś sprawy miały się zupełnie inaczej, niektórzy jednak nie przejmują się zbyt tym drobnym opóźnieniem. Widzą, że system się sypie, i ani ich to specjalnie nie dziwi, ani też nie martwi.

Pomiędzy tymi dwiema skrajnościami mamy do dyspozycji cały wachlarz innych wyjaśnień polityczno-gospodarczych. Od strony gospodarczej rozpowszechniło się przede wszystkim wskazywanie na deprawację obrotu nieruchomościami w świecie anglosaskim. Hipoteki na 120% wartości rynkowej domów (w oczekiwaniu na przyszły wzrost wartości) były przecież nie do utrzymania. Najeżone haczykami nowe instrumenty finansowe również nie zmniejszały ryzyka – wręcz przeciwnie. Bankowcy, wspierani przez licznych doradców, wywiedli swoich klientów w pole, być może często sami nawet nie wiedząc, co robią. Pod koniec transakcje finansowe były już tak bardzo „zderywowane”, że straciły jakiekolwiek odniesienie do rzeczywistości.

W tym miejscu zaczynają się z kolei wyjaśnienia bardziej polityczne. Kto ponosi winę za zło? Oczywiście bankowcy, pomiędzy których wśliznęło się kilku zwyczajnych oszustów, takich jak Bernard Madoff. Winni są jednak i politycy, którzy tak daleko posunęli modę na deregulację, że w końcu nikt nie był już





The disguise remains intact.

[Signature]

w stanie kontrolować tego, co działo się na rynkach finansowych. Wiara w samoregulację rynku przerosła się w fundamentalistyczne wypaczenie. Rozpletniła się nowa odmiana państwa-stróża nocnego.



Dojrzały kapitalizm wymaga od ludzi elementów etyki protestanckiej w miejscu pracy, a zarazem jej zupełnego przeciwieństwa poza pracą, w świecie konsumpcji.

Kiedy wyjaśnienia jakiegoś zjawiska stają się tak różnorodne, dobrze jest zachować spokój. Jak wiadomo, nie mamy jeszcze pojęcia, w jakim kierunku zmierza kryzys. Nie wiemy też, jak długo potrwa i mamy jedynie mgliste wyobrażenie tego, jaki świat będzie potem. W dalszej części artykułu przedstawiam wyjaśnienie kryzysu opierające się na opisie mentalności. Ten stary termin ma zwracać uwagę na to, że istnieją dominujące wyobrażenia wartościujące, które rządzą ludzkimi postawami. Mentalności takie cechują nie tylko nielicznych aktorów (choćby rynku finansowego), ale i ich klientów, chętnie ostatnio przywoływanych „drobnych ciułaczy”. W gruncie rzeczy chodzi o wodzące kultury kształtujące zachowania, które zaczynają się od mniejszości, później natomiast ogarniają całe społeczeństwa.

Po drugie: kapitalizm oszczędności (*Sparkapitalismus*), kapitalizm na kreskę (*Pumpkapitalismus*)

Stawiam tutaj tezę, iż przeszliśmy dogłębną zmianę mentalną, a obecnie, w reakcji na kryzys, stoi przed nami nowa metamorfoza. Zmianę, którą mamy za

sobą, można by określić w prosty sposób: było to przejście od kapitalizmu oszczędności do kapitalizmu na kreskę. Transformację tę opisałem ćwierć wieku temu¹. Chodzi zatem o dominujące postawy wobec gospodarki i społeczeństwa. I nie tylko postawy wszelkiego rodzaju przedsiębiorców i menedżerów, ale również przestępców, a także większości obywateli. To ważne, chociaż wiele osób niechętnie o tym słucha, ponieważ wołałyby stawiać pod pręgierzem kilku winowajców, niż uprawiać samokrytykę.

Mentalności, o których tu mowa, mają co nieco wspólnego ze studium Maxa Webera *Etyka protestancka a duch kapitalizmu*. To błyskotliwe dzieło ma swoje słabe strony, już dawno temu Richard Tawney wykazał, że kapitalizm istniał również na obszarach pozostających pod wpływem katolicyzmu². Przekonująca pozostaje jednak teza Webera, zgodnie z którą początki kapitalistycznego gospodarowania wymagają rozpowszechnionej gotowości do odsuwania w czasie bezpośredniego zaspokojenia. Kapitalistyczna gospodarka zaczyna działać tylko wówczas, gdy ludzie nie oczekują, że będą mogli natychmiast cieszyć się owocem swoich uczynków. W bliższych nam czasach skutek ten osiągnano głównie za pomocą przymusu państwowego. Tę „sowiecką” drogę wybrała Rosja, a także Chiny. Można jednak argumentować, że był czas, kiedy w niektórych częściach Europy wiara religijna skłaniała ludzi do wyrzeczeń i oszczędności pomimo ciężkiej pracy. Zwłaszcza w kalwinistycznym protestantyzmie zaświaty uznawano za miejsce zapłaty za pot wylany przy pracy na tym świecie.

Max Weber, pisząc w tym tonie, miał na myśli Anglię i Amerykę, przy czym znalazł też miejsce dla wariantów luteranckich. Wciąż jeszcze są w Europie bardzo starzy ludzie, którzy pamiętają czasy, gdy praca i oszczędność były przewodnimi maksymami życiowymi (w Stanach Zjednoczonych przemiany zaczęły się wcześniej, zaraz po pierwszej wojnie światowej). Później jednak wszędzie dokonała się

1. Ralf Dahrendorf, *Reisen nach innen. Aspekte der Zeit*, Stuttgart: DVA, 1984.

2. Richard Tawney argumentuje, że rozwojowi nowoczesnej gospodarki sprzyjała marginalizacja religii. Zob. Richard Henry Tawney, *Religia a powstanie kapitalizmu*, przełożył Olgierd Wojtasiewicz, KiW, Warszawa 1963, (wydanie oryginalne 1926).



zmiana mentalności, którą obszernie opisał Daniel Bell w swojej książce *Kulturowe sprzeczności kapitalizmu*. Autor podejmuje tam temat „powstawania nowych nawyków robienia zakupów w gospodarce wysokiej konsumpcji i wynikającej stąd erozji etyki protestanckiej oraz postawy purytańskiej”³.



Globalne są tylko te problemy, które dotyczą wszystkich ludzi na ziemi, a więc można je przezwyciężyć jedynie poprzez wspólne działanie.

Książka Bella ukazała się w 1976 roku⁴. Już wówczas dostrzegał on w kapitalizmie wybuchowy paradoks. Po stronie produkcji wymaga się nadal starych wartości: pilności i porządku, lecz jej siłą napędową w coraz większym stopniu staje się „materialistyczny hedonizm i psychologiczny eudajmonizm”. Innymi słowy, dojrzały kapitalizm wymaga od ludzi elementów etyki protestanckiej w miejscu pracy, a zarazem jej zupełnego przeciwieństwa poza pracą, w świecie konsumpcji. System gospodarczy podważa zatem własne przesłanki mentalnościowe.

Kiedy Bell to pisał, wciąż nie dokonał się jeszcze kolejny krok na drodze zmiany mentalności gospodarczej, czyli przejście od szału konsumpcji do beztroskiego zadłużania się. Kiedy zaczęła się ta droga? W latach osiemdziesiątych byli już w każdym razie ludzie, którzy za ledwie kilkaset marek jechali w sześciotygodniową podróż dookoła świata, a jej koszty spłacali jeszcze długo, nawet kiedy już nikt ze znajomych nie chciał oglądać slajdów zrobionych w Bangkoku i Rio. Daniel Bell słusznie mówi o spłacie rat jako o grzechu pierwotnym. To wówczas zaczął się kapitalizm, który zmutował już z kapitalizmu oszczędności w kapitalizm konsumpcji – fatalny krok w kierunku kapitalizmu na kreskę.

Dokładnie w tym punkcie dokonał się też zwrot od realności do wirtualności, od wytwarzania wartości do handlu derywatami. Postawa, która się wówczas upowszechniła, pozwalała używać nie tylko zanim się zaoszczędziło, ale nawet zanim się zapłaciło. Maksymą stało się „Enjoy now, pay later”. Opanowała ona wszystkich ludzi, także tych, którzy dziś nie chcą o tym słuchać. Jednak stała się również zachętą do tworzenia subtelnych konstrukcji dla tych, którzy z radością powitali pomysł robienia pieniędzy na pieniądzach. Dokładniej mówiąc, zabrali się oni do zarabiania pieniędzy, które miały być dla nich odskocznią do świata superbogaczy – na pieniądzach, które do nich nie należały i których zapewne w ogóle nie było.

Samo w sobie fascynujące byłoby pytanie, jakie skutki wywarły postępy kapitalizmu na kreskę w obszarze wytwarzania wartości, czyli tak zwanej realnej gospodarki. Czy trzeba było importować ostatnich wyznawców jakiejś protestanckiej etyki? Czy też należało eksportować produkcję jako taką do ludzi, których nie dopadł jeszcze kapitalizm na kreskę? Czy może „protestancka” część gospodarki da się odracjonalizować, zelektronizować? Na razie wiemy, że omawiana zmiana mentalności jest niestabilna. Każde zadłużanie się ma swoje granice. To właśnie jest nauczka z kryzysu, w czasie którego nasila się zarazem tendencja do zastępowania zadłużenia prywatnego publicznym.

Po trzecie: globalny czy światowy?

Są tacy, którzy dostrzegają związek między kryzysem i procesem skądinąd im wstrętnym, a mianowicie globalizacją. To prawda, że powszechna dostępność informacji i zniesienie granic (łącznie z żelazną kurtyną) ogromnie rozszerzyło zakres oddziaływania kapitalizmu na kreskę. Rozszerzenie to utrudniło również regulację, ułatwiając tym samym na przykład tworzenie skomplikowanych instrumentów finansowych. Prawdą jest także, że efekt domina w czasach globalizacji stanowi o wiele wyraźniejszy

3. Daniel Bell, *Kulturowe sprzeczności kapitalizmu*, przełożył Stefan Amsterdamski, PWN, Warszawa 1994, s. 90 [przyp. tłum.].

4. Wydanie polskie w 1994 [przyp. tłum.].

mechanizm, niż to bywało na przykład w czasach wielkich rund wolnego handlu (Runda Kennedy'ego, Runda Nixona). Niemniej jednak, trzeba się wystrzegać pewnego brzemienne w skutki błędu. Niektórzy przywódcy polityczni sądzą, iż kryzys sam w sobie jest powszechny, a zatem można go przezwyciężyć wyłącznie za pomocą globalnych decyzji. Takie w każdym razie zdanie ma brytyjski premier Gordon Brown, choć już nie amerykański prezydent Barack Obama. Mówiąc o globalnym kryzysie, pomija się jednak pewne istotne rozróżnienie. Globalne w ścisłym tego słowa znaczeniu są mianowicie tylko te problemy, które dotyczą wszystkich ludzi na ziemi, a więc można je przezwyciężyć jedynie poprzez wspólne działanie. Najważniejszym współczesnym przykładem są zmiany klimatyczne. Inne kwestie, jeśli chodzi o zakres ich oddziaływania, są nie tyle globalne, ile światowe. W wielu miejscach na świecie można dostrzec zmiany, ale co innego dzieje się w Stanach Zjednoczonych i w Chinach, we Francji i w Polsce. Pewien poziom koordynacji może oczywiście być korzystny dla zwalczania problemów, wymaga on jednak w gruncie rzeczy rozwiązań krajowych, a także regionalnych, na przykład europejskich.

Można by spierać się o to, czy kryzys bankowy jest zjawiskiem globalnym. Określając go jako „systemowy”, chcemy powiedzieć, że wielu innych aspektów gospodarki nie da się oddzielić od tego, czy banki są w stanie udzielać kredytów w atmosferze zaufania. Prawdopodobnie zatem tylko globalne działanie może przywrócić zaufanie wobec tych instytucji. Z pewnością jednak nie jest to prawda w odniesieniu do kryzysu w ogólniejszym sensie, czyli recesji i załamania się mentalności charakterystycznej dla kapitalizmu na kreskę. Oczywiście, i tutaj mają znaczenie wzajemne zależności między gospodarkami narodowymi. Mogą występować efekty domina w odniesieniu do spadku koniunktury i na odwrót: rozchodzące się oznaki wzrostu. Dowodzi to jednak tylko światowego charakteru kryzysu, złożoności sieciowych powiązań między przedsiębiorstwami i całymi gospodarkami narodowymi – w żadnym razie samo w sobie nie stanowi problemu globalnego w rodzaju zmian klimatycznych.

Stąd też nie da się zwalczyć kryzysu przez jakiś pojedynczy globalny akt siły (wystarczyłby zresztą w pewnym sensie akt siły wciąż dominujących Stanów Zjednoczonych). O tyle też błędne jest mniemanie, jakoby wszystkie państwa powinny czynić to samo, by odbudować zaufanie i ożywić koniunkturę. Spotkania międzynarodowe są ważne, by uniknąć polityki *beggar thy neighbour*, a zatem obniżyć prawdopodobieństwo tego, że w poszczególnych krajach zbyt wiele decyzji podejmowanych będzie kosztem sąsiadów. Nie da się jednak ustalić generalnie, co jest odpowiednie w poszczególnych przypadkach.

Nie stanowi to argumentu przeciwko ogólnoświatowym regułom. Również i w tym wypadku precyzja jest godna polecenia. Reguły nie powstają w bezhołowym dyskursie z udziałem wszystkich zainteresowanych. Wymagają one gwarantującej je władzy, która podtrzymuje mechanizmy sankcji. Na tym polega wielka słabość strefy euro w jej dotychczasowej formie, czyli w postaci banku, który nie jest włączony w żaden proces polityczny (jak to zawsze miało miejsce w wypadku Bundesbanku). W skali całego świata oznacza to, że kiedy Stany Zjednoczone wycofają się ze swojej roli władzy-gwaranta, nie będzie żadnego „nowego światowego systemu gospodarczego”. Świat Bretton Woods, z Bankiem Światowym i Międzynarodowym Funduszem Walutowym (a co najmniej pośrednio również z Światową Organizacją Handlu), to przecież strefa zależna od Ameryki. Był to światowy, bynajmniej nie globalny, system reguł gwarantowany przez Stany Zjednoczone.



Być może zatem obecny kryzys sprzyja zmianie mentalności.

Proponowane tu rozróżnienie problemów – i rozwiązań – globalnych i światowych ma także zauważalne znaczenie praktyczne. Jeśli nie ujmimy globalnego zadania kontrolowania zmiany klimatycznej w sposób zobowiązujący dla wszystkich, nastąpi



globalny kataklizm. Kryzys natomiast wymaga kilku strategicznych decyzji, być może przede wszystkim w tych kilku krajach, które wywołują rozchodzący się szeroko – prawdopodobnie na cały świat – *rip-pleeffect*⁵. Z punktu widzenia tematyki międzynarodowych konferencji i działań rozróżnienia są jednak nieodzowne.

Po czwarte: gniew ludu i zmiana

Kryzysy mogą się okazać korzystne, działając jak oczyszczająca powietrze burza. Być może zatem obecny kryzys sprzyja zmianie mentalności. W jej wyniku ludzie zaczną prawdopodobnie wykazywać w działaniu postawę trwalszą niż ta, którą umożliwił kapitalizm na kreskę. Nie jest jednak oczywiste, jakie mechanizmy społeczne mogłyby doprowadzić do takiej przemiany. Nie wygląda w każdym razie na to, by rodziły się ruchy polityczne, które mogłyby proponować alternatywne projekty na przyszłość z jakimkolwiek widokami szerszego poparcia. Co ciekawe, w większości krajów nie zyskuje wyraźnie na kryzysie ani skrajna prawica, ani skrajna lewica. Powód jest prosty: kryzys przyniósł co prawda ofiary, ale nie ukształtował żadnej nowej siły polityczno-społecznej, która pracowałaby na rzecz jakiejś dobrze rokującej wizji zmiany mentalności. Dla socjologa nic w tym zaskakującego. Badając kryzys, myśli on raczej o *Bezrobotnych Marienthalu* ([1933] 2007)⁶ niż o *Manifeście Komunistycznym*. Badanie Marie Jahody i innych pokazało na przykładzie wielkiego kryzysu sprzed osiemdziesięciu lat, że ludzie, którzy tracą lub obawiają się stracić wszystko, stają się apatyczni, nie zaś aktywni. Można ich jednak zmobilizować – o czym czytamy skądinąd również w *Manifeście Komunistycznym*. To łatwy łup dla demagogów, którzy w odpowiednich sytuacjach potrafią pchnąć ich do powstania i protestu. A tego rodzaju sytuacyjnym protestom często towarzyszy przemoc.

Szef brytyjskiej policji, który niedawno ostrzegał, że nadchodzące miesiące będą „latem przemocy”, zasłużył być może na krytykę, jaka spotkała jego „nieodpowiedzialną” tezę ze strony kół rządowych. Niemniej jednak, niewykluczone, że miał rację. Można przewidywać, że ludzie będą reagować na dwa sposoby. Jednym z nich jest szerząca się indywidualizacja konfliktów społecznych. Mówiąc bez ogródek, oznacza to naruszenia prawa i porządku, włamania, napady. Druga możliwa reakcja to niezadowolone zbiorowe przyjmujące postać gwałtownych zamieszek tam, gdzie tylko gromadzi się duża liczba ludzi: mecze piłki nożnej, koncerty pop, demonstracje polityczne, ale także karnawał.



Są tacy, którzy uważają, że blichtr
świata spekulacji ustąpi miejsca
poczuciu rzeczywistości i trwałości.

Za tego rodzaju wybuchami kryje się rozproszony gniew wielu ludzi wywołany przez zupełnie niezrozumiałe pogorszenie ich sytuacji i szans życiowych. Na ogół towarzyszy temu również pewna doza strachu, zawsze jednak wiodącym odczuciem jest bezsilność. Stąd niedaleko już do poszukiwania winnych. Pod pręgierz z bankowcami, skoro nie wolno ich niestety wytarzać w smołę i połamać kołem! A najlepiej do tego i polityków! Jak to możliwe, że winni znikają we Włoszech z 20-milionową emeryturą, podczas gdy rzesza bezrobotnych rośnie z miesiąca na miesiąc, a wielu ludzi musi rezygnować z najdroższych sobie rzeczy? Miejsce klasycznej polityki partyjnej zajmuje rozproszony gniew ludu.

Jednak i tą drogą można również doprowadzić do przemiany. Środki, które lansuje, a często stosuje rząd, to przecież tylko część zmiany uruchomio-

5. Efekt rozchodzącej się fali [przyp. tłum].

6. Marie Jahoda, Paul Felix Lazarsfeld, Hans Zeisel, *Bezrobotni Marienthalu*, przełożył Robert Marszałek, Oficyna Naukowa, Warszawa 2007.



ITS ME!

Kate

nej przez kryzys. Już choćby z uwagi na swój krótkoterminowy charakter nie stanowią one nawet najważniejszej części, nie wspominam o fakcie, że często stają się zarzewiem nowych problemów. Nie da się tak łatwo rozproszyć atmosfery gniewu i nieufności. Zmusza ona ludzi do zmiany sposobu działania. Tu i ówdzie ktoś czasem rezygnuje z premii. Niektórzy menedżerowie i politycy przepraszają nawet za skutki swoich czynów. Akcjonariusze stają się bardziej uważni. Demonstracyjne bogactwo nielicznych jest coraz mniej widoczne. Media wspominają gorsze czasy i przypominają, jak czerpać stare ubrania i siać pietruszkę w skrzynkach na balkonie. Są tacy, którzy uważają, że blichtr świata spekulacji ustąpi miejsca poczuciu rzeczywistości i trwałości.

Po piąte: nowy czas

Powstaje pytanie, jak będzie wyglądał świat po kryzysie. To ryzykowne przedsięwzięcie mówić o tym poważnie wiosną 2009 roku. Wiele zmian jest jednak co najmniej bardzo prawdopodobnych. Kryzys potrwa jeszcze jakiś czas. Dwa lata? Trzy? Kiedy skończy się spadek – czy raczej załamanie się – koniunktury, większość krajów wysoko rozwiniętych będzie wyraźnie biedniejsza (przy czym zubożenie nie dotknie w równym stopniu wszystkich obywateli). Nowa faza wzrostu gospodarczego będzie prawdopodobnie postępować znacznie wolniej, niż to działo się w minionym dziesięcioleciu. Co więcej, w wielu krajach ciężar obsługi ogromnego zadłużenia pożre owoce wzrostu. Pojawia się nowe podatki. Gwałtowny wzrost inflacji będzie pod wieloma względami dotykał przede wszystkim mniej zamożnych. Warunki brzegowe gospodarki i społeczeństwa w wielu miejscach, a na pewno w Europie, nie są więc zbyt optymistyczne. Mogą one jednak doprowadzić do narodzin odmienionej mentalności. Jej rdzeniem jest nowy stosunek do czasu.

Dla zaawansowanego kapitalizmu na kreskę symptomatyczny był wszak niezwykle krótki oddech wszelkiego rodzaju działań. W skrajnym przypadku handlujących instrumentami pochodnymi

znaczyło to tyle, że kierowali oni fikcyjne pieniądze w nowe miejsce, zanim jeszcze zdążyli zadać sobie pytanie, jakie mianowicie rzeczywiste wartości mogą się za nimi kryć. To jednak tylko część ogólnego pośpiechu. Tuż po zakończeniu transakcji wypłacano premie wszystkim zainteresowanym. Raporty z wyników przedsiębiorstw publikowano już nie rokrocznie, lecz co kwartał, a często w jeszcze krótszych odstępach czasu. Menedżerowie z górnej półki nie występowali już z długofalowymi planami; z wieloma z nich firmy żegnały się po zdumiewająco krótkim czasie złotym uściskiem dłoni. Politycy uskarżają się co prawda na myślenie krótkookresowe, ale stopniowo sami przyswoili sobie jego słabe strony.



Nowy stosunek do czasu
w gospodarce i społeczeństwie
stanowi więc kluczową przemianę
mentalności, która mogłaby wynikać
z kryzysu.

Nowy stosunek do czasu musiałby się więc również zrodzić na górze. Kwestia wynagrodzeń menedżerów – jedno ze źródeł gniewu ludu – okaże się łatwa do rozwiązania, gdy ich podstawą staną się wpływy z wyników długookresowych. Przy tej sposobności rady nadzorcze i inne osoby odpowiedzialne powinny również wypracować zasady sukcesji, które znormalizowałyby mało przejrzyste zmiany na najwyższych szczeblach przedsiębiorstw. Średnookresowe myślenie na kierowniczych stanowiskach przedsiębiorstwa z konieczności prowadzi do staranniejszego planowania, a ponadto, z punktu widzenia pracowników, do większej przewidywalności pod względem rygorów elastyczności, nade wszystko wymaganej przez nowoczesne gospodarki.

Przy tej okazji można na powrót umieścić w centrum procesów decyzyjnych termin, który w latach

skrajnego kapitalizmu na kreskę popadł w zapomnienie, a mianowicie termin *stakeholders*⁷. Oznacza on wszystkich, którzy nawet nie mając udziałów w przedsiębiorstwie, nie będąc zatem *shareholders*, są jednak żywotnie zainteresowani powodzeniem firmy. Należą do nich dostawcy i odbiorcy, przede wszystkim jednak mieszkańcy społeczności lokalnych, w których działają przedsiębiorstwa. Dla nich ważne jest nie tyle współdecydowanie, ile uznanie ich interesów przez kadrę zarządzającą, to z kolei wymaga, by kierownictwo firmy widziało coś więcej niż koniec własnego nosa, a nie tylko zajmowało się zyskami i premiami za następny kwartał.

Z nową perspektywą czasową wiąże się także rozwiązywanie kwestii globalnych w ścisłym tego słowa znaczeniu. Na przykładzie polityki walki ze zmianami klimatycznymi (a raczej na przykładzie niepowodzeń tej polityki) widać, czy działaniem kieruje myślenie krótko- czy średniookresowe. Być może potrzeba jakichś decydujących wydarzeń, by promować przyszłościowe działanie. Bangladesz (a w końcu i Holandia) musi prawdopodobnie utonąć w morskich odmętach, nim przebiję się przesłanie Ala Gore’a czy Nicholasa Sterna⁸. Nowy stosunek do czasu w gospodarce i społeczeństwie stanowi więc kluczową przemianę mentalności, która mogłaby wynikać z kryzysu. Znowu mówi się wiele o zaufaniu i odpowiedzialności. Jedno i drugie jest potrzebne, lecz jedno i drugie zakłada, że kierownictwo przestanie myśleć skrajnie krótkookresowo. By do tego doszło, menedżerowie muszą zstąpić z wyżyn swojej pozycji i znowu skupić się na losie tych, za których dolę i niedolę odpowiadają decydenci. Aby wspierać tę zmianę mentalności, potrzebne są środki zarówno realne, jak i symboliczne. Realistyczne i dające się uzasadnić zarobki menedżerów należą do obu tych kategorii i z tego względu stanowią ważny punkt wyjścia. Na dłuższą metę nieunikniona jest też rekonstrukcja państwa socjalnego za pomocą jakiejś możliwej do sfinansowania kombinacji elastyczności i bezpieczeństwa. Są także inne praktyczne przemiany,

które będą świadectwem tego, że nowe perspektywy czasowe określają kształt ekonomii politycznej.

Po szóste: kapitalizm odpowiedzialny

Czy powinien zatem nastąpić powrót do świętej pamięci etyki protestanckiej? Czy powrót taki jest prawdopodobny? Odpowiedź na drugie z tych pytań musi oczywiście brzmieć: raczej nie. Tym samym upada też pytanie pierwsze: co być nie może, być też nie powinno. Nie cofniemy gospodarek narodowych do czasów sprzed Keynesa, a po Keynesie myślenie o wieczności z nadzieją nagrody na tamtym świecie utraciło swój żar i swoją moc. Nie przypadkiem w związku z nowymi perspektywami czasowymi była tutaj wielokrotnie mowa o średnich, nie zaś o długich okresach. Chodzi o ramy czasowe dające się ogarnąć wzrokiem, czyli o dziesiątki, nie o setki lat. Nie będzie więc powrotu do etyki protestanckiej. Z pewnością jednak możliwe i pożądane jest wskrzeszenie dawnych cnót. Nie znajdziemy pełnego rozwiązania paradoksu kapitalizmu Daniela Bella: siła napędowa nowoczesnego kapitalizmu leży w preferencjach, które nie wzmacniają bezpośrednio metody nowoczesnego kapitalizmu. Ujmując rzecz mniej abstrakcyjnie: praca, porządek, służba, obowiązek są nadal wymagane dla zaistnienia przesłanek dobrobytu, lecz sam dobrobyt oznacza użycie, przyjemność, pożyteczność i rozluźnienie dyscypliny. Ludzie ciężko pracują, aby zapewnić sobie rzeczy zbędne w ścisłym tego słowa znaczeniu. Dobrze byłoby pamiętać o nieustannych napomnieniach Ludwiga Erhardsa, nawołującego do zachowania miary. Ważne jest też, by ludzie nie stracili odniesienia do nieodzownych składników standardu życia – i w tym sensie do rzeczywistości.

Czy świat po kryzysie ma jakąś nazwę? Znak zapytania, od którego rozpoczęły się te rozważania, pozostaje w mocy. Zbyt wiele niejasnych punktów nie pozwala na zdecydowane opowiedzenie się za tym lub owym terminem. Nie wrócimy do kapitalizmu

7. Polski odpowiednik to na ogół „interesariusze” [przyp. tłum.].

8. Por. Anthony Giddens, *The Politics of Climate Change*, Polity Press 2009.



oszczędności, lecz na pewno do takiego porządku, w którym zaspokajanie potrzeb znajduje pokrycie w niezbędnym wytwarzaniu wartości. „Kapitalizm reński”, czyli konsensualna gospodarka wielkich organizacji, najprawdopodobniej się już zużył. Trzeba więc, by padło pytanie: czy system *Mitbestimmung*⁹ był lub jest w jakikolwiek sposób pomocny w zwalczaniu kryzysu. Jeśli nie możemy odpowiedzieć jednoznacznie twierdząco, potrzebny jest ponowny namysł nad formami uwzględniania interesów *stakeholders*. Kapitalizm na kreskę trzeba w każdym razie sprowadzić do jakiejś znośnej miary. Potrzebne jest coś w rodzaju „odpowiedzialnego kapitalizmu”, przez co rozumieć należy przede wszystkim odpowiedzialność w średniookresowej perspektywie nowych czasów.

Ale nazwy to tylko piasek w oczy. Wiele przemawia za tym, by nie mówić o terminach, lecz o rzeczywistych zmianach. Mętny i rzadko definiowany termin „społeczna gospodarka rynkowa” wystarcza do wszystkich celów praktycznych (można co prawda żałować, że Angela Merkel nie przebiła się ze swoją

propozycją „nowej gospodarki społecznej” – *neue soziale Marktwirtschaft*). Chodzi w gruncie rzeczy o to, żeby te wszystkie pakiety antykryzysowe i plany ratunkowe nie odebrały ostrości naszemu spojrzeniu na czasy po kryzysie. W najbliższych latach zapadnie decyzja o tym, w jakim świecie będzie żyło kolejne pokolenie obywateli wolnych społeczeństw. ◀

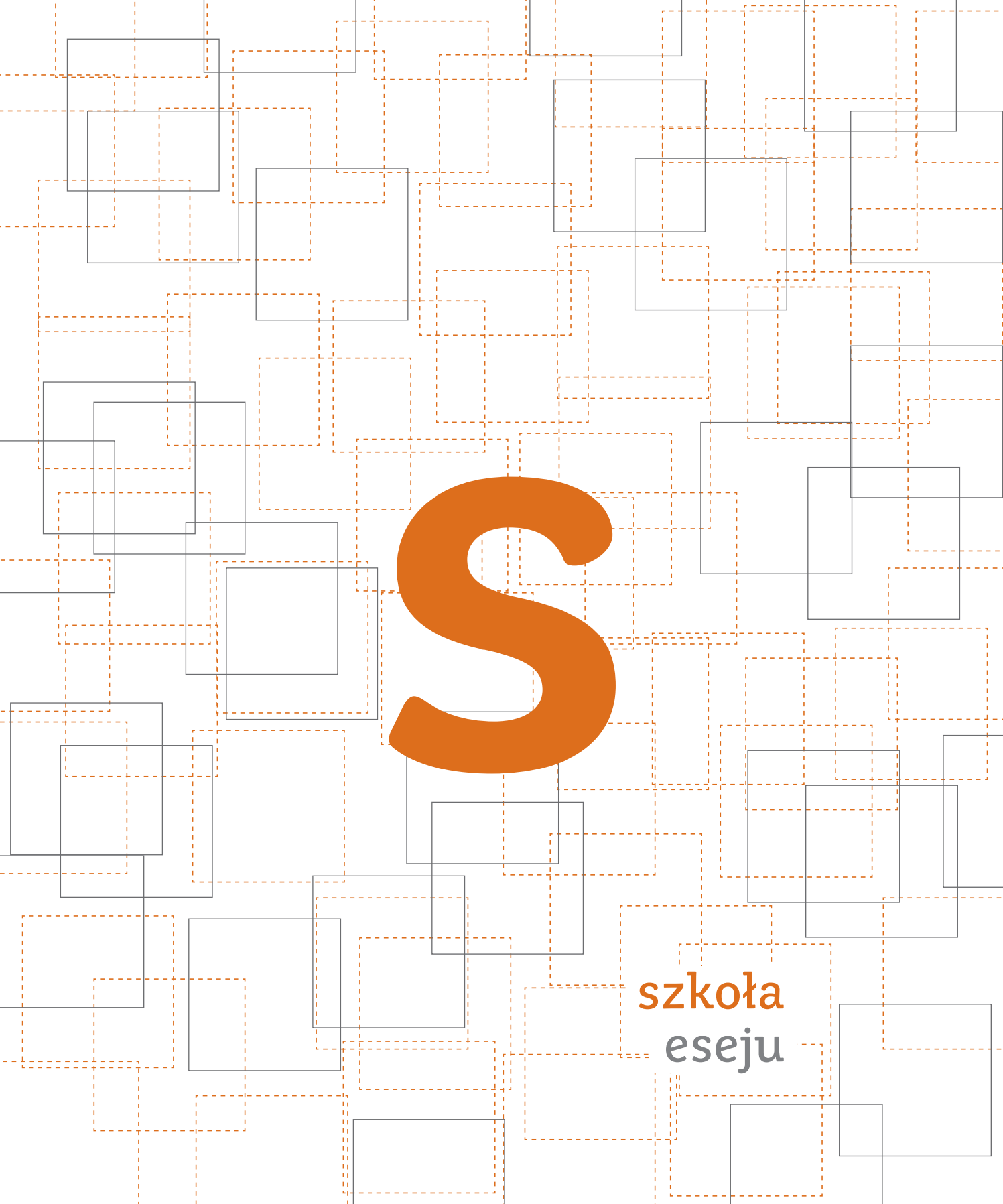
Przełożyła Marta Bucholc

Artykuł ukazuje się dzięki uprzejmości
Wissenschaftszentrum Berlin für Sozialforschung
oraz EUROZINE.

Ralf Dahrendorf

(1929–2009), niemiecko-brytyjski socjolog, politolog i polityk. Zwolennik i współtwórca teorii konfliktu. Główne prace: *Klasy i konflikt klasowy w społeczeństwie przemysłowym*, *Społeczeństwo i demokracja w Niemczech*, *Rozważania o rewolucji w Niemczech*. W Polsce ukazały się jego *Rozważania nad rewolucją w Europie* i książka *Nowoczesny konflikt społeczny, Esej o polityce wolności*.

9. Termin *Mitbestimmung* (pol. „zasada współstanowienia” lub „kodeterminacji”) oznacza współdecydowanie w sprawach przedsiębiorstw przez osoby zainteresowane, a nie będące akcjonariuszami przedsiębiorstw, którym prawo przyznaje po temu odpowiednie uprawnienia. W praktyce *Mitbestimmung* dotyczy przede wszystkim pracowników i związków zawodowych, realizowane jest w formie parytetów uczestnictwa przedstawicieli pracowników w radach nadzorczych oraz obowiązkowych konsultacji pracowniczych i związkowych [przyp. tłum.].

The background features a complex pattern of overlapping squares. Some squares have solid light gray borders, while others are defined by dashed orange lines. The squares are of various sizes and are scattered across the entire page, creating a layered, architectural effect.

S

szkoła
eseju

Nie tylko *Trzech panów...*

MAGDALENA MOLTZAN-MAŁKOWSKA

Jerome Klapka Jerome, autor jednej z najsłynniejszych w literaturze angielskiej powieści komicznej *Trzech panów w łódce, nie licząc psa*, urodził się w Walsall, w hrabstwie Staffordshire 2 maja 1859 roku jako najmłodsze z czwórki dzieci. W wieku czternastu lat rzucił szkołę i został kancelistą; pracował też jako dziennikarz i aktor („Grałem w *Hamlecie* każdą rolę oprócz Ofelii”). Jego pierwsza książka *On the Stage and Off (Na scenie i poza sceną)* ukazała się w roku 1885; po niej nastąpiły liczne sztuki teatralne, powieści oraz eseje. Jego utwory tłumaczono na wiele języków i mimo upływu lat wciąż cieszą się niesłabnącą popularnością, niemniej jednak, w myśl własnej przepowiedni, w pamięci czytelników utkwiał przede wszystkim jako twórca *Trzech panów*, owej niezrównanej pochwały beztrojski, lenistwa i męskiej przyjaźni, do której pisania przystąpił *nota bene* zaraz po powrocie ze swej podróży poślubnej.

Pomimo otwarcie deklarowanej, kokieterystycznej niechęci do wszelkiego działania był niezmordowanym odkrywcą i podróżnikiem; zjeździł Europę wzdłuż i wszerz, był pionierem narciarstwa alpejskiego, kilkakrotnie odwiedził Amerykę oraz Rosję. Jako stosunkowo nieznany jeszcze pisarz zwierzył się przyjacielowi ze swych czterech największych życiowych ambicji. Lista wyglądała następująco:

- zostać wydawcą popularnego czasopisma,
- zasłynąć jako dramaturg,
- zasłynąć jako pisarz,
- zostać parlamentarzystą.

Nie zrealizował tylko ostatniej z nich. Niezły bilans jak na człowieka, który wywodził się z ubogiej rodziny i wcześniej odebrał pierwszą lekcję dorosłości. Człowieka, który w wieku kilkunastu zaledwie lat poznał smak ciężkiej pracy, gorycz porażki i odrzuce-

nia. Po nieudanej przygodzie z aktorstwem i równie bezowocnych próbach utrzymania się z dorywczego pisania artykułów do gazet dwudziestopięcioletni Jerome znalazł się o krok od przepaści. Pozbawiony złudzeń, bez grosza przy duszy i własnego dachu nad głową pewnego dnia wpadł na pomysł spisania wspomnień ze swego teatralnego życia. I tak powstała wspomniana wyżej *On the Stage and Off*, która do dziś pozostaje jednym z najbardziej drobiazgowych, pasjonujących (i niedocenianych) obrazów z życia teatru epoki wiktoriańskiej. Ciekawych, a do tego niezwykle zabawnych.

Wydana w 1889 roku powieść *Trzech panów w łódce* przyniosła mu niewyobrażalną wręcz sławę i majątek, z dnia na dzień stawiając go na równi z najwybitniejszymi pisarzami epoki, między innymi Herbertem Georgem Wellsem, Thomasem Hardy'm i Rudyardem Kiplingiem, z którymi utrzymywał zresztą przyjazne stosunki. Po *Panach* przyszła kolej na *The Diary of a Pilgrimage* oraz opowiadania i eseje. Przygody George'a, Harrisa i J. doczekały się kontynuacji w roku 1900, kiedy to ukazała się powieść *Three Men on a Bummel (Trzej panowie na rowerach)*, która nie powtórzyła jednak sukcesu pierwszej części. Warto również wspomnieć o autobiograficznej książce *Paul Kelver* (1902). Została ona przyjęta z wielkim uznaniem, a wielu krytyków stawiało ją na równi z powieściami Dickensa, którego Jerome bardzo cenił i podziwiał.

Sława *Trzech panów w łódce* jest tak ogromna, iż powieść ta niemalże bez reszty przyćmiewa pozostałe, niebagatelny przecież dorobek pisarza. Wielu nie pamięta, że był on także cenionym dramaturgiem, autorem blisko dwudziestu sztuk teatralnych, które długo nie schodziły z afisza zarówno w Anglii, jak i w Ameryce. Niektóre z tych utworów raziłyby może dzisiejszego widza nadmiernym sentymentalizmem, lecz z powodzeniem wystawiano je jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Spełniło się również jego marzenie dotyczące wydawania czasopism: został redaktorem naczelnym założonego w 1892 roku miesięcznika „The Idler” („Próżniak”), rok później zaś stworzył tygodnik „Today”, który przetrwał do roku 1905. Pieczę nad obydwojema tytułami sprawował do 1898 roku.

Pierwsza wojna światowa stanowiła dla niego cios prosto w serce. W chwili jej wybuchu miał pięćdziesiąt siedem lat; zgodnie z obowiązującym w Anglii prawem nie kwalifikował się już do podjęcia aktywnej służby wojskowej, toteż pojechał do Francji, gdzie zaciągnął się jako kierowca ambulansu. Kiedy powrócił do domu, jego sekretarz napisał: „Dawnego Jerome’a już nie ma. Jego miejsce zajął obcy człowiek”. Po tych doświadczeniach już nigdy się nie otrząsnął. Kolejnym ciosem była przedwczesna śmierć Elsie, jego pasierbicy (zmarła w 1921 roku w wieku trzydziestu ośmiu lat). W swej kolejnej autobiografii nie wspomina o niej ani słowem, nie pisze także o żonie Etnie ani o urodzonej w 1898 roku córce Rowenie (która podobnie jak on była przez krótki czas aktorką). Ten najważniejszy dla siebie aspekt życia postanowił pominąć milczeniem. Wydana w 1926 roku *My Life and Times* (*Moje życie i czasy*), choć niezwykle lakoniczna w kwestiach natury prywatnej i nieutrzymana w porządku chronologicznym, należy do najważniejszych, najciekawszych i najbardziej osobistych utworów Jerome’a.

Podczas wycieczki z żoną z Londynu do Devon dostał wylewu. Nastąpił paraliż i kolejne dwa tygodnie Jerome spędził w szpitalu. Nie mógł się ruszać ani mówić. Zmarł czternastego czerwca 1927 roku.

Ettie przeżyła go o jedenaście lat. Rowena zmarła w 1966 roku jako ostatnia przedstawicielka tej gałęzi rodziny Jerome. Wszyscy troje spoczywają na cmen-

tarzu w Oxfordshire, niedaleko Tamizy, o której pisał chętnie i z miłością.

Esej *O pamięci* pochodzi z wydanego w 1886 zbioru *Idle Thoughts of an Idle Fellow* (*Gnuśne rozmyślania obiboka*). Utrzymane w stylu *Panów w łódce*, nigdy jednak nie dorównały im popularnością, choć z pewnością mamy tu do czynienia z jednymi z najbardziej wnikliwych i nostalgicznych utworów w historii literatury angielskiej. Doczekały się wznowienia dopiero w 2002 roku.

„Niechaj twoja łódź życia lekko pruje fale – pisal – i niesie tylko to, co ci potrzebne: przytulny dom i proste przyjemności, jednego czy dwóch przyjaciół, którzy w pełni zasługują na to miano, osobę, która odwzajemnia twoje uczucia, psa, kota, fajkę lub dwie, talerz strawy, kaftan na grzbiet i hojny zapas napitku, albowiem pragnienie to niebezpieczna rzecz”¹. On sam brał sobie te słowa do serca aż do końca. Pamiętajmy o nich i my.

Bibliografia:

Jeremy Lewis, *Introduction*, [w:] *Three Men In a Boat and Three Men on the Bummel*, Jerome K. Jerome, Penguin Books 1999.

Materiały The Jerome K. Jerome Society. Dostępne w Internecie: www.jeromekjerome.com ◀

Magdalena Molzan-Małkowska

(1975), ukończyła filologię angielską na UMK w Toruniu; od 1996 współpracuje z wydawnictwem Prószyński & Ska, tłumaczyła dla takich wydawnictw, jak Rebis, Algo, Vesper, W.A.B. Przełożyła ponad 40 książek, w tym autorstwa Jane Austen. J. Irving, A.S. Byatt, Sarah Waters.

1. Jerome K. Jerome, *Trzech panów w łódce, nie licząc psa*, przełożyła Magdalena Molzan-Małkowska, Vesper, Warszawa 2007.

O pamięci

JEROME K. JEROME

*Wspomnieć dziś wypada,
O chłodnych dniach listopada,
Kiedy szpaka na...*

Dalej nie pamiętam. Jest to początek pierwszego wiersza, jakiego się nauczyłem; co do

„Fiku miku, fiku miku, / Skacze sroczka na patyku” wypowiadać się nie będę, z uwagi na frywolny charakter tekstu, który z prawdziwą poezją nie ma zgoła nic wspólnego. Za wyrecytowanie *Wspomnieć dziś wypada* otrzymałem cztery pensy. Pamiętam, że właśnie cztery, powiedziano mi bowiem, iż jeśli uzbieram jeszcze dwa, uzyskam w sumie pensów sześć. Ów niepodważalny argument nie przemówił jednak do mej wyobraźni, gdyż następnego ranka roztrwoiłem całą kwotę. Na co, nie pamiętam.

Tak to już bywa z Pamięcią, nigdy nie daje nam pełnego obrazu sytuacji. Jest niczym krnąbrne dziecko otoczone popsutymi zabawkami. Pamiętam, jak małym chłopcem będąc, wpadłem do dziury na śmieci, ale za nic nie pomnę, jak z niej wylazłem; gdybyśmy mieli polegać wyłącznie na własnej pamięci, byłbym skłonny uwierzyć, że tkwię tam po dziś dzień.

Przy innej okazji, parę lat później, brałem udział w niezwykle frapującej scenie miłosnej; wszelako zapamiętałem z niej to jedynie, iż w kluczowym momencie ktoś nagle otworzył drzwi i oznajmił grobowym tonem: „Jesteś proszona, Emily”, jakby biedaczkę miała, nie przymierzając, aresztować policja. Wszystkie czułe słowa, które szeptała mi do ucha, i cudowne rzeczy, które ja jej mówiłem, poszły w niepamięć.

Gdy spoglądamy wstecz, życie jawi nam się niczym ruina: tu, gdzie niegdyś stał masywny portal, widzimy tylko spękana kolumna; za zbutwiałą framugą krył się dawniej buduar pani mego serca, w miej-

scu tej poczerniałej sterty kamieni trzaskały kiedyś wesołe płomienie, wszystko zaś pokrywa mech i zielone macki bluszczu.

Poprzez łaskawą mgłę czasu wszystko wydaje się miłe dla oka. Nawet niegdysiejsze smutki stają się niczym dziecięca igraszka. Nasze lata chłopięce pełne są beztroskiej swawoli, figli i ciasteczek. Gdzież nam pamiętać bijatyki, bóle zębów i łacińskie czasowniki – zwłaszcza te ostatnie. I gdy wąż sypał się pod nosem, a serca dosięgała strzała Amora, byliśmy przecie tacy szczęśliwi, i wdychamy, co byśmy znów kochać mogli. Ani nam w głowach zbolące serca, bezsenne noce i dotkliwa suchość w gardle na wieść o tym, że może być dla nas tylko siostrą... Na co człowiekowi więcej siostr?!

Tak, kiedy oglądamy się wstecz, widzimy jasność i ani śladu ciemności. W przeszłości słońce króluje niepodzielnie i próżno szukać cieni. Droga, którą przyszło nam pokonać w pocie czoła, jawi się usłaną różami. Żadnych kamieni kaleczących stopy, o nie. Wciągamy w nozdrza słodką woń kwiecica, a klujące łodygi stają się w oddali tylko Bogu ducha winnymi pędami (a: „z oddali stają się tylko...?”). Chwała Najwyższemu, że tak się dzieje, że wydłużający się z każdym dniem łańcuch pamięci ma tylko przyjemne ogniwa, a gorycz i smutki dnia dzisiejszego jutro kwitujemy pobłażliwym uśmiechem.

Wydaje się, jakby najjaśniejsza strona wszystkiego była zarazem najwyższa i najlepsza, przeto gdy życiorys nasz tonie w mrocznym oceanie niepamięci, najlżejsze i najmilsze wspomnienia najdłużej utrzymują się na powierzchni i lśnią wśród fal, podczas gdy myśli złe i cierpienie idą na dno i więcej nie musimy się nimi trapić.

Mniemam, iż to właśnie czar wspomnień każe starcom opowiadać brednie o swej młodości. Świat zdawał się wtedy o niebo lepszym miejscem niż dziś, a wszystko było takie, jak powinno. Chłopcy byli chłopcami, inne były dziewczęta. Zimy też wyglądały bardziej jak zimy, a i lata w niczym nie przypominały tych, które musimy znosić obecnie. A co do bohaterskich czynów i niezwykłych zdarzeń, jakie podówczas miały miejsce, potrzeba trzech chłopca, by uwierzyć choćby w połowę z nich.

Pasjami lubię słuchać, jak taki stary wyjadacz nabija w butelkę grupkę gołowásów, którzy nie mogą przecie wytknąć mu kłamstwa. I tylko czekam, aż przysięgnie na grób własnej babki, że w dzieciństwie jego księżyc świecił co noc, a ulubioną rozrywką w szkole były walki byków.



Kiedy siedzimy, żałując zmarnowanych okazji, szczęście, które mamy na wyciągnięcie ręki, przechodzi nam koło nosa.

Zawsze tak było i będzie. W czasach młodości naszych pradziadków starcy śpiewali na tę samą modłę; podobnie zaśpiewają też kiedyś dzisiejsze młodzieniaszki, ku utrapieniu następnych pokoleń. „Ach, oddajcie mi zacne czasy sprzed pięćdziesięciu lat” – woła Adam od dnia pięćdziesiątych pierwszych urodzin. Weźmy literaturę powstałą w roku 1835, a zobaczymy, że poeci i pisarze proszą o ten sam niemożliwy dar, o który błagali przed nimi niemieccy minnesingerzy, a jeszcze wcześniej twórcy sag dalekiej Północy. Za tym samym wzdychali też prorocy i filozofowie starożytnej Grecji. Ze wszystkich relacji wynika, iż świat od zarania schodzi na psy. Cóż, mogę tylko powiedzieć, że w chwili gdy udostępniono go po raz pierwszy, musiał być zaiste rozkosznym miejscem, albowiem teraz też jest niczego sobie, jeśli tylko zażywać słońca i z pogodą ducha godzić się na deszcz.

Wszelako nie sposób zaprzeczyć, iż jeszcze słodszy musiał być w cudowny poranek stworzenia, jakże młody i świeży, niezadeptany jeszcze milionami stóp, nim wrzawa wielkich miast na zawsze wyparła ciszę. Życie musiało być wzniosłe i uroczyste dla owych bosych, odzianych w luźne szaty ojców ludzkości, którzy przechadzali się pod bezkresnym nieboskłonem, mając u boku samego Boga. Mieszkali w szałasach, pieśczoćliwie muskanych przez słońce, otoczeni ryczącym bydłem. Wszystko, co im było do szczęścia potrzebne, czerpali z łona dobrotliwej Natury. Haro-

wali, debatowali i rozmyślali, a ziemia z wolna obracała się dokoła, jeszcze wolna od zgryzoty i zła.

Czasy te minęły bezpowrotnie. Ciche dzieciństwo Ludzkości, przepędzone w leśnych ostępach śród szmeru potoków, dobiegło końca i życie człowieka pogrąża się w chaosie dorosłości, pełnej zwątpienia, ale i nadziei. Skończyły się czasy spokoju, pora zakończyć to, co jest do nadrobienia, i ruszać dalej. Cóż to za zadanie i jaką pełni rolę w wielkim schemacie świata tego nie wiemy, aczkolwiek sami też nie szczędzimy rąk. Jak koralowce harują w odmętach, tak i my uwijamy się jak mrówki, nieświadomi materii, którą tkamy na bożą chwałę.

Porzućmy próżne żale i tęsknotę za tym, co już nie wróci. Nasze zadanie leży przed, a nie za nami; nasza myśl przewodnia to „Cała naprzód!”. Nie siedzmy z założonymi rękami, spoglądając w przeszłość, jakby stanowiła całość budowli, albowiem to zaledwie podstawa. Nie traćmy czasu i ducha na roztrząsanie tego, co mogłoby być, i zapominanie o tym, co być może czai się o krok. Kiedy siedzimy, żałując zmarnowanych okazji, szczęście, które mamy na wyciągnięcie ręki, przechodzi nam koło nosa.

Przed laty, gdy przenosiłem się wieczorami do cudownej krainy baśni, spotykałem tam rycerza dzielnego i prawdziwego. Wiele niebezpieczeństw pokonał, wiele odwiedził ziem; wszyscy mieli go za męznego, zaprawionego w bojach i nieustraszonego, wyjąwszy być może chwile, kiedy nawet najodważniejszy z ludzi może się przestraszyć, nie doznając przy tym sromoty. Któregoś dnia zdążył przed siebie wyboistą drogą, a serce truchlało mu na myśl o przeciwnościach, jakie się przed nim piętrzyły. Skały wisiały mu nad głową, czarne i ogromne, jakby lada chwila miały się obsunąć i go pogrzebać. Przepaść ziała po obu stronach gościńca, w jaskiniach czaili się krwiożerczy zbóje i straszliwe smoki buchające ogniem, a wszystko spowijała ciemność jak w nocy. Przeto zacny rycerz pomyślał sobie, iż trzeba mu poszukać innej, łatwiejszej i bezpieczniejszej drogi. Lecz gdy w pośpiechu zawrócił konia i spojrzął za siebie, oczom jego ukazała się bezkresna pustka, a pod kopytami konia czeluść otwierała się tak ogromna, że nie widział dna. I kiedy sir Ghelent spostrzegł, że nie



ma odwrotu, pomodlił się do dobrego świętego Cuthberta, spał rumaka, po czym bojowo i z werwą ruszył naprzód. I nie spotkało go nic złego.

Na drodze życia nie ma powrotu. Kruchy most czasu, po którym stąpamy, z każdym naszym krokiem osuwa się w wieczność. Przeszłość utracona jest na zawsze. Odeszła w niebyt. Już do nas nie należy. Nie sposób cofnąć słowa ani powieści kroku. Bądźmy zatem jak mężczyźni rycerze, którzy prą naprzód, miast ronić łzy nad tym, co minione.



Przez wybite okna patrzymy na ulotne cienie zmarłych, a najsmutniejsze z nich to cienie tych, którymi byliśmy sami.

Każda sekunda niesie początek nowego życia. Z radością wyjdźmy mu na spotkanie. Idźmy przed siebie, czy tego chcemy, czy nie, a lepiej podążać ze wzrokiem utkwionym naprzód aniżeli za siebie.

Odwiedził mnie przyjaciel i namawiał gorąco do poznania cudownej metody, dzięki której miałbym już nigdy o niczym nie zapomnieć. Głędził jak najęty z uporem godnym lepszej sprawy, jak chociażby wówczas gdy pożyczałem od niego parasol bądź zrywałem się od stolika do gry, krzycząc, że trefle pomyliły mi się z pikami. Oparłem się jednak pomimo walorów, jakie przede mną tak kusząco roztaczał. Nie życzę sobie pamiętać wszystkiego. W życiu większości mężczyzn są rzeczy, o których lepiej zapomnieć. Jak wówczas, przed wielu laty, gdy nie zachowaliśmy się tak honorowo, tak szlachetnie, jak winniśmy – w chwili słabości bądź też szaleństwa zesłaliśmy ze ścieżki prawości i, o zgrozo!, zostaliśmy przyłapani. No cóż! Odbiliśmy pokutę, cierpiąc obłąkańcze godziny próżnego żalu, męczarnie wstydu albo i wzgardy tych, których kochaliśmy. Niechaj dane nam będzie o tym zapomnieć. Niech dobrotliwy Ojciec Czas uwolni nasze znękanе serca od gorzkich wspomnień, bowiem kolejne godziny nie szczędzą nam nowych zmartwień i sił już braknie.

Nie uważam, że przeszłość należałoby pogrzebać. Gdyby przeciąć struny pamięci, umilkłaby muzyka życia. Tylko trujące chwasty, nie kwiaty, winniśmy wypłenić z ogrodu Mnemozyny. Pamiętacie *Nawiedzonego* Dickensa, jak modlił się o niepamięć, a gdy został wysłuchany, błagał o przywrócenie pamięci? Nie wszystkie duchy trzeba odżegnać; niechaj będą to tylko wynędzniałe upiory o okrutnych oczach, przed którymi uciekamy, gdzie pieprz rośnie. Niechaj dobre, życzliwe zjawy nawiedzają nas do woli; ich się nie boimy.

Na niebiosa! Im starsi jesteśmy, tym więcej otacza nas duchów. Nie trzeba szukać na przykościelnych cmentarzach ani sypiać w starych zamczyskach, by ujrzeć zamglone twarze i usłyszeć nocą szelest ich szat. Każdy dom, każdy pokój, każde skrzypiące krzesło ma swego osobistego ducha. Nawiedzają puste komnaty naszego życia, cisną się wokół nas niczym uschnięte liście porwane przez jesienny wiatr. Niektóre są żywe, inne umarłe. Kiedyś ściskaliśmy im ręce, kochaliśmy je bądź toczyliśmy z nimi spory, śmialiśmy się razem, powierzaliśmy im najskrytsze myśli, nadzieje i zamierzenia, a one powierzały nam swoje, a więc, jaka łączyła nasze serca, zdawała się silniejsza nawet od śmierci. Odeszli, straciliśmy ich na zawsze. Nigdy już nie spojrzymy im w oczy, nigdy nie usłyszymy ich głosów. Tylko ich duchy przychodzą do nas i rozmawiają. Widzimy je, mgliste i niewyraźne, przez łzy. Wyciągamy do nich tęskne dłonie, ale są tylko powietrzem.

Duchy! Towarzyszą nam dzień i noc. Idą obok nas ruchliwą ulicą w blasku słońca. O zmierzchu siadają obok w fotelu. Ich drobne twarzyczki wyglądają zza szyb starej szkoły. Spotykamy je w lesie i na drodze, gdzie dowodziliśmy jako dzieci. Sza! Nie słyszysz ich śmiechu zza krzaków jeżyny i dalekiego nawoływania z leśnej polany? O tam, na cichych polach i przy zagajniku, gdzie czają się wieczorne cienie i wiję ścieżka, gdzie zwykliśmy wypatrywać jej o zachodzie słońca. Patrz! Idzie w zwiewnej, białej sukience, którą znaliśmy tak dobrze, z wielkim czepkiem w rączkach i zwichrzonymi kędziorami. Pięć tysięcy mil stąd! Podobno nie żyje! I cóż z tego? Przecie jest obok nas, zaglądamy w roześmiane oczy, słyszy-

my jej głos. Wnet zniknie za drzewem i zostaniemy sami; cienie zasnują pola, nocny wiatr przetoczy się obok z żalonym jękiem. Duchy! Są z nami zawsze i będą, gdy stary, posmutniały świat zabrzmi echem pożegnalnych zawodzeń, gdy bezlitosne okręty popłyną po wielkich morzach, a chłodna, zielona ziemia zaciąży na sercach tych, których kochaliśmy.

Ale duchy, świat byłby bez was smutniejszy. Przyjdźcie do nas i rozmawiajcie, duchy naszych dawnych miłości! Duchy towarzyszków zabaw i ukochanych, duchy starych przyjaciół, wszystkich roześmianych chłopców i dziewcząt, och, chodźcie tutaj do nas, albowiem świat jest taki samotny i nie umiemy kochać tych, którzy otaczają nas teraz, ani śmiać się z nim tak, jak kochaliśmy i śmialiśmy się z wami. A gdy zdążyliśmy krok w krok, och, duchy naszej młodości, świat zdawał się jasny i radosny, lecz zestarzał się oto, ogarnia nas znużenie i tylko wy możecie nam przywrócić świeżość i blask.

Pamięć umie wywoływać duchy jak nikt. Niczym nawiedzony dom, jej ściany niosą echo niewidzialnych stóp. Przez wybite okna patrzymy na ulotne cienie zmarłych, a najsmutniejsze z nich to cienie tych, którymi byliśmy sami.

Twarze tak jasne, tak szczerze i honorowe, pełne myśli dobrych i czystych i jakże szlachetnych uniesień, z jakąż spoglądają na nas przyganą!

Obawiam się, że mają ku temu dobry powód, nie-szczęśli. Odkąd przestaliśmy być dziećmi, w nasze serca wkradły się kłamstwa, przebiegłość i nieufność, a przecie mieliśmy być tak dobrzy i wspaniali.

Dobrze, że nie możemy zaglądać w przyszłość. Niewielu czternastoletnich chłopców nie zawstydziliby się siebie w wieku lat czterdziestu.

Lubię czasem usiąść i pogaworzyć z malcem, którym byłem dawno temu. On chyba również gustuje w naszych spotkaniach, zjawia się bowiem często wieczorami, kiedy siedzę sam z moją fajką, nasłuchując szeptu płomieni. Widzę, jak na mnie patrzy zza wonnej zasłony dymu, i się uśmiecham, na co on odpowiada mi tym samym, z powagą jednak i nabożeństwem. Rozmawiamy o starych czasach; zdarza się, że bierze mnie za rękę i prześliznąwszy się przez czarną kratę kominka wędrujemy do mrocz-

nych jaskiń krainy, która rozciąga się za ogniem. Tam znajdujemy dni minione i wspólnie je przemierzamy. Opowiada mi wówczas o wszystkim, co myśli i czuje. Czasami go wyśmiewam, ale wnet serdecznie tego żałuję, markotnieje bowiem tak, iż ogarnia mnie wstyd za własną frywolność. Poza tym to bardzo nieładnie wobec kogoś o wiele starszego niż ja, który był mną na długo przed tym, zanim ja stałem się samym sobą.

Zrazu wiele nie rozmawiamy, tylko wymieniamy spojrzenia; patrzę na jego kręcone włosy i niebieską kokardę pod szyją; on też popatruje na mnie, drepząc obok. I ogarnia mnie przecucie, iż nie do końca podoba mu się to, co widzi, i wzdycha cichutko, jakby zawiedziony. Ale po chwili nieśmiałość znika i zaczyna mówić. Opowiada mi swe ulubione baśnie, ma świnkę morską, a tata mówi, że bajki to brednie. Szkoda, prawda? No bo chciałby zostać rycerzem, ubić smoka i pojąć za żonę piękną księżniczkę. Ale w wieku lat siedmiu nabiera bardziej praktycznego podejścia do życia: woli zostać flisakiem i zbić majątek. Być może dzieje się tak za sprawą kobiety, ponieważ mniej więcej w tym samym czasie zakochuje się w panience ze sklepu z nabiałem. (Niechaj Bóg błogosławi jej wiecznie roztańczone stópki, jakkolwiek teraz ogromne!). Naprawdę wpadła mu w oko, bowiem któregoś dnia postanawia ofiarować jej swój najcenniejszy skarb, czyli sporej wielkości scyzoryk z czterema zardzewiałymi ostrzami i korkociągiem, który wyskakuje z nienacka sam z siebie i dźga właściciela w nogę. Dziewczę jest bardzo uczuciowe: w podzięcie zarzuca mu ręce na szyję i wyciska na policzku soczystego buziaka, przed sklepem. Jednakże głupi świat (w osobie chłopca z sąsiedniego składu z tytoniem) wyszydza podobne przejawy uczuć. Mój młody przyjaciel próbuje wymierzyć szydercy kuksańca, ale chybia celu i sam obrywa po głowie.

Nadchodzą lata szkolne, a wraz z nimi małe smutki i wesołe pokrzykiwania, małe figle i gorące łyzy, którymi zrasza przebrzydłą gramatykę łacińską i głupie zeszyty. To właśnie w szkole naraża się na trwałe – jak jestem skłonny mniemać – uszkodzenia ciała, spowodowane próbą wymowy słówek niemieckich, tutaj też poznaje wagę, jaką Francuzi przywiązują do inkaustu, piór i papieru. „Czy masz inkaust,



pióra i papier?” – pyta jeden Francuz drugiego, kiedy się spotkają. Jego rozmówca przeważnie nie posiada żadnej z tych rzeczy, ale twardo obstaje przy tym, że wuj jego brata ma wszystkie trzy. Pierwszy ma w nosie wuja jego brata i dopytuje, czy wspomniane trzy przedmioty znajdują się w posiadaniu sąsiada matki tamtego. „Sąsiad mojej matki nie ma inkaustu, piór i papieru” – odpowiada tamten, coraz bardziej zaciętrzewiony. „A czy dziecko twojej ogrodniczki ma inkaust, pióra i papier?”. I bęc! Po długich i męczących rozważaniach na temat inkaustu, piór i papieru wychodzi na jaw, że dziecko jego ogrodniczki również ich nie posiada. Podobne odkrycie zamknęłoby usta każdemu, ale nie niestrudzonemu Francuzowi. Po tym bezwstydniku spływa jak po kaczce. Ani mu w głowie przeprosiny, ale kwituje, że jego ciotka ma musztardę.

I tak, na zdobywaniu mniej lub bardziej bezużytecznej wiedzy, którą niebawem beztrósko wyrzucimy z pamięci, upływa nam dzieciństwo. Czerwony budynek szkoły znika z oczu i wychodzimy na gościniec świata. Mój mały przyjaciel nie jest już mały. Krótka kurteczka ni stąd, ni zowąd ma długie poły. Znoszona czapka, będąca nader stosowną kombinacją chusteczki, kubka oraz narzędzia broni, aż lśni nowością; zamiast ołówka trzyma w ustach papierosa, ale dym mu przeszkadza, gdyż uparcie pcha się do nosa. Później przerzuca się na cygara, jako na bardziej stylowe: duże i czarne, prosto z Hawany. Ale i one mu nie odpowiadają, ponieważ zastaję go nad wiadrem w kuchni zaklinającego się na wszystkie świętości, że więcej nie weźmie tego świństwa do ust.

Oto jego wąsik niemal staje się widoczny gołym okiem, zaczyna popijać brandy z wodą i uważa się za mężczyznę. Stawia „dwa do jednego”, mówi o aktorach per „Mała Emmy”, „Kate” i „Złotko” i przebąkuje o przegranej w karty, jakby chodziło o tysiące, podczas gdy w istocie idzie o dwupensówkę. Ponadto, jeśli dobrze widzę – gdyż w tej krainie wspomnień zawsze panuje zmierzch – pcha monokl do oka i potyka się o własne nogi.

Ciotki bardzo tym strapione, ślą za niego modlitwy do Boga (chwała im za to!), snują ponure wizje więziennej celi i stryczka, będące naturalną

konsekwencją podobnej swawoli, a złowróżbne słowa pierwszego nauczyciela, który przepowiadał mu marny koniec, zyskują raptem wymiar proroctwa.

Płeć przeciwną darzy w tym wieku wielkopąską awersją, ma wygórowane mniemanie na własny temat i patrzy z góry na wszystkich znanych mu starszych mężczyzn. Bywa przy tym, co należy zaznaczyć, niezwykle wprost denerwujący.

Ale to nie trwa długo. Niebawem się zakochuje i flaczeje jak przekłuty balon. Widzę, że trzewiki ma za małe, włosy zaś ułożone z cokolwiek przesadnym pietyzmem. Częściej niż dawniej sięga po poezję i trzyma przy łóżku słownik rymów. Każdego ranka Emily Jane znajduje na podłodze strzępy papieru i czyta o „kochanka zapalających i miłosnych strzałach”, o „oczach rozmarzeniu i kochanków westchnieniu” oraz wiele innych pradownych pieśni, jakie chłopcy uwielbiają śpiewać, a dziewczęta słuchać, zadzierając przy tym małe noski i udając, że nic, ale to nic nie słyszą.

Miłość przybiera jednak niespodziewany obrót, gdyż biedaczysko spaceruje więcej i śpi mniej aniżeli wskazane; nie dla niego dzwony weselne oraz długo i szczęśliwie, o nie.

A potem znika. Nieduża, chłopięca postać, która rośnie na moich oczach, rozplywa się w powietrzu.

Zostaję sam, a droga jest bardzo ciemna. Potykając się, idę dalej, nie wiedząc dokąd ani jak, gdyż szlak zdaje się prowadzić donikąd i nie przyświeca mi żadne światło.

Ale wreszcie nadchodzi poranek i odkrywam, że dorosłem do samego siebie. ◀

Przełożyła Magdalena Moltzan-Małkowska

Jerome Klapka Jerome

(1859–1927), angielski pisarz i dramaturg, najbardziej znany z wydanej w 1889 humorystycznej książki podróżniczej *Trzech panów w łódce (nie licząc psa)*. W 1892 wraz z przyjaciółmi założył miesięcznik humorystyczny „The Idler” (*Próżniak*), w którym publikowali m.in. Robert Louis Stevenson, Mark Twain i Bret Harte.

The background features a complex pattern of overlapping squares. Some squares are outlined with solid light blue lines, while others are defined by dashed orange lines. The squares vary in size and are scattered across the entire page, creating a layered, architectural effect.

10

przegląd
prasy

Filozoficzne próby sił

MAGDALENA M. BARAN

Średniowieczne pojęcie „mêlée” oznacza bitewne starcie tudzież przemieszanie się walczących przeciw sobie stron. Była to pierwotna i najbardziej źródłowa postać średniowiecznego turnieju rycerskiego, gdzie w ostatecznym rozrachunku liczyło się zwycięstwo, ale także „jak najbardziej efektowna droga jego osiągnięcia”. Czy jednak do takiego pojedynku może dojść w dzisiejszej filozofii lub kulturze? Toż byłoby to błyskanie sobie przed oczami ideami, erudycyjne popisy, którym można by zarzucić nie tylko brak rzetelności, ale i jakiegokolwiek sensu. Redakcja „Mêlée” szybko jednak dopowiada, iż w takiej „brudnej i krwawej rzezi” – która przecież w tej czy innej formie nader często zdarza się w naukowym półświatku – istniała jedna reguła. W środku pola walki wyznaczano bowiem krąg, mający służyć znużonym długim wojowaniem za miejsce schronienia. „Na zewnątrz kręgu wolno było bliźniemu uczynić dosłownie wszystko – w obrębie kręgu obowiązywał jednak prawdziwy pokój boży”¹. Można tam było odpocząć, nabrać sił, skomentować bitewne wydarzenia, a nawet porozma-

wiać z przeciwnikiem. Na ową rozmowę, komentarz, wywarzoną wymianę zdań, na otwartość stanowisk – zgodnie z przyświecającą mu ideą – otwiera się nowy kwartalnik filozoficzno-kulturalny z Krakowa. Zbyt często bowiem – jak słusznie zauważa redaktor naczelny pisma Radosław Strzelecki – wysiłki filozofów (a bywa, że i publicystów) sprowadzają się do samotnej walki z wiatrakami. Potrzeba zatem dyskusji, konfrontacji – i właśnie na to wyzwanie starają się odpowiedzieć twórcy „Mêlée”.

Pismo publikowane przez krakowskie wydawnictwo Homini, dzięki wsparciu finansowym Uniwersytetu Jagiellońskiego, stara się zebrać wokół siebie grupę młodych adeptów „sztuk humanistycznych”, niejednokrotnie – co dla Krakowa niezbyt typowe – przekraczając granice lokalnego podwórka. W radzie naukowej pisma znajdziemy między innymi: prof. Joannę Tokarską-Bakir, prof. Martę Kudelską, prof. Beatę Szymańską, prof. Cezarego Wodzińskiego, prof. Jana Woleńskiego czy prof. Marka Drwięgę. Już sam wybór takich „patronów” świadczy niewątpliwie o otwartości i intelektualnym zróżnicowaniu środowiska nowego kwartalnika.

Czasopisma filozoficzne, takie jak „Mêlée” czy przedstawiony w wiosennym numerze „Kronos” (pierwszy numer ukazał się na początku roku 2007), wskazują ogromy potencjał, otwartość, pomysłowość, różnorodność zainteresowań, odwagę łączenia, a niejednokrotnie nawet zderzania poglądów starych mistrzów z tekstami niedawnych adeptów sztuki. Demonstrują również zupełnie nowy sposób stawiania pytań o filozofię, przekraczanie jej tradycyjnie postrzeganej tematyki, niejako potwierdzające myśl, iż zajmować się ma ona namysłem nad wszelkimi aktywnościami człowieka. Podczas gdy „Kronos”, niejednokrotnie wymagając od swoich czytelników specjalistycznego przygotowania, oddaje sporo miejsca tekstom szeroko rozumianych klasyków, „Mêlée” stara się także prezentować filozoficzny punkt widzenia na kwestie, które z pozoru wydawać się mogą błahe, mało interesujące (choć tak

1. Radosław Strzelecki, *Mêlée*, czyli w kręgu..., „Mêlée” 2008, nr 1, s. 5.

naprawdę naukowo zajmujące) czy nawet – z filozoficznego punktu widzenia – zaskakujące. Bynajmniej nie oznacza to jednak lekceważenia problemów, spłylenia problematyki czy też obniżenia wymagań stawianych własnym czytelnikom. Zaproszeni do kolejnych numerów intelektualiści różnych pokoleń rozprawiają bowiem o kwestiach, takich jak (obecne wszak w dyskursie filozoficznym) pragnienie, dialog czy nawet morderstwo i plotka. Takim właśnie zagadnieniom poświęcone zostały kolejne numery kwartalnika. Fenomenom tym autorzy starają się przyjrzeć na wielu poziomach, pod uwagę biorąc każdorazowo zarówno filozoficzne, jak i religijne, społeczne oraz kulturowe konotacje danego zjawiska. Zgodnie ze swoistym manifestem wydawniczym pismo stara się „poddawać wielkie tematy filozofii próbie aktualności, a głośne tematy debaty publicznej próbie rozumu”. Służy temu również przyjęty „przekrój treści”, w którym znaleziono miejsce nie tylko na czysto filozoficzne dywagacje. Sporo przestrzeni oddano innym naukom. Obok filozoficznych „Diatrybów”, pośród stałych działów kwartalnika mamy zatem otwarte na myślenie społeczne „Diagnozy”, pochylające się nad szeroko rozumianymi sztukami pięknymi „diaskopie”, przyglądające się literaturze „Diakrytyki”, otwarte na debatę „Dialogi”, a nawet historycznie ukierunkowane „Diachronie”. Kwartalnikowy „Kamêléon” przynosi natomiast *varia* w postaci podążających za tematem numeru sentencji, anegdot, a nawet ciekawie pomyślanych mini komiksów autorstwa Kacpra Walanusa. W każdym z kolejnych numerów widać przy tym pomysł, przemyślany dobór tematyki i autorów, próbę przyciągnięcia do lektury pisma nie tylko filozoficznie doświadczonych czytelników.

„Mêlée” potrafi przy tym szokować, już z pierwszej swej okładki krzycząc tytułem: *Morderstwo*. Tani chwyt czy przemyślana strategia? Prywatnie stawiałabym na to drugie. W mieszaninie nazwisk Kaligula i markiz de Sade sąsiadują z Lévinasem, zaś w świecie pojęć eksterminacja przeplata się z seryjnymi mordercami, karą śmierci i figurą kozła ofiarnego. Obok, w równym szeregu ustawiono nazwiska autorów bardziej już współczesnych, którzy z mniej czy bardziej filozoficznego punktu widzenia starają się sprostać

tematowi postawionemu przez redakcję. Całość dopełniają spadające na okładkę płatki krwistoczerwonych róż. Diagnoza – morderstwo? Jako że za adres redakcji przyjęto Zakład Etyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, podjęty temat brzmi jeszcze bardziej intrygująco. Powstanie kolejnego już tytułu, w którym młodsze pokolenie, po trosze idąc za ideą „mêlée”, stara się wywalczyć własne miejsce na filozoficznym podwórku, jest symptomatyczne. Wróży dobrze naszej nauce, potrzebie filozoficznego namysłu nad otaczającą nas w tylu postaciach kulturą, lecz może nieco gorzej rokuje niektórym skansenom rodzimej publicystyki naukowej. ◀

Magdalena **M. Baran**

(1979), doktorantka Wydziału Filozoficznego PAT w Krakowie, stypendystka Politische Akademie w Wiedniu i Uniwersytetu Wiedeńskiego, przygotowuje rozprawę doktorską z filozofii polityki, redaktor Res Publici Nowej.

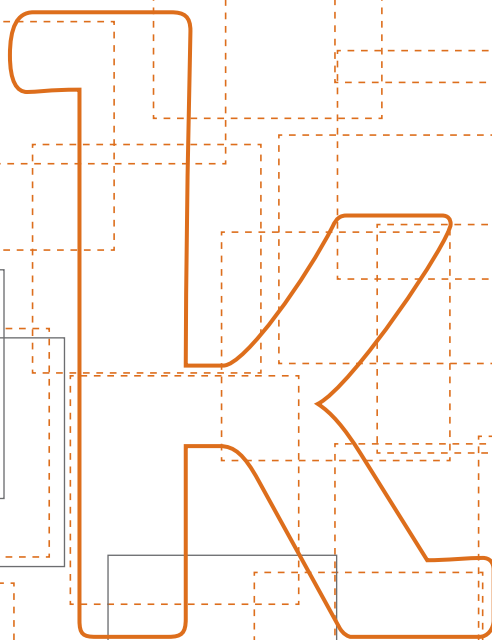
**nowość**

„Wszak założyć blog, to tyle, co kupić los na loterii; loterii, w której wygraną jest uwaga współziomków.”
Zygmunt Bauman

Zygmunt Bauman

www.zyciewkontekstach.pl





książki

Dojczland. Obraz Niemców w literaturze polskiej

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI

W połowie lat 70. podczas pobytu w USA pewien Polak wdał się w krótką rozmowę z Amerykaninem. Na archetypowe pytanie: „Skąd jesteś?”, odrzekł: „Z Polski”. „Gdzie to jest?”, podtrzymał przyjaźnie dialog rozmówca. „W Europie”, brzmiała odpowiedź. „Ale gdzie?”, upierał się tubylec. „Między Rosją i Niemcami”, zwięźle wyjaśnił Polak. „Przecież tam nie ma miejsca!”, zakrzyknął Amerykanin. Kawę dopili w milczeniu.

■ Esej poniższy, traktujący o relacji między kulturą polską i niemiecką, jest poniekąd wypowiedzany z miejsca, którego nie ma. Z miejsca, dla którego zawsze było za mało miejsca.

I. Obcy w domu

W połowie 1981 roku, w samym środku polskiego doświadczenia solidarnościowego, ukazał się esej Jana Józefa Lipskiego *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*¹. Tekst zawierał propozycję odnowy tożsamości zbiorowej.

■ Odnowa była potrzebna, ponieważ w polskiej świadomości patriotycznej Lipski odnajdywał silne oddziaływanie megalomanii i ksenofobii, które więżą społeczeństwo w poczuciu nienawiści i krzywdy wobec sąsiadów. Megalomania pozwala wyśmiewać się z Czechów, pogardzać prymitywnymi Rosjanami,

wypominać okrucieństwo Ukraińcom, a ksenofobia nieprzerwanie odtwarza nienawiść do Niemców i reprodukuje najbzdurniejsze uprzedzenia wobec Żydów. Megalomania ułatwia wymazywanie krwawych plam z rodzimej historii – czyli krzywd wyrządzonych Ukraińcom, Litwinom, Czechom czy Żydom – i pomaga trwać w poczuciu moralnej niewinności. Nienawiść do tego, co obce, z pewnością cementuje wspólnotę, ale wspólnota taka nie zauważa, że spoiwem swoim uczyniła truciznę. Trujące lepiszcze życia zbiorowego obraca się przeciw niej samej: jeśli nienawidzi ona Niemców, łatwo można rządzić jej emocjami – podgrzewając antygermańskie nastroje, by kogoś wykluczyć; jeśli pogardza Rosjanami i rosyjskością, nigdy nie odkryje rosyjskich składników we własnej kulturze, więc nigdy nie będzie potrafiła porozumieć się z samą sobą. Megalomania i ksenofobia to nie tylko odrzucenie tego, co obce, lecz przede wszystkim zakreślenie wąskich granic temu, co swoje. Wspólnota odcinająca się od obcości potrafi nazwać swoją tożsamość tylko o tyle, o ile potrafi powiedzieć, kim i z kim być nie chce. Zbiorowość taka nie chce zatem wiedzieć, ile obcego i heterogenicznego mieści się w niej samej.

■ Przeciw patriotyzmowi resentymentalnemu autor stawiał odnaleziony w tradycji polskiej patriotyzm krytyczny. Zasada się on na gotowości do przeprowadzania gorzkich obrachunków, czyli uwzględniania zarówno dobrych, jak i złych czy na-

1. W niniejszym tekście opieram się na wydaniu: Jan Józef Lipski, *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*, [w:] idem, *Tunika Nessosa i inne eseje*. Wydawnictwo PEN, Warszawa 1992. Pierwsze wydanie: Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, Warszawa 1981.

wet najgorszych dokonań wspólnoty ojczyźnianej. Nie ucieka również przed obowiązkiem kochania ojczyzny, ale pyta zawsze, do jakich czynów owa miłość chce nas prowadzić i kto z niej może zostać wyłączony. Patriotyzm refleksyjny nie kwestionuje dokonań heroicznych, lecz nie godzi się na to, by przeszłość zredukowano do spisu zwycięstw; a kierując się zasadą odpowiedzialności, obok źródeł dumy stawia przedmioty wstydu i hańby.

■ Esej Lipskiego przekonywał zatem, że obcość jest w nas – pod postacią wypartego zła, a także zwykłych wpływów kulturowych – więc każda próba zbudowania wspólnoty narodowej w oparciu o wykluczenie obcości będzie prowadziła do zakłamania i nienawiści. Megalomania i ksenofobia nie są wyłącznie uczuciami żywionymi wobec obcości, lecz projektem relacji wewnątrz samej wspólnoty; ich istotą jest podporządkowanie wszystkich członków jednolitemu modelowi tożsamości, a skład owego modelu wyznacza suma cech zaprzeczonych.

■ Lipski pisał: „Patriotyzm jest z miłości – i do miłości ma prowadzić, jakakolwiek inna jego forma jest deformacją etyczną”. Ten chrześcijański projekt można jednak przełożyć na inny język: jeśli chcemy lepiej ze sobą się porozumiewać, musimy pełniej siebie poznać. Aby było to możliwe, powinniśmy dopuścić do głosu tkwiące w nas obcości. Do tego zaś potrzebne jest pełniejsze wypowiedzenie obcości, które istnieją tuż obok. Oznacza to, że nie sposób zmienić relacji między Polakami bez zmiany nastawienia do Rosjan i Niemców.

II. Obcy do domu

Kilka miesięcy po opublikowaniu eseju Lipskiego w Polsce wprowadzono stan wojenny. Począwszy od stycznia 1982 roku w kolejne jego „miesięcznice” – 13 stycznia, 13 lutego, 13 marca... – ludzie gromadzili się na ulicach miast, by wykrzyczeć nienawiść do komuny, wypomnieć władzy zbrodnie, upamiętnić ofiary stanu wojennego, zmanifestować sprzeciw.

■ Miejsce demonstracji otaczał zwarty szereg milicjantów. Dobrze wyposażonych, rośliwych, staran-

nie dobranych do tego typu zadań. Nazywano ich „zomowcami”, bo należeli do Zmechanizowanych Oddziałów Milicji Obywatelskiej – najbardziej znienawidzonej formacji porządkowej. Tłum stał naprzeciw tępych rycerzy komunistycznego państwa, uzbrojonych w długie pałki, i krzyczał: „ZOMO – Gestapo! ZOMO – Gestapo!”. Do ochrypnięcia, coraz głośniej, coraz agresywniej. Czasem to wystarczało: milicja ruszała ze wzniesionymi gumowymi mieczami i tłum dzielił się na pojedyncze grupki, w których dochodziło do krótkich zwarć. Jeśli manifestacji udało się przejść choćby kilkaset metrów, w skandowanych hasłach pojawiał się minimalny program polityczny. Tłum siedł obok pustego gmachu partii, krzycząc: „SOWIECI – do domu! SOWIECI – do domu! SOWIECI – do domu!”.

■ Dziwne to były okrzyki. ZOMO zawsze rekrutowało się z ludzi młodych. To byli synowie naszych sąsiadów, koledzy ze szkół, kuzyni, bracia. To była krew z krwi i kość z kości społeczeństwa. Okrzyk „Gestapo!” nie oznaczał, że są Niemcami, lecz że postępują wobec Polaków jak Niemcy w czasie II wojny. Obelżywy okrzyk był więc sposobem wykluczenia tej postawy poza obręb zachowań wspólnotowych. Na rewersie okrzyku skrywało się przekonanie, że przynależność do ZOMO jest tak obca dzisiejszej polskości, jak gestapowskie metody obce były Polakom za okupacji. Z kolei okrzyk drugi mówił, że plan wprowadzenia stanu wojennego i cały projekt rządów komunistycznych to import ze Wschodu dokonany przez ludzi odmiennych ideowo i kulturowo. Oba hasła oznaczały zatem mniej więcej tyle, że w czasie stanu wojennego społeczeństwo polskie było bite przez siłę tak obcą naszej tożsamości, że aż gestapowską, na rozkaz władzy tak politycznie obcej, że aż sowieckiej.

■ Stan wojenny – jedna z największych traum powojennego społeczeństwa polskiego – nie doczekał się więc nazw własnych. Nazwy cudze, którymi go opatrzone, wykluczały zło poza nawias wspólnoty, jej samej zaś nadawały znamiona ponadhistorycznego, zbiorowego męczennika. Jak wynikało z obu haseł, czterdzieści lat po wojnie byliśmy nadal oblężeni

przez Niemców i Rosjan. Ostry anachronizm tej świadomości wskazywał, że konieczne były inne diagnozy i nowe rozpoznania. Jednak pojawienie się stereotypów z II wojny sprawiło, że proste zadanie znalezienia prawdziwszych nazw dla milicjanta i partyjnego funkcjonariusza wymagało przededefiniowania Gestapo i Sowietów². Zbiorowa tożsamość zawsze bowiem stwarza samą siebie w opozycji do wewnętrznych i zewnętrznych obcości³.

III. Prawie jak Żydzi

Pierwszą po stanie wojennym próbę przededefiniowania podjął Andrzej Szczypiorski w powieści *Początek*. Znacząca rola tej książki nie polegała jednak na zaproponowaniu nowej wersji historii, lecz na sentymentalnym przegrupowaniu obcości.

W interesującym nas wątku polsko-niemieckim zasługa Szczypiorskiego jest tyleż wyraźna, co dwuznaczna. Wyraźna, bo pisarz przełamał stereotyp Niemca. Dwuznaczność zaś polegała na tym, że zawarta w powieści propozycja odnowienia komunikacji polsko-niemieckiej odbywała się kosztem Żydów i Rosjan. Pisarz osiągnął to w prosty sposób. Oto opowiedział historię pięknej Żydówki, która została zadenuncjowana na Gestapo przez Żyda; do akcji ratunkowej włączają się jej sąsiedzi, a ostatnim ogniwem łańcucha solidarności okazuje się Johan Müller – Niemiec, który idzie na Gestapo i udając znajomego pani Irmy Seidenmann, wydobywa ją z rąk oprawców. Wiele lat później, w roku 1968, rządzący Polską komuniści wyrzucają panią Irmę z pracy, a zaraz potem – z kraju. W ten sposób Szczypiorski nie tylko dawał do zrozumienia, że wśród Niemców zdarzali się przyzwoici ludzie i że powojenni komuniści byli antysemitami, lecz przede wszystkim osłabiał działanie nacjonalizmu jako klucza interpretacyjnego do dziejów zbiorowości. Kluczem tym posługiwaliśmy się dla wyjaśnienia polskiej historii XX wieku: skoro

naciskały na nas dwa zbrodnicze narody, posługujące się ideologią antypolską, racją naszego istnienia musiał być patriotyzm nacjonalistyczny. Pisarz przenosił punkt ciężkości z pojęcia narodu na totalitaryzm i wprowadzał – co zaskakujące – Niemca jako powojennego sojusznika polskich zmagających się z władzą totalną. Niemcy powojenni nie są już bowiem narodowymi socjalistami, lecz raczej – zgodnie z wrodzonym im duchem perfekcjonizmu – doskonałymi demokratami.

Szczypiorski opowiedział zatem historię, w której Polacy byli prawie jak Żydzi: cierpieli prześladowania własne, lecz cierpieli niepomnie bardziej, gdy musieli patrzeć, jak prześladowuje się i zabija Żydów. Podwójne zranienie – współczucie dla Żydów i ogrom ofiar własnych – powoduje, że wiele lat po wojnie Polacy, podobnie jak Żydzi, są zamknięci w żalu rozpamiętywania i w nienawiści do Niemców. Utożsamienie to wykorzystał autor do propozycji zmiany. Jego powieść przekonywała, że mając do Niemców dystans, prawie tak ogromny, jak Żydzi, możemy próbować przełamać bariery i rozpocząć nową historię – rozmowę ze śmiertelnym wrogiem prowadzoną przez podwójnie zranioną ofiarę. Jej warunkiem musiałoby jednak stać się osłabienie generalizującego sądu, który wszystkich Niemców traktuje jak zbrodniarzy lub ich pomocników.

IV. Germanus sedens

Powieść Szczypiorskiego, choć pełna wad wynikłych z sentymentalizmu, uczyniła sporo dobrego. Uprątomocniła pisanie o wojnie z perspektywy cywilnej, wstawiła pomiędzy ofiary wojny cywila niemieckiego, uświadomiła, że kształtowanie relacji międzyludzkich w świecie powojennym jest powiązane ze sposobami opowiadania o świecie wojny, podważyła myślenie nacjonalistyczne. Poczucie niedosytu wywołane tą powieścią tworzyło warunki dla niezliczonych narra-

2. Wypada zaznaczyć, że rosyjskość – obok niemieckości i środkowoeuropejskości – należy do podstawowych kategorii geopoetyki. Nowe narracje o polskiej przynależności do Europy kształtowały się właśnie poprzez operacje dokonywane na tych kategoriach.

3. „Wewnętrzny” obcy to np. Kobieta, Odmieniec Seksualny, Żyd. Obcy „zewnętrzny” to reprezentant narodowości, które graniczą z daną społecznością – np. Francuz dla Niemców, Niemiec dla Polaków.

cji cywilnych, przekraczających kategorie narodowe i odsłaniających doświadczenia dotąd pomijane.

■ Dopóki świadomość europejska była zdominowana postrzeganiem wojny jako ciągu działań frontowych, szpiegowskich czy partyzanckich, doświadczenie cywilne stało na uboczu. Wprowadzenie perspektywy człowieka skoncentrowanego nie na walce i zabijaniu, lecz na unikaniu śmierci i na zdobywaniu środków potrzebnych do przeżycia – znane z *Blaszanego bębena* Grassa, *Milczenia morza* Vercorsa czy *Pamiętnika z powstania warszawskiego* Białoszewskiego – radykalnie zmienia optykę czasów wojny. Zmienia także charakterystyki narodowościowe. Żołnierze nie mogą raczej mieszać się z wojskiem nieprzyjaciela; zmieszanie ludności cywilnej różnych (nieprzyjaznych!) narodowości bywa natomiast częste. Podobnie jak – wynikające z różnych przyczyn – odizolowanie od wojny.

■ Taki właśnie epizod teatru historycznego pojawił się w powieści Stefana Chwina *Hanemann*⁴. Pisarz opowiadał dzieje tytułowego bohatera – Niemca, lekarza anatomopatologa, mieszkańca Gdańska – który tuż przed wojną w tajemniczych okolicznościach stracił swoją ukochaną, Luizę Berger. Do tego dnia Hanemann badał zwłoki, wierząc, że skrywa się w nich niematerialna, niepodlegająca śmierci cząstka; kiedy jednak na stole sekcyjnym ujrzał zwłoki ukochanej, zrozumiał, że śmierć zabiera wszystko. Przeżywszy załamanie światopoglądowe, porzuca pracę, siada w fotelu i oddaje się bezprzedmiotowym rozmyśleniom. Z melancholijnego transu nie budzi Hanemanna nawet zbiorowy exodus Niemców z Gdańska w 1945 roku. Bohater budzi się do życia dopiero, gdy do jego domu przybywają przesiedleńcy.

■ Cóż takiego zrobił Chwin z wizerunkiem Niemca i relacją niemiecko-polską? Przede wszystkim przywrócił polskiej kulturze portret Niemca melancholijnego, a więc tę cząstkę tradycji, która leżała w głębokim zapomnieniu, tradycji wywodzącej się z poezji Heinego i von Kleista, zrośniętej z obrazami Caspara

Davidy Friedricha. Jej istotą było wyobrażenie raniwego podmiotu, rozpoznającego swoją kruchość w zetknięciu z potęgą żywiołów. Mocny byt, wyobrażany pod postacią wzburzonego morza czy wyniosłych gór; za sprawą mrocznej epifanii doświadczanej przez bohatera przekształcał się w siedlisko nicości. Podmiot melancholijny wyznawał filozofię, która mówiła, że raczej jest nic niż coś, a rozpoznawana przezeń własna kruchość prowadziła go do acedii. Wybór bierności, wybór postawy nieprzeciwstawiania się nicości, czynił z niego przeciwieństwo wszelkich modeli życia aktywnego. Hanemann jest więc antytezą nie tylko pruskiego junkierstwa czy hitlerowskiej woli mocy, lecz woli życia w ogóle. Hanemann to obcy z wyboru, obcy egzystencjalnie – czyli człowiek kontestujący samo bycie. Jeśli Szczypiorski denazyfikował Niemca, to Chwin go demilitaryzował.

■ Słaby Niemiec, melancholijny *Germanus sedens* był istotny nie tylko dlatego, że odsyłał do zapomnianej części niemieckiego dziedzictwa, że ukazywał pobratymstwo Hanemanna i Hamleta, co skutecznie utrudniało utożsamianie wszystkich Niemców z postawą groźnego ekspansjonizmu. Równie doniosłe było uwzględnienie zbiorowej ucieczki z miasta oraz powojennego epizodu bohatera. Pozostawiając Hanemanna w polskim mieście po zakończeniu wojny, Chwin otwierał przepastny – do tej pory słabo obecny w polskiej świadomości – rozdział dotyczący losów niemieckiej ludności cywilnej w 1945 roku.

V. *Germanus sacer*

W tym samym roku co *Hanemann* ukazała się we Włoszech książka Giorgio Agambena *Homo sacer. Il potere sovrano e la nuda vita*⁵, w której autor omawiał jedną z fundamentalnych tradycji antropologicznych, ciągnącą się od antycznej refleksji greckiej aż po wiek XX i XXI. Centralne miejsce zajmuje w niej opozycja między „nagim życiem” (*zoe*) i „życiem dobrym” (*bios*). Każdy system polityczny odwołujący się

4. Wszystkie cytaty odsyłają do wydania: Stefan Chwin, *Hanemann*. Wydawnictwo Marabut, Gdańsk 1995.

5. Wszystkie cytaty odsyłają do polskiego tłumaczenia: Giorgio Agamben, *Homo sacer. Suwerenna władza i nagie życie*, przełożył Mateusz Salwa, posłowiem opatrzył Piotr Nowak, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2008.

do takiego rozróżnienia powiela niebezpieczną dla społeczeństwa metodę samostanowienia władzy. Metodę wspólną dla greckiej i rzymskiej republiki, dla średniowiecznych monarchii, reżimów totalitarnych i systemów demokratycznych.

■ Każda władza dąży do suwerenności. Osiąga ją nie wtedy, gdy może narzucać reguły, lecz wówczas, gdy osiąga moc stanowienia wyjątku od reguł przez siebie wprowadzanych. Najpełniejszym wcieleniem tak pojmowanego uprawnionego zawieszenia praw jest stan wyjątkowy. Nie należy go jednak rozumieć jako czasu zaostrzonego reżimu; w ujęciu Agambena jest to strefa nierozróżnialności, w której nie sposób odróżnić naruszenia prawa od jego wykonania, czyli nie sposób orzec, czy dany postępek był okrucieństwem, czy praworządnością. W owej strefie nieodróżnialności, powstającej na mocy suwerennej decyzji, która zawiesza/ustanawia prawo, wyłania się nagie życie (s. 115) – życie dające się całkowicie zabić i niedające się złożyć w ofierze (s. 149). To właśnie *homo sacer* – człowiek poświęcony. Nagie życie jest w tym samym stopniu wyjęte spod prawa, co dla prawa i dla władzy fundamentalne: jeśli władza nie potrafiłaby wprowadzić stanu wyjątkowego, a więc zawiesić reguł, które sama wcześniej ustanowiła, i jeśli nie potrafiłaby w owej strefie nieodróżnialności utrzymać nagiego życia, nie mogłaby się definiować jako władza. A zatem, na odwrót, wyjątek ustanawia regułę, wyrzutek konstituuje społeczeństwo, stan wojenny definiuje zasadę prawa, a nagie życie wiąże strukturę suwerenności ze strukturą poświęcenia. Państwem, w którym stan wyjątkowy okazał się permanentny, było państwo totalitarne – obóz koncentracyjny okazał się jego przestrzenią strukturalną, zaś muzułman stał się wyjętym spod prawa, lecz zarazem wytworzonym przez prawo nagim życiem.

Mówiąc inaczej: żywe trupy w obozach nie były skutkiem ubocznym jego funkcjonowania, lecz istotą władzy, która poprzez obóz objawiała swoje kolejne, acz nie ostatnie, wcielenie.

■ Po wyzwoleniu więźniów obozów koncentracyjnych i po zakończeniu wojny pierwszą aplikacją stanu wyjątkowego objęto ludność niemiecką. Zasada, która na to pozwalała – jeśli posłużyć się koncepcją Agambena – da się wyjaśnić następująco: wojska polskie i radzieckie stanowiły strukturę quasi-państwową ufundowaną przez regułę walki z Niemcami. Reguła ta (*bios*) pozwalała definiować przynależność do wspólnoty (kto walczy z Niemcami, jest pełnoprawnym obywatelem) i zarazem wyznaczała wroga. Jednakże niemiecka ludność cywilna zamieszkująca tereny ZSRR i Polski właśnie na mocy owej reguły ulegała równoczesnemu włączeniu (cywile) i wyłączeniu (Niemcy), czyli podlegała prawu, które było usankcjonowanym zawieszeniem prawa. Dlatego ludność ta, pochwycona w kleszcze stanu wyjątkowego, nabrała – w odróżnieniu od obywateli innych narodowości uwolnionych z obozów – charakteru zbiorowego nagiego życia (*zoe*). *Germanus sacer* stał się istotą czysto biologiczną – można ją było zabić, nie można było złożyć w ofierze. Zabójstwo nie trafiało więc do rejestru ani nie podlegało żadnej nagrodzie⁶.

■ Począwszy od momentu wkroczenia wojsk polskich i radzieckich na ziemię okupowane dla niemieckiej ludności cywilnej rozpoczyna się okres wielomiesięcznej gehenny: grabieże, masowe mordy, gwałty, osadzanie w obozach koncentracyjnych stały się regułą powojennego stanu wyjątkowego. W piśmiennictwie polskim powstały na ten temat rozliczne teksty – dokumentarne, publicystyczne, fikcyjne. Ważne jednak wydaje mi się zarówno przerwanie milczenia, jak i różnorodność sposobów mówienia. Te zróżni-

6. Jest oczywiste, że zdecydowana większość Niemców znalazła się na ziemiach Polski w ramach zasiedlania okupacyjnego. Równie oczywiste jest to, że w czasie wojny ludność polska podlegała tym samym restrykcjom i okrutnym zasadom, które po wojnie spotkały ludność niemiecką. Fragment, który poświęcam „stanowi powojennemu” nie kwestionuje ani zbrodni niemieckich, ani prawa do rewindykacji zajętych przez Niemców ziem. Opisując „*germanus sacer*”, staram się jedynie przywołać przyczyny i skutki owego zjawiska, a także odnieść to do kształtowania się nowej tożsamości zbiorowej w Polsce. Zakładam bowiem, że nie jest możliwa przebudowa świadomości polskiej – jej europeizacja, modernizacja czy uniwersalizacja (w duchu chrześcijańskim i każdym innym) – bez włączenia do polskich narracji zbiorowych wątku niemieckiej ludności cywilnej po wojnie.

cowane teksty, opowiadając świat nacjonalistyczny, zawieszają działanie kryterium nacjonalistycznego.

Kiedy przesuniemy tożsamość narodową na drugi plan, zobaczymy wojnę przede wszystkim jako historię ludzkich ciał. Im mniej uzbrojone, tym bardziej zagrożone. To ciało dysponowalne, dostępne, niestawiające oporu. Na przykład ciała kobiet. Ich los w okresie powojennego stanu wyjątkowego był podobny w swoim okrucieństwie: jedne zabijano od razu po zbiorowych gwałtach i pozostawiano na ulicach miast, by potem zagonić dzieci i mężów do kopania zbiorowych mogił. Te, którym się poszczęściło, przemieniano w seksualne mięso na dłużej⁷. Na Pomorzu odnotowano liczne przypadki zbiorowych samobójstw popełnianych przez kobiety (niekiedy przez większość mieszkańców miasteczka) tuż przed wkroczeniem wojsk sowieckich w obawie przed pohańbieniem. Ogromną rolę odegrał wówczas tzw. syndrom Nemmersdorf: „Nemmersdorf, niewielka wioska w Prusach Wschodnich, dzisiaj Majakowskoje w obwodzie kaliningradzkim, wpadła w ręce Rosjan już w październiku 1944 roku. Po kilku godzinach odbił ją oddział Wehrmachtu”⁸. Ale we wsi były już tylko trupy: „Przy pierwszej zagrodzie stał wóz drabiniasty, a na nim ukrzyżowane cztery nagie kobiety. [...] Na drzwiach stodoły wisiały dwie ukrzyżowane nagie kobiety z przybitymi rękoma. [...] W domach znaleźliśmy siedemdziesiąt dwie kobiety i dzieci, oraz jednego mężczyznę, wszyscy martwi. Prawie wszystkich bestialsko zamordowano, tylko niektórych zabito strzałem w potylicę. Widzieliśmy także dzieci w pieluszkach, którym rozbito czaszki twardym przedmiotem”⁹. Działała więc zasada zemsty: Niemców i Niemki spotykało to, co wcześniej dotknęło Polaków,

Rosjan czy Żydów. Świadomość, że żołnierze mszczą swoich bliskich i że gwałty są metodą wojny seksualnej, która poprzez pohańbienie kobiet osiągnąć ma mężczyzn, na długie lata zamykała Niemkom usta: nie chciały opowiadać o upokorzeniach, ponieważ wyznanie sprowadzało hańbę. Ponad czterdzieści lat trwał w kulturze komunikacyjnej Europy etap wypracowywania warunków dla opowieści o gwałtach na Niemkach – dla narracji, która nie byłaby przyczyną powtórnej stygmatyzacji kobiet. Pojawienie się tych książek w polskich przekładach uświadomiło, że między wojną i pokojem istniała wyrwa. Wypełniał ją czas płynny, a jednocześnie zaaresztowany.

To, co uczyniono Niemcom w czasie, gdy ludność cywilną sprowadzono do stanu dysponowalnego nagego życia, odłożyło się w polskiej pamięci jako nasze narodowe „niesamowite”. Nie-samowite nie oznacza „fantazyjnego”, „wymyślnego”, „niezwykłego”; jest raczej „zwykłym”, które uległo zasłonięciu. „Zwykłe” w czasie wojny były zbrodnicze działania Niemców i azjatyckie okrucieństwo Rosjan¹⁰; „zwykłe” było waleczne poświęcenie Polaków. Polskie działania wobec niemieckiej ludności to wydarzenia zarazem najbliższe wojennej zwykłości (zabijanie), lecz związane nie z wojną i nie z walką przeciw innym żołnierzom. Działania te ze względu na swoją potworność nabrały charakteru tego, co „niesamowite”. A „niesamowite” musiało zostać wyparte. Po latach, jak każde wyparte, powróciło pod postacią horroru.

W takiej właśnie konwencji Janusz Rudnicki ułożył wyznanie komendanta obozu w Łąbinowicach¹¹ – miejsca, przez które w latach 1945-1946 przewinęło się około 60 tysięcy Niemców, Niemców Opolskich, Ślązaków, a także ludzi podejrzewanych o kolabora-

7. Zob. np.: Anonim, *Kobieta w Berlinie 1945*, przełożyła Barbara Tarnas. Świat Książki, Warszawa 2004; Antony Beevor, *Berlin. Upadek 1945*, Wydawnictwo Magnum, Warszawa 2004; Marcin Zaremba, Jolanta Zarembina, *1945 rok kobiet upodlonych*, „Newsweek” 2005, nr 29.

8. Włodzimierz Nowak, *Obwód głowy*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2007, s. 31.

9. *Ibidem*.

10. Zob. np. Michał Komar, *Nadzieja*, [w:] idem, *Trzy*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2000. Pisarz przedstawia tragiczny epizod z dziejów Prus Wschodnich: mieszkańcy kaszubskiej wioski zimą 1945 roku wyszli na przywitanie sowieckich czołgów i zostali przez nie rozjechani.

11. Janusz Rudnicki, *Spowiedź mordercy Ignacego Szypuły zanim wypadł przez balkon i zabił się*, „Krytyka Polityczna” 2005, nr 7/8.

cję z okupantem. Spośród ogółu więźniów zginęło około 80 procent. Zabijano ich na wszystkie możliwe sposoby – prześcigając się w upokarzaniu i sadyzmie. Opowieść Ignacego Szypuły kończy się beznamytnie: „Zakopywaliśmy takich, którzy tylko zemdleli. Budzili się, jak spadał na nich piach. Darli się jak opętani, grabarze zakopywali ich wtedy w przyspieszonym tempie. Jakby mnie ktoś spytał dzisiaj, czy słyszę te wrzaski, to nie, nie słyszę. Za grzechy nie żałuję”. Cały monolog to nieprzerwany spis zbrodni, gwałtów i tortur popełnianych z czystej możliwości popełniania zbrodni. Imaginarium zbrodniarza wypełniają obrazy widzianych i zasłyszanych okropieństw wojennych i obozowych: Szypuła aranżuje więc niemieckie śmierci tak, jak podpowiada mu zmieszana pamięć i wyobraźnia. Więźniowie stają się w jego świadomości – świadomości pana życia i śmierci – jednolitym, bezładnym, nieforemnym ciałem, któremu granice wyznaczyć może dopiero tortura. Ale ciała – bite, kaleczone, ćwiartowane, gwałcone, miażdżone – ulegają tym większej deformacji, im większą pasję przejawiają oprawcy. Energia nieustającej kaźni nie zasila katów, którzy dążą do oczyszczenia świata z Niemców, a Niemców z niemieckości, napotykają na cielesną sprzeczność: odkrywają, że nie sposób, w trybie kafkowskim, ustalić winy poprzez karę, tak jak nie sposób wyznaczyć granic ciała poprzez kaźń. Na oczach oprawców – występujących w majestacie prawa stanu wyjątkowego – zbiorowe ciało niemieckie zamienia się w płynną substancję. Ciało, na którym chciano wyrok wypisać, zamienia sentencję w gnilną maź. Rzec można, że Szypuła wpadł w pułapkę autoteliczności obozu koncentracyjnego: obóz wytwarza tylko śmierć, nie dając asystentom śmierci żadnej satysfakcji poza pustką. Opowiadania Rudnickiego nie należy traktować jako dowodu polskich zbrodni popełnianych na Niemcach¹² – warto natomiast zobaczyć w nim ślad przerażenia prawdopodobieństwem tych wydarzeń. Przerażenie pisarza doszło tu do głosu w postaci swego zaprzeczenia – w braku wykretów

u narratora, w przesadzie, szczegółowości, w ostentacyjnej pysze, której jedyną podstawą jest liczba ofiar i tortur. W świadomości Szypuły wielość zabitych świadczyć ma o ogromie zbrodni niemieckich, którym sprostać mogła jedynie monstrualna zemsta.

Rudnicki musiał więc stworzyć bohatera-monstrum: gdyby Szypuła pomniejszał swoje winy, kłuczył, wybielał zbrodniarzy albo wykazywał skruchę, wówczas moglibyśmy powiedzieć, że co prawda był zbrodniarzem, ale w odróżnieniu od Niemców – zbrodniarzem pokutnym. Tymczasem buchalteryjna dokładność jego zeznań, sadyzna pełnia ekspresji, która nawet po latach chce upokarzać ofiary, wprowadza do polsko-niemieckich relacji istotne *novum*. Oto przede wszystkim następuje rezygnacja z niewinności; polska literatura wyznając winę, wycofuje tym samym zgłaszane wobec Niemców roszczenia oparte na micie Polaków-nieskazitelných ofiar. Nie oznacza to cofnięcia roszczeń – oznacza natomiast zmianę postawy. W miejsce niewinności wchodzi faktyczność win, co prowadzi do przyznania, że mogą pojawić się zasadne roszczenia niemieckich ofiar polskich obozów pracy. Swoista zasada równości nie powinna prowadzić do relatywizacji zbrodni niemieckich, a raczej do uznania, iż nie zachodzi sprzeczność między „był Niemcem” i „został pokrzywdzony”. Łatwo więc dostrzec, że pojawienie się polskich tekstów o obozach pracy dla Niemców ukazuje roszczenie jako prawo obopólne.

Ale teksty te widzą we wzajemnych oskarżeniach jedynie negatywną formę porozumienia i nakłaniają do pytania, co dalej. W takiej optyce opowiadanie Rudnickiego można czytać jako silne oskarżenie nacjonalizmu i podważenie złudzeń, że jego przekroczenie będzie równoznaczne z osiągnięciem nowej formy współżycia. Oskarżenie wydaje się proste: nacjonalistyczne kryteria doboru więźniów w obozach hitlerowskich, a później w obozach polskich należały do strategii XX-wiecznego państwa; państwo to, legitymizując praktykę narodowościowej selekcji,

12. Historyczne opracowanie, z którego Rudnicki skorzystał, powstało wcześniej – zob. Edmund Nowak, *Cień Łambinowic. Próba rekonstrukcji dziejów obozu pracy w Łambinowicach 1945-1946*. Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 1991.

równocześnie kompromitowało jej ideologiczne podstawy. Ale i przekroczenie nacjonalizmu niczego nie rozwiązuje: łatwość odtworzenia mechanizmu obozu koncentracyjnego przez Polaków, a także ochocze przejęcie hitlerowskich metod świadczy, że nowoczesność wytworzyła warunki dla okrucieństwa niezależne od narodowości katów i ofiar. Jeśli zatem z tej powiastki wypływa jakiś wniosek, to chyba tylko ten, że Polacy i Niemcy, honorując wzajemne roszczenia, powinni uznać zasadę roszczeń za niewystarczającą podstawę współzycia i wspólnie korzystać z krytycznej pamięci o tworzonych przez siebie instytucjach. Dzięki temu wspólna pamięć o konfliktowej przeszłości przekształcić się może we wspólne kontrolowanie, by w instytucjach – już ponadnarodowych – nie zagnieździła się przemoc.

VI. „Niesłychane zaniedbanie”

W tomie prozatorskim *Antologia twórczości postnatalnej* Cezary Konrad Kęder umieścił opowiadanie przedstawiające znaną wszystkim scenę: wojsko wygania ludność jakiegoś miasteczka z domów, pędzi brutalnie na stację, wpycha do bydłowych wagonów, zatrzaskuje drzwi... Ponaglające krzyki, bicie, płacz, upadające ciała, szlak znaczone gubionym walizkami...

Możliwy to być transport ludności żydowskiej do Auschwitz w roku 1942 lub 1943. Albo wywózka ludności polskiej z Kresów Wschodnich w głąb Rosji na przełomie 1940 i 1941 roku. A jednak tym razem pisarz – w trybie bardzo umownym i ogólnym, celowo pozbawionym szczegółów – przedstawił inny etap: przesiedlenie Niemców ze Śląska w roku 1945. Prozaik nie planował upamiętnienia krzywdy Niemców; swoje zadanie postrzegał raczej prowokacyjnie, próbując uzmysłowić nam, jak bardzo nasza świadomość historyczna jest zdominowana przez stereotypy narodowe. Kiedy widzimy ludność cywilną ładowaną do bydłowych wagonów, jesteśmy pewni, że może chodzić tylko o naszych.

Mimo braku powagi, mimo skłonności do drwiny, Kęder dotknął tematu więcej niż poważnego. Historycy obliczają, że w latach 1945-1948 w Europie przemieszczono około 9 mln ludzi. Przymusowa wędrówka ludów odbywała się według podobnych schematów, lecz w późniejszym czasie nie wszystkim wolno było wspominać. To właśnie wydaje się jednym z najistotniejszych punktów w relacjach polsko-niemieckich: prawo do upominania się o cierpienie i prawo do pełnej ekspresji. Przez półwiecze coraz pełniejszy wyraz zyskiwały nieszczęścia niemal wszystkich narodowości, podczas gdy cierpienie spowodowane przesiedleniem Niemców było – nawet przez samych Niemców! – tłumione. W polskiej literaturze w ciągu ostatnich dwudziestu lat powstało kilkadziesiąt książek przedstawiających exodus ludności polskiej. Mamy więc opowieści o przesiedlaniu z Białorusi (Aleksander Jurewicz: *Lida; Pan Bóg nie słyszy głuchych; Dzień przed końcem świata*), z Litwy (Stefan Chwin: *Krótką historią pewnego żartu*; Zbigniew Żakiewicz: *Ujrzane, w czasie zatrzymane*; Adam Zagajewski: *W cudzym pięknie*) czy Ukrainy (Olga Tokarczuk: *Opowieści ostatnie*). Ale do czasu ukazania się *Hanemanna* niewiele miejsca poświęcano równocześnie transferu¹³, jaki się wówczas dokonywał: w tym samym czasie, gdy ekspatriowano ludność polską z terenów wschodnich, trwało przesiedlanie ludności niemieckiej. Wydaje się jednak, że nasza literatura, dążąc do wypowiedzenia pełni doświadczeń powojennych i coraz obficiej przedstawiając epizody deportacyjne, uczyniła miejsce dla opowieści o ludziach deportowanych. O wszystkich ludziach na przesiedleńczym szlaku. A skoro o wszystkich, to i o Niemcach.

Można by powiedzieć, że opowieść o ekspatriacji Niemców to zadanie dla literatury niemieckiej. Ale właśnie to przekonanie – że społeczności są zasadniczo narodowe – leży u podstaw dwóch wojen, później zaś zadecydowało o stłumieniu niemieckich wyznań. Bo przecież opowieści o niemieckich przesie-

13. Określeniem tym nawiązuję do spektaklu *Transfer* Jana Klaty (2006); reżyser zaprosił doń przesiedleńców polskich i niemieckich, którzy na przemian wychodzą na scenę i opowiadają o swoim życiu w czasie wojny i o momencie przesiedlenia. Była to pierwsza w kulturze polskiej historia symetryczna, zrównująca doświadczenia ludności cywilnej obu narodowości.

dleniach dotyczyły skutków historii rozpętanej przez samych Niemców, więc cierpienia i ofiary zaliczano do kosztów zawinionych. I w ramach ekspiacji zarządzono milczenie. Jego skutki próbował przedstawić Günter Grass w powieści *Idąc rakiem*¹⁴. Ukazuje w niej trzy pokolenia Niemców: pierwsze oddało swoją młodość Hitlerowi i zapłaciło za to utratą „heimatów” w Prusach Wschodnich; drugie – poświęcające swoją młodość przetrzebieniu woli mocy w zbiorową wolę pokuty – budowało społeczeństwo demokratyczne, pacyfistyczne i wolne od jakichkolwiek roszczeń, więc niedopuszczające do głosu opowieści o przesiedleniu; pokolenie trzecie, najmłodsze, nie chce przyjąć na siebie poczucia winy, więc szuka w przeszłości źródeł dumy i krzywdy – wynajdując herosów i męczenników, bohaterów i ofiary. Istnieje więc, przekonuje Grass, dziedzictwo upokorzenia (pokolenie dziadków), odrzucone przez dzieci, a przyjęte przez wnuków. Kiedy jednak generacja wnuków próbuje zwrócić dziadkom szacunek, czyni to poprzez nacjonalizm i terrorystyczne zamachy. Powieść ukazuje zatem, że powojenne pokolenie liberałów zrodziło fanatyków – nie dlatego, że podsunęło im rozwiązania, lecz dlatego, że liberałowie posługiwali się uogólnioną wersją przeszłości, która wszystkich zaplątanych w wojnę uznawała za winnych. Kto chce od winy przejść do dumy, sięga po przemoc.

W powieści pojawia się Stary – alter ego Grasa. Stary jest pisarzem, który wie, że nie dopełnił obowiązku stworzenia opowieści sprawiedliwej: „To gryzie Starego. Właściwie, powiada, to zadaniem jego pokolenia byłoby dać wyraz gehennie uciekinierów z Prus Wschodnich: zimowym karawanom ciągnącym na Zachód, śmierci w śnieżnych zaspach, zdychaniu na skraju dróg i w przeręblach, skoro tylko od zrzuconych bomb i pod ciężarem furmanek zaczynał się załamywać lód na zamrożonym Zalewie Wiślanym, a mimo to od Heiligenbeil coraz to więcej ludzi ze strachu przed rosyjską zemstą przez bezkresne

śniegowe równiny... Ucieczka... Biała śmierć... Za nic, powiada, nie wolno było przemilczać takiej masy cierpienia, pozostawiać unikanego tematu prawnikom, tylko dlatego że własna wina była przemożna i okazywanie skruchy przez te wszystkie lata zajmowało pierwsze miejsce. To niesłychane zaniedbanie” (s. 94).

Zadośćuczynić temu zaniechaniu wcale nie powinna tylko literatura niemiecka. Najpierw dlatego, że zaniechanie to wiąże się z pozbawieniem prawa do mówienia o cierpieniu, a jako takie uderza we wszystkich. Po wtóre, jest to sprawa wspólna, ponieważ szlaki przesiedleńców kończyły się w Niemczech, lecz zaczynały – w Czechach, Polsce, Rosji, Rumunii czy na Węgrzech. Po trzecie wreszcie, zadanie ma charakter powszechny, ponieważ upublicznienie opowieści o deportacjach Niemców jest częścią procesu niepomnieć ważniejszego niż wypominanie krzywd.

Książki opowiadające o deportacjach pozwalają zrozumieć, że kamieniem węgielnym powojennego porządku europejskiego nie było zakończenie wojny, lecz przesiedlenie i etniczne ujednolicenie państw. Trzeba więc było narracji, które opowiedziały o bólu utraty własnych ojczyzn, o materialnej degradacji związanej z koniecznością porzucenia dobytku, o setkach i tysiącach zabitych, o niepoliczalnych cierpieniach zaznanych w drodze, aby powstały warunki dla nowej antropologii – nakierowanej na uniwersalizm, lecz zakorzenionej w konkretnej historii. W centrum owej antropologii sytuuje się właśnie wygnaniec¹⁵. Zajmuje on miejsce, które do tej pory okupował człowiek zakorzeniony: bez względu na to, czy przedstawiano go jako tolerancyjnego sąsiada, życzliwego dla obcych, czy też jako surowego włodarza, dysponenta reguł tożsamości, jego historia dobiegła końca wraz z deportacjami. Od tego momentu literatura konstruuje nowy wizerunek człowieka – nie zakorzenionego, lecz wygnanego. Kiedy wygnaństwo staje się cechą kondycji ludzkiej (nie zaś tylko przy-

14. Günter Grass, *Idąc rakiem*. Nowela, przełożył Sławomir Błaż, Polnord – Wydawnictwo Oskar, Gdańsk 2002.

15. Zob. np. Maria Podlasek, *Wypędzenie Niemców z terenów na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej. Relacje świadków*, Wydawnictwo Polsko-Niemieckie, Warszawa 1995.

padkiem historycznym), wówczas zakorzenienie nabiera charakteru cechy przygodnej. Przy takim spojrzeniu historia okazuje się ciągiem wstrzymywanych i przyspieszanych deportacji, nasze zakorzenienie – chwilowym postojem, nasz status prawny – kartą w rękach zarządców. Nowa antropologia, budowana w oparciu o przesiedleńców, jest antropologią przymusowej wędrówki – której początku wygnańcy nie planowali, a której końca nie znają.

XIII. Do czego jest nam potrzebny Niemiec

Całkiem niemało zatem otrzymać można od polskiej literatury ostatniego ćwierćwiecza przedstawiającej Niemcy i niemieckość. Najpierw dokonało się w niej znamienne przesunięcie – od doświadczeń wojennych ku przeżyciom okupacyjnym, później zaś ku doświadczeniom wypędzenia i osiedlenia. Z książek tych przesiedlenie wyłania się jako jedno z najważniejszych doświadczeń drugiej połowy XX wieku. Nabiera ono charakteru pryzmatycznego: załamuje się w nim każdy nacjonalistyczny – zarówno polski, jak i niemiecki – dyskurs ofiarniczy, zmuszając do wypracowania nowych kategorii. W tym zakresie literatura proponuje nową antropologię: człowieka, którego określa bezbronność wobec wygnania, i człowieka, który określa siebie wobec ojczyzny przemieszczonej. Mówiąc inaczej: można bez trudu ustalić odpowiedź na pytanie, kto wywołał wojnę, nie da się natomiast zadekretować odpowiedzi na pytanie, kto nie ma prawa do cierpień i aktywnej troski.

Hybrydyczna tożsamość mieszańca i warstwowa tożsamość zamieszkiwanych przez nas przestrzeni pojawiły się w literaturze, ponieważ podsuwa nam ona ustawicznie nowe sposoby otwierania historii. Jedno z nich – poprzez archiwa i wspomnienia – prowadzi do nowej wiedzy o przeszłości. Sprawa deportacji i obozów pracy dla niemieckiej ludności cywilnej przekonuje, że był czas, gdy „Niemcy Polakom zgotowali ten los”, a po nim – na mniejszą skalę, lecz z nie mniejszym okrucieństwem – nastąpił czas, gdy „Polacy Niemcom...”. Ale nawet to retrospektywne

przywracanie zranionej pamięci ma w gruncie rzeczy sens projektujący. Istota zaproponowanego przeze mnie czytania sprowadza się bowiem do przekonania, że przedstawianie Niemców służy wymyślaniu innej Polski. Bez zmiany myślenia na temat cudzej tożsamości nie jest możliwa zmiana tożsamości Polaka. Przedstawianie innych jest projektowaniem tożsamości własnej. Im mniej nacjonalizmu w portrecie germańskim, tym trudniejsze staje się utrzymywanie kategorii narodowych w myśleniu o Polsce i Polakach. Do czego zatem może posłużyć czytanie o Niemcach w literaturze polskiej? Do tego, żeby się uwolnić. Uwolnić od kategorii „Niemcy”, która – jako kategoria zbiorowa – więzi nie tylko osoby nią obejmowane, lecz krępuje światopogląd tego, kto się nią posługuje. Uwolnić się od kategorii „Niemiec”, która, jako kategoria narodowa, ogranicza podmiotową wielość ludzką, narzucając jej charakterystykę etniczną i historyczną. Dzięki uwolnieniu pewnej grupy ludzi spod działania stereotypu „Niemcy” i dzięki uwolnieniu człowieka z tożsamościowej pułapki zwanej „Niemiec” – uwolnić siebie. Uwolnić myślenie o ludziach raczej niż Polakach czy Niemcach.

Uwolnić, to znaczy przejść od tożsamości narodowej rozumianej etnicznie do tożsamości narodowej rozumianej obywatelsko. Od wspólnoty komunikacyjnej opartej na języku do wspólnoty istniejącej i rozwijającej się tam, gdzie pojawiają się komunikacyjne kłopoty. Formułująca i piętrząca owe kłopoty literatura – w czym upatruję racji jej istnienia – pokazuje, jak możliwa jest inna historia. Nawet ta niemożliwa – która pod postacią współzycia niewymazującego historii, przychodzi po wielomilionowej rzezi. Niemcy są więc nam potrzebne jako wyzwanie ku innej dziejowości. A literatura przedstawiająca kompleks niemiecki jako wyzwanie ku innym więziom. ◀

Przemysław Czapliński

(1962), historyk literatury polskiej XX i XXI wieku, krytyk, eseista, tłumacz; współzałożyciel Zakładu Antropologii Literatury (UAM Poznań); ostatnio opublikował: *Polska do wymiany. Późna nowoczesność i nasze wielkie narracje* (W.A.B., Warszawa 2009).

Znaki, ślady i pojęcia ostateczne



NATALIA ROMIK

Książka Adama Lipszyc *Ślad judaizmu w filozofii XX wieku* ma niemalże dźwiękową teksturę. Swój sposób prowadzenia narracji, specyficzny, seminaryjny ton zawdzięcza temu, iż powstała na gruncie wykładów, prowadzonych w latach 2005–2008 w Fundacji im. Profesora Mojżesza Schorra.

Adam Lipszyc konsekwentnie bada perturbacje pojęć ostatecznych, znanych z teologii, takich jak: zbawienie, objawienie i stworzenie. Często używa pojęć fundamentalnych dla religijnego doświadczenia judaizmu, jak chociażby idea *tszuwa*, *cimcum* czy *mi-cwot*. W ten sposób wątek żydowski oscyluje wokół uniwersalnych pytań znanych z teologii.

Jednocześnie Lipszyc nie stara się nawiązywać do biografii omawianych przez siebie autorów, nie definiuje ich filozofii jedynie poprzez żydowskie pochodzenie. Tym samym nasuwa się pytanie: jak możliwe jest wejście w filozofię żydowską, gdy bazuje się na czymś więcej niż tylko religijne pierwiastki judaizmu? Na szczęście autor subtelnie odchodzi od skrzyżtnej ułożonej przez siebie teologicznej triady pojęć, dynamizując spektakl filozoficznej mozaiki.

Dzięki temu rozszerza się spektrum jego filozoficznych rozważań. Obejmuje ono nie tylko religijną filozofię Soloveitchika, Leibowitza czy Heschla (wraz z licznymi odwołaniami do gwarantów ciągłości judaizmu – halachy, roli świąt i szabatu), lecz również myślicieli niezwiązanych *stricto* z judaizmem, takich jak Derrida czy Benjamin.

Gershom Scholem w książce *Mistycyzm żydowski i jego główne kierunki* zastosował szereg definicyjnych kluczy (w tym pochodzących z kabały) w celu poznania tajników żydowskiego doświadczenia mistycznego, które objawiało się w tak różnych figurach, jak sabbataizm, chasydyzm czy mistyce merkawy.

Porównanie Scholemowych konstrukcji z wywodem Adama Lipszyc nie jest przypadkowe.

Łączy ich przede wszystkim szerokie spektrum badawcze oraz otwartość na różnorodność rekonstruowanej przez nich myśli. Pomimo filozoficznej dyscypliny i próby przyjęcia krytycznych metod hermeneutycznych Lipszyc wnika także w tak „niefilozoficzne” rewiry, jak świat halachy czy mistycznej idei luriańskiej. Śledzi on kontynuację i zerwania myśli, bada napięcia i pęknięcia między filozofami. W ten sposób niebywale zagęszcza powstałą przestrzeń filozoficzną, która zaczyna się rozwarstwiać, oscylując nie tylko wokół wątków teologii żydowskiej, lecz również derridiańskich demontaży czy też źródeł czystej mowy. To dzięki temu uzyskujemy obraz objawienia tożsamego z darem języka (Walter Benjamin), z wymiarem mowy (Franz Rosenzweig).

Ważny element stanowią subtelnie nakreślone adnotacje do tradycji marksistowsko-hegłowskiej, które z całą pewnością określają najnowszą konstrukcję żydowskiej filozofii, jak chociażby Benjaminowskie relacje języka marksistowskiego materializmu do kategorii teologicznych.

Figura śladu, wedle Ernsta Blocha, to utopijny znak przyszłości, efemeryczny symbol czegoś, co ma nadejść. U Adama Lipszyc ciężko odnaleźć spójny ślad, widać raczej rozmaite tropy, układające się w wiele całości, poprzedzonych jednak przez definicyjne sito i specyficzną wrażliwość zawdzięczaną przede wszystkim teologicznemu doświadczeniu judaizmu. ◀

Znaki, ślady i pojęcia ostateczne

Z Adamem Lipszycem o jego najnowszej książce
Ślad judaizmu w filozofii XX wieku rozmawia Natalia Romik

Natalia Romik: *Ślad judaizmu w filozofii XX wieku* rozpoczyna się od podstawowego pytania: kto tworzy filozofię żydowską, a kto jest Żydem? Problem jest jednak bardziej złożony. Jakie narzędzia zastosowałaś, aby go rozwiązać?

Adam Lipszyc: Ściśle rzecz biorąc, nie zajmuję się w tej książce kwestią tego, kto jest Żydem. Pytanie: „kto jest Żydem?” to coś zupełnie innego niż pytanie: „kto uprawia filozofię żydowską?”. Liberalna definicja, która każe uznać za Żyda każdego, kto się sam za niego uważa, jest zupełnie zadowalająca. Nie sądzę, by we współczesnym świecie można było odpowiedzialnie forsować jakąś bardziej rygorystyczną definicję. A że ludzie uważają się za Żydów z różnych powodów i że na różne sposoby klecą swoją żydowską tożsamość, to już inna sprawa. W moim przypadku akurat tak się składa, że zajmowanie się filozofią żydowską – nie tyle uprawianie jej, ile komentowanie – jest może nie jedyną, ale najistotniejszą częścią mojego sposobu bycia Żydem. Interesuje mnie właściwie wyłącznie intelektualny aspekt tej tożsamości. Wymiar rytualny czy wspólnotowy zupełnie nie jest moją sprawą. Gdy natomiast chodzi o to, kto jest filozofem żydowskim, to chciałem posłużyć się kryterium, które byłoby dostatecznie liberalne co do zakresu, ale odwoływałoby się do wyrazistych, operacyjnych pojęć, a nie do wrażeń czy odczuć. Odnalazłem to kryterium w konstelacji trzech pojęć teologicznych: zbawienia, objawienia i stworzenia, które wprowadzam jako swoiste papierki lakmusowe. Ci, w których myśleniu wykrywam pracę tych trzech kategorii, pojmowanych w sposób szczególny dla

tradycji judaistycznej, zasługują moim zdaniem na miano filozofów żydowskich. Bez względu na to, jaki dokładnie był ich stosunek do religii żydowskiej.

NR: W XIII-wiecznej filozofii Majmonidesa czy XVIII-wiecznej Mendelssohna ów pierwiastek religijny jest niezwykle czytelny. Na ile trudniej wyłowić ten wątek w filozofii XX wieku?

AL: Filozofię żydowską sprzed okresu emancypacji można definiować jako przedsięwzięcie intelektualne, polegające na posługiwaniu się narzędziami filozoficznymi w celu pojęciowego wyklarowania niekwestionowanego świata religii żydowskiej. Gdy przyglądamy się filozofii XX wieku, istnieje pokusa, aby przedłużyć tę przedemancypacyjną definicję. Oczywiście wychwycilibyśmy wtedy część bohaterów mojej książki, takich jak Rosenzweig, Soloveitchik, Heschel czy Leibowitz. Wielu jednak byśmy wówczas pominęli.

Wydawało mi się, że należy uchwycić także postacie odległe od tradycji religijnej, takie jak Benjamin, Bloch, Adorno czy Derrida. Warto potraktować ich jako filozofów żydowskich z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że wtedy być może zrozumiemy jakiś ważny wymiar ich myśli, choć niekoniecznie jej całość. Po drugie zaś dlatego, że wówczas zrozumiemy też lepiej zasięg możliwości filozofii żydowskiej, uchwycimy jej niezwykle teoretyczny rozmach. Bez tego filozofia żydowska wydaje się ciekawa, ale dość jednostajna.

NR: Czy idee wybranych przez Ciebie filozofów dają nam klarowną odpowiedź, czym jest objawienie, zbawienie, akt stworzenia?



AL: Oczywiście nie. Mamy tu całą feerię możliwych odpowiedzi, które jednak układają się w pewne zajmujące wzory. Co ważniejsze, ta arcybogata tradycja myślowa pokazuje, że kategorie teologiczne, tak abstrakcyjnie brzmiące dla współczesnego człowieka, pozwalają konstruować pasjonujące filozoficzne obrazy świata, w których ten i ów potrafi się rozpoznać; i że kategorie te odsłaniają swoją prawdziwą siłę często bardzo daleko od religijnej ortodoksji. Tego ostatniego przekonania nabrałem zresztą w dużej mierze dzięki Gershomowi Scholemowi, któremu moja książka sporo zawdzięcza. Tłumaczyłem jego eseje poświęcone jemu współczesnym i to on nauczył mnie między innymi, że kontynuatorów tradycji kabalistycznej, którą badał, należy może dziś szukać wśród całkowitych outsiderów tradycji żydowskiej, takich jak choćby Walter Benjamin. Scholem pokazuje, jak dawne idee teologiczne potrafią odżywać i przybierać fascynujące formy myśli współczesnej.

NR: Jedną z takich idei była kabalistyczna, luriańska kategoria *cimcum* – myśl o wycofaniu Boga.

AL: Tak, z pewnością, ta idea dla Scholema była bardzo ważna i ślad jej obecności można odnaleźć u wielu XX-wiecznych filozofów żydowskich, np. u Lévinasa. Paradoks tej idei – myśl, że Bóg musiał się wycofać, żeby zrobić miejsce na świat, który chciał stworzyć – jest odczuwany przez bardzo wielu myślicieli: wpływa z koniecznej, choć czasem dramatycznej nieobecności tego, co najważniejsze, w świecie, który skądinąd ma być bożym stworzeniem. To niezwykle metafizyczne napięcie.

NR: Jaką rolę w takim razie odgrywa pojęcie „rozbitych naczyń”, które także jest częścią luriańskiego mitu o stworzeniu?

AL: Najkrócej rzecz ujmując, w kontekście myśli XX wieku można dostrzec dwa zastosowania dla tej idei. Po pierwsze, u wielu myślicieli żydowskich, takich jak Benjamin czy Derrida, pojawia się myśl o rozproszeniu świata, o tym, że świat jest rzeczywiście efektem

rozbitcia naczyń. Po drugie jednak można tę ideę odnieść także do kondycji tradycji żydowskiej: to ona jest dziś jak rozsypany worek, jak rozbite naczynia. To naznacza ją oczywiście szczególną niepewnością, ale też nadaje jej rozmach i bogactwo.

NR: Dzięki wybranym przez Ciebie sylwetkom filozofów próbujesz na różne sposoby przybliżyć ideę *tszuwa*, czyli powrotu ze źle wybranej drogi.

AL: Tak, *tszuwa* jest kluczowym pojęciem w tej tradycji i ma decydujący charakter dla wielu bohaterów mojej książki, w bardzo różnych znaczeniach: skruchy, odpowiedzi, ponownego zwrotu ku temu, co ważne. Bogactwo tego pojęcia było dla mnie jednym z ważniejszych odkryć podczas pisania tej książki. Jeśli pojęcia stworzenia, objawienia i zbawienia tworzą główne punkty konstelacji, której starałem się trzymać, to w trakcie pracy okazało się, że do tego gwiazdozbioru należą też nieco mniej widoczne, ale chwilami może nawet istotniejsze pojęciowe gwiazdy, takie jak idea pokoju, cudu, sprawiedliwości, zwłaszcza zaś właśnie *tszuwa*.

NR: Wydaje mi się, że z rozmysłem „wyciszasz” problem Zagłady. Dlaczego?

AL: To prawda. Jest to jedna z rzeczy, którą zapewne można mi zarzucić. Zagłada jest oczywiście najważniejszym faktem społecznym w XX-wiecznej historii Żydów. To jednak, czy jest podstawowym faktem filozoficznym, jest już kwestią sporną. Zależało mi, aby nie przycisnąć myśli żydowskiej kamieniem Zagłady. Nawiązując znów do figur astronomicznych, którymi chętnie posługiwali się Benjamin i Rosenzweig, powiedziałbym, że Zagłada działa często na filozofów jak czarna dziura, która zasysa całe ich myślenie, nieskończenie je osłabiając. Tak jest choćby w przypadku jednego z moich bohaterów, Emila Fackenheim, który postanowił się z tą czarną dziurą zmierzyć. Jego podstawowe dzieło, *To Mend the Word*, odznacza się w początkowych partiach wielką maestrią i finezją intelektualną, kończy

się jednak czymś, co ociera się o toporny szowinizm, a powodem jest tu właśnie zorganizowanie całego wywodu wokół Zagłady. Problem Zagłady jest intelektualnym polem minowym, a ja nie czuję się na siłach na nie wchodzić.

NR: W porównaniu z problemem Zagłady, bardzo dobrze czujesz się w dywagacjach nad figurą języka i wieży Babel.

AL: Ponieważ żydowskie objawienie ma charakter językowy, filozofia żydowska jest fascynującym zasobnikiem różnych koncepcji języka. Językowe znaki i ślady transcendencji muszą być w tej tradycji naznaczone paradoksem tym samym, który ukazuje idea *cimcum*: Bóg wycofał się z tego świata, wszystkie znaki, które do niego odsyłają, muszą więc mieć charakter złamany, rozbity. Niektórzy myśliciele, tacy jak Benjamin czy Derrida, łączą to w bardzo zajmujący sposób z rozbiciem wieży Babel. Można to zresztą wiązać także z rozbiciem tej tradycji, z pomieszaniem żydowskich języków.

NR: Pośród myślicieli żydowskich w Twojej książce pojawia się postać Jacques'a Derridy. Co chciałeś osiągnąć, poprzez rozbicie kategorii teologicznych za pośrednictwem „strzykawki z zawartością dekonstruktywizmu”?

AL: Książka istotnie kończy się rozdziałem o Derridzie. Postanowiłem, na próbę, uwierzyć twórcy dekonstrukcji, wziąć za dobrą monetę jego flirty z tradycją żydowską, które nasilają się w jego późnym dziele. Długo patrzyłem na to sceptycznie, wydawało mi się to raczej cyniczną gierką. Dałem się jednak warunkowo przekonać, że jest coś na rzeczy. Kilka fragmentów tych późnych pism autentycznie mnie poruszyło. Pomyślałem wtedy, że nie jest to wyłącznie gra. Postanowiłem pokazać, że Derrida jest prawomocnym dziedzicem tej tradycji, nawet jeśli jego rozwiązania ostatecznie mnie nie przekonują. Jego przykład pokazuje, jak ta tradycja potrafi żyć w rozbiciu.

NR: Z jednej strony mamy dekonstrukcję, z drugiej zaś mocno podkreślasz wpływ marksistowskiego materializmu na tę tradycję. Jaka jest relacja materializmu do kategorii teologicznych?

AL: Ten wątek rzeczywiście pojawia się w wielu rozdziałach. Spora część „heretyków” tej tradycji flirtowało z herezją XX wieku, jaką był marksizm. To jest swoiste igranie z ogniem, Benjamin, Bloch, Adorno czy Derrida są z pewnością uczniami czarnoksiężnika.

NR: A kto jest czarnoksiężnikiem?

AL: Nie chciałbym ciągnąć tego wątku, bo zacząłbym wtedy uprawiać demonologię. Demony demonami, wydaje mi się jednak, że ci obywatele mają swoje miejsce w świecie myśli żydowskiej, nie tyle pomimo swego marksizmu, ile między innymi za jego sprawą. Nie traktuję ich jako zagubionych owieczek, które trzeba zawlec na łono tradycji. Trzeba umieć dostrzec życie tradycji, które toczy się w rozbiciu i dzięki rozbiciu, nawet jeśli równocześnie takie rozbicie wprowadza intelektualny zamęt, a ludzie, którzy eksperymentują z dala od tradycji, czasem naprawdę pakują się w kłopoty. Tradycjoniści też padają często ofiarą demonów, choć innego autoramentu.

NR: A jaką rolę w takim razie odgrywa u tych myślicieli marksizm?

AL: Marksizm jest dla nich między innymi sposobem na utrzymywanie swojej współczesności i świeckości, na bycie człowiekiem niereligijnym, podtrzymującym swoją racjonalność i oświeceniowość, krytyczną umysłowość. Zarazem marksizm poddaje się różnym interpretacjom, jest cały w ruchu, w pewnych punktach może zatem wchodzić w kontakt z teologią.

NR: Przecież marksizm Derridy nie jest zdekonstruowany, lecz ściśle powiązany z mesjanizmem.

AL: Mesjanizm ma tu rzeczywiście decydujące znaczenie, nie tylko dla Derridy. Ci myśliciele sądzili, że

na gruncie marksizmu, jego krytycznego racjonalizmu powiązanego z dążeniem do sprawiedliwości, da się odnaleźć punkt, w którym styka się racjonalizm oświeceniowy i to, co oni chcą podskórnie, półświadomie zachować z tradycji żydowskiej, a często jest to właśnie moment mesjański.

NR: I może wtedy można w marksizmie odnaleźć mesjańską iskrę?

AL: Być może. W tym sensie naprawdę nie deprecjonowałbym tych poszukiwań. One są często politycznie pomyłone, czasem katastrofalne, u takiego Blocha owocują moralnymi deformacjami, takimi jak, na pewnym etapie, poparcie dla stalinizmu. Bloch, znów jako swoiste *memento*, wypada chyba ostatecznie najgorzej z tego towarzystwa. Równocześnie pasował mi do pełni obrazu, pozwalał pokazać, co się dzieje, kiedy spróbuje się niedialektycznie nałożyć na siebie marksizm i gnostycko-apokaliptyczny mesjanizm. Benjamin i Adorno próbowali robić to w sposób nieco subtelniejszy, choć też niekoniecznie udany. Ogólnie jednak wszystkie te próby wydają mi się ważne. Na takich stykach dzieje się ta tradycja, choć oczywiście nie wyłącznie. W żadnym razie nie chciałbym wyrzucać do śmieci myślicieli ortodoksyjnych, takich jak Leibowitz czy Soloveitchik, to byłby absurd. Bez nich nie rozumiemy dokładnie, co właściwie robią ci heretycy, walcząc o dziwne rzeczy. To, co próbowałem zbudować, to konstelacja trzynastu postaci, które czasem są skrajnie od siebie odległe, ale ich koncepcje oświetlają się nawzajem.

NR: Nie sądzisz, że kolejnym magnesem spajającym te postaci jest, o dziwo, halacha, choć niekoniecznie w sensie Szulchan Aruch, w sensie kodeksowym?

AL: Tak, coś w tym jest. Można to chyba ująć inaczej – w taki czy inny sposób są to wszyscy myśliciele mesjańscy, choć nie w sensie nieskończonego oczekiwania czy chrystologicznego cierpiętnictwa. To myśliciele, którzy uważają, że ze światem jeszcze nie wszystko jest w porządku, że wymagane jest spr-

wiedliwe działanie mesjańskie. Bycie człowiekiem to dla nich wypełnianie pewnego moralnego zadania.

NR: Które może choćby polegać, jak u Benjamina, na byciu tłumaczem?

AL: Zadanie ma charakter moralny, nawet jeśli przybiera dziwną postać, jak zadanie tłumacza. To wstępując na ścieżkę tego rodzaju działań, próbujemy dokonać aktu *tszuwa*. Dzięki temu nawiązujemy kontakt z tym, co najważniejsze, odpowiadamy na wezwanie. *Tszuwa* to właśnie odpowiedź na wezwanie. Cięży na nas odpowiedzialność, i to przeświadczenie możemy właśnie zauważyć u tej trzynastki. Ci myśliciele na różne sposoby przepracowują tę samą ideę – niezależnie od sfer, w których myślą, i stopnia, do jakiego wiążą nasze zadanie z halachą dosłownie rozumianą – z Szulchan Aruch. Wszyscy mają poczucie, że kontakt z tym, co najważniejsze, nawiązujemy, czyniąc to, co należy.

NR: W Twoich ujęciach żydowskiej filozofii XX wieku wymyka się Erec Izrael. Czy w zamierzony sposób oddaliłeś statek z Teodorem Herzlem na pokładzie? Przecież jest to kwestia ściśle połączona z mesjanizmem i objawieniem.

AL: On gdzieś pływa po obrzeżach, ale jest oddalany z podobnych powodów, dla których Zagłada nie jest tutaj tak silnie obecna. Zapewne jest to jakiś parnasizm tej książki, że ona abstrahuje od takich wydarzeń, jak Zagłada czy powstanie państwa Izrael. Ale ta kwestia jest mimo wszystko obecna, choćby w rozdziale o Leibowitzu – problem wiary bezinteresownej w warunkach państwa żydowskiego był jednym z najważniejszych problemów intelektualnych, z jakimi on się borykał. Kwestia ta pojawia się też u Scholema, który był syjonistą, lecz dbał o to, żeby odróżniać syjonizm od mesjanizmu, a negatywnie u takich ludzi, jak Cohen czy Rosenzweig, którzy sformułowali mocne, dopełniające się argumenty przeciw syjonizmowi. Problem państwa żydowskiego, samego faktu istnienia takiego centrum, jest zresztą cały czas obecny w pytaniu: co to znaczy być narodem wybranym?

NR: Dzięki Rosenzweigowi posługujesz się przykładem modlitwy *Szema Jisrael* jako bezwarunkowego oddania się Bogu. W modlitwie, którą przywołujesz, nie mamy wpływu na rzeczywistość, lecz w wymiarze geopolitycznym tak.

AL: To jeden z powodów, żeby nie mieszać polityki państwowej z ideą mesjańską – poza tym najważniejszym powodem, że takie pomieszanie prowadzi do pychy i przemocy. Rzeczywiście realizowanie mesjańskiego zadania człowieka – a taki jest zapewne najprzyzwoitszy sens tej dość kuriozalnej idei, że jest się częścią narodu wybranego – uzależnia nas zawsze od więzi z transcendencją, więzi, którą ustanawia tak czy inaczej pojęte objawienie. Jest tu zatem pewien moment zakwestionowania autonomii człowieka, w tym sensie, że wezwanie jest od nas wcześniejsze. Ale – i co do tego żaden z tych myślicieli nie ma wątpliwości – to oczywiście my jesteśmy całkowicie odpowiedzialni za odpowiedź, za to, jak wykonujemy zadanie, które na nas nałożono. ◀

Natalia Romik

(1983), studentka politologii na Uniwersytecie Warszawskim, dwukrotna stypendystka Freie Universität w Berlinie. Współzałożycielka warszawskiej Synagogi Reformowanej. W 2006 organizatorka w berlińskim Centrum Judaicum międzynarodowej konferencji dotyczącej instytucji Żydowskiego Społeczeństwa Obywatelskiego. Zaangażowana w bytowski projekt: *Architektura intymna, architektura porzucona*. Autorka video *Tego tu nie ma*. Zrealizowane wystawy (jako kurator): *Synagogi Z(a)mina, Dotleń się* Joanny Rajkowskiej. Od dwóch lat związana z warszawskim biurem architektonicznym.

Adam Lipszyc

(1975), pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Zajmuje się filozoficznymi konsekwencjami psychoanalizy i dwudziestowieczną filozofią żydowską, zwłaszcza myślą Waltera Benjamina. Ostatnio wydał książkę *Ślady judaizmu w filozofii XX wieku*.

Obrzędy widziane z ukosa

O *Innej obecności* Małgorzaty Dziewulskiej



WERONIKA
SZCZAWIŃSKA

„Kiedy przemija nowy język, rozgrywa się dramat powrotu do martwych form, z którego może uratować tylko kolejny wysiłek budowy nowego języka”¹ – pisze w swojej najnowszej książce Małgorzata Dziewulska. Wydaje się, że to stwierdzenie,

dotyczące artystów teatru, mogłoby stać się związłą wykładnią postawy krytycznej zaprezentowanej przez autorkę *Innej obecności*. Szczupły tom dygresyjnych, erudycyjnych esejów wydany w serii Teatru Dramatycznego prezentuje nie tylko próbę nowego rozpoznania zjawisk uznanych już za klasyczne, a przez to spetryfikowanych, ale także próbę stworzenia nowego języka opisu. Języka sytuującego się niejako „ponad podziałami” – poza perspektywą estetyzującą, wściekle broniącą autonomii dzieła sztuki, a jednocześnie wymykającego się mechanicznemu stosowaniu odkryć teoretycznych. Aby powstał nowy język, trzeba jednak spojrzeć wstecz, spróbować zrozumieć zawiłe rysy kulturowej konstelacji.

Książka Dziewulskiej to przede wszystkim mozaika wątków i nieoczywistych, nieprostych powinowactw. Jej bohaterami są artyści i twórcy pozornie

zbyt dobrze znani, starsi i młodszy mistrzowie. Pojawiają się tu: Tadeusz Kantor, Jerzy Grzegorzewski, Konrad Swinarski, Jerzy Jaroński, Krystian Lupa, Krzysztof Warlikowski czy Klaus Michael Gruber. Druga część *Innej obecności*, poświęcona pisarzom i publicystom, przywołuje m.in. postaci Zbigniewa Herberta, Sławomira Mrożka, Jana Błońskiego. Dziewulska zdaje się proponować czytelnikom swoistą zabawę w spojrzenie z ukosa – spojrzenie na to, co znane i uznane, zaakceptowane, już nieomal mainstreamowe. To, co na przykład należało niegdyś do awangardy (dzieło Kantora czy Grzegorzewskiego), a teraz zajmuje w kulturalnej świadomości miejsce wygodne, kanoniczne. Dziewulska koncentruje się na rozbijaniu przyzwyczajeń, jej projekt to szeroko zakrojona wizja tropienia obcości, która jest w nas, w samym sercu wspólnoty i która wspólnotę ową określa. To także zabawa w krytyczne *trompe d'oeil*: ukazane w takiej perspektywie zjawiska zdają się – jak w Kantorowskim *Wychodzę z obrazu* – podejmować ucieczkę z tradycyjnie rozumianego pola sztuki.

Co wyznacza fundament, wspólną bazę tych krytycznych poszukiwań? Oczywiście tytułowa „inna obecność”, złożony autorski koncept (na marginesie: książka pełna jest sformułowań, które w zasadzie same w sobie są konstrukcjami filozoficznymi, jak na przykład „ziewająca pustka”). „Inna obecność” to, na poziomie podstawowym, przejawy konstruowania odmiennej podmiotowości – słabej, jak gdyby wykołonej, niepełnej. Podmiotowości nieostrej,

1. Małgorzata Dziewulska, *Inna obecność*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2009, s. 115.

poddawanej nieustannej akrobatyce ontologicznej. Negatywnej, ale paradoksalnie, pozostającej w ciągłym ruchu. Oczywiście jest to, że patronem „innej obecności” jest nie kto inny, tylko Gustaw-Konrad, Mickiewiczowskie widmo. A także Hamlet, znany nam świetnie książkę, który – jak uzmysławia dobitnie druga część książki – obdarzony jest tożsamością niewiele się od widma różniącą.

■ Tak podana definicja nie wyczerpuje jednak bogactwa konceptu. Książka Dziewulskiej traktuje także o innej obecności przywoływanych twórców w naszej pamięci i refleksji. O innej obecności postaci scenicznej, wykołowanej poza obszar tradycyjnej reprezentacji i teatralnej struktury. Wreszcie – o zajęciu innej pozycji względem tematów, które rozpalają naszą wyobraźnię społeczną. Można także wymienić dalej: to inna obecność w przestrzeni doraźnej (fizycznej, miasta, teatru) i mitycznej. Inna obecność we wspólnocie.

■ Książkę otwiera rozdział poświęcony Konradowi Swinarskiemu i jego wizji nigdy niezrealizowanego *Hamleta*. Dziewulska pisze o reżyserze, używając pojęcia „klimat słabości”, które oddawać ma jego szczególną taktykę polegającą na nieinwazyjnym uruchamianiu aktorów. Artystyczna „inna obecność” Swinarskiego łączy się z jego ostatnią pracą, eksplorującą wybiegi, jakie słabe „ja” stosuje w obliczu dworu, konwencji, tego, co Dziewulska określa mianem Lewiatana. To analiza zwodniczych strategii, jakie prowadzi książkę – błaznujący, nieuchwytny, oscylujący pomiędzy tragedią a cyrkową bufonadą.

■ Dramatyczne napięcie książki Dziewulskiej przebiega na podobnej osi, pomiędzy ruchem a petryfikacją. Widać to już w samej strategii pisarskiej. *Inna obecność*, zgodnie z prawami eseju, prezentuje kapryśną obfitość metodologii. Klasyczna, wnikliwa analiza spektaklu sąsiaduje tu z elementami biografistyki; odniesienia do filozofii i teorii sztuki mieszają się z rzetelnie przywołanym kontekstem historycznym – dozwolona jest każda metoda, która dostarczy klucza do pozornie domkniętego już dzieła. Na osobną uwagę zasługuje niewątpliwie podwójna perspektywa, jaką posługuje się autorka książki. Małgorzata

Dziewulska jest nie tylko znakomitą teoretyczką i wnikliwym widzem, ale także praktykiem teatru. Jej rozważania zawsze osadzone są w uważnym, rzemieślniczym postrzeganiu dzieła teatralnego. Widać to szczególnie w brawurowym rozdziale poświęconym inscenizacji *Dziadów* w Teatrze Studio, które nazywa „poematem architektonicznym”, drobiazgowo analizując rolę przestrzeni.

■ Dramat rozgrywa się tu pomiędzy tym, co indywidualne, a tym, co konwencjonalne, procesem pamięci a jej martwą kliszą, procesami wspólnoty a jej skodyfikowanym wyobrażeniem o sobie. Toposy, *lieux communs* odgrywają w wywodzie rolę decydującą. Opisywana przez Dziewulską „inna obecność” to nieustanny slalom prowadzony przez artystów, którzy nawiązując głęboki kontakt z tradycją i miejscami wspólnymi danej grupy, usiłowali jednocześnie otworzyć szczelinę subwersji pomiędzy tym, co zbiorowe, a tym, co indywidualne, dokonać przesunięcia w polu symbolicznym.

■ Szczególnie brawurowo zostało to zilustrowane w rozdziale poświęconym Jerzemu Grzegorzewskiemu. Jego dwie inscenizacje *Dziadów* przynoszą, w ujęciu Dziewulskiej, zastanawiający obraz złamanego obrzędu w stanie impasu. Reżyser zerwał ze wszystkimi przyzwyczajeniami widzów – zamiast zaangażować ich, odepchnął. Multiplikował postaci, łamał melodię wiersza, dystansował się. Analiza przeprowadzona przez autorkę wskazuje na fakt, że być może ta „inna obecność” *Dziadów* nie była jedynie ekscentrycznym gestem artysty posądzanego nieustannie o hermetyzm i artystostwo, ale dojrzałym wyjściem naprzeciw problemom wspólnoty. *Dziady* Grzegorzewskiego, realizowane niedługo po wielkiej politycznej transformacji, komentują krach mitów, kreują obrzęd impotentny, wskazują na załamanie tożsamości. Osobiste staje się polityczne.

■ Śmierć obrzędu, śmierć mitu może zaskakiwać w książce, której patronuje niewątpliwie ontologiczna perspektywa *Dziadów* – a w rezultacie cała wielka tradycja romantyczna. *Inna obecność* to książka-palimpsest, w której zapisane są powikłane związki twórców z romantyzmem, przemiany romantycz-

ných toposów, ich odmienna żywotność. Teatralne wywoływanie duchów, obecne właściwie u każdego z twórców, podporządkowuje ich paradygmatawi *Dziadów* – jednak bardzo często figlarnie, a *rebours*. Wspólnota budowana jest nie poprzez utożsamienie, ale poprzez dystans.

■ Znakomitym przykładem takiego zjawiska jest partia tekstu poświęcona Krystianowi Lupie w Pałacu Kultury. Dziewulska zestawia przemiany jego teatru z tożsamością miejsca, Warszawy i budynku. Arcydzieło reżysera, *Wymazywanie* opowiadające o rozliczeniach z faszyzmem, nieoczekiwane zaczyna pobrzmiwać wywoływaniem duchów całkiem polskich, w nawiedzonej przestrzeni Pałacu.

■ Książka Małgorzaty Dziewulskiej wydaje się bardzo odległa od tradycji teatralnej, która wywodzona jest najczęściej z Mickiewiczowskiego obrzędu, ze święta zmarłych. Daleko tu do uniwersalizmu polskiego „teatru Dionizosa”. Opisywani tutaj artyści traktują romantyzm jako coś wspólnego i obcego zarazem; bliżej im do ducha powierzchni niż ducha przemiany. A jednak odprawiają obrzęd po swojemu – w ścisłym zderzeniu z mitem (już osłabłym) i historią. Na marginesie zauważyć można, że *Inna obecność* wykazuje pewne podobieństwa do starszej, znakomitej książki Zbigniewa Majchrowskiego *Cela Konrada. Powracając do Mickiewicza*. Mitotwórczy potencjał wspólnoty analizowany był tam na przykładzie kolejnych inscenizacji *Dziadów* w poszczególnych dekadach – ze szczególnym uwzględnieniem sposobu, w jaki podawana była Wielka Improwizacja. Dziewulska, stosując odmienne środki, podąża podobnym tropem – śledząc historyczną zdolność oddziaływania romantycznych widm, powidoków.

■ Książka Dziewulskiej w oryginalny sposób wpisuje się w wyrazistą tendencję, jaką można zauważyć ostatnio w polskim teatrze i towarzyszącej mu refleksji krytycznej – dominację dyskursu pamięci. Teatr, określany przez Marviną Carlsona mianem

maszyny pamięciowej², jest coraz częściej polem potyczki z taką szczególną odmianą pamięci, jaką jest pamięć historyczna. *Inna obecność* w przewrotny sposób koncentruje się na tych twórcach, których praca jest w istocie operacją na szeroko rozumianej przeszłości zbiorowej i zbiorowej pamięci, jednak nigdy nie dotyka ich wprost. Można uznać, że to prawdziwe przykłady sztuki angażującej – używając pojęcia wprowadzonego przez Pawła Mościckiego³ – polityczne, lecz nie rezygnujące z tego, co odróżnia sztukę od innych form refleksji.

■ Działania w pamięci dotyczą też recepcji, jakiej dosłużyli się poszczególni artyści. Dziewulska podważa na przykład podstawowe założenia towarzyszące recepcji dzieła Kantora, prowokuje do innego myślenia o Gombrowiczowskim *Ślubie*. Przewrotnie analizuje spektakl *Krum* w reżyserii Warlikowskiego – tam, gdzie krytyka dopatrywała się przełomu w pracy *enfant terrible* polskiego teatru, minorowego tonu elegii, Dziewulska widzi Agambenowską technikę profanacji, świat rytuałów wynaturzonych i reżysera perfidnie zastawiającego pułapkę na widza.

■ *Inną obecność*, poświęconą przecież sztukom performatywnym i ich krytycznej recepcji, można rozumieć jednak jako książkę nie tylko o teatrze. Wydaje się, że tu tkwi szczególna siła Małgorzaty Dziewulskiej – pisząc o przedstawieniach, diagnozuje tak naprawdę ukryte mechanizmy kultury, rozsiewa tropy, które układają się w swoją panoramę. Mit, obrzęd, wspólnota, podmiot zyskują tu rozmaite znaczenia. Strategia pisarska autorki *Innej obecności* opiera się na prostej, acz nieoczywistej zasadzie. Sztuka traktowana jest tu nie jako zbiór dzieł estetycznych, pięknych zjawisk wymagających kontemplacji. Jest praktyką, działaniem usytuowanym na przecięciu wielu społecznych aktywności, ich produktem, dzieckiem swojego czasu. Wydaje się, że Dziewulska mogłaby tu zgodzić się z Griseldą Pollock, odmawiającą rozważań nad sztuką w kontekście samej sztuki (owocowałoby to bowiem jałowym

2. Por. Marvin Carlson, *Haunted Stage: The Theatre as Memory Machine*, University of Michigan Press, Ann Arbor 2001.

3. Zob. Paweł Mościcki, *Polityka teatru*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2008.

zamknięciem się w polu spetryfikowanych pojęć⁴. Rozumienie sztuki teatru jako praktyki, praktykowania, złożonego procesu obejmującego poddawane transformacji indywiduum i społeczeństwo, w którym jest ono zanurzone, ma w polskim pisaniu o teatrze bogatą tradycję. Tradycja ta odnosi się jednak do zjawisk uważanych za niszowe lub pograniczne, eksperymentalne, przekraczające tradycyjne ramy uczestnictwa. *Inna obecność* dostrzega tę procesualność także u artystów głównego nurtu.

■ Zaskakujący jest natomiast fakt, że na kartach książki w żadnej z głównych ról nie pojawiają się kobiety. Brak tu artystek, krytyczek, pisarek. Można wskazać na pewne powinowactwo z inną niedawną publikacją – książką *Aniołom i światu widowisko*

Tadeusza Kornasia. Autor, z uwagą tropiący tradycję duchowości w polskim teatrze, także podąża tropami romantyzmu – śledzi dzieło wielu artystów, z rozmaitych „szkół” i pokoleń. W przywoływanej książce kobiety również nie wydają się pasować do romantycznego paradygmatu i jego powidoków. Być może jest to kolejny trop, który pozwoli nam po raz kolejny zerknąć z ukosa na obrzędy wspólnoty – po wielkiej lekcji, jakiej udziela *Inna obecność*. ◀

Weronika **Szczawińska**

(1981), studentka Wydziału Reżyserii Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie i doktorantka w Instytucie Sztuki PAN, współpracuje, m.in. z Teatrem im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

4. Por. Griselda Pollock, *Vision and Difference*, Routledge, London 1988.

Arystokratyczny liberalizm obcych



MARCIN BĄBA

Cóż łączy stoickiego filozofa czy mędrca, chrześcijanina z kościoła pielgrzymującego wieku czwartego, ubóstwiającego naturę Thoreau i genialnego naukowca Feynmana? Co wiąże postacie odległe w czasie o ponad dwa tysiąclecia i zamieszkujące

różne kontynenty? Frapującą, acz jednocześnie prostej odpowiedzi udziela Andrzej Waśkiewicz w książce *Obcy z wyboru. Studium filozofii społecznej*. Otóż ich prawdziwa ojczyzna jest nie z tego świata, ich ojczyzna nie zna granic nakreślonych na znanych nam mapach, znajduje się „ponad” lub „poza” codziennym życiem i krzątaniem wokół spraw ziemskich. Prawdziwa ojczyzna to niewidzialna wspólnota o charakterze duchowym, „aksjologia, porządek wartości, wyznacza tu granicę między tym, co swoje, i tym, co obce, oraz kształtuje szczególną postawę i pozycję społeczną” (s. 9)¹. Bohaterzy książki reprezentują cztery sfery duchowości człowieka: filozofię, religię, naukę i sztukę. Zasady, którym się podporządkowują, to odpowiednio: rozum przenikający Wszechświat, przykazania Boga, etos uczonego, który dąży do zrozumienia świata, oraz życie zgodnie z naturą (Thoreau przyjmuje role: „naukowca, który bada Naturę, pisarza, który ją przedstawia, i filozofa, który zgodnie z nią żyje, dopełniając się w postaci proroka,

który głosi swojemu ludowi odrzuconą przez niego religię Natury” – s. 185).

■ Prawdziwa ojczyzna jest dostępna dla każdego, jej zasady i prawa nie stawiają wygórowanych żądań. Zazwyczaj nie oczekuje męczeństwa z jednej strony, ani prozelityzmu z drugiej. Jednakże granice istnieją, jedną z nich jest konflikt między pryncypiami prawdziwej ojczyzny a regułami kierującymi postępowaniem ludzi we wspólnocie ziemskiej. Feynman, już po udziale w projekcie stworzenia bomby atomowej, kierując się „polityką unikania Waszyngtonu” (s. 257), będzie odmawiał zaangażowania w przedsięwzięcia organizowane przez rząd amerykański. Drugi przykład nieprzekraczalnej rubieży to próby zmiany świata, choć niewątpliwie zdarzają się obcy rewolucjoniści. Innymi słowy prawdziwa ojczyzna nie wymaga całkowitego porzucenia świata ziemskiego, ale jedynie obcości względnej. Jej granice mogą przekroczyć wszyscy, zaś prawo udziału w niewidzialnej wspólnocie otrzymuje się dzięki wolnemu wyborowi. To pierwszy wymiar liberalny związany z obcością analizowaną przez Waśkiewicza. Jedy-
nym warunkiem jest dokonanie konwersji, również w etymologicznym znaczeniu tego słowa, to znaczy odwrócenie się od społeczeństwa i podjęcie wyprawy na jego peryferie. Dobrowolność jest również jedną z najważniejszych cech odróżniających omawianą obcość od jej potocznego rozumienia, a także od obcości spotykanej w nowoczesnym mieście. Ów specyficzny status obcego przyznajemy sobie sami, nie jesteśmy nim stygmatyzowani przez grupę. Druga zasadnicza różnica również dotyczy relacji

1. Andrzej Waśkiewicz, *Obcy z wyboru. Studium filozofii społecznej*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2008, wszystkie cytaty pochodzące z książki znaczone numerami stron umieszczonymi w nawiasach.

ze wspólnotą społeczną. Socjologicznie definiowana obcość podkreślać będzie niepełne członkostwo w grupie, wspólnotę; tymczasem obcość nazywana przez Waśkiewicza transcendentálną, określa pełne członkostwo, w innej, doskonalszej wspólnotie.

■ Dlatego obcy w sensie transcendentálnym nie będzie odczuwał rozdarcia, konfliktu lojalności między ojczyzną ziemską a tą prawdziwą, przez siebie wybraną. Życie na obrzeżach doczesnych społeczności nie będzie źródłem cierpień, zaś siła czerpana z uczestnictwa pozwoli na przetrwanie wrogości płynącej ze strony „zwykłych” obywateli. Wiara chrześcijan umożliwiła im przetrwanie rzymskich prześladowań i przyczyniła się do zdobycia panowania niemalże nad całym światem. W ostateczności obcy opuści nieprzychylnie nastawioną wspólnotę. Z zasady nie będzie ingerował w świat społeczny i polityczny, interesował się ambicjami i hierarchiami zwykłego świata, ale będzie się starał trzymać z daleka od władzy i jej przedstawicieli, gdyż z założenia brak mu do nich szacunku. Żyjąc na uboczu, będzie oczekiwać wyłącznie jednego – świętego spokoju. „Nie ma wobec władzy politycznej żadnych oczekiwań, poza tym jednym, by nie przeszkadzała mu żyć w jego enklawie namiastką tego życia, jakie mógłby wieść w swej prawdziwej ojczyźnie” (s. 396). I to jest drugi liberalny i jednocześnie nowożytny wymiar tej książki: dobre życie i pełnia człowieczeństwa nie wymaga uczestnictwa w sferze politycznej, bycie obywatelem i zaangażowanie w sprawy wspólnoty pozostają zawsze na dalszym planie. Stoicki filozof Marek Aureliusz zasiada jednak na rzymskim tronie, ale rozumie przy tym, że „władza sama w sobie nie daje wolności, a nawet ją zabiera” (s.77) i może wywrządzić poważne szkody душom ludzi ją sprawujących. Natomiast Thoreau odmawia płacenia podatku federalnego w proteście przeciw niewolnictwu i wojnie z Meksykiem, odwołując się do pojęcia sprawiedliwego człowieka, które jest dla niego zdecydowanie ważniejsze niż bycie dobrym obywatelem.

■ Obcych cechuje również szczególny typ indywidualizmu, który należy odróżnić od tego charakteryzującego społeczeństwo indywidualistyczne,

gdzie „nie żyją jednak indywidualiści, ale indywidua – wyemancypowane jednostki, podobne do siebie jak produkty masowej produkcji” (s. 26). Poczucie indywidualności obcego płynie z silnej tożsamości, która jest efektem zanurzenia w prawdziwej ojczyźnie. Obcy nie tylko nie będzie przyczyniał się do rozwoju i postępu społeczności dzięki opisanym przez Milla *experiments in living*, ale również jego indywidualność nie doprowadzi do rozpadu więzi społecznych, co indywidualizmowi zarzucał Tocqueville. Indywidualność obcego jest poświęcona i przeznaczona prawdziwej ojczyźnie, co nie przeszkadza pozostawać „oryginałem”. Feynman potrafił pójść na bal kostiumowy przebrany za Boga czy spędzać wolny czas w nocnych klubach, „zadając [się] z barowymi «ćmami» i nie gardząc towarzystwem ludzi wchodzących w konflikt z prawem – nawet pomaga im w opresji” (s. 283).

■ Obcość transcendentálna, prawdopodobnie po raz pierwszy opisana przez Waśkiewicza (z pewnymi inspiracjami pochodzącymi z twórczości Simmla), pozwala z innej perspektywy spojrzeć na kondycję człowieka. Przełamuje dwuwartościowy sposób postrzegania świata i relacji międzyludzkich. Po pierwsze, obcy jest oddalony od ludzi, ale nie osiąga statusu boskiego, jest zawieszony między tymi bytami, co przeczy arystotelesowskim twierdzeniom, że człowiek poza wspólnotą polityczną może być bogiem lub bestią. Po drugie, obcego nie można wpisać w Schmittowską logikę przyjaciela i wroga. Znajduje się on na uprzywilejowanej pozycji poznawczej, więc jego spostrzeżenia i dzieła mogą być cennym źródłem wiedzy o człowieku i świecie.

■ Zatem z punktu widzenia wspólnoty ziemskiej można obcym postawić zasadne pytania: czy wnosicie do naszej społeczności coś więcej; jaki pożytek, my zwykli ludzie, będziemy mieli z waszej obecności; czy w gruncie rzeczy nie jesteście pasożytami żywiącymi się naszą codzienną pracą? Stoicki filozof mógłby odpowiedzieć, że jest wychowawcą rodzaju ludzkiego; chrześcijański pielgrzym – że głosi Dobrą Nowinę, zaś naukowiec pokroju Feynmana – że jego działalność naukowa może przyczynić się do polep-



szenia warunków życia, chociaż nie będzie brał odpowiedzialności za „społeczne skutki swych odkryć” (s. 260). Bardziej prawdopodobne jest jednak to, że obcy odwróci się od wspólnoty stawiającej mu podobne wymagania, przesunie się na jej odległe rubieże lub, po prostu, nie raczy zwrócić uwagi na przyziemne sprawy pożyteczności.

■ Będzie przez niego przemawiać arystokratyczna wyniosłość, wobec innych będzie się zachowywać wielkopańsko, czasem nawet z arogancją i pogardą jednocześnie. Niczym Thoreau, który powie, że nowojorskie „świnie na ulicach są najbardziej godną szacunku częścią jego populacji” (s. 188). Prawda, że Rousseau naucza Emila taktownego zachowania wobec ludzi, ale jest to takt podszyty pychą i chłodem. Arystokratyzm obcych nie ma nic wspólnego

z ustrojem politycznym opartym na kryterium krwi lub zasług; to specyficzne traktowanie wolności jako „uwolnienie się od swoich własnych słabości, bo do prawdziwej ojczyzny należeć mogą wyłącznie ludzie już wolni: wolni od namiętności, grzechu, wpływów cywilizacji, próżności wynikającej z wysokiego prestiżu i wszystkiego, co sprzeczne jest z prawdziwą naturą człowieka” (s. 401). Obcy z wyboru to typ „panów nie posiadających sług”, w którym splatają się liberalne i arystokratyczne wątki książki. ◀

Marcin Bąba

(1979), historyk idei, doktorant w ISNS UW, przygotowuje rozprawę doktorską o Szekspirze i Machiavellim.

Podbój terytorium faszysty

O *Suchych i wilgotnych* Jonathana Littella



AGNIESZKA JAKIMIAK

*

W latach osiemdziesiątych Richard Rorty wprowadził na scenę filozofii postać liberalnej ironistki. Zajmując nie-metafizyczną pozycję, liberalna ironistka porzuca pragnienie odnalezienia

rzeczywistej istoty i zrywa z postrzeganiem języka jako przezroczystego medium. Daleko jej również od tradycyjnej zdroworozsądkowości, której podstawą jest założenie, że obecny słownik wystarcza do scharakteryzowania wszystkich pozostałych. Ironiści szukają nowych języków opisu i nie uznają jednego słownika finalnego – każdy słownik, którym posługujemy się w danym momencie, może zostać zastąpiony przez inny, korzystający z odmiennych kategorii i słów. Jednocześnie nowy opis nie dąży do odsłonięcia Prawdy (to ambicja metafizyków), lecz łączy się z przekonaniem, że dzięki bezustannemu „stwarzaniu siebie na nowo” stworzymy także najlepszą z aktualnie możliwych jaźni. Dlatego opisywanie wciąż na nowo wiąże się z pozycją „meta-stabilną”, którą Rorty (za Sartre’em) definiuje jako świadomość nieostateczności naszych słowników i ciągłych zmian w nich zachodzących. Liberalna ironistka nie szuka

uniwersalnego języka opisu, ale polega na „umiejętności wyobraźniowego utożsamienia”¹.

Ironizm w rozumieniu Rorty’ego niesie ze sobą oczywiste ryzyko – próba opisania kogoś na nowo wiąże się często z upokorzeniem go; podważa bowiem stare kategorie, dowodzi ich nieskuteczności i ma zdolność kompromitowania dotychczasowego języka. Richard Rorty nie łączy jednak skłonności do upokarzania z liberalnym ironizmem – wprost przeciwnie, wyobraźniowe utożsamienie służy poznaniu alternatywnych słowników i pozwala uniknąć wyrządzenia krzywdy innym.

O ile u Rorty’ego ironizm i upokorzenie pochodzą z dwóch odrębnych porządków, o tyle w *Suchych i wilgotnych* Jonathana Littella oba pojęcia są już nierozzerwalnie związane. Kiedy Littell przygląda się słownikowi Léona Degrelle’a, belgijskiego faszysty i autora książki *Kampania rosyjska*, zbliża się chyba do ironicznego stanowiska postulowanego przez Rorty’ego – przepisuje pozostawione przez oficera pisma, uzupełnia je innymi kategoriami i szuka metody opisu, która rzuciłaby światło na zakurzoną i pełną przekłamań narrację Degrelle’a. Pokazuje także, jak stary język belgijskiego kapitana mógł zostać wykorzystany do stworzenia nowej propozycji – czyli powieści *Łaskawe*, igrającej z całym repertuarem stanowisk wobec Holocaustu. Zarazem jednak próbuje go zdemaskować i obalić – „Właściwym jednak tematem tych rozważań nie będzie polityka Degrelle’a, lecz jego język. «Opowiedzmy prawdziwymi

1. Richard Rorty, *Przygodność, ironia, solidarność*, przełożył Wacław Jan Popowski, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2009, s. 151.

słowami o ich epopei, o walce, o cierpieniu ciał i o odwadze serc» – pisze. Dobrze, spójrzmy, coś takiego mówią nam te prawdziwe słowa. W tekście² – zapowiada na wstępie Jonathan Littell. Krótko mówiąc, pragnie on nie tylko odsłonić to, co w tekście Degrelle’a niejawne, ale dąży również do skompromitowania języka faszysty za pomocą jego własnej broni – pozostawionej przezeń pompatycznej relacji z kampanii rosyjskiej. To największa zaleta, a zarazem największa słabość *Suchych i wilgotnych* – jednak ten problem pozwolę sobie zostawić na koniec.

*

Na początku trzeba zadać sobie pytanie, z czym właściwie mamy do czynienia w wypadku *Suchych i wilgotnych*. Czy *Wyprawa na terytorium faszysty*, którą zapowiada podtytuł książki Littella, to naukowy esej, strukturalistyczna analiza języka Léona Degrelle’a, dekonstrukcja pewnego dyskursu czy literacka kreacja? Wbrew pozorom przywołanie takich klasyfikacji nie jest w tym wypadku jałowe, ponieważ pozwala dostrzec, że Littell po raz kolejny wymyka się szeregowi konwencji i definicji.

■ Już tytuł pierwszego rozdziału wskazuje na zaproszenie do gry – *Moja kampania rosyjska* to parafraza tytułu książki Degrelle’a, w dodatku jednoznacznie zawłaszczająca dzieło faszyzującego autora. Zbliżyliśmy się tu do perspektywy *Łaskawych* – także w tamtym przypadku Littell oddawał głos komuś, kto został go pozbawiony (zatem w powieści podmiot ten istnieje przede wszystkim jako fantazja na temat umysłu faszysty, wyrastająca z całego katalogu współczesnych wyobrażeń o Zagładzie i konwencji literackich z nimi związanych), i także wtedy tworzył dla niego nowy język. W *Suchych i wilgotnych* rozlegają się natomiast echa trawestacji stylu naukowego – wprawdzie analizie „anatomii faszystowskiego dys-

kursu” (taki podtytuł miała pierwotnie nosić książka) pod względem badawczym nie można nic zarzucić, ale wydaje się, że Littell celowo nie porzuca literackiego stylu, który w pewnym sensie usprawiedliwia coraz ostrzejsze puenty dopisywane do fragmentów z tekstu Degrelle’a. Początkowo komentarze są łagodne („Ale Degrelle’a nie interesuje prawda, interesuje go rzeczywistość, jego faszystowska rzeczywistość”³), aby w dalszej części książki zyskać znamiona ciętych ripost („być może do całkowitego przeobrażenia w istotę ludzką zabrakło mu [Degrelle’owi – A.J.] porządnego rżnięcia w tyłek”⁴).

■ W pewnym sensie atak Degrelle’a na Rosjan, a głównie ten rozgrywający się na przestrzeni tekstu, w języku opisu tej walki, nie pozostaje bez odzewu – Littell odpowiada nań, przeprowadzając skrupulatną wojnę podjazdową. W centrum zainteresowań Littella do końca pozostaje bowiem nie analiza behawioralna faszysty czy porównanie faktów z ich interpretacjami dokonanymi przez belgijskiego oficera, ale właśnie analiza jego dyskursu – dyskursu obdarzonego mocą podtrzymania przy życiu. „Pisarstwo, skuteczniejsze od kaukaskich czerpaków, pozwoli Degrelle’owi powstrzymać wody zalewające jego umysł i (...) skanalizować je, pociągnąć za spłuczkę i odprowadzić. Książka odegra też rolę gąbki; Degrelle wyjdzie z tej przygody suchy (...). Po «Ja» choćby potop”⁵ – kończy swe rozważania Littell.

*

Trzeba jednak przyznać, że Léon Degrelle jest dla Jonathana Littella wdzięcznym przeciwnikiem. Podstawowy zabieg w *Suchych i wilgotnych* polega bowiem na zwróceniu ostrza Degrelle’a przeciw niemu samemu. Littell konsekwentnie śledzi pary binarnych opozycji, pojawiające się w *Kampanii rosyjskiej*, i w przestrzeń między „suchym i wilgotnym, sztyw-

2. Jonathan Littell, *Suche i wilgotne. Wyprawa na terytorium faszysty*, przełożyła Małgorzata Kamińska-Maurugeon, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009, s. 22-23.

3. *Ibidem*, s. 45.

4. *Ibidem*, s. 53.

5. *Ibidem*, s. 112.

nym i rozlanym, twardym i miękkim, nieruchomym i rojnym, jędrnym i obwisłym, stojącym i położonym, czystym i brudnym, ugotowanym i surowym, sytym i wygłodniałym, bezwłosym i kudłatym..."⁶ wpisuje to, co może doprowadzić do rozdarcia faszystowskiej struktury rzeczywistości. Umieszczając te binarne rozróżnienia na pierwszym planie, Littell zarysowuje konstrukcję analogiczną do Degrelle'owskiej – tak, aby pokazać, jak faszysta wpada we własne sidła. Staranny (i arbitralny – jak możemy przypuszczać, nie znając pism Degrelle'a) dobór wymownych cytatów, zestawionych na zasadzie przeciwstawnych charakterystyk sztywnego żołnierza oraz gnijącego w błocie wroga, pozwala dostrzec fundamenty faszystowskiego pancerza, zapewniającego przetrwanie tożsamości w obliczu jednoznacznej klęski wojennej. Ta jednostka nie знаła nawet przeczucia dezintegracji – wszelki rozpad projektowała poza siebie, utrwalając własną nienaruszalność.

Eksterytorializacja wszystkiego, co mogłoby naruszyć pancerz faszysty, to gest równie samobójczy, co zabieg wykonany przez Jeana Claira w książce *De Immundo*. Tytuł ten warto przywołać z jednego powodu. Krótkie studium Claira – poświęcone degeneracji współczesnej sztuki, krytykujące jej skatologiczne fascynacje, a w końcu zrównujące współczesnych artystów odwołujących się do fizjologii (uprawiających „kult ekskrementów, w którym potwierdza się moc jednostki totalnej”⁷) z „przykładowym ucieśnieniem jednostki totalnej w nowoczesności”⁸, Adolfem Hitlerem – można czytać na wiele sposobów, ale w lekturze trudno pominąć obecność samego autora. Tym bardziej, że Clair konsekwentnie stosuje formę pierwszej osoby liczby mnogiej, która dodatkowo podkreśla autorytarny ton jego refleksji i nie pozwala zapomnieć o piszącym. Jesli by spojrzeć na *De Im-*

mundo nie jak na diagnozę kondycji sztuki, ale jak na autoanalizę Jeana Claira, podmiot piszący obnaży się przede wszystkim jako jednostka obsesyjnie zawładnięta tęsknotą za tradycyjnym ideałem piękna. Clair okazuje się wyznawcą utraconej kalokagathii, który wolałby stracić fekalia poza margines wyrażalności, a epatowanie nimi w dzisiejszej kulturze zdaje mu się tożsame z ukrytym składnikiem analnym estetyki nazistowskiej, „który tylko szuka, żeby się uwolnić”⁹. *De Immundo*, utrzymane w tonie nieznoszącym sprzeciwu i konsekwentne w dyskredytacji wszystkiego, co podważa „obecność formy, *forma, formosa*, pięknej formy”, która „budzi pamięć, a pamięć z kolei kruszy mury, jak w Jerychu, i zapewnia w środku obozu zachowanie człowieczeństwa”¹⁰, aż zachęca do takiej lektury: w poprzek treści zaplanowanej przez autora. Clair nie obawia się, że podział na zło i dobro został ostatecznie unieważniony – jego lęk bliski jest raczej teorii Jeana Baudrillarda, który kategorię przejrzystości zła definiuje jako, jak ujmuje to Grzegorz Jankowicz, „stan przeświecenia zła przez wszystko, co zmierza do jego neutralizacji”¹¹. Przez wszystko, a więc także przez słowa Jeana Claira – a jak pisze dalej Jankowicz, u Baudrillarda „kultura, która nie chce dopuścić zła do głosu, staje się pierwszą ofiarą jej niezapowiedzianego i katastrofalnego powrotu”.

Jonathan Littell w podobny sposób prześwieca tekst Degrelle'a – czytając go pod włos, z założenia na przekór; sprawdzając, czym jest to, co pod uniformem faszysty szuka uwolnienia. Różnica między *De Immundo* a *Suchymi i wilgotnymi* polega na tym, że w drugim przypadku autorem głównej narracji nie jest Léon Degrelle – jego książka została już rozebrana na części pierwsze. Ciekawość budzi przede wszystkim fakt, że Littell poświęca faszystom – postaci uznanej za obcą i całkowicie odrębną od siebie

6. *Ibidem*, s. 33.

7. Jean Clair, *De Immundo. Apofatyeczność i apokatastaza w dzisiejszej sztuce*, przełożyła Maryna Ochab, Słowo/Obraz Terytoria, Gdańsk 2007, s. 82.

8. *Ibidem*.

9. *Ibidem*, s. 85.

10. *Ibidem*, s. 88.

11. Grzegorz Jankowicz, *Dobro złem zwyciężaj*, „Tygodnik Powszechny” 2009, nr 31, s. 41.

– uwagę porównywalną do tej, którą Jean Clair skupia na przedmiocie swojej największej nienawiści, czyli estetyce skatologicznej. Jestem daleka od tropienia w *Suchych i wilgotnych* śladów obecności samego Littella – chodzi raczej o ryzyko związane z przyjęciem perspektywy, w jakiej faszysta zostaje z góry uznany za istotę daleką i całkowicie obcą. Narracja Degrelle’a, w której dramatyczna walka rozgrywa się przede wszystkim między nienaruszalnymi żołnierzami a atakującą ich naturą i agresywną fizjologią, w książce przeplata się z coraz bardziej ironicznym komentarzem Littella. Dzięki temu dystans wobec nazisty, którego działania i motywacje w końcu tak łatwo prześledzić i wyprzedzić, stopniowo wzrasta. Littell nie dąży do „wyobraźniowego utożsamienia” własnego słownika z jego słownikiem. Kieruje się raczej ku upokorzeniu faszysty, osłabieniu figury zbudowanej na chwiejnych fundamentach, a więc w pewnym sensie: na zawładnięciu konstruktem nazisty. A nie taki jest chyba cel Littella. *Suche i wilgotne* nie mają stanowić potwierdzenia tezy, iż faszysta stanowi kulturową i mentalną aberrację, lecz dowodzić rzeczy przeciwnej – że korzenie naszej współczesnej świadomości sięgają także pierwiastka faszyzującego.

*

Nieoczekiwanie obrońcą autora *Suchych i wilgotnych* – przed posądzeniem o marginalizację i wykluczenie dyskursu faszysty poprzez traktowanie tej figury jako uosobionej Inności – okazuje się Klaus Theweleit, autor książki *Männerphantasien* i najważniejszy patron rozważań Littella. Stworzona przez Theweleita teoria faszyzmu stała się główną inspiracją *Suchych i wilgotnych*, ale jak podkreśla Littell, próba przełożenia jej na lekturę pism Degrelle’a służyła także jej weryfikacji. Theweleit kreśli portret faszysty jako człowieka „jeszcze-nie-całkiem-narodzonego”, u którego proces oddzielenia od matki nigdy nie został zakończony – stąd w opisie najskuteczniejsza okazuje się psy-

choanaliza dzieciństwa lub psychozy. Faszysta nie jest jednak psychopata, lecz jednostką, która musi kształtować swoje Ja na zewnątrz, przy wsparciu instytucji władzy (szkoły, wojska) – wyłącznie dzięki tej powierzchownej powłoce jego nieuksztaltowane pragnienia nie wymykają się spod kontroli. Pozornie trwały pancerz kruszeje w momentach kryzysu – wówczas skrywane impulsy faszysty wydostają się na zewnątrz i zaczynają zagrażać granicom jego osobowości. Faszysta, „żeby przeżyć, uzewnętrznia to, co zagraża mu od wewnątrz, a wszystkie niebezpieczeństwa przybierają w jego oczach dwie bardzo blisko ze sobą związane formy: tego, co kobiece, i tego wszystkiego, co płynie” – jak referuje Theweleit Littell¹².

Analiza Klausa Theweleita stanowi podstawę rozważań Johnathana Littella, a *Suche i wilgotne* dodatkowo kończą się posłowiem autora *Männerphantasien*. I być może właśnie to posłowie uwidacznia największą trudność związaną z pewnym typem strukturalnej analizy stosowanej przez Theweleita i kontynuowanej przez Littella. Na podstawie książki Johnathana Littella i w oparciu o towarzyszący jej esej Theweleita można wskazać na dwa niebezpieczeństwa – pierwsze nazwałam powyżej próbą obsadzenia w faszycie wszystkiego, co inne, i poczuciem ostatecznego zwycięstwa nad mechanizmami rządzącymi opisaną figurą; drugie ryzyko wydaje się o wiele poważniejsze. Theweleit, w przeciwieństwie do Littella, nie traktuje faszysty jako konstruktu kulturowego, lecz skłania się ku tezie, że zasady regulujące funkcjonowanie mężczyzny-żołnierza pozostają niezmiennie, a w dodatku są uwarunkowane biologicznie. „«Faszyzm» jest stanem ciała” – stwierdza na koniec – „niebezpieczną materią, która siłą i przemocą dąży do podporządkowania stanu świata stanom własnego ciała”¹³. Problem nie wynika stąd, że takie uniwersalizujące stwierdzenie mogłoby prowadzić do zdjęcia ciężaru odpowiedzialności z ramion sprawców, których skłonności miałyby pełne prawo objawić się w warunkach kryzysowych, a by-

12. Por. Jonathan Littell, *op.cit.*, s. 24-25.

13. Klaus Theweleit, *Posłowie*, [w:] Jonathan Littell, *Suche i wilgotne. Wyprawa na terytorium faszysty*, przełożyła Małgorzata Kamińska-Maurugeon, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009, s. 130.

łyby skutkiem przemocy stosowanej przez instytucje – wątpliwości budzi przede wszystkim produktywność takiej analizy. Przepisanie schematu działania zinstytucjonalizowanego ciała mężczyzny-żołnierza na wszystkich zabójców (Littell przytacza słowa Theweleita, że „każdy człowiek nosi w sobie część tego ciała, ciała mężczyzny-żołnierza – każdy człowiek, albo przynajmniej ci, którzy godzą się przejść do czynów”¹⁴) prowadzi bowiem do wyabstrahowania zbrodni z wszelkich uwarunkowań i kontekstów – a także wiąże się z niejawnym przekonaniem, że język psychoanalizy czy teorii faszyzmu jest czymś więcej niż konstruktem; staje się ponadczasową matrycą, skuteczną przy każdej interpretacji.

Jonathan Littell unika takich radykalnych gestów, w centrum jego zainteresowań nie znajduje się jakiegokolwiek ogólny mechanizm funkcjonowania zbrodniarza. Nie bez powodu koncentruje się na pojedynczym przypadku belgijskiego faszysty i dy-

stansuje się do unifikacji mężczyzn-żołnierzy, sugerowanej przez Theweleita. *Suche i wilgotne* stanowią przede wszystkim preludium do *Łaskawych* – i nawet jeśli w czasie „wyprawy na terytorium faszysty” Léon Degrelle jawi się niczym ciało obce, to za chwilę, w postaci Maximiliana Aue, stanie się figurą głęboko zinterioryzowaną w dwudziestopierwszowiecznej świadomości. W *Łaskawych* faszystowska osobowość powstaje bowiem już nie w oparciu o analizę jednostkowego przypadku, ale stanowi konstrukcję stworzoną z całego katalogu zbiorowych wyobrażeń, oczekiwań, konwencji narracyjnych i fabularnych, projektów historiozoficznych i psychologicznych – słowem, okazuje się naszym niemiłym widzianym dziedzictwem. ◀

Agnieszka Jakimiak

(1987), studentka Kolegium MISH na Uniwersytecie Warszawskim.

14. *Ibidem*, s. 134.

Tekst pt. *Troska o duszę we wspólnocie: „Państwo”*, autorstwa Jana Patočki, który ukazał się w numerze 6/2009 *Res Publici Nowej*, jest opublikowaną wersją przemowy Jana Patočki, która została nagrana na taśmie magnetyczną. Zarówno nagranie, jak i publikacja przemowy zostały przygotowane przez Ivana Chvatika i Archiwum Jana Patočki, za przyzwoleniem Jana Patočki. Przepraszamy za brak stosownej informacji w numerze 6/2009 *Res Publici Nowej*.

Redakcja kwartalnika *Res Publica Nowa* przeprasza Davida Osta za nieścisłości, jakie pojawiły się w jego tekście opublikowanym na łamach naszego kwartalnika [nr 5/2009]. Jednocześnie informujemy, iż poprawiona wersja wspomnianego tekstu dostępna jest na stronie www.res publica.pl

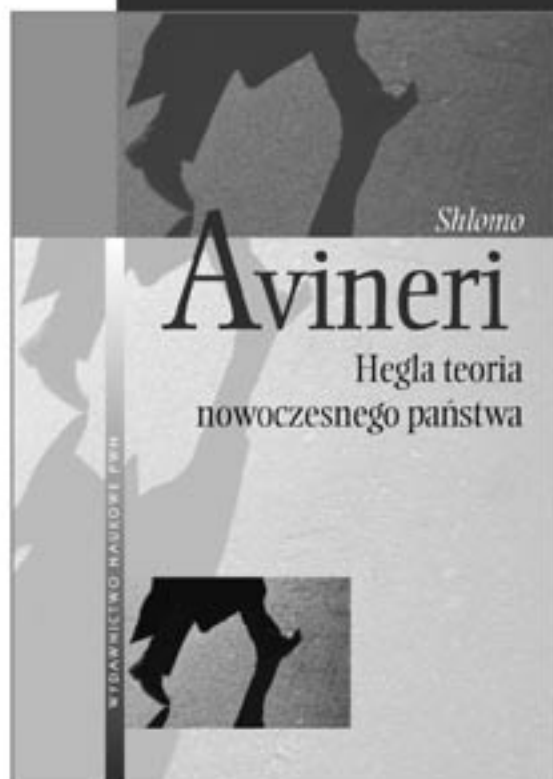
Shlomo Avineri

Hegla teoria nowoczesnego państwa

Hegel's Theory of Modern State

Tłum.: Tomasz Rosiński

Książka jest monograficznym wprowadzeniem do filozofii politycznej Hegla, napisanym przez jednego z najwybitniejszych współczesnych heglistów. Bez znajomości tego rodzaju poważnej, a zarazem bardzo klarownie wyłożonej refleksji trudno dziś zrozumieć takie zjawiska i pojęcia jak nowoczesność, wolność, społeczeństwo obywatelskie, jego kształtowanie i dynamikę. Autor skupia się na analizie rozwoju myśli Hegla, od wczesnych pism teologicznych po dojrzałe dzieła. Nie stroni od krytyki teorii politycznej filozofa, pokazuje chwiejność jego poglądów, lecz jednocześnie podkreśla fundamentalne znaczenie recepcji Hegla dla współczesnej nauki o państwie, prawie i filozofii dziejów.



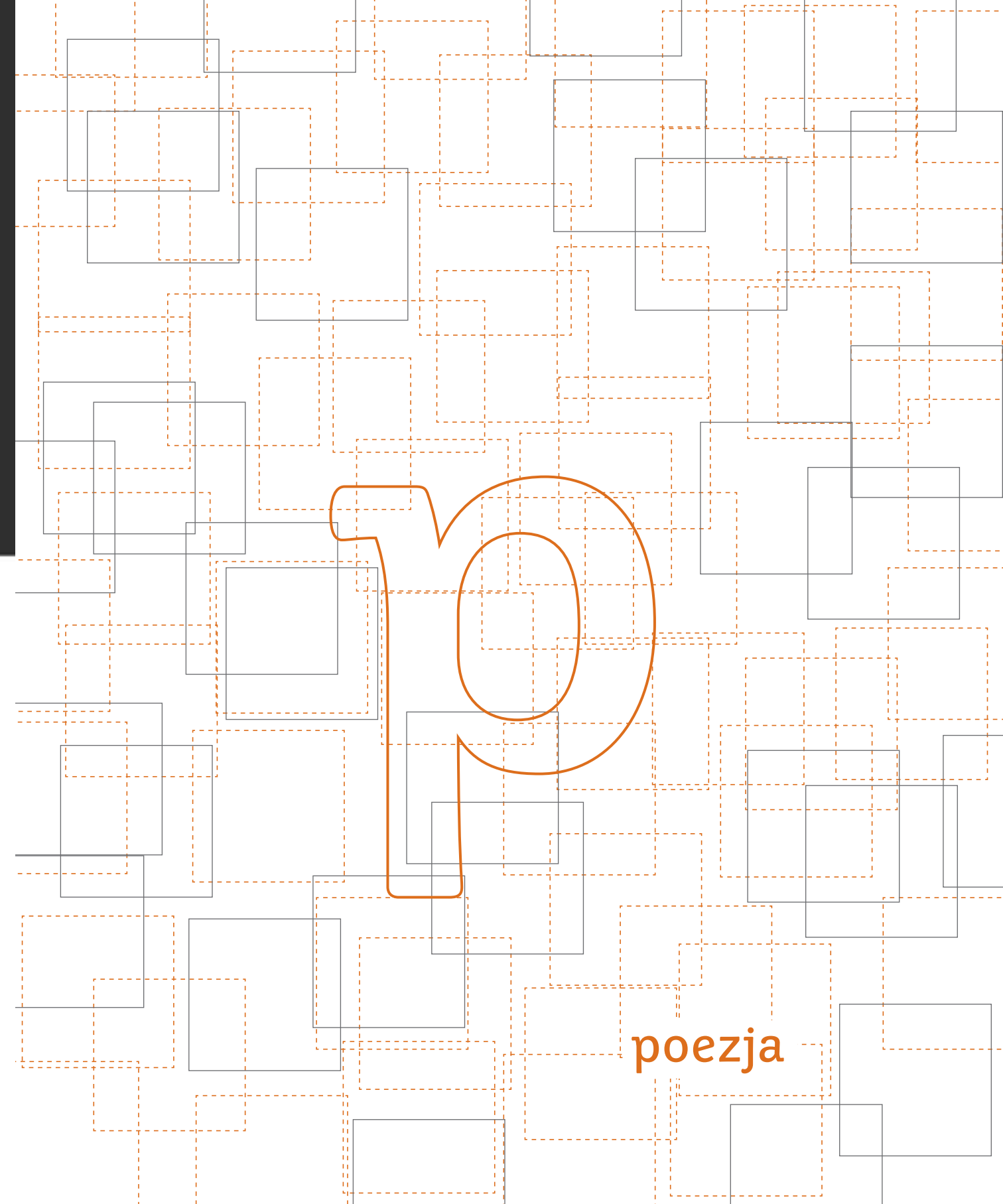
NOWOŚĆ

Shlomo Avineri (ur. 1933, Bielsko-Biala) – filozof, profesor nauk politycznych. Studiował na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie oraz w London School of Economics. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół filozofii społecznej i politycznej Marksa i Hegla; zajmuje się także historią syjonizmu. Silnie związany z różnymi placówkami naukowymi i dydaktycznymi, był dyrektorem Instytutu Badawczego Eshkol, dziekanem wydziału nauk społecznych, dyrektorem generalnym Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a od 1997 r. jest dyrektorem Instytutu Studiów Europejskich na Uniwersytecie Hebrajskim.

POLECAMY TAKŻE:



ZAPOWIEDŹ

The background features a complex pattern of overlapping squares. Some squares are solid light blue, while others are dashed orange. The squares are of various sizes and are scattered across the page, creating a layered, geometric effect. The word "poezja" is written in a bold, orange, sans-serif font in the bottom right corner.

10

poezja

Blisko siebie

PIOTR ŚLIWIŃSKI

1/ Leżą przede mną tomiki poezji oraz kartki z czterema wierszami miłosnymi Adama Wiedemanna i przysłana dziś książka Igora Stokfiszewskiego pod odrobinę niewiarygodnym tytułem *Zwrot polityczny*. Wiersze, także i te wydrukowane przed chwilą, czytałem wcześniej, przed laty, przed rokiem, przed tygodniem, cztery dni temu, wczoraj – i szkice Igora, przynajmniej część, w większości również czytałem. Dlaczego więc ciśnie mi się na usta stwierdzenie: nowe wiersze Wiedemanna, stare artykuły Stokfiszewskiego? Przecież obu panów wyjątkowo cenię i autentycznie lubię.

2/ Wiedemann od początku szukał miejsca znajdującego się poza zasięgiem najpowszechniejszych sposobów bycia literatury polskiej. Stwierdzenie „poeta osobny” to w jego przypadku nie frazes. Ma ono kilka konsekwencji. Śladem swego mistrza, Mirona Białoszewskiego, dążył do przesunięcia uwagi z wartości kolektywnych na jednostkowe. Słusznie uznał, że poetyką, służącą realizacji jego zamysłu, jest poetyka w przebudowie, którą cechuje pozostawanie w ciągłym ruchu, podatność na impuls, świadoma niedojrzałość czy raczej niestabilność. Wybór poetyki, nie polityki.

3/ Pojedynczość to pojęcie wyjątkowo zmistyfikowane. Wszyscy są pojedynczy, osobni, nieprzekładalni na obce języki, niezależni od społecznych obrządków; wszyscy, a zwłaszcza poeci. W praktyce rzecz ma się inaczej, pośród poetów tak samo, jak pośród innych. Także wiersze ostatnich dwóch dekad chodzą stadami – za Wojaczkiem, Świetlickim, Sosnowskim, by wspomnieć największych pasterzy, ale także za Miłobędzką, Zadurą, Pasewiczem, Siwczkiem, Dehnelem, no i oczywiście Wiedemannem. Chociaż fascynacje tradycją, postawą czy konkretnym autorem mogą być twórcze, i takie bywają, to przecież zaobserwować można zjawiska niepokojące

– koczowanie pod ścianami cudzych głosów, wygrywanie swoich małych melodyjek z nadzieją, że zbiegną się z innymi głosikami, by razem zabrzmieć mocno i przekonująco, trzymanie się w cudzym cień. Zagajewski pisał o rozpoznawaniu się „w cudzym pięknie”, można by napisać o życiu „w cudzym cień.”, czyli oportunistycznie podziwu skonstrastowanym z nieustępliwie deklarowaną osobnością.

Pojedynczości wiersza nie da się zadeklarować, całkiem na odwrót – trzeba jej nieustannie zaprzeczać, proponując nową formułę. W przypadku Wiedemanna nie chodzi o wirowanie nowości formalnych. Owszem, katalog znanych mu i wykorzystanych form jest bogaty, a jego inwencja budzi jedynie podziw, lecz ważniejsze jest co innego – stworzenie takiej poetyckiej osobowości, której nie można byłoby okiełznać przy pomocy jakiegoś interpretacyjnego „uchwyty”, zamknąć w poręcznej definicji, spacyfikować wyjaśnieniem. Ach, więc poeta aporetyczny, może lepiej powiedzieć – jak Joanna Roszak o Karpowiczu – apofatyczny... Jeden z nich.

I znowu – to tylko kawałek prawdy. Bo Wiedemann – poeta trudny do objaśnienia – jest przecież poetą rozpoznawalnym, idiomatycznym, jak Białoszewski. Pewne dyspozycje powtarzają się u niego: współbycie ekskluzywności ze swojskością, pomieszanie zdystansowania i familiarności, anegdotyczny i retardacyjny sposób mówienia, spostrzegawczość i brak oznak jakiegokolwiek resentymentu, po wielokroć uchwycona paradoksalność rzeczywistości, lecz wyrażona „cicho” i stroniąca od chęci wzbudzenia w czytelniku silnych, zobowiązujących uczuć, bezinteresowność – w podstawowym znaczeniu. Zauważmy, że właściwości Wiedemannowej poezji są – gdyby je zwizualizować, uprzestrzennić – jak szeroko otwarte bramy, przez które wydostać i dostać mogą się rzeczy i słowa bardzo różne i niespodziewane, a zarazem – dzięki temu, że stanowią elementy ciekawej, oryginalnej kompozycji – nie da się o nich

powiedzieć, że są czymś na wskroś nieokreślonym.

4/ To poezja mocna, chociaż zupełnie niegnoimiczna. Wiedemannowi można by przypisać słynne słowa: „I will not serve that in which I no longer believe whether it call itself home, my fatherland or my church...”, które w jego przypadku – tak jak u Joyce’a – musiałyby znaczyć również niesłużenie ani buntowi, ani prowokacji, ani demaskacji, ani żadnemu dającemu się społecznie używać projektowi bycia artystą. Widać to wyraźnie we wczesnych wierszach poety, które weszły do debiutanckiego *Samczyka* (1996). Nie ma w nich odreagowywania nadmiaru historii, znamienne dla poezji chociażby Marcina Świątlickiego, jest za to endemicznie usytuowany podmiot, jego tylko punkt widzenia i jego etyka, opierająca się na zakazie ulegania pokusom wyręczenia się cudzą, zatem gotową i bezmyślnie przyjętą, perspektywą i mową: „znowu jest wojna znowu są wiersze o wojnie i nawet / śni mi się wojna więc prawie już wiem jak to jest / zginęły mi nożyczki ten cholera Miłosz / otwierał wczoraj wino...” (*Wiersz interwencyjny*).

Bezinteresowność mogłaby zostać odczytana politycznie, na przykład jako nieledwie anarchistyczny projekt poszukiwania miejsc niezagospodarowanych przez publiczne dyskursy. Aby pozostać monadą, byłby poeta nomadą... Przenosiłby swój warsztat tam, gdzie nie dosięga go przymus zbiorowego przeżywania i mówienia językiem wszystkich... Ale to byłby już mniej lub bardziej spójny program, w jego obrębie przygodność, na zachowaniu której tak zależy poecie, traciłaby swój właściwy sens, stając się wyzwaniem czy też rekwizytem potrzebnym do manifestowania autonomii.

Poezja Wiedemanna nie jest funkcją programu, lecz na odwrót – nieskrępowanej przez system założeń i zobowiązań – egzystencji. Dzięki temu osobność nie jest tu fetyszem; stanowi produkt uboczny, by tak rzec, bycia blisko siebie. Wiersz nie służy... oswobodzeniu od potocznego doświadczenia i przekształceniu osobowości w osobistość.

5/ Z tego powodu poezja nie musi sobie niczego zakazywać, w tym wzniosłości, wzruszenia, rozpacz, bólu, myśli, że bycie blisko siebie nie zawsze wystarcza albo bywa nie do zniesienia. Wolno jej przekro-

czyć horyzont metafizyczności. Tak postrzegam wiersze miłosne, bardzo piękne.

6/ Wolno byłoby jej zaangażować się politycznie. Powtarzając w myślach spisy treści kolejnych tomów Wiedemanna w poszukiwaniu wierszy politycznie aktywnych, zastanawiam się jednak, czy koniecznie trzeba wchodzić w skórę Igora Stokfiszewskiego i czy kompletując wiersze polityczne albo upolityczniając teksty z pozoru, jak się okazuje, niepolityczne, nie robimy czegoś, co w końcu strasliwie się na nas zemści: czy nie pozbawiamy się literatury? Bo kto uwolni nas od tyranii pojęć, które do pewnego momentu były nie najgorzej opisywane przez publicystykę i socjologię, lecz odkąd zaczęły interesować pisarzy – wymknęły się spod kontroli zdrowego rozsądku, urosły, zhardtowały, zawinęły pod siebie wartości (piękno?, ironia?), którym czuły się zmuszone okazywać respekt?

Wiedemann świetnie wie, że bezinteresowność literatury bywa w niektórych momentach źródłem jej politycznej potęgi i skuteczności. Ale: nie ma solidarności bez poetyckości.

7/ Igor Stokfiszewski nie pisze o tym, jak literatura jest czy raczej bywa polityczna, lecz każe jej polityczną być i politycznie ją postrzegać. Wskrzesza – straciwszy wiarę? w piękno?, w ironię? – neopozytywizm (określenie Wiedemanna), sięga po język uproszczonej perswazji, dydaktyczny, krzewi uzasadnioną przez okoliczności wyrozumiałość dla ideowego koniunkturalizmu. Chcąc nie chcąc – wywołuje odpowiedniki dzieł w rodzaju *Na prowincji* Elizy Orzeszkowej, do *Płomieni* nie zbliżając się choćby o krok.

I dlatego zarówno dla polityki, jak i przeciw niej wydaje się Wiedemann postacią o wiele ciekawszą od tych, na które wskazuje Igor Stokfiszewski. Wyzwolieliście skutki przynosi jego przekonanie o wszechobecności estetycznego, jest ono terapią wrażliwości zepsutej przez dyskursy i uogólnienia; zadatkem innej polityki. ◀

Piotr Śliwiński

(1962), historyk, krytyk literatury, wykładowca na UAM w Poznaniu. W 2007 roku wydał *Świat na brudno. Szkice o poezji i krytyce*. Entuzjasta i stały autor RPN.

Billie Holiday zabierają czekoladki

Gdyby od rana spotkało mnie coś miłego, być może śpiewałbym weselej.

Lecz to nie takie pewne. Ta kobieta
po prostu nie potrafi śpiewać, wspina się na dźwięki jak Stefania
Woytowicz w swoim najlepszym

okresie, lecz nie jest Stefanią, jest beznadziejną podróbką Elżbiety
Mielczarek, przywiezioną tutaj zza
oceanu i pokazywaną w klatce. Nic nie przeszkadza jej żyć,
a ona mimo to pauzuje.

Gdyby z samego rana spotkało go coś miłego, byłby chory. To nasze
życie jest dla mnie teraz już tylko zadaniem,
które odrabiam skrzętnie albo z wywijasami, bo wciąż zostało mi
trochę fantazji, lecz dzisiaj śpiewam smutno.

Warszawa, 4.5.09

Bóg oczekuje dziecka

Czy dziecko urodzi się nagie? Kto je
potrzyzyma do chrztu? Kto liczy na korzyści
z dziecka? i na jakie? Kiedy będzie można
przytulić się do niego i westchnąć: Nareszcie – ?

Tymczasem cisza bez dna, kłkociny
kończyste tam gdzie miał być
przedsionek innego wymiaru, tymczasem
bezsenne noce w dużym łóżku, wyśmiewanie

się z siebie jako środek przetrwania, ktoś podąża
tą cienką ścieżką i ciągle nie wiesz, czy nie błądzi.
Portfel niewart otwarcia. Żeby wskoczyć
w biegu do autobusu, trzeba się najpierw rozpędzić,

a potem jechać, jechać, wysiąść,
wciąż będąc u siebie w domu.

Warszawa, 6.5.09

Groźba

Pięć palców u każdej ręki ma zarówno kot,
jak i Jolanta Stefko. Jednak porzućmy te
rozważania o palcach, jakkolwiek Irina
dawała się dziś pieścić po każdym paluszku z osobna,

nie była erotyczna, tylko tkliwa. Jak tak dalej pójdzie,
nie ujrysz mnie już trzeźwego. Czuję niebezpieczeństwo
każdym opuszką palca, gdy cię dotykam. Jesteśmy
jak dwa samochody, którym chodzi jedynie o to,

by się bezkolizyjnie wyminąć. Ale czy
przy naszej szosie nie ma przypadkiem drzew? Kto
pierwszy się rozkwasi? Kto nie ma

zapiętych pasów? Twoje palce chodzą
po mnie jak pająk z drewna. Będę cię
kochał, cokolwiek mi jeszcze zrobisz?

Warszawa, 11.5.09

Berlin

W Berlinie byłem wrogiem wszystkiego i wszystkich,
i byłem postrzegany jako osoba uzależniona,
którą istotnie byłem, aczkolwiek to przychodzi
i przechodzi, każdy się uzależnia

od tego, co mu dogadza w danej, darowanej chwili.
Dzisiaj krew z dupy, pierwszy raz sensowna
i wręcz radosna, szczęśliwa, że leci. Czemu rozkosz
jest coraz większa w miarę, jak się ode mnie oddala?

Wrogi system i wrogi poniedziałek, spodnie
leżą w nieładzie, jedne na drugich, wszystko to mnie cieszy
i wszystko, na co spojrzę, cieszy mnie, choć wiem,

że przyszłością jest pizza z chodzącym wyrzutem sumienia,
któremu teraz sprawiłby przykrość nawet uśmiech,
dlatego robię mu zdjęcia na filmie z Berlina.

Warszawa, 13.7.09

Adam **Wiedemann**

(1967), poeta, prozaik, tłumacz, krytyk literacki
i muzyczny; laureat Nagrody Kościelskich 1999,
trzykrotnie nominowany do nagrody Nike. Laureat
Nagrody Literackiej Gdynia 2008 za tom *Pensum*.

*
The wild woman of Borneo. I was once but now its
usually in the 6th dimension. * * *

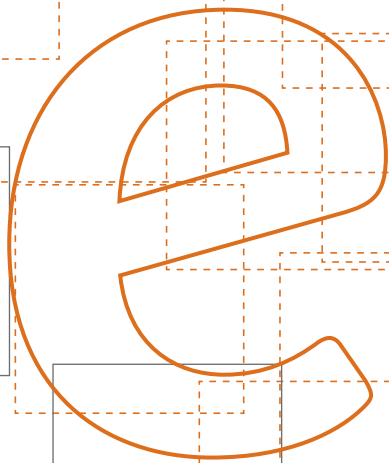
I love my eyes. Deep, they reflect who I
Good little girl from the working class.



Jane Grant.

My youth lies behind this photo.
But it still resides there in
my eyes. * * *

* Mother's eyes and lips. Father's nose. ~ From the genetic
From what gene does the manic depression come? Not.



ekonomia

Sprywatyzować państwo

TOMASZ KASPROWICZ

Kwestia prywatyzacji i własności prywatnej podnoszona była w naszym kraju już niejednokrotnie. Zazwyczaj jednak ograniczano się do dyskusji nad tym, czy była ona złodziejska, czy nie (cokolwiek by to znaczyło). Chciałbym podejść do tej kwestii nieco inaczej i spojrzeć na własność prywatną z trochę szerszej perspektywy. Być może pozwoli to na wyciągnięcie wniosków idących dalej niż odpowiedź na pytanie, czy prywatyzować trzeba, czy też nie warto.

Rozpocznijmy od zastanowienia się, co to właściwie znaczy coś posiadać. Kwestia ta intuicyjnie sprawia wrażenie dość prostej, ale próba jej rozwikłania pokazuje, że wcale tak nie jest. Idea posiadania czegoś na własność wydaje się przypisana człowiekowi. Zwierzęta wykazują bardzo szczątkowe przywiązanie do dóbr materialnych, zapewne głównie dlatego że ich nie potrzebują, a stosowane przez niektóre z nich proste narzędzia można skonstruować z ogólnie dostępnych materiałów. Wyjątkiem wydaje się tu instynkt terytorialny stanowiący odpowiednik posiadania nieruchomości. Z drugiej strony od najmłodszych lat człowiek wykazuje inklinacje w kierunku powiększania swego stanu posiadania. Już kilkuletnie dzieci gotowe są do prowadzenia regularnych bójek, by ustalić, czyja właściwie jest ta żółta gumowa kaczuszka.

Być może idea posiadania wywodzi się z odczuwalnego przez nas dualizmu: jesteśmy duchem i posiadamy ciało. To rozbieżność, charakterystyczne dla wielu religii, mogło wytworzyć w nas przekonanie, że posiadać możemy również ubranie, w którym chodzimy, szalas, w którym śpimy, narzędzia, których używamy. Faktem jednak jest, iż na początku wszystko było niczyje i dopiero człowiek poprzez deklarację swej woli przywłaszczał sobie daną rzecz czy teren. Tak zgodnie z zaleceniami Księgi Rodzaju ludzie szli i czynili Ziemię sobie poddaną (a ostatnio także Księżyc, jeśli wziąć pod uwagę akcję sprzedaży działek

na Srebrnym Globie). Dzisiaj przenoszenie własności z właściciela na właściciela może dawać nam złudne poczucie, że jest ona czymś ugruntowanym i naturalnym, nie wolno jednak zapomnieć, iż pierwsze wprowadzenie w obrót właścicielski zaczynało się od stwierdzenia: „To jest moje!”. Wydaje się to słabym potwierdzeniem jakichkolwiek praw do czegokolwiek. Takie okrzyki słychać zresztą po dziś dzień: czy to w małej skali przywłaszczania sobie rzeczy przez innych porzuconych czy w skali olbrzymiej, gdy kraje wtykają swoje flagi na dnie oceanu, by zaznaczyć prawa do złożoności okolic Bieguna Północnego, który do niedawna nikogo nie obchodził i stąd nikt wcześniej nie wziął go w posiadanie.

Problem pojawiał się, kiedy do danego obiektu pretensje zgłaszało wielu kandydatów. Jak zwykle w takich sytuacjach triumfował najsilniejszy. Z tej też przyczyny pojawiały się wielkie ruchy migracyjne – silniejsi przeganiali słabszych, ci zaś przenosili się na tereny niezamieszkałe lub zamieszkałe przez jeszcze słabszych od nich samych. Zasada ta obowiązywała jeszcze do niedawna, kiedy to ekspansywni i dysponujący lepszą techniką wojskową biali wypierali autochtonów z terenów obu Ameryk i Australii, podporządkowali sobie Afrykę oraz znaczną część Azji. W Europie ten etap zakończył się wraz z efektywnym podziałem świata na kolonie, ale jego echa słychać było jeszcze w hitlerowskim „Drang nach Osten”. Wydarzenia te – począwszy od tych, które giną w mrokach dziejów, a kończąc na masakrach Indian, Aborygenów i wielu innych grup etnicznych – wiązały się zazwyczaj z nieopisanymi okrucieństwami. Silniejsi musieli bowiem zademonstrować słabszym swoją siłę. Walka o prawa własności różnego rodzaju wypędzonych, przegnianych i pomordowanych (oraz ich spadkobierców) jest zjawiskiem stosunkowo nowym, związanym z próbami ochrony praw słabszych przed wolą silniejszych, i jako taka jest godna pochwały. Szkoda tylko, że główni jej orędownicy nie widzą belki we własnym oku, zaś główni winowajcy

pozostają wystarczająco silni, by nic sobie z tych zabiegów nie robić. I tak, na przykład, na Polskę spada obecny i potencjalny ciężar zadośćuczynienia zarówno wypędzonym Niemcom, przesiedlonym Żydom, tymczasem sprawcy owych nieszczęść ustalający powojenny porządek w Jalcie nie mają sobie nic do zarzucenia. Historię piszą zwycięzcy – nie są to jednak zwycięzcy moralni, ale ci, którzy dysponują siłą.

Kwestia tego, kto mógł być posiadaczem, zależała i zależy głównie od ustroju politycznego. Im silniejsza władza centralna, tym bardziej ograniczona własność prywatna. Ewolucję tę szczególnie dobrze widać na przykładzie średniowiecznej Europy. System lenny opierał się w znacznej mierze na wyłączności suwerena we władaniu ziemią. W drodze aktu lennego ziemia była później przekazywana w zarząd lennikom. Nie oznaczało to bynajmniej zrzeczenia się praw własności do ziemi, a jedynie jej czasowe przekazanie w zarząd. Tego typu archaiczny model obowiązywał w Europie jeszcze na progu dwudziestego pierwszego wieku i zakończył się, gdy największe państwo świata, Rosja, podjęło decyzję o umożliwieniu posiadania ziemi rolnej przez osoby prywatne. Jednak wraz z erozją pozycji władcy dziedziczne lenna *de facto* przechodziły na własność szlachty – liczba posiadaczy poszerzała się, choć dalej na stosunkowo niewielki krąg społeczeństwa. Rewolucja przemysłowa przyniosła zmiany innej natury. Okazało się, że rzeczy, których posiadanie wydawało się mało istotne, a co za tym idzie mało reglamentowane – takie jak narzędzia czy maszyny – mogą być źródłem niezwykłego bogactwa. Na skutek tego po pewnym czasie ziemia nie była już tak istotna, a brzydzące się przemysłem i handlem rody szlacheckie podupadły. Rodziny kupieckie, bankierzy i cechy rzemieślnicze szybko rosły w siłę. Ich apetyt na wzrost pozycji społecznej prowadził często do kupowania tytułów szlacheckich bezpośrednio lub poprzez aranżowanie małżeństw z „gołymi” szlachcicami. Z czasem pojawiło się jednak coś więcej niż tylko dążenie do stanu szlacheckiego. Zaczęła rodzić się świadomość tego, jak istotny jest stan trzeci i jak wielkie wpływy można uzyskać za pieniądze. Zbudowane na tej świadomości miasta Hanzy czy niewielka, kupiecka Wenecja były

w stanie utrzymywać niezależność i powiększać swe wpływy na znaczne obszary. Przedsiębiorcy zyskali również sprzymierzeńca w protestanckich odłamach chrześcijaństwa. Dominujący Kościół Katolicki uznawał bogactwo i dążenie do niego za grzeszne samo w sobie (oczywiście nie licząc własnego bogactwa). Protestanci natomiast uczynili z wytrwałości, pracy i oszczędności cnotę, zaś bogactwo stało się oznaką przychylności Boga. Ta zmiana paradygmatu miała olbrzymie skutki, co widać wyraźnie, gdy protestanckie Niemcy, USA, Wielką Brytanię porówna się z katolickimi Włochami, Hiszpanią i Polską. Rozbieżność w poziomie rozwoju gospodarczego, zauważona już przez Maksa Webera, wydaje się wyraźnie skorelowana z ludzką mentalnością wywodzącą się z religii. Dalszy wzrost bogactwa i znaczenia przedsiębiorców doprowadził do stopniowego zniesienia ograniczeń w zakresie posiadania przez poszczególne klasy społeczne. Sytuacja taka, jakkolwiek znacznie sprawiedliwsza, wciąż *de facto* nie obejmowała całości społeczeństwa. Cóż z tego, że *de iure* posiadać mógł każdy, skoro większość społeczeństwa nie miała nic. Tym tropem poszedł Karol Marks, przewidując, że uciśnione masy odrzucą zgniłą nadbudowę i przejmą dostępny kapitał na własność, po czym nastąpi wiek powszechnej szczęśliwości. Co ciekawe historia miała zatoczyć koło: własność miała należeć do wszystkich jednocześnie, czyli właściwie do nikogo – własność jako idea miała zniknąć. Historia zadecydowała jednak inaczej. Rewolucja robotnicza rozpoczęła się w kraju bez robotników (i raczej omijała kraje zindustrializowane), a teoria dyktatury proletariatu musiała nagiąć się do twardej rzeczywistości. Wszelkie próby zaprowadzenia komunizmu, takie jak zaprzestanie używania pieniądza, kończyły się katastrofami, zaś „uciśkane masy” niezbyt chętnie dawały się przekonać do kolektywów, m.in. kołchozów. Zapaść gospodarcza kraju była tak dotkliwa, że Lenin musiał zgodzić się na NEP (*Новая экономическая политика* [*Nowaja ekonomičeskaja politika*]) – program zezwalający na odbudowę drobnej przedsiębiorczości. Kiedy jednak najgorsze minęło, stalowa pięść zacisnęła się na nowo wraz z programami rozkułaczania i mordowania głodem Ukrainy. Skoro fakty były przeciwko bolszewikom – tym gorzej dla faktów.

Problemy Rosji Sowieckiej umknęły uwadze Europy Zachodniej, doceniono jednak zagrożenie płynące z jej chwytności i demagogicznej ideologii. Aby uniknąć rewolucji na własnym terenie, rozpoczęto budowę alternatywy bazującej na upowszechnieniu własności prywatnej. Popieranie przedsiębiorczości z jednej strony oraz zapewnienie wysokich zarobków ludziom pracy dało zadziwiające efekty. Standard życia wzrósł do poziomów nigdy wcześniej niespotykanych – ale co ważniejsze wzrósł on dla niemal wszystkich grup społecznych. Nie ma sensu porównywanie losu robotnika w obu systemach, zaś całość przewagi opierała się na zasadniczej różnicy pomiędzy nimi, na wolności gospodarczej, której podstawowym elementem jest ochrona własności. Pomimo powszechnych dziś nekrologów liberalnego kapitalizmu trudno wskazać jakiegokolwiek inny system mogący pochwalić się sukcesami choćby zbliżonej miary.

Sytuacja ta wykazała też jeszcze inny fakt: fizyczna obecność właściciela jest kluczowym elementem efektywnego działania organizacji. W komunizmie nikt nie był właścicielem, więc zwykle nikomu nie zależało na tym, by firma przynosiła jak największe zyski. Wręcz przeciwnie – nikt skutecznie nie nadzorował, więc można było spokojnie obijać się w pracy; nikt nie był właścicielem, więc można było kraść. Podejście do zakładu pracy jako własności niczyjej wciąż jest w Polsce obecne, stanowiąc bagaż, który jeszcze długo przyjdzie nam nieść. Trzeba jednak zauważyć, że sytuacja poprawia się, kiedy zainteresowany właściciel drastycznie ukróci tego typu proceder. Dlatego jedynym ratunkiem dla naszych niewydolnych zakładów jest jak najszybsza prywatyzacja, w przeciwnym razie pozostaną one rozpadającymi się molochemi skazanymi na kropłówkę pomocy państwowej. Zastanawiające, że mało kto jest świadomy, iż owa kropłówka to pieniądze kapiące z jego kieszeni. Ostatnio „znaleziony” miliard na zakupy zbrojeniowe (i przedłużające agonię sektora zbrojeniowego) oznacza ponad 75 złotych zabranych z portfela każdego pracującego Polaka. Dodajmy pomoc udzieloną wszystkim sektorom na przestrzeni ostatnich 20 lat i okazałoby się, że pewnie każdy mógłby za te pieniądze pozwolić sobie na nowy telewizor.

Oczywiście prywatyzacja nie jest prostym procesem, ponieważ osoby korzystające z tego chorego stanu rzeczy będą się jej przeciwstawiać. Są nimi nie tylko kierownictwo związków zawodowych, pobierające wielokrotności średnich krajowych za sam fakt oddychania, ale także szeregowi pracownicy zdający sobie sprawę, iż właściciel wymuszający wydajną pracę może szybko odkryć przerosty zatrudnienia sięgające nawet 50%. Widmo zwolnień skutecznie odstrasza pracowników od prób zmiany formy własności pracodawcy i trudno się temu dziwić. Ostatnie przykłady protestów w KGHM-ie są tu świetnym przykładem. Istnieją obszary, gdzie lobby beneficjentów jest tak silne, że prywatyzacja to słowo tabu: doskonały przykład stanowi służba zdrowia. Z jakichś powodów Polacy dali sobie wmówić, że dużo lepiej jest umrzeć, 3 lata czekając na wizytę u specjalisty, niż pozwolić na prywatyzację szpitali. Prywatna służba zdrowia spowodowałaby, że bogaci mieliby pierwszeństwo, ale w tym samym czasie kolejki dla biedniejszych byłyby znacznie krótsze. W chwili obecnej kosztujące krocie maszyny diagnostyczne kurzą się i zużywają moralnie, stojąc bezużytecznie w szpitalach, nie ze względu na brak chętnych, ale dlatego, że NFZ zakontraktował tylko kilka zabiegów w miesiącu. Dlaczego w okresie bezczynności nie mogą one wykonywać badań ludzi w kraju i z zagranicy, którzy są w stanie za to zapłacić, jednocześnie zwalniając miejsce w kolejce? Wyłącznie ze względu na to, że ludzie dali sobie wmówić, iż w prywatnej służbie zdrowia karetka nie przyjedzie po nich, jeśli nie podadzą numeru karty kredytowej. Kolejny arcyprzykład PRL-owskiego skansenu to publiczne media. Oficjalna informacja głosi, że są one potrzebne, by wypełniać misję publiczną. Fakty pokazują jednak, iż wypełnia ona głównie wolę opcji politycznej kierującej KRRiT, zaś misja, pojawiająca się niegdyś około godziny pierwszej nad ranem, dawno już zniknęła z anteny. W tym samym czasie media prywatne realizują misję publiczną w znacznie większym zakresie zarówno w kwestii edukacji, sztuki, jak i publicystyki. Dlaczego zatem nie można pozwolić na realizację misji publicznej mediom prywatnym, dotując je zadaniowo? Odpowiedź jest prosta: wykluczy to możliwość wyprowadzania pieniędzy z TVP przez

różnego rodzaju „środowiska twórcze”, które w większości przypadków od dekad nie są w stanie stworzyć nic twórczego i egzystują wyłącznie dzięki dobremu zakotwiczeniu w TVP. Wydaje się, że dopiero uświadomienie ludziom, jak dużo ich własnych pieniędzy kosztuje istnienie tych oaz PRL-u, może spowodować zmianę mentalności. Miejsce reliktyw z epoki jest w skansenie, a w kolebkach powinny być muzea.

Zwycięstwo kapitalizmu nad komunizmem nie oznacza jednak, że stał się on odporny na wypaczenia. Mała i średnia przedsiębiorczość jest siłą napędową gospodarki Stanów Zjednoczonych i Europy. Proces jednak załamuje się, gdy na scenę wkraczają wielkie korporacje. Mająca być szczytem osiągnięć kapitalizmu korporacja wydaje się go ciągnąć na dno – i to z tego samego powodu, dla którego udusił się komunizm. Korporacja nie ma właściciela, w każdym razie nie takiego, który cokolwiek znaczy. Jednocześnie jej właścicielami są miliony ludzi, którzy mają coś do powiedzenia tylko raz do roku. Ich głos znaczy jednak tak mało, że całkiem rozsądnie postanawiają pozostać w domach. W tym samym czasie duzi udziałowcy to także korporacje (choć często innej natury, jak na przykład fundusze inwestycyjne), które same właściciele nie mają. „Kto w takim razie pilnuje sklepu?” – możemy zapytać za umierającym Żydem z anegdoty, który zauważył, iż cała rodzina zebrała się przy jego łożu boleści. Nikt! W tej sytuacji kwitnie wyższa kadra zarządzająca, która właściwie sama ustala poziom własnych wynagrodzeń na podstawie wskaźników, jakimi łatwo może manipulować. Hulaj dusza, piekła nie ma! Tak się przynajmniej wydawało do wybuchu ostatniego kryzysu. Okazało się jednak, że brak kontroli właścicielskiej nad bankami, dziwaczne zachowanie polityków oraz niesprzyjający zbieg okoliczności doprowadzić mogą do ogólnoświatowego załamania gospodarczego. Teraz powoli mówi się o reformie sektora finansowego i poddaniu go skuteczniejszej kontroli – głównie przez państwo. Wygląda to na leczenie dżumy cholera, jako że działania polityków zwykle są, z punktu widzenia ekonomii, jeszcze bardziej irracjonalne niż działania managerów. Problem polega na tym, że politycy najczęściej nie mają pojęcia o gospodarce w ogóle,

a o konkretnym przemyśle w szczególności, zaś ich rojenia i pomysły często prowadzą do malowniczych katastrof. Zresztą politycy i klasa zarządzająca mają ze sobą wiele wspólnego: ci pierwsi również zależą od masy ludzi, którzy od czasu do czasu mają coś do powiedzenia. Jako że pojedynczy głos znaczy tyle co nic, większość z tej masy postanawia nawet nie wychodzić z domu na wybory. A po wyborach polityk może robić właściwie to, co chce, łącznie z ustaleniem wysokości swojej pensji.

Brak właściciela w bankach pokazał nam, gdzie leży niebezpieczeństwo, warto jednak uczyć się na błędach. Należałoby zadać pytanie, kto pilnuje sklepu w PKN-ie Orlen? Grupie Lotos? KGHM-ie? PLL-u LOT?... W najlepszym przypadku odpowiedź brzmi: nikt. W nieco gorszym przypadku wtrąca się państwo. Znalezienie odpowiedzialnego i zainteresowanego właściciela to warunek skutecznego zakończenia naszej gospodarczej transformacji i dogonienia zachodu Europy.

W końcu może warto zadać pytanie, kto pilnuje sklepu w naszym kraju? Obywatele zmęczeni są niekompetencją i samowolą polityków i zamiast się przeciwko temu buntować popadają w apatię. Również w naszym kraju potrzeba zainteresowanych właścicieli, gotowych poświęcić czas, a nawet pieniądze, by skontrolować wynajętych zarządców, jakimi są politycy. Niestety organizacje pozarządowe, ciągle słabe i bez siły przebiccia, nie są w stanie skutecznie kontrolować rządzących, a scena polityczna jest skutecznie zabetonowana przepisami o finansowaniu partii politycznych.

Odpowiedź na pytanie, jak ratować kapitalizm i demokrację jest prosta: wprowadzić zainteresowanego właściciela. Jednak jak to zrobić pozostaje otwartą kwestią, a nasz przyszły sukces zależy od tego, czy potrafimy efektywnie tę kwestię rozwiązać. To właśnie powinno być przedmiotem debaty publicznej: jak sprywatyzować nie tylko gospodarkę, ale także państwo. ◀

Tomasz **Kasprowicz**

(1980), doktor ekonomii, obronił się na Wydziale Finansów Southern Illinois University.

Ludzie z mojej dzielnicy

Portret. Jak opowiedzieć o człowieku jednym zdjęciem?

Aukland street – ulica w nadmorskiej dzielnicy St.Kilda w Melbourne. Miejsce niezwykle, pełne ludzi wyzwolonych, zagubionych, artystów, świeżych emigrantów. Początek XXI wieku. Wyłapuję frapujące mnie twarze, fotografuję w bardzo wąskim kadrze, wywołuję te czarno-białe zdjęcia i z odbitką w ręku odszukuję tych samych ludzi, aby sfotografować ich ponownie, tym razem zasłaniających się zdjęciem własnej twarzy. Po następnych paru dniach wręczam im powiększenie już tego podwójnego portretu z białą ramką, prosząc o umieszczenie na nim pierwszego komentarza, jaki się nasuwa po obejrzeniu tej „nowej, zaskakującej twarzy”.

Efekt – na jednym zdjęciu pojawia się pięć elementów bardzo mocno określających człowieka: oczy, palce, sposób trzymania delikatnej materii jaką jest kartka papieru, charakter pisma, treść komentarza.

Tomek Sikora

Fotograf, autor kilkudziesięciu wystaw indywidualnych na całym świecie oraz 30 wydawnictw autorskich. Był wielokrotnie nagradzany za kreatywność w fotografii. Dwukrotnie wybrany fotografem reklamowym roku w Australii i Oceanii, która była bazą jego reklamowej współpracy z krajami południowo-wschodniej Azji. Autor międzynarodowych kampanii reklamowych dla Hotelu Sheraton, Intercontinental, Singapore Airlines, Reebok.

W 2001 roku powołał do życia, wraz z Andrzejem Świetlikiem, Galerię Bezdomną promującą w wielu krajach fotografię niezależną. Do dnia dzisiejszego odbyło się ponad 60 edycji Galerii Bezdomnej na pięciu kontynentach.

Od 1999 roku pracuje nad projektem *Przejrzystość Rzeczy*, wystawianym już siedmiokrotnie i nieustannie uzupełnianym o nowe prace. Pierwsza wystawa odbyła się w Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie.

W 60 rocznicę urodzin, nakładem wydawnictwa ZNAK, ukazał się album „Tomek Sikora światłoczuły” zawierający kilkaset zdjęć oraz wiele anegdot.

plustek
Image Solution Provider

Bezpieczne skanowanie książek

Skaner OpticBook A300 to nie tylko szybkie skanowanie w wysokiej jakości, to także ochrona cennych i delikatnych książek oraz niezwykła wygoda użytkowania.

- * Wyjątkowa 2 mm krawędź ułatwiająca skanowanie grubych książek
- * **Duży obszar skanowania A3 297×420 mm**
- * **Szybkość skanowania 2,48 sekundy przy formacie A3 kolor 300 dpi**
- * Maksymalna rozdzielczość skanowania – 600 dpi
- * Wygodne w użyciu przyciski szybkiego dostępu
- * Wysokiej jakości oprogramowanie do obróbki grafiki i tekstu dołączone w zestawie

obszar skanowania
A3



Więcej informacji na: www.plustek.pl

OpticBook A300



Nie drukujemy tylko pieniędzy...

Gemtext Sp. z o.o.
05-500 Piaseczno, ul. Puławska 34,
tel./fax (+48) 22 757 27 37; www.gemtext.pl

Zespół:

Marcin Bąba, Ireneusz Białecki, Łukasz Bluszcz, Grażyna Borkowska, Przemysław Czapliński, Justyna Czechowska, Małgorzata Dziewulska, Irena Grudzińska-Gross, Piotr Gruszczyński, Damian Kalbarczyk, Tomasz Kasprowicz, Marcin Kilanowski, Piotr Kłoczowski, Jacek Kochanowicz, Andrzej St. Kowalczyk, Sergiusz Kowalski, Marcin Król, Jarosław Kuisz, Joanna Kurczewska, Jacek Kurczewski, Katarzyna Kwiatkowska, Andrzej Leder, Tomasz Łubieński, Magdalena Malińska, Marcin Moskaiewicz, Krzysztof Michalski, Łukasz Mikołajewski, Jan St. Miś, Małgorzata Mostek, Teresa Oleszczuk, Arkadiusz Peisert, Jeremi Sadowski, Bohdan Ślawiński, Aleksander Smolar, Michał Sołtysiak, Piotr Sommer, Jerzy Szacki, Weronika Szczawińska, Karolina Szymaniak, Anna Wylegała, Michał Wysocki, Wojciech Zajączkowski, Marek Zaleski

Redakcja:

Magdalena M. Baran, Artur Celiński (zastępca wydawcy), Katarzyna Kazimierowska (sekretarz redakcji), Wojciech Przybylski (wydawca)

Dziękujemy przyjaciółom i dobroczyńcom:

Samuel Abraham, Marcin Dobrowolski, Carl Henrik Fredriksson, Alina Gałązka, Simon Garnett, Dantua Glondys, Artur Gluziński, Shawn Gorman, Katarzyna Grabarczyk, Eva Karadi, Andrzej Kozicki, Sebastian Lenart, Grzegorz Lewandowski, Iryna Magdysh, Piotr Misiło, Jacek Multanowski, Małgorzata Naimska, Szymon Ozimek, Janusz Palikot, Gareth Price, Philippe Rusin, Michał Sas, Marek Seckar, Anna Szczęsnowicz, Katarzyna Wężowska, Marcin Wojdat, Taras Woźniak, Alina Zielniewicz, Departament Dyplomacji Publicznej i Kulturalnej MSZ, Fundacja Batorego: Program Wschód-Wschód, Eurozine, Kulturaliberalna.pl, Klub Lokator, Magazyn „Ji”, Multimedia Vision, Willa Decjusza, Wydawnictwo Prószyński iS-ka, Wydawnictwo W.A.B., Wydawnictwo WAiP, Wydawnictwo Słowo/Obraz Terytoria, Wydawnictwo Naukowe PWN S.A.

Zdjęcia wykorzystane w numerze są autorstwa Tomka Sikory.

Korekta: Magdalena Jackowska i Ewelina Sobol

Opracowanie graficzne: rzeczyobrazkowe.pl

Adres redakcji:

Res Publica Nowa

ul. Gałczyńskiego 5, 00-362 Warszawa

Telefon: 0 22 826 05 66, faks: 0 22 343 08 33

redakcja@res publica.pl

www.res publica.pl

Kwartalnik wydawany przez Fundację Res Publica im. H. Krzeczковского, ul. Gałczyńskiego 5, 00-362 Warszawa

Prenumerata: Cena prenumeraty rocznej (4 numery) wynosi 80 złotych, dla studentów i doktorantów 60 złotych.

Darowizny wspierające naszą działalność prosimy wpłacać na konto Fundacji Res Publica im. Henryka Krzeczковского nr: 86 1240 6218 1111 0000 4623 5682 z dopiskiem: darowizna na rzecz Fundacji Res Publica im. H. Krzeczковского

Druk: Drukarnia Gemtext Sp. z o.o., ul. Puławska 34, 05-500 Piaseczno

Wydrukowano na Munken Print White 15 90g/m²

Nr 7/2009

197/ rok XXII

ISSN: 1230-2155

Numer indeksu: 375500

Cena 20 zł (VAT 0%)

Nakład 2800 egz.



Współpraca – Eurozine

eurozine